

THE HORUS HERESY™

*Ben Counter*

# GALAKTYKA W OGNIU

*Herezja odstania oblicze*



fabryka słów

...impe-um domina  
...robes s- lreicu  
...impent- no-ven  
...nalis re-mator

THE HORUS HERESY™

*Ben Counter*

GALAKTYKA  
W OGNIU

*Herezja odsłania oblicze*

Tłumaczył  
Przemysław Bieliński

**fabryka słów**

Lublin 2012

English version originally published in Great Britain in 2006 by BL  
Publishing  
Games Workshop Ltd.,  
Willow Road, Nottingham,  
NG7 2WS, UK

The Horus Heresy™  
Galaxy in Flames by Ben Counter  
Cover art by Neil Roberts

This edition published in Lublin by Fabryka Słów in 2012.

Copyright © Games Workshop Ltd. 2006, 2012.

This translation copyright © Games Workshop Ltd. 2006. All rights reserved.

Black Library, logo Black Library, Games Workshop, logo Games Workshop i wszelkie inne powiązane znaki, nazwy, postacie, ilustracje i obrazy ze świata Warhammer są także ®, ™ i/lub © Games Workshop Ltd 2000-2012, zarejestrowane w różnych formach w Wielkiej Brytanii i w innych krajach na całym świecie. Używane w ramach licencji na Fabrykę Słów. Wszelkie prawa zastrzeżone.

<http://blacklibrary.com/>

WYDANIE I

**ISBN 978-83-7574-627-3**

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Niniejsza książka jest fikcją literacką. Wszystkie postaci i zdarzenia opisane w powieści są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do realnie istniejących osób lub zdarzeń jest przypadkowe.



Specjalne podziękowania  
dla Grahama McNeilla,  
dzięki któremu ta książka  
jest tym, czym jest

# HEREZJA HORUSA

*Nadszedł czas legend*

Potężni bohaterowie walczą o władzę nad galaktyką.  
Podczas Wielkiej Krucjaty nieprzeliczone armie  
Imperatora Ziemi zgmiotły napotkane rasy obcych,  
nie pozostawiając po nich nawet śladu na kartach historii.

Nadchodzi nowy wiek dominacji ludzkości.  
Lśniące cytadele z marmuru i złota upamiętniają zwycięstwa  
Imperatora. Na powierzchniach milionów planet wznoszone  
są tryumfalne pomniki, świadectwa heroiczych czynów  
największych z jego bohaterów.

Najważniejszymi z nich są Prymarchowie, nadludzkie istoty,  
którzy prowadzą armie Kosmicznych Marines Imperatora  
do kolejnych zwycięstw i stanowią szczytowe osiągnięcie  
jego inżynierii genetycznej. Kosmiczni Marines  
są najgroźniejszymi wojownikami, jakich kiedykolwiek  
znała galaktyka, a każdy z nich wart jest w walce  
stu zwykłych żołnierzy.

Kosmiczni Marines zorganizowani są w wielotysięczne armie  
zwane Legionami, które dowodzone przez Prymarchów,  
prowadzą w imieniu Imperatora podbój galaktyki.

Największym spośród Prymarchów jest Horus,  
Horus Wspaniały, Najjaśniejsza Gwiazda, ulubieniec  
Imperatora, który traktuje go jak rodzzonego syna.  
Horus Mistrz Wojny, najwyższy wódz wszystkich armii  
Imperium, pogromca tysiąca światów i zdobywca galaktyki.  
Horus, wojownik bez skazy i niezrównany dyplomata.

Grunt został przygotowany.

## ~ DRAMATIS PERSONAE ~

### *Prymarchowie*

MISTRZ WOJNY HORUS: Naczelny Wódz Legionu Synów Horusa

ANGRON: Prymarcha Pożeraczy Światów

FULGRIM: Prymarcha Dzieci Imperatora

MORTARION: Prymarcha Gwardii Śmierci

### *Synowie Horusa*

EZEKAIL ABADDON: Pierwszy Kapitan Legionu Synów Horusa

TARIK TORGADDON: kapitan Drugiej Kompanii Legionu Synów Horusa

IACTON QRUZE: zwany „Cichym”, kapitan Trzeciej Kompanii Legionu Synów Horusa

HORUS AKSYMAND: zwany „Małym Horusem”, kapitan Piątej Kompanii Legionu Synów Horusa

SERGHAR TARGOST: kapitan Siódmej Kompanii Legionu Synów Horusa, Mistrz Łoży

GARVIEL LOKENZ: kapitan Dziesiątej Kompanii Legionu Synów Horusa

LUC SEDIRAE: kapitan Trzynastej Kompanii Legionu Synów Horusa

TYBALT MARR: zwany „Albo”, kapitan Osiemnastej Kompanii Legionu Synów Horusa

KALUS EKADDON: kapitan, drużyna Catulańskich Zbójów, Legion Synów Horusa

FALKUS KIBRE: zwany „Mężobójcą”, kapitan, dowódca Terminatorów Justaerin, Legion Synów Horusa

NERON VIPUS: sierżant, drużyna taktyczna Locasta, Legion Synów Horusa

MALOGHURST: zwany „Skrzywionym”, adiutant Mistrza Wojny

### *Inni Kosmiczni Marines*

EREBUS: Pierwszy Kapelan Legionu Głosicieli Słowa

KHÂRN: kapitan Ósmej Kompanii Szturmowej Legionu Pożeraczy Światów

NATANIEL GARRO: kapitan Gwardii Śmierci

LUCJUSZ: szermierz Dzieci Imperatora

SAUL TARVITZ: Pierwszy Kapitan Dzieci Imperatora

EIDOLON: Lord Komandor Legionu Dzieci Imperatora

FABIUSZ BILIS: konsyliarz Legionu Dzieci Imperatora

### ***Legio Mortis***

PRINCEPS ESAU TURNET: dowódca Dies Irae, Tytana klasy Imperator

MODERATI PRIMUS CASSAR: członek załogi Dies Irae

MODERATI PRIMUS ARUKEN: członek załogi Dies Irae

### ***Inni obywatele Imperium***

ADEPT MECHANICUM REGULUS: przedstawiciel Mechanicum, dowodzi robotami Legionu oraz dogląda stanu technicznego maszyn bojowych

ING MAE SING: Mistrzynie Astropatów

KYRIL SINDERMANN: naczelny iterator

MERSADIE OLITON: oficjalna upamiętniaczka, dokumentarzystka

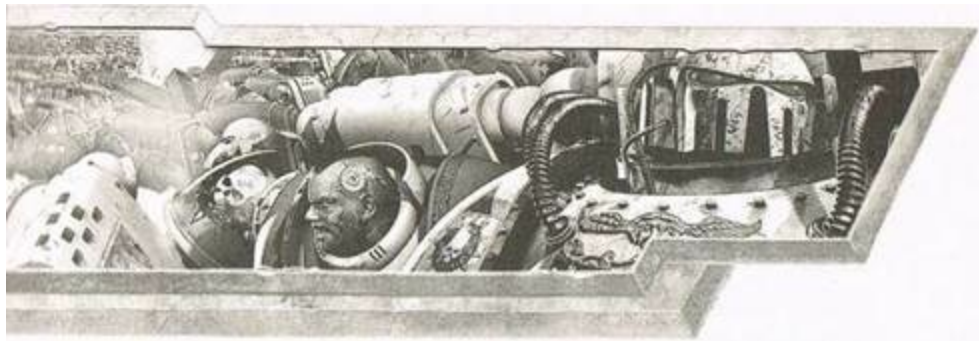
EUPHRATI KEELER: oficjalna upamiętniaczka, imagistka

PEETER EGON MOMUS: naczelny architekt

MAGGARD: egzekutor Maloghursta

**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**DŁUGIE NOŻE**





## JEDEN

### IMPERATOR STRZEŻE DŁUGA NOC MUZYKA SFER

Byłem przy tym – powiedział Tytus Cassar. Jego drżący głos był ledwie słyszalny w głębi sali. – Byłem przy tym, jak Horus odwrócił się od Imperatora.

Słowa te wywołały gromadne westchnienie wiernych Lectitio Divinitatus; zebrani jak jeden opuścili głowy na myśl o tak strasznym czynie. Siedzący w głębi pomieszczenia – opuszczonego magazynu amunicyjnego głęboko wśród podpokładów „Mściwego Ducha”, okrętu flagowego Mistrza Wojny – Kyril Sindermann skrzywił się, słysząc niezdarną relację Cassara. Tytus nie był iteratorem, to na pewno, ale w jego słowach słychać było niezachwiane przekonanie kogoś, kto naprawdę wierzy w to, co mówi. Sindermann zazdrościł mu tej pewności.

Minęło wiele miesięcy, odkąd po raz ostatni był czegokolwiek pewien.

Jego zadaniem, jako naczelnego iteratora Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji, było głoszenie Imperialnej Prawdy Wielkiej Krucjaty, nauczanie podbitych światów o władzy Imperatora i chwale Imperium. Niesienie światła rozumu i świeckiej prawdy w najdalsze rubieże rozrastającego się bezustannie dominium ludzkości; szlachetny cel.

Ale po drodze coś się zepsuło.

Sindermann nie miał pewności, kiedy to się stało. Na Xenobii? Na Davinie? Na Aureusie? Czy na jakimś innym z kilkunastu zmuszonych do uległości światów?

Kiedyś słynął jako arcyprorok świeckiej prawdy, czasy jednak się

zmieniły. Sindermann przypomniał sobie Sahlonuma, sumaturańskiego filozofa, który dziwił się, czemu światło nowej nauki nie sięga tak daleko, jak dawne czarnoksiężstwo.

Tytus Cassar ciągnął swoje monotonne kazanie i Kyril skupił się z powrotem na jego słowach. Wysoki i kościsty Cassar miał na sobie mundur moderati primusa, jednego z dowódców Dies Irae, Tytana klasy Imperator. Sindermann podejrzewał, że to właśnie jego ranga, w połączeniu z wcześniejszą znajomością z Euphrati Keeler, zapewniła mu obecną pozycję w Lectitio Divinitatus; pozycję, z którą wyraźnie sobie nie radził.

Euphrati Keeler: imagistka, ewangelistka...

...święta.

\* \* \*

Kyril przypomniał sobie, jak poznał Euphrati, żywą, nadmiernie pewną siebie kobietę, na pokładzie desantowym przed lądowaniem na Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, kiedy nie wiedzieli jeszcze, jaki horror przeżyją w głębiach pod Szeptunami.

Razem z kapitanem Lokenem widzieli potwora z osnowy, w którego przemienił się Xavyer Jubal. Sindermann, szukając racjonalnego wyjaśnienia tego, co zobaczył, zagrzebał się w książkach i próbował to lepiej zrozumieć. Euphrati nie miała takiego sanktuarium, więc poszukała ukojenia w coraz liczniejszej sekcji Lectitio Divinitatus.

Początkowo skromne ugrupowanie, oddające cześć Imperatorowi jako istocie boskiej, rozwinęło się w ruch obejmujący wszystkie ekspedycje w galaktyce – ku wściekłości Mistrza Wojny. Dotąd kultowi brakowało punktu zaczepienia, ale w osobie Euphrati Keeler znalazł swoją pierwszą męczennicę i świętą.

Sindermann pamiętał dzień, kiedy był świadkiem, jak upamiętniaczka stawia czoła koszarnej grozie zza bram Empireum i odrzucają z powrotem tam, skąd przyszła. Widział ją skapaną w morderczym ogniu, z którego wyłoniła się nietknięta, widział oślepiające światło bijące z jej wyciągniętych dłoni, dzierzących srebrnego imperialnego Orła. Inni też to widzieli: Ing Mae Sing, Mistrzynie Astropatów floty, i kilkunastu członków sił porządkowych okrętu. Wieści rozeszły się szybko i Euphrati z dnia na dzień stała się w oczach wyznawców świętą i symbolem wiary na rubieżach kosmosu.

Sindermann sam nie wiedział, po co przyszedł na to spotkanie – nie, nie spotkanie, poprawił się w myślach, na mszę, kazanie religijne – skoro istniało bardzo realne ryzyko, że ktoś go rozpozna. Członkostwo w Lectitio

Divinitatus było zakazane i gdyby został zdemaskowany, oznaczałoby to koniec jego kariery jako iteratora.

– Teraz przyjmijmy słowo Imperatora – ciągnął Cassar, czytając z małej, oprawionej w skórę książeczki. Sindermannowi przypomniały się notatniki Bondsmany Numer 7, w których nieżyjący Ignace Karkasy zapisywał swoje skandaliczne wiersze. Wiersze, przez które – jeśli podejrzenia Mersadie Oliton były słuszne – został zamordowany.

Sindermann pomyślał, że pisma Lectitio Divinitatus są niewiele mniej niebezpieczne.

– Mamy wśród nas nowych wiernych – rzekł Cassar i Kyril poczuł, że oczy wszystkich zebranych zwracają się ku niemu. W przeszłości zdarzało mu się przemawiać do całych kontynentów, a mimo to nagle poczuł się skrępowany ich spojrzeniami. – Kiedy ludzie po raz pierwszy przychodzą wielbić Imperatora, jest zupełnie naturalne, że mają pytania – ciągnął Cassar. – Rozumieją, że Imperator musi być bogiem, posiada bowiem boską władzę nad całym ludzkim gatunkiem, ale poza tym nie wiedzą nic.

Z tym akurat Sindermann się zgadzał.

– Najważniejsze ich pytanie brzmi: „Skoro Imperator zaiste jest bogiem, jak używa swojej boskiej mocy?”. Nie widzimy jego ręki sięgającej z nieba, bardzo nieliczni z nas zostali obdarowani przez niego wizjami. Czyżby więc nie dbał o większość swoich poddanych? Nie dostrzegają błędów w takim rozumowaniu. Jego dłoń spoczywa na nas wszystkich i każde z nas jest mu winne oddanie. W głębinach osnowy potężny duch Imperatora toczy bój z istotami mroku, które chcą przedrzeć się do naszego świata i wszystkich nas pochłonąć. Na Terze tworzy cuda, które przyniosą pokój, oświecenie i spełnienie wszystkich naszych marzeń w całej galaktyce. Imperator nas prowadzi, uczy i zachęca do wielkich wysiłków, ale przede wszystkim Imperator strzeże.

– Imperator strzeże – powtórzyli wierni chórem.

– Wiara Lectitio Divinitatus, wiara w Boskie Słowo Imperatora, nie jest ścieżką łatwą. Podczas gdy Imperialna Prawda, nie wymagająca wysiłku, rygorystycznie odrzuca to, co niewidoczne i nieznane, Boskie Słowo wymaga siły, by uwierzyć w to, czego nie widzimy. Im dłużej patrzymy na tę mroczną galaktykę, im dłużej żyjemy w ogniu jej podboju, tym jaśniej rozumiemy, że boskość Imperatora jest jedyną prawdą, która może istnieć. Nie szukamy Boskiego Słowa; słyszymy je i czujemy się zobowiązani go przestrzegać. Wiara nie oznacza przynależności, nie jest teorią do dyskusji. To coś, co tkwi

głęboko w nas, skończone i nieuniknione. Lectitio Divinitatus jest wyrazem tej wiary i tylko przyjmując Boskie Słowo, możemy zrozumieć drogę, jaką Imperator wyznaczył ludzkości.

Dobre słowa, pomyślał Sindermann. Dobre słowa, kiepsko przekazane, ale od serca. Widział, że poruszyły słuchaczy do głębi. Wprawny mówca mógłby takimi słowami i z taką siłą przekonania zdobywać planety.

Cassar chciał mówić dalej, ale Sindermann usłyszał nagle krzyki dobiegające z plataniny korytarzy prowadzących do pomieszczenia. Odwrócił się, słysząc metaliczny szczęk otwieranego gwałtownie przejścia. Do środka wpadła spanikowana kobieta; zza niej dobiegał głośny huk strzałów z bolterów.

Wierni poderwali się zmieszani. Spojrzeli na Cassara, czekając na wyjaśnienie, ale on był tak samo zdezorientowany jak wszyscy.

– Znaleźli was! – krzyknął Sindermann, który uświadomił sobie, co się stało.

– Wszyscy uciekać! – wrzasnął Cassar. – Rozproszyć się!

Kyryl przepchnął się przez spanikowany tłum do Tytusa. Niektórzy wierni wyciągali broń; domyślał się, że to żołnierze Armii Imperialnej. Inni musieli być członkami załogi. Sindermann wiedział o religii dość, by wiedzieć, że jeśli będzie trzeba, będą bronić swojej wiary siłą.

– Chodź, iteratorze, pora uciekać – rzekł Cassar i pociągnął go w stronę jednego z wielu tuneli rozchodzących się promieniście od magazynu. Zobaczył wyraz jego twarzy i dodał: – Nie martw się, Kyrylu, Imperator strzeże.

– Mam taką nadzieję – odparł Sindermann, z trudem łapiąc oddech.

Huk wystrzałów odbił się echem od sufitu, na ścianach zamigotały stroboskopowo płomienie wylotowe z luf. Sindermann obejrzał się przez ramię i zobaczył wchodzącą do magazynu zwalistą, opancerzoną sylwetkę Legionisty Astartes. Serce zamarło mu na chwilę w piersi na myśl, że został wrogiem takich sił.

Szybko pobiegł tunelem za Cassarem, przez wrota przeciwpożarowe, krętą drogą w głąb statku. „Mściwy Duch” był olbrzymim okrętem i Sindermann nie miał pojęcia o rozkładzie korytarzy w tej okolicy, brudnej i surowej w porównaniu ze wspaniałością górnych pokładów.

– Wiesz, gdzie idziesz? – wysapał. Oddech wyrywał mu się z płuc gorącymi, bolesnymi szarpnięciami, stare mięśnie nie wytrzymały wysiłku, do którego nie był przyzwyczajony.

– Do maszynowni – odparł Cassar. – Mamy przyjaciół w tamtejszej załodze. Do cholery, dlaczego oni po prostu nie dadzą nam spokoju?

– Bo się was boją – odparł Sindermann. – Tak jak ja się bałem.

\* \* \*

– Jesteś tego pewna? – spytał Horus, Prymarcha Legionu Synów Horusa i Mistrz Wojny Imperium. Jego głos poniósł się echem po olbrzymim, przypominającym grootę strategium „Mściwego Ducha”.

– Całkowicie – odparła Ing Mae Sing, Mistrzynie Astropatów Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji. Twarz miała poraną zmarszczkami i ściągniętą, niewidzące oczy głęboko zapadły się w wyniszczonych oczodołach. Trud wysyłania setek telepatycznych komunikatów przez całą galaktykę odcisnął się piętnem na jej wychudzonym ciele. Wokół niej zgromadzili się akolici, odziani w takie same białe szaty i bełkocący szeptem o upiornych obrazach w swoich głowach.

– Ile mamy czasu? – spytał Horus.

– Jak ze wszystkim, co ma związek z osnową, trudno tu o precyzję – odparła Ing Mae Sing.

– Mistrzynie Sing – powiedział Horus zimno – precyzja jest właśnie tym, czego od ciebie wymagam, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Te wiadomości zmieniają drastycznie kierunek Krucjaty, a jeśli się mylisz, zmieniają go na gorsze.

– Panie, nie mogę udzielić dokładnej odpowiedzi, ale uważam, że w przeciągu kilku dni zbierające się w osnowie burze zasłonią nam Astronomican – odparła Sing, ignorując ukrytą w słowach Mistrza Wojny groźbę. Choć ich nie widziała, wyczuwała nieprzyjazną obecność wojowników Justaerinu, Terminatorów Pierwszej Kompanii Synów Horusa, przyczajonych w półmroku strategium. – Za kilka dni przestaniemy go widzieć. Nasze umysły z trudem sięgają w przestrzeń, a nawigatorzy twierdzą, że już wkrótce nie będą mogli nas prowadzić. W galaktyce nastanie noc i ciemność.

Horus uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Czy rozumiesz, co mówisz? Krucjaty nie może spotkać nic bardziej niebezpiecznego.

– Ja jedynie stwierdzam, co widzę, Mistrzu Wojny.

– Jeśli się mylisz...

Pogróżka nie była czcza – jak żadna, którą rzucał Mistrz Wojny. Kiedyś nawet w gniewie nie posuwałyby się do takich gróźb, ale okrucieństwo

w jego głosie sugerowało, że te czasy dawno minęły.

– Jeśli się pomyliliśmy, ucierpimy. Nigdy nie było inaczej.

– A moi bracia Prymarchowie? Jakież wieści od nich?

– Nie udało się nam potwierdzić kontaktu z błogosławionym Sanguiniusem – odparła Ing Mae Sing. – A Leman Russ nie przysłał żadnych wiadomości o swojej kampanii przeciwko Tysiącowi Synów.

Horus się zaśmiał, chrapliwym, cthońskim śmiechem.

– To mnie nie dziwi – powiedział. – Obudził się w nim wilk i nie interesuje go nic oprócz dania nauczki Magnusowi. A inni?

– Vulkan i Dorn wracają na Terrę. Reszta Prymarchów kontynuuje swoje bieżące kampanie.

– Przynajmniej tyle dobrego – powiedział Horus i w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Co od Nadkonstruktora?

– Wybacz, Mistrzu Wojny, ale nie odebraliśmy żadnych komunikatów z Marsa. Spróbujemy nawiązać łączność środkami mechanicznymi, ale to zajmie kilka miesięcy.

– Zawiodłaś mnie, Sing. Koordynacja z Marsem to rzecz najwyższego znaczenia.

Ing Mae Sing przez ostatnie tygodnie przesyłała telepatycznie mnóstwo informacji pomiędzy „Mściwym Duchem” a Nadkonstruktorem Kelbor-Halem z Mechanicum. Choć nie znała ich treści, zawarte w nich emocje były aż nadto wyraźne. Cokolwiek Mistrz Wojny planował, Mechanicum odgrywało w tym kluczową rolę.

Horus znów się odezwał, wrywając ją z zamyślenia:

– Czy pozostali Prymarchowie odebrali rozkazy?

– Tak, panie. – Sing nie zdołała ukryć niepokoju w głosie. – Odpowiedź od Lorda Guillimana z Ultramarines była wyraźna i mocna. Zbliżają się do punktu zbornego na Calth i meldują, że wszystkie ich siły są gotowe do wyruszenia.

– A Lorgar?

Ing Mae Sing zawahała się, nie wiedząc, w jakich słowach przedstawić następne wieści.

– W jego wiadomości były śladowe symbole... dumy i posłuszeństwa; bardzo silnego, niemal fanatycznego. Potwierdza twój rozkaz ataku i bez opóźnień leci na Calth.

Sing chlubiła się swoją ogromną samokontrolą, jak przystało na kogoś, kto musiał panować nad emocjami, by uchronić je przed wpływem osnowy.

Ale nawet ona nie zdołała ukryć ich całkowicie.

– Coś cię martwi, Mistrzynie Sing? – spytał Horus.

– Panie?

– Wydajesz się zaniepokojona moimi rozkazami.

– Nie do mnie należy niepokoić się lub nie, panie mój – odparła Sing neutralnym tonem.

– Owszem – zgodził się Horus. – Nie należy, a mimo to wątpisz w słuszność obranej przeze mnie drogi.

– Nie! – zawołała Sing. – Tyle tylko, że trudno jest nie wyczuć natury twoich wiadomości, smaku krwi i śmierci, które ze sobą niosą. To tak, jakbyśmy z każdym komunikatem ziali ognistym dymem.

– Musisz mi zaufać, Mistrzynie Sing – rzekł Horus. – Uwierz, że wszystko, co robię, robię dla dobra Imperium. Rozumiesz?

– Nie do mnie należy rozumieć – szepnęła astropatka. – Moją rolą w Krucjacie jest wypełniać wolę mojego Mistrza Wojny.

– To prawda, ale zanim cię odprawię, Mistrzynie Sing, powiedz mi jeszcze coś.

– Tak, panie?

– Opowiedz mi o Euphrati Keeler – polecił Horus. – Opowiedz mi o tej, którą nazywają świętą.

\* \* \*

Loken wciąż sprawiał, że Mersadie Oliton dech wiązał w piersiach. Astartes wyglądali onieśmialająco w swoim bojowym oporządzeniu i wypolerowanych zbrojach, ale widok ten był niczym w porównaniu z tym, jak Kosmiczny Marine – a konkretnie Loken – wyglądał bez swojego pancerza.

Nagi od pasa w górę, jedynie w jasnych spodniach i butach, lśniący od potu, uskakiwał i wirował między bojowymi wysięgnikami ćwiczebnego serwitora. Choć mało kto z upamiętniaczy miał zaszczyt oglądania Astartes walczących w bitwie, mówiło się, że gołymi rękami potrafili zabijać tak samo sprawnie, jak bolterem czy łańcuchowym mieczem. Patrząc, jak Loken demoluje serwitora wysięgnik po wysięgniku, Mersadie była w stanie w to uwierzyć.

W jego potężnym, umięśnionym do przesady torsie widziała taką siłę, w jego szarych, bystrych oczach takie skupienie, że zastanawiała się, czy Loken nie powinien raczej wydawać się jej odpychający. Był maszyną do zabijania, stworzoną i wyuczoną, by zadawać śmierć. Ale nie mogła oderwać

od niego wzroku i przestać uwieczniać mrugnięciami jego bohaterskiej sylwetki.

Siedzący obok niej Kyril Sindermann nachylił się bliżej.

– Nie masz już pod dostatkiem zdjęć Garviela?

Loken urwał głowę treningowemu serwitotorowi i odwrócił się do nich, a Mersadie poczuła dreszczyk podniecenia. Od zakończenia wojny z Technokracją minęło bardzo dużo czasu, a ona spędziła z kapitanem Dziesiątej Kompanii sporą jego część, choć znacznie mniejszą, niżby chciała. Po tamtej kampanii wiedziała, że ma dużo materiału. Ale przez ostatnie miesiące Loken pozostawał niedostępny.

– Kyril, Mersadie – powiedział, mijając ich w drodze do swojej zbrojowni. – Dobrze widzieć was oboje.

– Cieszę się, że tu jestem, Garvielu – odparł Sindermann. Naczelnym iterator był starym człowiekiem, a Mersadie widziała, że postarzał się jeszcze bardziej przez ten rok od pożaru, który omal nie zabił go w archiwum „Mściwego Ducha”. – Bardzo się cieszę. Mersadie była tak dobra, że mnie tu przyprowadziła. Przeżyłem ostatnio parę ciężkich chwil, a nie jestem już tak sprawny jak kiedyś. Skrzydlaty rydwan czasu się zbliża.

– To cytat? – spytał Loken.

– Fragment.

– Nie widywałem was ostatnio zbyt często – zauważył Loken, uśmiechając się do Mersadie. – Czyżby zastąpił mnie jakiś bardziej interesujący temat?

– W żadnym razie – odparła – ale coraz trudniej nam się poruszać po statku. Edykt Maloghursta, musiałeś o nim słyszeć.

– Owszem – przytaknął Loken. Wziął element zbroi i otworzył puszkę proszku polerskiego, z którym się nie rozstawał. – Chociaż nie wczytywałem się w szczegóły.

Zapach proszku przypomniał Mersadie szczęśliwsze chwile w tym pomieszczeniu, nagrywanie opowieści o wielkich tryumfach i fantastycznych pejzażach, ale odrzuciła te nostalgiczne rozmyślenia.

– Możemy przebywać tylko we własnych kwaterach i w Kryjówce. Żeby pójść gdziekolwiek indziej, potrzebujemy pozwolenia.

– Od kogo? – spytał Loken.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pewności. Edykt mówi, że mamy składać wnioski do Kancelarii Dworu Luperkala, ale cokolwiek to jest, nikomu nie udało się



uzyskać stamtąd żadnej odpowiedzi.

– To musi być frustrujące – zauważył Loken, a Mersadie poczuła złość na tak oczywiste stwierdzenie.

– Oczywiście, że to frustrujące! Nie możemy uwiecznić Wielkiej Krucjaty, jeśli nie wolno nam kontaktować się z jej wojownikami. Prawie ich nie widzimy, nie mówiąc już o rozmowie z nimi.

– Tutaj się dostaliście.

– No, tak. Chodzenie za tobą nauczyło mnie nie rzucać się w oczy, kapitanie Loken. Tym bardziej że teraz ćwiczysz samotnie.

Mersadie zauważyła urazę w spojrzeniu Garviela i natychmiast pożałowała swoich słów. Dawniej często zastawała go pojedynkującego się z innymi oficerami: sardonicznym Sedirae, którego zimne, martwe oczy kojarzyły się jej ze ślepiami morskiego drapieźnika; z Neronem Vipusem albo ze swoim bratem z Kwadry, Tarikiem Torgaddonem – teraz jednak Loken walczył sam. Z wyboru czy z konieczności, tego nie wiedziała.

– Tak czy inaczej – ciągnęła – jest nam ciężko. Nikt z nami nie rozmawia. Nie wiemy już, co się dzieje.

– Trwają przygotowania do wojny – rzekł Loken, odłożył zbroję i spojrzał jej prosto w oczy. – Flota leci do punktu zbornego. Mamy połączyć siły z Astartes z innych Legionów. To będzie bardzo złożona kampania. Być może Mistrz Wojny zachowuje po prostu ostrożność.

– Nie, Garvielu – wtrącił się Sindermann. – Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że ty sam w to nie wierzysz. Tu chodzi o coś więcej.

– Czyżby? – prychnął Loken. – Wydaje ci się, że znasz mnie tak dobrze?

– Wystarczająco, Garvielu – przytaknął iterator. – Wystarczająco. Wzięli się za nas, i to ostro. Nie na tyle, żeby wszyscy to dostrzegli, ale tak się dzieje. Ty też o tym wiesz.

– Doprawdy?

– Ignace Karkasy – powiedziała Mersadie.

Lokenowi zrzęda mina i odwrócił wzrok, niezdolny ukryć smutku po nieżyjącym upamiętniaczu, bezkompromisowym poecie, którego wziął pod swoją ochronę. Ignace Karkasy był chodzącym kłopotem i niedogodnością, ale przy tym nie bał się mówić głośno o niewygodnych prawdach, o których trzeba było powiedzieć.

– Mówią, że popełnił samobójstwo – ciągnął Sindermann, nie pozwalając, by smutek Lokena zbił go z tropu – ale ja nigdy nie spotkałem

nikogo bardziej przeświadczonego, że galaktyka musi usłyszeć to, co on ma do zakomunikowania. Był wściekły po masakrze na pokładzie desantowym i pisał o tym. Był zły na wiele rzeczy i nie bał się o nich mówić. A teraz nie żyje, i to nie on jeden.

– Nie on jeden? – spytał Loken. – Kto jeszcze?

– Petronella Vivar, ta nieznośna dokumentarzystka. Mówią, że zbliżyła się do Mistrza Wojny bardziej niż ktokolwiek. Ona też zniknęła i nie wydaje mi się, żeby wróciła na Terę.

– Pamiętam ją, ale stąpasz po kruchym lodzie, Kyrilu. Musisz jaśniej formułować to, co chcesz powiedzieć.

Sindermann nie ugiął się pod spojrzeniem kapitana.

– Uważam, że wszyscy, którzy sprzeciwiają się woli Mistrza Wojny, są zabijani.

Iterator był wątlm mężczyzną, ale Mersadie nigdy nie czuła większej dumy, że go zna, niż kiedy stanął nieugięty przed wojownikiem Astartes i mówił mu o tym, o czym tamten nie chciał słuchać.

Sindermann zrobił pauzę, dając Lokenowi czas, by odrzucił jego zarzuty i przypomniał im wszystkim, że sam Imperator wybrał Horusa na Mistrza Wojny, bo tylko jemu można było powierzyć głoszenie Imperialnej Prawdy. Horus był człowiekiem, któremu każdy z Synów Horusa po stokroć poprzysiągł własne życie.

Ale Loken nic nie powiedział i Mersadie poczuła głębokie rozczarowanie.

– Nawet nie pamiętam, ile razy o tym czytałem – ciągnął Sindermann. – W *Kronikach uranańskich* na przykład. Pierwszą rzeczą, którą robili tamci tyrani, było mordowanie tych, którzy występowali przeciwko ich tyranii. Władcy Indonezyckich Ciemnych Wieków robili tak samo. Zważ na moje słowa: Era Zamętu mogła nadejść, kiedy umilkły głosy wątpiących. A teraz to samo dzieje się tutaj.

– Zawsze uczyłeś wstrzemięźliwości, Kyrilu – powiedział Loken. – Wazenia słów, liczenia się z cudzymi argumentami, unikania zgadywania. Toczymy wojnę i mamy pod dostatkiem wrogów bez twojego wyszukiwania nowych. Takie śledztwo może być dla ciebie bardzo niebezpieczne i może ci się nie spodobać to, co odkryjesz. Nie chciałbym, żeby spotkała cię jakaś krzywda. Was oboje.

– Ha! Teraz to ty mnie pouczasz, Garvielu – westchnął Sindermann. – Tyle się zmieniło. Nie jesteś już tylko wojownikiem, prawda?

– A ty nie jesteś już tylko iteratorem.

– Nie, chyba nie – zgodził się Sindermann. – Iterator głosi Imperialną Prawdę, tak? Nie szuka w niej dziur i nie rozprzestrzenia plotek. Ale Karkasy nie żyje, do tego dochodzą... inne rzeczy.

– Jakie rzeczy? – spytał Loken. – Chodzi ci o Keeler?

– Być może – odparł Sindermann i potrząsnął głową. – Nie wiem, ale mam przeczucie, że ona odgrywa w tym jakąś rolę.

– W czym?

– Słyszałeś, co się stało w Archiwum Trzecim?

– Z Euphrati? Tak, był pożar i została ranna. Skończyła w śpiączce.

– Byłem tam – powiedział Sindermann.

– Kyril – rzuciła Mersadie ostrzegawczym tonem.

– Proszę, Mersadie – zachnął się. – Wiem, co widziałem.

– Co widziałeś? – spytał Loken.

– Kłamstwa – odparł iterator zduszonym głosem. – Kłamstwa urzeczywistnione: istotę... rzecz z osnowy. Keeler i ja w jakiś sposób sprowadziliśmy ją zza bram Empireum przez *Księgę Lorgara*. Bo to była też moja wina. To... to były czary. Coś, o czym przez wszystkie te lata mówiłem, że nie istnieje. Ale ta istota była prawdziwa i stała przede mną tak, jak ja teraz stoję przed tobą. Powinna była nas zabić, ale Euphrati stawiała jej czoła i przeżyła.

– Jak? – spytał Loken.

Sindermann wzruszył ramionami.

– W tym właśnie momencie kończą mi się racjonalne wyjaśnienia, Garvielu.

– No dobrze, co według ciebie się stało?

Sindermann wymienił spojrzenia z Mersadie. Próbowwała siłą woli zmusić go do milczenia, ale stary Iterator nie miał zamiaru jej ulec.

– Kiedy zabiliście biednego Jubala, zrobiliście to swoją bronią, ale Euphrati nie była uzbrojona. Miała tylko swoją wiarę: wiarę w Imperatora. Wydaje mi się... sądzę, że to światło Imperatora odepchnęło tego potwora z powrotem do osnowy.

Słuchać, jak Kyril Sindermann mówi o wierze i świetle Imperatora, tego było już dla Mersadie za wiele.

– Ależ Kyrilu – powiedziała – musi być jakieś inne wytłumaczenie. Nawet to, co spotkało Jubala, nie leżało poza fizycznym prawdopodobieństwem. Sam Mistrz Wojny powiedział Lokenowi, że to, co

opanovało Jubala, było jakąś obcą istotą z osnowy. Słuchałam, jak nauczysz o tym, że ludzki umysł potrafi dać się opętać czarom, zabobonom i wszystkiemu temu, co czyni nas ślepyimi na rzeczywistość. Na tym polega Imperialna Prawda. Nie wierzę, że iterator Kyril Sindermann przestał wierzyć w Imperialną Prawdę.

– Wierzyć, moja droga? – powtórzył Sindermann, uśmiechnął się blade i potrząsnął głową. – Może to właśnie wiara jest największym kłamstwem. W dawnych czasach pierwsi filozofowie próbowali tłumaczyć istnienie gwiazd na niebie i świata, który ich otaczał. Jeden z nich stworzył teorię, że wszechświat leży na olbrzymich kryształowych sferach poruszanych przez gigantyczny mechanizm, co miało tłumaczyć ruchy ciał niebieskich. Wyśmiewano go, szydzono, że taki mechanizm musiałby być tak wielki i głośny, że wszyscy by go słyszeli. Odparł na to po prostu, że rodzimy się, słysząc ten hałas dookoła, i tak do niego przywykamy, że przestajemy na niego w ogóle zwracać uwagę.

Mersadie usiadła obok starca i objęła go ramionami, zaskoczona, że drży i oczy ma mokre od łez.

– A ja zacynam ją słyszeć, Garvielu – powiedział Sindermann drżącym głosem. – Zacynam słyszeć muzykę sfer.

Mersadie obserwowała twarz Lokena, który wpatrywał się w iteratora. Dostrzegała w niej inteligencję i prawość, które Sindermann w nim odkrył. Astartes byli uczeni, że zabobon jest zgubą Imperium, a jedyna rzeczywistość, o którą warto walczyć, to Imperialna Prawda.

Teraz, na jej oczach, ta pewność zaczynała się kruszyć.

– Varvarus został zabity rozmyślnie – powiedział w końcu Loken – z jednego z naszych bolterów.

– Hektor Varvarus? Dowódca armii? – spytała Mersadie. – Myślałam, że to zrobili Aurecjanie.

– Nie – odparł Loken. – To był jeden z nas.

– Dlaczego?

– Chciał... sam nie wiem... postawić nas przed sądem polowym, oskarżyć o... zabitych na pokładzie desantowym. Maloghurst się nie zgodzał. Varvarus nie chciał ustąpić, i teraz nie żyje.

– Czyli to prawda – westchnął Sindermann. – Przeciwnicy są uciszani.

– Wciąż trochę nas zostało – rzekł Loken. W jego głosie pobrzmiwały ukryte stalowe tony.

– W takim razie musimy coś zrobić, Garvielu – odparł iterator. –

Musimy odkryć, co wstąpiło w Legion, i to powstrzymać. Możemy z tym walczyć, Lokenie. Mamy ciebie, mamy prawdę i nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy...

Dźwięk, który mu przerwał, był hukem otwierających się drzwi wejściowych na pokład treningowy; zaraz po nim rozległ się ciężki, metaliczny odgłos kroków. Mersadie wiedziała, że to jeden z Astartes, zanim jeszcze padł na nią niewiarygodnie olbrzymi cień. Odwróciła się i zobaczyła za sobą krzywą sylwetkę Maloghursta, ubranego w kremową tunikę z lamówką w kolorze morskiej zieleni. Doradca Mistrza Wojny był nazywany Skrzywionym, tyleż przez pokrętność swojego umysłu, co z powodu straszliwych obrażeń, które zrujnowały mu ciało i groteskowo je zdeformowały.

Twarz miał pochmurną i wydawał się ociekać gniewem.

– Lokenie – powiedział – to są cywile.

– Kyril Sindermann i Mersadie Oliton są oficjalnymi upamiętniaczami Wielkiej Krucjaty i mogę za nich poświadczyć – odparł kapitan, stając przed Maloghurstem jak równy.

Za Maloghurstem stał autorytet Horusa i Mersadie była pod wrażeniem odwagi, jakiej musiało wymagać przeciwstawienie się takiemu człowiekowi.

– Być może nie zaznajomiłeś się z edyktem Mistrza Wojny, kapitanie – powiedział. Uprzejma neutralność jego głosu rażąco kontrastowała z elektryzującym napięciem pomiędzy dwoma Astartes. – Ci przekładacze papierów przysporzyli nam już dość problemów. Kto jak kto, ale ty powinieneś to rozumieć. Nie dopuszczamy żadnych kontaktów, Lokenie, i żadnych wyjątków.

Garviel stał twarzą w twarz z Maloghurstem i przez jedną mdlącą chwilę Mersadie myślała, że uderzy adiutanta Prymarchy.

– Wszyscy pchamy dzieło Wielkiej Krucjaty razem, Mal – powiedział sztywno. – Bez tych ludzi go nie dokończymy.

– Cywile nie walczą, kapitanie, oni tylko czepiają się i narzekają. Mogą sobie zapisać wszystko, co im się podoba, kiedy wojna zostanie wygrana, a Imperialną Prawdę głosić, kiedy podbijemy jakąś populację, która będzie musiała o niej usłyszeć. Do tego momentu nie stanowią części tej Krucjaty.

– Nie, Maloghurście – powiedział Loken. – Mylisz się i o tym wiesz. Imperator nie po to stworzył Prymarchów i Legiony, żeby walczyli w nieświadomości.

Nie po to wyruszył na podbój galaktyki, żeby zaprowadzić w niej

następną dyktaturę.

– Imperator – odparł Maloghurst, wskazując drzwi – jest daleko stąd.

Do sal treningowych wmaszerowało kilkunastu żołnierzy. Mersadie rozpoznała mundury Armii Imperialnej, ale zobaczyła, że usunięto z nich oznaczenia jednostek i stopni. Z nieprzyjemnym zaskoczeniem rozpoznała też jedną z twarzy – lodowate, złotoocze oblicze ochroniarza Petronelli Vivar. Przypomniała sobie, że nazywał się Maggard. Zdumiewało ją, jaki był potężny, umięśniony i zwalisty, o wiele bardziej niż żołnierze, którzy mu towarzyszyli. Na jego obnażonych mięśniach widać było świeżo zagojone blizny, a na twarzy zaczątki gigantyzmu, takiego jak u Lokena. Wyróżniał się spośród umundurowanych żołnierzy armii, a jego obecność uwiarygodniała tylko teorię Sindermana, że zniknięcie Petronelli Vivar nie ma nic wspólnego z powrotem na Terrę.

– Zabrać iteratora i upamiętniaczkę do ich kwater – zakomenderował Maloghurst. – Wystawić strażę i dopilnować, żeby więcej nie doszło do żadnych naruszeń edyktu.

Maggard kiwnął głową i wystąpił do przodu. Mersadie próbowała mu się wymknąć, ale był silny i szybki; złapał ją za kark i powłókł do drzwi. Sindermann wstał dobrowolnie i pozwolił żołnierzom się odprowadzić.

Maloghurst stał między Lokenem a drzwiami. Gdyby Loken chciał powstrzymać Maggarda i jego ludzi, musiałby najpierw poradzić sobie z adiutantem Mistrza Wojny.

– Kapitanie Loken – zawołał Sindermann tuż przed tym, jak wyprowadzono go za drzwi – jeśli chcesz zrozumieć więcej, przeczytaj jeszcze raz *Kroniki Ursh*. Tam znajduje się oświecenie.

Mersadie spróbowała się obejrzeć. Widziała Lokena za Maloghurstem; kapitan wyglądał jak zapędzone do kąta, gotowe do ataku zwierzę.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i przestała się wyrywać, a Maggard poprowadził ją i Sindermana do ich kwater.



## DWA

### PERFEKCJA ITERATOR

#### TO, CO UMIEMY NAJLEPIEJ

Perfekcja. Martwi zielonoskórzy byli jej dowodem.

Stacja orbitalna DS191 została zdobyta w niezrównanym pokazie sztuki wojennej, pola ostrzału zachodziły na siebie niczym wachlarze tancerek, oddziały nacierały i wyrzynały orków, których nie zdołały wystrzelać. Drużyna po drużynie, pomieszczenie po pomieszczeniu, Dzieci Imperatora przebijały się przez trzymających stację obcych z wdziękiem i doskonałością, których Fulgrim nauczył swój Legion.

Kiedy Legioniści z jego Kompanii dobili ostatnich zielonoskórych, Saul Tarvitz zdjął hełm i natychmiast wzdrygnął się od smrodu. Orki zamieszkiwały stację od dość długiego czasu i było to widać. Na ciemnych, metalowych podporach głównego centrum kontrolnego pulsowały grzybiaste narośle, na stanowiskach dowodzenia wznosiły się prymitywne kapliczki z broni, zbroi i plemiennych fetyszy. W górze przezroczysta kopuła ukazywała bezmiar kosmosu.

Wśród gwiazd widać było Callinedesa – układ imperialnych planet zaatakowanych przez zielonoskórych. Odbicie stacji orbitalnej z rąk orków było pierwszym etapem ich planu: Dzieci Imperatora i Żelazne Dłonie miały wkrótce przypościć szturm na twierdze wroga na Callinedesie IV.

– Co za smród – powiedział głos za Tarvitzem.

Saul się odwrócił i zobaczył kapitana Lucjusza, najlepszego szermierza Dzieci Imperatora. Zbroja jego towarzysza była obryzgana czernią, a jego smukły miecz wciąż potrzaskiwał od krwi skwierczącej na rozjarzonym

błękitnie ostrzu. – Przeklęte bydłeta, nie mają dość przyzwoitości, żeby upaść i zdechnąć, jak je człowiek zabija.

Twarz Lucjusza była kiedyś idealnie nieskazitelna, jak sam Legion Fulgrima. Ale teraz, usłyszawszy o jedną za dużo złośliwą uwagę, że wygląda jak wymuskany lalusz, a nie jak wojownik – a także pod wpływem Sereny d'Angelus – Lucjusz zaczął kolekcjonować blizny, bez wyjątku proste i identyczne, tworzące na jego obliczu idealną kratkę. Nie wycięto ich ostrze żadnego przeciwnika, Lucjusz bowiem za bardzo się cenił, by pozwolić się naznaczyć byle wrogowi.

– Twardzi są, trzeba im to przyznać – zgodził się Tarvitz.

– Może i są twardzi, ale walczą kompletnie bez elegancji – stwierdził Lucjusz. – Zabijanie ich to żadna zabawa.

– Mówisz, jakbyś był zawiedziony.

– Bo jestem! A ty nie? – Lucjusz dźgnął mieczem martwego zielonoskórego i wyciął mu na plecach kręty wzór. – Jak mamy osiągnąć najwyższą doskonałość, skoro ćwiczymy na tak nędznych okazach?

– Nie lekceważ zielonych – powiedział Tarvitz. – Te bestie najechały uległy świat i wyrznęły wszystkie siły, które zostawiliśmy do jego obrony. Mają statki kosmiczne i broń, której działania nie rozumiemy, a do tego atakują, jakby wojna była dla nich jakąś religią.

Obrócił na plecy najbliższego trupa – zwałistego osiłka o skórze twardej jak kora, otwartych czerwonych ślepiach i masywnej dolnej szczęce, wciąż rozwartej w grymasie wściekłości. Tylko rozwłózione niżej wnętrzności świadczyły, że ork faktycznie nie żyje. Tarvitz przypomniał sobie dygot miecza, kiedy przebił nim korpus tej istoty, i olbrzymią siłę, z jaką próbowała obalić go na kolana.

– Mówisz o nich tak, jakbyśmy potrzebowali ich zrozumieć, zanim zaczniemy zabijanie. Ale to tylko zwierzęta. – Lucjusz zaśmiał się sardonicznie. – Za dużo myślisz. To był zawsze twój problem, Saul, i dlatego nigdy nie osiągniesz przyprawiających o zawrót głowy wyżyn, na które wespnę się ja. Daj spokój, ciesz się po prostu zabijaniem.

Tarvitz już chciał mu odpowiedzieć, ale zachował swoje myśli dla siebie, bo do centrum dowodzenia wszedł Lord Komandor Eidolon.

– Dobra robota, Dzieci Imperatora! – zawołał.

Jako jeden z Wybrańców Fulgrima Eidolon dostąpił zaszczytu dopuszczenia do ścisłego otoczenia Prymarchy, gdzie reprezentował najwyższy wojenny kunszt Legionu. Choć Tarvitz rzadko żywił niechęć do



innych Astartes, Eidolona nie szanował. Arogancja dowódcy nie przystawała wojownikowi Dzieci Imperatora, a niechęć między nimi wzmogła się jeszcze na polach Rzeźni, w wojnie z megarachnidami.

Mimo zastrzeżeń Tarvitz Eidolon posiadał ogromny, naturalny autorytet, podkreślony wspaniałą zbroją, spod złocen której prawie nie widać było fioletowych barw Legionu.

– To plugastwo nawet nie wiedziało, co na nie spadło!

Dzieci Imperatora wzniosły tryumfalne okrzyki. Legion odniósł klasyczne zwycięstwo: szybkie, brutalne i doskonałe.

Zielonoskórzy od samego początku byli zgubieni.

– Przygotujcie się – krzyknął Eidolon – na przyjęcie Prymarchy.

\* \* \*

Służba Legionu szybko uprzątnęła pokłady załadunkowe stacji z trupów zielonoskórych, by grupa uderzeniowa na Callinedesa miała się gdzie zebrać. Tarvitzowi serce zabiło szybciej na myśl o ponownym ujrzeniu ukochanego Prymarchy. Od zbyt dawna Legion nie walczył u boku swojego wodza. Setki Dzieci Imperatora stały na baczność w idealnie równych szeregach – wspaniała armia w fiolecie i złocie.

Jednak mimo całej tej wspaniałości Astartes byli zaledwie marną namiastką wojownika, który był dla nich wszystkich ojcem.

Prymarcha Dzieci Imperatora budził lęk i podziw. Jego bladą, jakby wyrzeźbioną twarz okalały długie, białe jak u albinosa włosy. Sama jego obecność upajała i Tarvitz poczuł, że wypełnia go żarliwa duma na widok tego zadziwiającego, cudownego wojownika. Fulgrim został stworzony jako odzwierciedlenie jednego z aspektów wojny: jego domeną było dążenie do perfekcji poprzez bitewny zgiełk i przykładał się do tego tak, jak imagista dąży do perfekcji w wykonywaniu swoich obrazów. Jeden z naramienników jego złotej zbroi został uformowany w rozpostarte orle skrzydło, symbol Dzieci Imperatora, a symbolika ta jasno wyrażała dumę Legionu.

Orzeł był osobistym znakiem Imperatora, który dał Dzieciom Imperatora wyłączne prawo do jego noszenia, symbolicznie namaszczając w ten sposób wojowników Fulgrima na swój ulubiony Legion. Fulgrim nosił na biodrze miecz o złoczonej rękojeści – podobno dar od samego Mistrza Wojny i znak łączącej ich braterskiej więzi.

Obok Prymarchy szli oficerowie z jego najbliższego kręgu: Lord Komandor Eidolon, konsyliarz Fabiusz, kapelan Charmosian i ogromny drednot – Pradawny Rylanor. Nawet tacy bohaterowie jawili się karłami w

porównaniu ze wzrostem Fulgrima i bijącą od niego charyzmą.

Przed Prymarchą ustawił się szereg heroldów, wybranych spośród młodych nowicjuszy, którzy wkrótce mieli zakończyć szkolenie Dzieci Imperatora. Fanfary złotych trąb obwieściły przybycie najdoskonalszego wojownika w galaktyce. Zebrani Astartes odpowiedzieli gromkim aplauzem, witając swojego Prymarchę z powrotem na łonie Legionu.

Fulgrim zaczekał, aż wiwaty ucichną. Tarvitz najbardziej ze wszystkiego pragnął być taki jak ta wspaniała, złocista postać przed nimi, choć wiedział, że pisana jest mu rola oficera liniowego i nic więcej. Jednak sama obecność Fulgrima napawała go wiarą, że mógłby być o wiele lepszy, gdyby dano mu szansę. Prymarcha popatrzył na zebranych wojowników z wyraźną dumą. Z błyskiem w ciemnych oczach pozdrowił ich wszystkich.

– Moi bracia – zawołał głosem melodyjnym i złocistym – dziś pokazaliście przekłętym zielonoskórym, co to znaczy stawić czoła Dzieciom Imperatora!

Po ładowni przetoczył się kolejny ryk aplauzu, ale Fulgrim nie przerwał; jego głos bez trudu przebijał się przez krzyki wojowników.

– Komandor Eidolon wykuł z was broń, której zielonoskórzy nie mogli sprostać. Perfekcja, siła, determinacja: te właśnie cechy stanowią o potęgę tego Legionu, a wy wszyscy je dziś pokazaliście. Ta stacja orbitalna znów znajduje się w rękach Imperium, podobnie jak inne, które zielonoskórzy zajęli w daremnej nadziei powstrzymania naszej inwazji. Teraz czas ich wygnieść i wyzwolić układ Callinedes. Mój brat Ferrus Manus, Prymarcha Żelaznych Dłoni, i ja dopilnujemy, by ani jeden ksenos nie postawił stopy na ziemi zajętej w imię Krucjaty.

W powietrzu dało się wyczuć napięcie. Legion czekał na rozkaz, który pośle ich w bój ramię w ramię z Prymarchą.

– Jednak większości z was, moi bracia, tu wtedy nie będzie – kontynuował Fulgrim. Miażdżący zawód, który poczuł Tarvitz, był prawie namacalny. – Legion zostanie podzielony. – Fulgrim uniósł ręce, by uciszyć jęki i lamenty, które wywołały jego słowa. – Ja sam poprowadzę niewielki kontyngent, który dołączy do Ferrusa Manusa i jego Żelaznych Dłoni na Callinedesie IV. Reszta Astartes poleci na spotkanie Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji Mistrza Wojny w systemie Isstvan. Oto rozkazy Horusa i waszego Prymarchy. Lord Komandor Eidolon poprowadzi was i będzie wami dowodził w moim imieniu, dopóki znów się nie połączymy.

Tarvitz zerknął na Lucjusza, ale nie potrafił odczytać z jego twarzy

reakcji na nowe rozkazy. Czuł w sobie sprzeczne emocje: bolesne uczucie straty, spowodowane kolejną rozłąką z Prymarchą, i jednocześnie gorliwą niecierpliwość na myśl o walce ramię w ramię z towarzyszami z Synów Horusa.

– Komandorze, jeśli można – powiedział Fulgrim i gestem kazał Eidolonowi wystąpić.

Dowódca kiwnął głową.

– Mistrz Wojny po raz kolejny wezwał nas, byśmy wspomogli jego Legion w boju. Zna nasze umiejętności, a my jesteśmy wdzięczni za możliwość pokazania naszej doskonałości. Mamy ujarzmić bunt w systemie Isstvan, ale nie będziemy walczyć sami. Oprócz naszego Legionu Horus uznał za stosowne wysłać tam również Gwardię Śmierci i Pożeraczy Świątów.

Na wzmiankę o tak okrutnych Legionach w ładowni rozległ się stłumiony szmer.

Eidolon się zaśmiał.

– Widzę, że niektórzy z was pamiętają walkę u boku naszych braci. Wszyscy wiemy, jak ponurą i niewdzięczną staje się wojna przez nich prowadzona, dlatego uważam, że to doskonała okazja, by pokazać Mistrzowi Wojny, jak walczą wybrańcy Imperatora.

Legion znów wzniosł okrzyk. Dzieci Imperatora korzystały z każdej szansy zaprezentowania swojego kunsztu i umiejętności, zwłaszcza innym Legionom. Fulgrim uczynił z dumy cnotę, która pchała każdego z jego wojowników na wyżyny doskonałości niedostępne dla innych.

Torgaddon nazywał to arogancją; na Rzeźni Tarvitz próbował go przekonać, że tak nie jest, ale słysząc chełpliwe okrzyki Dzieci Imperatora dookoła, stracił pewność, czy jego przyjaciel faktycznie się mylił.

– Mistrz Wojny zażądał, byśmy stawili się niezwłocznie – krzyknął Eidolon przez zgiełk. – Choć Isstvan nie leży daleko, warunki w osnowie bardzo się pogorszyły, dlatego musimy się spieszyć. Krążownik uderzeniowy „Androniusz” wyrusza za cztery godziny. Kiedy dotrzemy na miejsce, będziemy ambasadorami naszego Legionu, a zanim bitwa się skończy, Horus zobaczy, jak prowadzi się wojnę w jej najwspanialszej odsłonie.

Eidolon zasalutował, a Fulgrim, nasyciwszy się aplauzem, odwrócił i odszedł.

Tarvitz był oszołomiony. Wystawienie takich sił Astartes było czymś rzadkim; wróg, którego mieli napotkać na Isstwanie, musiał być rzeczywiście

potężny. Nawet dreszczyk podniecenia na myśl o szansie udowodnienia swoich umiejętności przed Mistrzem Wojny zmalął, przytłoczony nagłym dręczącym niepokojem.

– Cztery Legiony? – spytał Lucjusz, powtarzając jak echo myśli Saula, kiedy drużyny rozeszły się przygotować do podróży. – Na jeden układ? To absurd!

– Ostrożnie, Lucjuszu, balansujesz na krawędzi arogancji – wytknął mu Tarvitz. – Kwestionujesz decyzję Mistrza Wojny?

– Nie kwestionuję – odparł szermierz obronnym tonem – ale sam przyznasz, że to jak rozgniatanie orzecha młotem.

– Być może – ustąpił Saul. – Jednak skoro układ Isstvan się zbuntował, oznacza to, że kiedyś musiał być lojalny.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, Lucjuszu, że Krucjata miała w zamyśle przeciw cały czas do przodu, na zewnątrz, podbijać galaktykę w imię Imperatora. Tymczasem co i rusz zawraca, żeby łątać pęknięcia. Mogę się tylko domyślać, że Mistrz Wojny chce wykonać jakiś dobitny gest, żeby pokazać wrogom, co oznacza bunt.

– Niewdzięczni dranie – warknął Lucjusz. – Kiedy skończymy z Isstvanem, będą błagać, żeby ich przyjąć z powrotem!

– Nie sądzę, żeby po przejściu czterech Legionów zostało wielu Isstvanów, których moglibyśmy przyjąć.

– Daj spokój, Saul – rzucił Lucjusz i poszedł przodem. – Zielonoskórzy odebrali ci apetyt na bitwę?

Apetyt na bitwę? Tarvitz nigdy tak o tym nie myślał. Zawsze walczył, bo chciał być czymś więcej, niż był, dążyć do perfekcji we wszystkim. Dłużej, niż sam pamiętał, starał się z całych sił naśladować wojowników, którzy byli bardziej uzdolnieni i wartościowi niż on. Znał swoje miejsce w Legionie – ale też znać swoje miejsce było pierwszym krokiem do tego, by je zmienić.

Patrząc na arogancko rozkołysany krok Lucjusza, przypomniał sobie, jak uwielbia on walkę. Lucjusz kochał ją bez wstydu i przeprosin, a taniec wśród wrogów i wycinanie w nich krwawego szlaku swoim błyskającym mieczem uważał za najlepszy sposób wyrażania samego siebie.

– Martwi mnie to po prostu – powiedział Tarvitz.

– Co takiego? – spytał Lucjusz, odwracając się do niego. Saul dostrzegł na twarzy szermierza pospiesznie ukryte zniecierpliwienie. Ostatnio widywał

je na poznanym bliznami obliczu Lucjusza coraz częściej i smuciło go, że wybujałe ego i ambicja, by awansować w szeregach Dzieci Imperatora, doprowadzą do rozpadu ich przyjaźni.

– To, że Krucjata w ogóle musi się naprawiać. Kiedyś na doprowadzeniu do uległości się kończyło. Teraz już nie.

– Nie martw się – pocieszył go Lucjusz z uśmiechem. – Kiedy wyrzniemy parę tych zbuntowanych światów, wszystko to się skończy i Krucjata ruszy dalej.

Zbuntowane światy... Kto by pomyślał, że kiedyś usłyszy takie określenie?

Tarvitz w milczeniu pomyślał o liczbie Astartes, którzy zbiorą się w układzie Isstvan. Na stacji orbitalnej DS191 walczyły ich setki, ale Legion składał się z ponad dziesięciu tysięcy Dzieci Imperatora. Większość z nich miała się udać na Isstvana III. Sama ta liczba wystarczyła na kilka wojen. Myśl o czterech Legionach wysłanych do walki sprawiała, że po plecach przeszły mu ciarki.

Co zostanie z układu, kiedy przemaszerują przez niego cztery Legiony Astartes? Czy jakkolwiek rebelia może to usprawiedliwić?

– Zależy mi tylko na zwycięstwie – powiedział Tarvitz. Słowa te zabrzmiały pusto nawet w jego własnych uszach.

Lucjusz się zaśmiał, ale Saul nie umiał powiedzieć, czy było to potwierdzenie, czy kpina.

\* \* \*

Zamknięcie w kwaterze było dla Kyrila Sindermana najgorszą torturą. Bez książek z Archiwum Trzeciego, do których przeglądania przywykł, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Jego własna biblioteka, choć według zwykłych miar imponująca, wyglądała mizernie w porównaniu ze skarbami, które uległy zniszczeniu w pożarze.

Ile bezcennych, niezastąpionych tomów unicestwiło przejście bestii z osnowy, którą on i Euphrati wywołali z kart *Księgi Lorgara*?

Nie mógł o tym myśleć; zastanawiał się, jak potępią ich przyszłe pokolenia za tę straconą wiedzę. Już zapełnił tysiące stron zapamiętanymi fragmentami książek, które czytał. Większość z nich była jednak niepełna i nie miała kontekstu. Wiedział, że próba przypomnienia sobie wszystkiego, co przeczytał, była skazana na porażkę, ale nie mógł się poddać, tak samo jak nie potrafiłby zatrzymać bicia swojego serca.

Jego darem dla potomnych i wkładem w Krucjatę było gromadzenie

mądrości największych myślicieli i wojowników galaktyki. Kto wie jakie zawrotne wyzyny oświecenia mogłoby osiągnąć Imperium, mogąc się wesprzeć na szerokich barach tej wiedzy.

Jego pióro szeleściło na papierze, utrwalając filozofie helleńskich pisarzy i ich wczesne dyskusje o naturze boskości. Bez wątpienia wielu uznałoby za bezcelowe przepisywanie prac ludzi nieżyjących od tak dawna, ale Sindermann wiedział, że ci, którzy lekceważą przeszłość, są skazani na jej powtarzanie.

Tekst, który zapisywał, mówił o niepoznawalności fałszywych bóstw, a Sindermann wiedział, że podobne tajemnice zdarzają się częściej, niż chciałby przyznać. To, co widział i czytał od czasu zejść na Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście, nadwerężyło jego sceptycyzm do tego stopnia, że nie mógł już dłużej wypierać się prawdy o tym, co widział na własne oczy i co Euphrati Keeler próbowała pokazać im wszystkim.

*Bogowie istnieli, a w przypadku Imperatora kroczyli między śmiertelnikami...*

Przerwał na chwilę; znaczenie tej sentencji otuliło go jak przyjemny koc. Ciepło i spokój, jaki dało mu to proste stwierdzenie, były jak panaceum na wszystkie dolegliwości, które nękały go przez ostatni rok.

Uśmiechnął się, a jego pióro szeleściło po karcie przed nim bez udziału świadomych myśli.

Nagle zdał sobie sprawę, że faktycznie porusza się ono samo. Spojrzał na to, co pisało.

*Ona cię potrzebuje.*

Ogarnął go zimny strach, ale zanim zdążył przemienić się w panikę, Sindermann poczuł, że wypełnia go kojąca miłość i zaufanie. W głowie zawitały mu nieproszone obrazy: Mistrz Wojny silny i potężny w swojej nowo wykutej zbroi z czarnych płyt, bursztynowe Oko płonące jak węgle w hutniczym piecu. Z rękawic wysunęły się szpony, spod kołnierza napierśnika promieniowała złowroga, czerwona poświata, oświetlając twarz Prymarchy upiornym, demonicznym blaskiem.

– Nie... – szepnął.

Ta straszna wizja napełniła go wielką, niewypowiedzianą grozą, ale zaraz została zastąpiona obrazem Euphrati Keeler leżącej nieruchomo na swoim łóżku na pokładzie medycznym. Jej widok odegnał przerażone myśli, a Sindermann poczuł, że miłość do tej pięknej kobiety wypełnia go niczym czyste, cudowne światło.

Uśmiechnął się w zachwycie, ale wtedy wizja pociemniała i obraz Euphrati rozdarły długie, pożółkłe szpony.

Kyril wrzasnął. Miał okropne przeczucie.

Jeszcze raz spojrzął na słowa na kartce, zdumiony ich rozpaczliwą prostotą.

*Ona cię potrzebuje.*

Ktoś wysyłał mu wiadomość. Święta była w niebezpieczeństwie.

\* \* \*

Koordinacja sił Legionu – Astartes, okrętów, sztabu i towarzyszących im jednostek Armii Imperialnej – była zadaniem herkulesowym. Koordinacja przybycia czterech Legionów w to samo miejsce i w tym samym czasie była wprost niemożliwa. Dla każdego oprócz Mistrza Wojny.

„Mściwy Duch”, o długim, płaskim niczym grot włóczni dziobie, wychynął z osnowy w kalejdoskopowym, ognistym rozbłysku. Błyskawice orały jego burty, potężne pola ochronne wzięły na siebie całą siłę translacji. W międzygwiazdnej oddali migotała najbliższa gwiazda układu Isstvan, zimna i jasna na tle czerni. Nad dziobem okrętu widniało Oko Horusa. Po zwycięstwie nad Technokracją cały statek został przemalowany; kościaną biel Wilków Luny zastąpiono metaliczną szarą zielenią Synów Horusa.

Po chwili z osnowy wyszedł drugi okręt, wdarł się w przestrzeń z okrutnym pragmatyzmem swojego Legionu. Podczas gdy „Mściwy Duch” miał w sobie pewien zabójczy wdzięk, nowo przybyły statek był kanciasty i brzydki, z kadłubem w barwie metalicznej szarości i spiżową czaszką na dziobie jako jedyną ozdobą. Był to „Niezlomny”, okręt flagowy Gwardii Śmierci. W ślad za nim pojawiła się flotylla mniejszych krążowników i eskortowców. Wszystkie były tak samo szare i proste, bo nic, co należało do Legionu Mortariona, nie nosiło więcej ozdób, niż było to konieczne.

Kilka godzin później z osnowy wyszła potężna, agresywna sylwetka „Zdobycy”. Połyskujący bielą i błękitem Pożeraczy Światów statek był okrętem flagowym Angrona, a proste, wyzywające kontury jego kadłuba odzwierciedlały legendarną zajadłość tego Prymarchy.

W końcu do rosnącej grupy uderzeniowej nad Isstvanem dołączył „Androniusz” na czele floty Dzieci Imperatora. Okręt, majestatyczny w fiolecie i złocie, przypominał raczej latający pałac niż jednostkę wojenną. Jego wygląd był jednak zwodniczy – na pokładach działowych jeżyły się lufy broni obsługiwanej przez dobrze przeszkolonych żołnierzy, którzy żyli i umierali tylko po to, by służyć Legionowi Fulgrima. „Androniusz”, mimo

całej swojej zdobności, był zabójczym, sprawnym narzędziem wojny.

Wielka Krucjata rzadko widywała zebraną w jednym miejscu flotę o takiej potędze.

Aż do teraz jedynie Imperator przewodził podobnym siłom, ale znajdował się on obecnie na dalekiej Terze, a te Legiony odpowiadały tylko przed Mistrzem Wojny.

I tak oto cztery Legiony zebrały się i zwróciły oczy ku systemowi Isstvan.

\* \* \*

Syreny obwieszczające wyjście „Mściwego Ducha” z osnowy były dla Kyrila Sindermana wyczekiwany sygnałem do działania. Otarłszy czoło już przepoconą chustką, wstał i ruszył do drzwi swojej kwatery.

Iterator wziął głęboki oddech i uchylił je. Napotkał wrogie spojrzenia dwóch żołnierzy w wykrochmalonych, pozbawionych insygniów mundurach.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał wysoki mężczyzna o chłodnym, nieprzyjaznym wyrazie twarzy.

– Owszem – odparł Sindermann, starannie modulując głos tak, by wyrażał sympatię i brak wrogości. – Muszę się dostać na pokład medyczny.

– Nie wyglądasz na chorego – powiedział drugi wartownik.

Sindermann się zaśmiał i dotknął jego ramienia gestem dobrotliwego dziadka.

– Nie, nie chodzi o mnie, chłopcze, ale o moją przyjaciółkę. Jest poważnie chora i obiecałem jej, że będę do niej zaglądał.

– Przykro mi – powiedział pierwszy wartownik. Jego ton sugerował, że wcale nie jest mu przykro. – Dostaliśmy od Astartes rozkaz, by nie wypuszczać nikogo umieszczonego na tym pokładzie.

– Rozumiem, rozumiem – westchnął Sindermann i pozwolił, by z kącika oka spłynęła mu łza. – Nie chcę robić trudności, chłopcy, ale moja przyjaciółka, widzicie, ona jest dla mnie jak córka. Jest mi bardzo droga i wyświadczylibyście staremu człowiekowi naprawdę wielką przysługę, gdybyście pozwolili mi ją zobaczyć.

– Nie sądzę, proszę pana, żeby to było możliwe – powiedział wartownik, ale Sindermann już wyczuwał, że tamten mięknie, i przycisnął mocniej.

– Ona... jej... nie zostało jej wiele czasu, a sam Maloghurst powiedział mi, że będę mógł ją zobaczyć, zanim... zanim nadejdzie koniec.

Użycie imienia Maloghursta było ryzykownym, ale wyrachowanym



zagraniam. Prawdopodobieństwo, że ci żołnierze pozostawali w stałym kontakcie z adiutantem Mistrza Wojny, było niezmiernie małe, ale gdyby postanowili go sprawdzić, zostałby zdemaskowany.

Sindermann używał cichego, delikatnego tonu, grał rolę starszego pana, wykorzystywał wszystkie sztuczki, których nauczył się jako iterator – precyzyjnie dobrał tembr głosu, podkreślał swoją wątlą posturę, patrzył żołnierzom w oczy i starał się wzbudzić w nich współczucie.

– Masz dzieci, chłopcze? – spytał i chwycił wartownika za ramię.

– Tak, mam.

– W takim razie rozumiesz, czemu muszę ją zobaczyć – nalegał Sindermann, ryzykując bliższy kontakt i mając nadzieję, że właściwie ocenił tych ludzi.

– Idziesz tylko na pokład medyczny? – spytał żołnierz.

– Nigdzie indziej – obiecał iterator. – Potrzebuję tylko chwili czasu, żeby się z nią pożegnać. To wszystko. Proszę...

Wartownicy wymienili spojrzenia, a Sindermann z trudem ukrył uśmiech. Już wiedział, że mu się udało. Pierwszy żołnierz kiwnął głową i obaj strażnicy odsunęli się na bok, przepuszczając go.

– Tylko na pokład medyczny, starcze. – Wartownik wypisał szybko przepustkę, która miała umożliwić Sindermannowi dostanie się na miejsce. – Jeśli nie wrócisz do swojej kwatery za dwie godziny, osobiście cię tu przywlokę.

Sindermann kiwnął głową, wziął przepustkę i serdecznie uściśnął dłonie obu strażnikom.

– Dobrzy z was żołnierze, chłopcy – powiedział głosem ociekającym wdzięcznością. – Dobrzy żołnierze. Nie omieszkać wspomnieć Maloghurstowi o współczuciu, które okazaliście staremu człowiekowi.

Odwrócił się szybko, żeby nie zobaczyli ulgi na jego twarzy, i prędko odszedł korytarzem w kierunku pokładu medycznego. Maszerował przez kręty, dźwięczący echem labirynt statku z idiotycznym uśmiechem przyklejonym do pulchnej twarzy. Urokowi jego wymowy ulegały całe światy, a on cieszył się, że namówił dwóch prostych żołnierzów, żeby wypuścili go z pokoju.

Jak nisko upadają najwięksi.

\* \* \*

– Jeszcze jakieś wieści o Varvarusie? – spytał Loken idący obok Torgaddona przez Muzeum Podboju, w drodze na Dwór Luperkala.

Torgaddon pokręcił głową.

– Pociski za bardzo się rozprysły. Konsyliarz Vaddon nie dopasowałby ich, nawet gdybyśmy znaleźli broń, z której je wystrzelono. To był ktoś z naszych, ale więcej się nie dowiemy.

Muzeum pełne było artefaktów zdobytych podczas licznych zwycięstw Legionu, Wilki Luny bowiem zmusiły do uległości wiele światów. Olbrzymi posąg pod jedną ze ścian upamiętniał dni, kiedy Imperator i Horus walczyli ramię w ramię w pierwszych kampaniach Wielkiej Krucjaty. Imperator z mieczem w dłoni odpędzał smukłych, zamaskowanych obcych, a Horus, stojąc plecami do ojca, strzelał z boltera. Za posągiem Loken zobaczył gablotę owadzych odnóży zakończonych ostrzami z metalu i tkanki organicznej, zdobytych na megarachnidach z Rzeźni.

Tylko niektóre z tych trofeów zostały pozyskane po tym, jak Horus został mianowany Mistrzem Wojny – większość zdobyto, zanim Wilki Luny zostały przemianowane na Synów Horusa w hołdzie dla osiągnięć Prymarchy.

– Następni są upamiętniacze – powiedział Loken. – Zadają za dużo pytań. Być może niektórzy już zostali zamordowani.

– Kto?

– Ignace i Petronella Vivar.

– Karkasy – powiedział Torgaddon. – Niech to szlag. Słyszałem, że się zabił, ale powinienem był się domyślić, że zdołają to tak upozorować. W loży mówiło się, żeby go uciszyć, powtarzał to zwłaszcza Abaddon. Nie nazywali tego morderstwem, a Abaddon zdawał się uważać, że to to samo, co zabicie wroga na wojnie. Wtedy właśnie z nimi zerwałem.

– Mówili, jak chcą to zrobić?

Torgaddon pokręcił głową.

– Nie. Tylko że tak trzeba.

– Wkrótce wszystko to wyjdzie na jaw – przepowiedział Loken. – Loża przestała działać w sekrecie i niedługo dojdzie do konfrontacji.

– I co wtedy zrobimy?

Loken odwrócił wzrok od przyjaciela i spojrzał na wyniosły łuk przejścia prowadzącego z muzeum na Dwór Luperkala.

– Nie wiem – rzekł i machnięciem nakazał Torgaddonowi milczenie, bo zobaczył jakąś postać poruszającą się za jedną z dalszych gablot.

– Co się dzieje? – spytał Torgaddon.

– Nie jestem pewien.

Garviel ruszył między witrynami pełnymi błyszczących mieczy zdobytych w starożytnym, feudalnym królestwie i dziwnych, obcych broni odebranych licznym gatunkom, które Legion zniszczył. Postać, którą widział, była Astartes; rozpoznał na zbroi barwy Pożeraczy Światów.

Loken i Torgaddon skręcili za róg wysokiej, wyłożonej orzechem gabloty i ujrzeli pooranego bliznami wojownika, który z uwagą przyglądał się olbrzymiej glevii, wyrwanej onegdaj z rąk niehumanoidalnego pretorianina przez samego Mistrza Wojny.

– Witamy na „Mściwym Duchu” – zaczął Loken.

Pożeracz Światów oderwał spojrzenie od broni i odwrócił się do nich. Twarz miał mocno pociągłą, szlachetną i opaloną, kontrastującą z kościaną bielą i błękitem jego legionowych barw.

– Witajcie. – Przyłożył przedramię do pancernej piersi w wojskowym pozdrowieniu. – Khârn, Ósma Kompania Szturmowa Pożeraczy Światów.

– Loken z Dziesiątej – odparł Loken.

– Torgaddon z Drugiej. – Tarik skinął głową.

– Imponująco to wygląda – przyznał Khârn, rozglądając się.

– Dziękuję – odparł Loken. – Mistrz Wojny zawsze uważał, że powinniśmy pamiętać naszych wrogów. Jeśli ich zapomnimy, niczego się nie nauczymy.

Wskazał broń, którą Khârn podziwiał.

– Mamy tu gdzieś zakonserwowanego trupa istoty, która tego używała. Ma rozmiary czołgu.

– Angron też ma swoją kolekcję trofeów – przyznał Khârn. – Ale tylko po wrogach, którzy zasłużyli na pamięć.

– Nie powinniśmy pamiętać ich wszystkich?

– Nie – zdecydowanie oznajmił Pożeracz Światów. – Znajomość wroga niczego nie daje. Liczy się tylko to, że trzeba go zniszczyć. Wszystko inne jedynie odwraca uwagę od tego celu.

– Powiedziane jak na Pożeracza Światów przystało – wtrącił się Torgaddon.

Khârn podniósł wzrok znad glevii z grymasem rozbawienia na twarzy.

– Próbujesz mnie sprowokować, kapitanie Torgaddon, ale ja już wiem, co inne Legiony myślą o Pożeraczach.

– Byliśmy na Aureusie – powiedział Loken. – Jesteście rzeźnikami.

Khârn się uśmiechnął.

– Ha! Szczerłość to ostatnio rzadka rzecz, kapitanie Loken. Tak,

jesteśmy rzeźnikami i jesteśmy z tego dumni, bo jesteśmy w tym dobrzy. Mój Prymarcha nie wstydzi się tego, co robi najlepiej, więc i ja nie zamierzam.

– Rozumiem, że przybyłeś tu na naradę? – spytał Loken, pragnąc zmienić temat.

– Tak. Jestem adiutantem Prymarchy.

Torgaddon uniósł brew.

– Ciężka robota.

– Czasami – przyznał Khârn. – Angron nie przepada za dyplomacją.

– Mistrz Wojny uważa, że jest istotna.

– Tak się wydaje, ale każdy Legion działa po swojemu – zaśmiał się Khârn i klepnął Lokena w naramiennik. – Szczerłość za szczerłość: wasz Legion budzi tyle samo niechęci, co i podziwu. Strasznie się wywyższacie.

– Mistrz Wojny narzuca wysokie standardy.

– Tak samo jak Angron, zapewniam – odparł Khârn, zaskakując Lokena nutą znużenia w głosie. – Imperator wiedział, że czasami najlepszym rozwiązaniem jest pozwolić Pożeraczom Światów zrobić to, co robimy najlepiej. Mistrz Wojny też to wie, inaczej by nas tu nie było. W tobie może to budzić niesmak, kapitanie, ale gdyby nie wojownicy tacy jak my, Wielka Krucjata upadłaby już dawno temu.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak przyznać, że w tej sprawie się nie porozumiemy – stwierdził Loken. – Nie byłbym zdolny do tego, co wy.

Khârn pokręcił głową.

– Jesteś wojownikiem Astartes, kapitanie. Gdybyś musiał zabić wszystko, co żywe, żeby odnieść zwycięstwo, zrobiłbyś to. Zawsze musimy być gotowi posunąć się o krok dalej niż wróg. Każdy Legion o tym wie, Pożeracze Światów tylko mówią to otwarcie.

– Miejmy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Nie polegaj zbyt na tej nadziei. Podobno Isstvan III będzie ciężkim orzechem do zgryzienia.

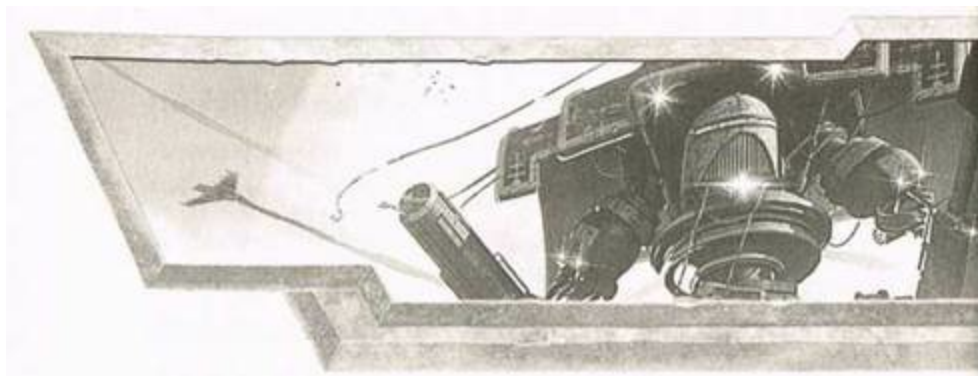
– Co o tym wiesz? – spytał Torgaddon.

Khârn wzruszył ramionami.

– Nic konkretnego, tak naprawdę tylko plotki. Ludzie mówią o jakiejś religii, wiedźmach i czarownikach, niebie zasnuwającym się czerwienią, potworach z osnowy i tak dalej. Nie żeby Synowie Horusa wierzyli w takie rzeczy.

– Galaktyka jest bardzo skomplikowana – odparł Loken, ostrożnie dobierając słowa. – Nie wiemy nawet połowy tego, co się w niej dzieje.

- Sam zaczynam tak o tym myśleć – zgodził się Khârn.
- Wszystko się zmienia – ciągnął Loken. – Galaktyka i Krucjata razem z nią.
- Tak – przytaknął Khârn z zadowoleniem. – Owszem.
- Loken chciał go zapytać, co miał na myśli, kiedy drzwi prowadzące na Dwór Luperkala otworzyły się na oścież.
- Najwyraźniej narada u Mistrza Wojny niedługo się zacznie – powiedział Khârn i ukłonił się im obu. – Czas, bym dołączył do mojego Prymarchy.
- A my do Horusa – odparł Loken. – Może spotkamy się na Isstvanie III?
- Może – kiwnął głową Khârn, zanim odwrócił się i odszedł między łupami z setki wojen. – Jeśli tylko coś tam zostanie, kiedy Pożeracze Światów z nim skończą.



## TRZY

### HORUS NA TRONIE ŚWIĘTA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE ISSTVAN III

Dwór Luperkala był nowością na „Mściwym Duchu”. Poprzednio Mistrz Wojny urządzał odprawy i zebrania doradców w strategium, uznano jednak, że powinien przyjmować ich w miejscu bardziej godnym. Zaprojektowany starannie przez Peetera Egona Momusa Dwór został zbudowany tak, by dopasować otoczenie Mistrza Wojny do jego pozycji naczelnego wodza Wielkiej Krucjaty i ukazywać go dowódcom jako pierwszego między równymi.

Na ścianach po bokach wisały sztandary, w większości należące do Kompanii ich Legionu, choć kilku Loken nie rozpoznawał. Na jednym z nich wznosił się tron z czaszek na tle spizowej wieży, która wyłaniała się z krwistoczerwonego morza; na innym ośmioramienna gwiazda lśniła na białym niebie. Znaczenie tajemniczych symboli zupełnie mu umykało, ale uznał, że reprezentują lożę wojowników, która stała się integralną częścią Legionu.

Cały ten majestat, stworzony przez naczelnego architekta, przyćmiewał sam Prymarcha Synów Horusa, zasiadający przed nimi na wielkim bazaltowym tronie. Obok niego, po jednej stronie, stali Abaddon i Aksymand, obaj w zbrojach – Abaddon w lśniącej czerni Justaerinu, Aksymand w swoim bladozielonym pancerzu.

Obaj patrzyli niechętnie na Lokena i Torgaddona. Wrogość, która zrodziła się między nimi podczas Kampanii Aurecjańskiej, nie dawała się już

ukryć. Odwzajemniając zimne spojrzenie Abaddona, Garviel poczuł wielki smutek, bo zrozumiał, że wspaniała idea Kwadry ostatecznie i nieodwołalnie umarła. Żaden z nich się nie odezwał, kiedy on i Torgaddon zajęli swoje miejsce przy drugim boku Mistrza Wojny.

W świetle odbitego w wodzie księżycy na planecie Terra razem z tymi wojownikami Loken przysięgał doradzać Mistrzowi Wojny i strzec ducha Legionu. Miał wrażenie, że to było bardzo dawno temu.

– Lokenie, Torgaddonie – przywitał ich Horus i nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, Loken poczuł dumę, że wódz zwraca się do niego tak poufale. – Waszym zadaniem jest obserwować i przypominać braciom z innych Legionów o słuszności naszej sprawy. Rozumiecie?

– Tak, panie – potwierdził Torgaddon.

– Lokenie?

Garviel kiwnął głową i zajął wyznaczone miejsce.

– Tak, Mistrzu Wojny.

Czuł, że wwierca się w niego przeszywające spojrzenie Horusa, ale twardo nie spuszczał wzroku z łuków okalających wejście do Dworu. Pod jednym z nich otworzyły się właśnie drzwi. Rozległ się odgłos kroków i z cienia wyłonił się krwistoczerwony anioł śmierci.

Loken widział już wcześniej Prymarchę Pożeraczy Światów, ale wciąż onieśmiałała go jego potworna, kolosalna prezencja. Angron wyglądał jak olbrzym; dorównywał wzrostem Mistrzowi Wojny, a przy tym był szeroki i zwalisty, z barami kojarzącymi się z jakimś gigantycznym zwierzęciem pociągowym. Twarz miał poraną bliznami i gniewną, oczy ukryte głęboko w fałdach jasnoczerwonych zbliżnowaceń. Z głowy sterczały mu prymitywne implanty mózgowy, połączone żebrowanymi kablami z kołnierzem zbroi. W swoim starożytnym pancerzu barwy spizu wyglądał jak bóstwo z jakiegoś dzikiego świata, w kolczudze, metalowych płytach pancerza i z dwoma toporami łańcuchowymi na plecach.

Loken słyszał, że Angron, zanim znalazł go Imperator, był niewolnikiem, a jego panowie siłą wszczepili mu implanty zwiększające agresję, zmieniające go w psychopatycznego mordercę do walk na arenach.

Patrząc na niego, bez trudu mógł w to uwierzyć.

Obok budzącego grozę Prymarchy szedł Khârn, jego adiutant, z miną neutralną, w przeciwieństwie do wściekłości malującej się na obliczu jego pana.

– Horusie! – powiedział Angron chropawym, gniewnym głosem. –

Widzę, że Mistrz Wojny wita swojego brata jak król. Jestem teraz twoim poddanym?

– Angronie – odparł Horus niewzruszenie – cieszę się, że mogłeś do nas dołączyć.

– Miałbym przegapić całą tę pompę? Za nic w świecie – odrzekł Angron głosem pełnym groźby, brzmiącym niczym pomruk dymiącego wulkanu.

Przez inny łuk weszła kolejna delegacja, przybrana w fiolet oraz złoto Dzieci Imperatora i prowadzona przez wystrojonego Eidolona. Obok Lorda Komandora maszerowała grupa Astartes z połyskującymi mieczami i w zbrojach równie ozdobnych, co pancerz ich dowódcy.

– Mistrzu Wojny, Lord Fulgrim przesyła pozdrowienia – oznajmił Eidolon oficjalnie i z wielką pokorą. Loken zobaczył, że Lord Komandor wyćwiczył się w sztuce dyplomacji od czasu, kiedy ostatnio rozmawiał z Horusem. – Zapewnia, że realizacja jego zadania przebiega bez przeszkód i że wkrótce do nas dołączy. Ja przemawiam w jego imieniu i w imieniu jego Legionu.

Loken wodził wzrokiem od Angrona do Eidolona, dostrzegając oczywistą antypatię między ich Legionami. Dzieci Imperatora i Pożeracze Światów nie mogli się bardziej różnić – Legion Angrona walczył i zwyciężał czystą agresją, podczas gdy Dzieci Imperatora doskonaliły sztukę precyzyjnego unieszkodliwiania sił wroga i unicestwiania ich krok po kroku.

– Lordzie Angronie – przywitał się Eidolon z ukłonem – to dla mnie zaszczyt.

Angron nie zniżył się do odpowiedzi. Loken zobaczył, że Eidolon sztywnieje na tę obelgę, ale ewentualnej konfrontacji zapobiegło pojawienie się na Dworze Luperkala ostatniej delegacji.

Za Mortarionem, Prymarchą Gwardii Śmierci, kroczył oddział Legionistów w połyskujących matowo, niemalowanych zbrojach Terminatorów. Zbroja Mortariona również nie została pomalowana, na jej jednym naramienniku widniała spiżowa czaszka Gwardii Śmierci. Błądą twarz i głowę miał bezwłosą i dziobatą, usta i gardło zasłonięte grubym kołnierzem, który przy każdym oddechu z sykiem wypuszczał strugi pary.

Obok Prymarchy maszerował kapitan Gwardii Śmierci. Loken uśmiechnął się na jego widok. Kapitan Nataniel Garro walczył u boku Synów Horsa w czasach, kiedy nazywani byli jeszcze Wilkami Luny. Urodzony na Terze, dzięki swojemu niewzruszonemu kodeksowi postępowania i



szczerości zdobył w Legionie Mistrza Wojny wielu przyjaciół.

Kapitan Gwardii Śmierci zauważył spojrzenie Garviela i pozdrowił go niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Przybył nasz brat Mortarion – odezwał się Horus. – A więc jesteśmy w komplecie.

Mistrz Wojny wstał i zszedł z podwyższenia tronowego na środek sali. Światła przygasły, a nad Prymarchą pojawiła się świetlista kula unosząca się pod sklepieniem.

– Oto Istvan III – powiedział Horus. – Oglądamy go dzięki obsługiwanym przez serwitorów kosmicznym sondom kartograficznym. Zapamiętajcie tę planetę, bo będziemy tam tworzyć historię.

\* \* \*

Jonasz Aruken przerwał pracę, rozejrzał się, czy nikt nie widzi, i wyciągnął spod bluzy munduru małą piersiówkę. W hangarze panował ruch, jak zwykle ostatnimi czasy, ale nikt nie zwracał na niego żadnej uwagi. Czasy, w których szykujący się do boju Tytan klasy Imperator zadziwiłby nawet najbardziej znudzonego lub doświadczonego żołnierza, dawno minęły; prawie wszyscy widzieli tu już kilkanaście razy potężną sylwetkę Dies Irae gotowaną do bitwy.

Pociągnął łyk z piersiówki i popatrzył na ich staruszkę.

Kadłub Tytana był pobrużdżony i powgniatany od obrażeń, których serwitorzy Mechanicum nie zdążyli jeszcze połatać. Jonasz z uczuciem poklepał go po grubym pancerzu nogi.

– No, no, staruszko – powiedział. – Widać, że swoje przeżyłaś, ale i tak cię kocham.

Uśmiechnął się na myśl o jakimkolwiek człowieku zakochanym w maszynie; ale tak naprawdę pokochałby wszystko, co uratowałoby mu życie tyle razy, co Dies Irae. Wychodzili razem z ognia niezliczonych bitew i choć Tytus Cassar temu zaprzeczał, Jonasz wiedział, że w głębi tej wspaniałej wojennej maszyny bije potężne serce i kryje się wielki duch.

Wypił jeszcze łyk i skrzywił się na myśl o Tytusie i jego przeklętych kazaniach. Cassar mówił, że czuje w sobie światło Imperatora, ale Jonasz ostatnio w ogóle niczego nie czuł.

Choć bardzo chciał uwierzyć w to, co Tytus głosił, nie potrafił odrzucić tkwiącego w nim głęboko sceptycyzmu. Uwierzyć w coś, czego nie ma, czego nie można zobaczyć ani odczuć? Tytus nazywał to wiarą, ale Jonasz był człowiekiem, który wierzył w to, co realne, czego można dotknąć i

doświadczyć.

Gdyby princeps Turnet się dowiedział, że Jonasz chodził na spotkania modlitewne na Davinie, wyrzuciłby go z załogi Dies Irae. Myśl o spędzeniu reszty Krucjaty jako szeregową siłą roboczą, na zawsze już pozbawioną dreszczu dowodzenia najdoskonalszą machiną wojenną, jaką zrodziły kuźnie Marsa, sprawiła, że po plecach przeszły mu ciarki.

Co kilka dni Tytus zapraszał go na następne spotkanie, a kiedy Jonasz się godził, ostrożnie przekradali się w jakiś zapomniany zakątek okrętu posłuchać czytania Lectio Divinitatus. Za każdym razem w drodze powrotnej pocił się ze strachu przed zdemaskowaniem i sądem polowym, przed którym niechybnie by stanął.

Jonasz miał mocne postanowienie zrobić karierę w załodze Tytana, odkąd tylko postawił stopę w kokpicie swojego pierwszego przydziału, Tytana klasy Warhound o nazwie Venator, i wiedział, że gdyby przyszło mu wybierać, bez wahania przedłożyłby Dies Irae nad Lectio Divinitatus.

Mimo to nie dawała mu spokoju myśl, że Tytus może mieć rację. Oparł się plecami o nogę Tytana i osunął po niej, aż kucnął z kolanami przy piersi.

– Wiara – szepnął. – Nie można jej zdobyć ani kupić. To gdzie mam ją znaleźć?

– Cóż – powiedział z góry głos za nim – na początek możesz odłożyć tę flaszkę i pójść ze mną.

Jonasz podniósł wzrok i zobaczył Tytusa Cassara, jak zwykle we wspaniałym galowym mundurze, stojącego w łukowatym wejściu do nożnych bastionów Tytana.

– Tytus – powiedział i szybko schował piersiówkę pod bluzę. – Co się dzieje?

– Musimy iść – odparł Cassar z naciskiem. – Święta jest w niebezpieczeństwie.

\* \* \*

Maggard szybkim krokiem szedł po cienistych korytarzach „Mściwego Ducha”, tempem kogoś, kto spieszy się na długo wyczekiwane spotkanie. Jego zwalista sylwetka w ciągu ostatnich miesięcy rozrastała się miarowo, jakby dotknęła go jakaś chorobliwa postać gwałtownego gigantyzmu.

Ale procedury, którym konsyliarze Mistrza Wojny poddali jego ciało, nie miały nic wspólnego z chorobą. Maggard się zmieniał, rósł i przekształcał bardziej niż na skutek wszystkich dotychczasowych prymitywnych operacji rodu Carpinus. Czuł, że nowe narządy w jego wnętrzu zmieniają ciało i kości

w coś potężniejszego, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał – a to był dopiero początek.

Kirliańskie ostrze niósł w rękę; w półmroku korytarza migotało dziwną poświatą. Miał na sobie świeże, białe szaty – przez rozrost tkanek nie mieścił się już w zbroję. Zbrojmistrze Legionu byli gotowi przerobić ją, kiedy jego ciało przybierze już ostateczny kształt. Brakowało mu tego poczucia bezpieczeństwa, które dawał pancerz.

Tak samo jak on sam, zbroja miała narodzić się na nowo, przekuta w coś godnego Mistrza Wojny i jego wybrańców. Maggard wiedział, że nie jest jeszcze gotowy na takie wyróżnienie, ale już wywalczył sobie miejsce wśród Synów Horusa. Chodził tam, gdzie Astartes nie mogli, działał tam, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć, i rozlewał krew w miejscach, w których oni musieli być postrzegani jako rozjemcy.

Trzeba było odpowiedniego człowieka do wykonania takich zadań skutecznie i bez wyrzutów sumienia, a Maggard do swojej nowej roli pasował idealnie. Zabił setki ludzi na zlecenie rodu Carpinus, a jeszcze więcej wcześniej, zanim został schwytany, ale tamto to były nędzne, brudne zabójstwa w porównaniu ze śmiercią, którą niósł teraz.

Przypomniawszy sobie, co czuł, kiedy Maloghurst zlecił mu zabicie Ignace Karkasego. Jakby rodził się na nowo.

Maggard wetknął poecie lufę pistoletu pod dygoczącą brodę i rozsmarował jego mózg na suficie ciasnego pokoiku, a potem pozwolił, by tłuste cielsko zwały się na podłogę zasłaną zakrwawionymi papierami.

Maggarda nie obchodziło, dlaczego Maloghurst zlecił to zabójstwo. Adiutant Mistrza Wojny przemawiał głosem Horusa, a Maggard na polu bitwy na Davinie zaprzysiągł Horusowi lojalność i zaoferował mu swój miecz.

Później – czy to w ramach nagrody, czy realizując część własnych planów – Mistrz Wojny zabił jego byłą panią, Petronellę Vivar, i już za samo to Maggard był dozgonnym dłużnikiem Prymarchy.

Czegokolwiek by Horus nie zapragnął, Maggard by tego dokonał, nawet gdyby musiał poruszyć niebo i ziemię.

Teraz rozkazano mu zrobić coś cudownego.

Teraz miał zabić świętą.

\* \* \*

Sindermann nerwowo stukał się środkowym palcem w brodę i usiłował wyglądać, jakby jego obecność w tej części statku nie była niczym dziwnym.

Czekał na współników w swoim przedsięwzięciu. Mijali go członkowie załogi w pomarańczowych kombinezonach i oficerowie artylerii pokładowej w żółtych kurtkach. W rękę mocno ścisnął przepustkę, którą dostał od wartownika, jakby to był jakiś talizman, który ochroni go, gdy zostanie zaczepiony.

– No dalej, dalej – szepnął. – Gdzie jesteście?

Skontaktowanie się z Tytusem Cassarem było ryzykowne, ale nie znał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić. Mersadie nie wierzyła w Lectitio Divinitatus. Prawdę mówiąc, on sam nie był przekonany, czy wierzy, wiedział jednak, że ktoś lub coś, co zesłało mu wizję Euphrati Keeler, chciało, żeby zaczął działać. Pomoc Garviela Lokena podobnie nie wchodziła w grę, było bowiem pewne, że jego aktywność została zauważona.

– Iteratorze – syknął za nim jakiś głos. Sindermann omal nie krzyknął z zaskoczenia. Obok niego stał zatroskany Tytus Cassar, za nim zaś jakiś mężczyzna w granatowym mundurze załogi Tytana.

– Tytusie – sapnął Sindermann z ulgą – nie wiedziałem, czy dasz radę przyjść.

– Nie mamy dużo czasu, zanim princeps Turnet zorientuje się, że nie ma nas na stanowiskach, ale twoja wiadomość mówiła, że świętej grozi jakieś niebezpieczeństwo.

– Tak – potwierdził Kyril. – Śmiertelne.

– Skąd wiesz? – spytał drugi z mężczyzn.

Cassar z irytacją zmarszczył brwi.

– Przepraszam, Kyrilu, to Jonasz Aruken, mój kolega z Dies Irae. Jest jednym z nas.

– Po prostu wiem – odpowiedział Sindermann. – Widziałem... sam nie wiem... miałem wizję Euphrati leżącej na łóżku i po prostu wiem, że ktoś chce ją skrzywdzić.

– Wizję – szepnął Cassar. – Zaprawdę, jesteś jednym z wybrańców Imperatora.

– Nie, nie – syknął Sindermann. – Wcale nie jestem. A teraz chodźcie, nie mamy czasu. Musimy iść.

– Dokąd? – spytał Aruken.

– Na pokład medyczny – odparł iterator, pokazując przepustkę. – Musimy się dostać na pokład medyczny.

\* \* \*

Na powierzchni migotliwej kuli ponad Horusem ukazały się

kontynenty i oceany, na nie zaś nałożono kontury obiektów geofizycznych: równin, lasów, mórz, łańcuchów górskich i miast.

Prymarcha podniósł ręce, jakby podtrzymywał kulę od spodu na wzór jakiegoś tytana ze starożytnych mitów dawnej Ziemi.

– Oto Isstvan III – powtórzył. – Świat podbity trzynaście lat temu przez Dwudziestą Siódmą Ekspedycję dowodzoną przez naszego brata Coraxa.

– Ale nie dokończył roboty? – prychnął Angron.

Horus rzucił mu groźne spojrzenie.

– Napotkał pewien opór, owszem, ale ostatnie grupy agresywnej frakcji zostały zniszczone przez Kruczą Straż w dolinie Redarth.

Na globie rozbłysło czerwienią miejsce bitwy, punkt w łańcuchu gór na jednym z północnych kontynentów planety.

– Rada Terry nie obarczyła nas jeszcze wtedy upamiętniaczami, ale na planecie pozostawiono duży cywilny kontyngent, mający rozpocząć szerzenie Imperialnej Prawdy.

– Mamy rozumieć, że Prawda się nie przyjęła? – spytał Eidolon.

– Mortarionie? – zachęcił Horus, dając znak swojemu bratu Prymarsze.

– Cztery miesiące temu Gwardia Śmierci otrzymała z Isstvana III komunikat alarmowy – zaczął Mortarion. – Był słaby i stary. Odebraliśmy go tylko dlatego, że jeden z naszych statków zaopatrzeniowych, lecących na spotkanie z flotą nad Arcturanem, opuścił osnowę, żeby dokonać napraw. Zważywszy na charakterystykę sygnału i szacowany czas, w jakim mógłby dotrzeć do mojego sztabu, zakładamy, że został wysłany przynajmniej dwa lata temu.

– Co mówiła wiadomość? – spytał Angron.

W odpowiedzi hologram planety rozwinął się w dużą płaszczyznę, przypominającą unoszący się w powietrzu ekran piktera, czarny, ledwie z sugestią niewyraźnych ruchów. Na ekranie drgnął jakiś kształt i Loken uświadomił sobie, że to twarz – twarz kobiety, oświetlona na pomarańczowo płomykiem świecy, będącej jedynym źródłem światła. Kobieta siedziała w małym pokoiku o kamiennych ścianach. Mimo kiepskiej jakości sygnału Loken widział, że była przerażona – miała szeroko otwarte oczy, oddychała szybko i płytko. Jej twarz błyszczała od potu.

– Insygnia na kołnierzu – powiedział Torgaddon. – Jest z Dwudziestej Siódmej Ekspedycji.

Kobieta przełączyła coś na urządzeniu, którym nagrywała wiadomość, i na Dworze Luperkala rozległ się jej głos na tle trzasku płomieni, krzyków w

oddali i wystrzałów.

– To rewolucja – odezwała się głosem zniekształconym przez zakłócenia. – Otwarty bunt. Ci ludzie, oni... odrzucili... wszystko odrzucili. Próbowaliśmy ich integrować, myśleliśmy, że Pieśniarki to tylko jakiś prymitywny... zabobon, ale to było coś więcej, to wszystko była prawda. Praal oszalał, a Pieśniarki są z nim.

Kobieta nagle obejrzała się na coś, czego nie było widać na ekranie.

– Nie! – wrzasnęła rozpaczliwie i otworzyła ogień z broni trzymanej dotąd poza kadrem. Rozbłyśki wystrzałów ukazały ją i coś nieopisywalnego, trzepoczącego się pod przeciwległą ścianą, gdy kobieta opróżniała w tamtym kierunku magazynek.

– Są coraz bliżej. Wiedzą, że tu jestem, a... chyba jestem ostatnia.

Odwróciła się z powrotem do ekranu.

– To szaleństwo, wszystko tu poszalało. Proszę, chyba z tego nie wyjdę. Przyślijcie kogoś, kogokolwiek, po prostu... niech to się skończy...

Z ekranu buchnął odrażający, atonalny pisk. Kobieta złapała się za głowę; nieludzki odgłos zagłuszył jej wrzask. Ostatnie klatki nagrania porwały się w ciąg makabrycznych nieruchomych obrazów: krew w kącie oszalałego oka zabitej, wirująca masa strzępów ciała i potrzaskanego kamienia, rozwarte nieruchomo usta, krew na zębach.

Potem ciemność.

– Nie odebraliśmy więcej z Isstvana III żadnych wiadomości – dokończył Mortarion w zapadłej ciszy. – Astropaci planety zostali przechwyceni albo nie żyją.

– Miano Praal odnosi się do Vardusa Praala – wtrącił się Horus. – Namiestnika mającego zarządzać planetą w imieniu Imperium, zapewnić na niej uległość i zająć się demontażem tradycyjnych religijnych struktur, na których opierało się rdzenne społeczeństwo tego globu. Jeśli wziął udział w buncie na Isstwanie III, jak sugeruje to nagranie, jest jednym z naszych celów.

Lokenowi przebiegł po plecach dreszcz na myśl o ponownej konfrontacji z populacją, w której przedstawiciel Imperatora zdradził. Zerknął na Torgaddona i zobaczył, że podobieństwa do kampanii na Davinie nie uszły uwadze także jego towarzysza.

Hologram spuchł i z powrotem ukazał planetę.

– Kulturalna i religijna stolica Isstvana znajduje się tutaj – powiedział Horus, gdy projekcja pokazała w zbliżeniu jedno z miast na północy, leżące na rozległej równinie u podnóża kolosalnego łańcucha gór. – Miasto Chórów.

Oto źródło komunikatu i siedziba władzy Praala, budynek zwany Pałacem Precentora. Jednoczesne punktowe uderzenia zajmą strategiczne cele w mieście, a kiedy znajdzie się ono w naszych rękach, Isstvan też będzie nasz. Pierwsza fala natarcia będzie się składać z Astartes z wszystkich Legionów, wspartych przez Tytany Mechanicum i Armię Imperialną. Reszta planety zostanie następnie opanowana przez pierwsze posiłki armii, które powinny do nas dotrzeć nawet przy obecnym stanie osnowy.

– Czemu ich po prostu nie zbombardować? – spytał Eidolon. Nagła cisza, która zapadła po jego słowach, była ogłuszająca.

Loken czekał, aż Mistrz Wojny skarci Eidolona za kwestionowanie jego decyzji, ale Horus tylko łaskawie skinął głową.

– Bo ci ludzie to robactwo, a kiedy wygniatasz robactwo z daleka, część nieodmiennie przeżywa. Jeśli mamy zlikwidować problem, musimy pobrudzić sobie ręce i zniszczyć ich wszystkich za jednym zamachem. Nie będzie to może operacja tak elegancka, jak Dzieci Imperatora by chciały, ale dla mnie priorytetem nie jest elegancja, tylko szybkie zwycięstwo.

– Oczywiście – przytaknął Eidolon i pokręcił głową. – Pomyśleć tylko, że ci głupcy mogą być tak ślepi.

– Nie obawiaj się, Lordzie Komandorze – włączył się Abaddon, schodząc z podwyższenia i stając obok Mistrza Wojny. – Zostaną oświeceni i dostrzegą błąd w swoim postępowaniu.

Loken zaryzykował spojrzenie z ukosa na Pierwszego Kapitana, zaskoczony respektem, który usłyszał w jego głosie. Wszystkie dotychczasowe kontakty Synów Horusa z Eidolonem kazały Garvielowi wierzyć, że Abaddon gardzi aroganckim Lordem Komandorem.

Co się zmieniło?

– Mortarionie – podjął Horus – twoim celem będzie związanie głównych sił armii Miasta Chórów. Jeśli nie zmieniła się od czasu, kiedy walczyła z nimi Krucza Straż, tworzą ją zawodowi żołnierze i łatwo nie ulegną, nawet w konfrontacji z Astartes.

Hologram ukazał w zbliżeniu mapę Miasta Chórów, przyjemne dla oka skupisko najróżniejszych budynków, poczynając od wspaniałych rezydencji i bazylik, po rozległe osiedla mieszkalne i plątaninę kompleksów przemysłowych. Kunsztownie wytyczone bulwary i aleje łączyły ze sobą liczne poziomy wielomilionowego miasta, którego mieszkańcy zasiedlali wielkie dzielnice mieszkalne, warsztaty i fabryki.

Na zachodzie podświetlono przypominającą bliznę sieć okopów i

bunkrów wzdłuż obrzeży miasta. Swoim przeciwległym końcem stolica przylegała do stromych urwisk gór – naturalnej osłony, skutecznie broniącej przed konwencjonalnym atakiem lądowym.

Niestety dla Miasta Chórów, Mistrz Wojny najwyraźniej nie planował konwencjonalnego ataku lądowego.

– Umocnienia są obsadzone przez duże siły wroga – powiedział Horus.  
– Wygląda na to, że mają doskonałe fortyfikacje i artylerię. Wiele z tych umocnień zostało dodanych po ogłoszeniu uległości, żeby chronić siedzibę imperialnej władzy na Isstvanie, co oznacza, że są nasze i są mocne. Związanie walką i zniszczenie tych punktów będzie niewdzięczną robotą, do tego wciąż jeszcze sporo nie wiemy o siłach wojskowych Miasta Chórów.

– Przyjmuję to wyzwanie, Mistrzu Wojny – powiedział Mortarion. – To naturalne pole bitwy dla mojego Legionu.

Hologram przeskoczył w inne miejsce – efektowne skupisko łuków i iglic z dziesiątkami przybudówek i labiryntem dodatkowych skrzydeł, które otaczało ogromną centralną kopułę obłożoną polerowanym kamieniem. Budowla, będąca centralnym punktem miasta, wyglądała jak wpięta w nie, wysadzana klejnotami brosza.

– Pałac Precentora – powiedział Eidolon z uznaniem.

– I to twój Legion go zdobędzie – oznajmił Horus. – Razem z Pożeraczami Światów.

Loken znów zauważył, jak Eidolon zerka na Angrona, niezdolny ukryć niesmaku na myśl o walce ramię w ramię z takimi barbarzyńcami. Jeśli Angron zauważył jego pogardliwe spojrzenie, nie okazał tego.

– Pałac to jedno z najbardziej prawdopodobnych miejsc pobytu Praala – ciągnął Mistrz Wojny. – Dlatego też jest jednym z naszych najważniejszych celów. Pałac musi zostać zdobyty, władze Miasta Chórów zniszczone, a Praal zabity. To zdrajca, więc nie oczekuję ani nie chcę, żeby brać go żywcem.

Na koniec hologram przybliżył dziwną kamienną konstrukcję, znajdującą się spory kawałek na wschód od Pałacu Precentora. Dla niewprawnego oka Lokena wyglądało to jak skupisko kościelnych wież czy świątyń, narosłych jedna na drugiej przez stulecia.

– To Syreni Gród, a szturm na niego poprowadzą moi Synowie Horusa – wyjaśnił Horus. – Bunt Miasta Chórów wydaje się mieć podłoże religijne, a Syreni Gród jest duchowym sercem miasta. Według raportów Coraxa była to siedziba dawnej pogańskiej religii, którą rzekomo zlikwidowano. Zakłada się,



że zabobon ten wciąż istnieje i że jego zwierzchność znajduje się właśnie tam. Jest to też kolejne prawdopodobne miejsce pobytu Vardusa Praala, więc znów: nie oczekuję jeńców, tylko zniszczenia.

Loken po raz pierwszy zobaczył pole bitwy, na którym wkrótce miał walczyć. Syreni Gród wyglądał na trudny do zdobycia: wielkie, skomplikowane budowle tworzyły dezorientujący, wielopoziomowy labirynt z mnóstwem kryjówek. Niebezpieczny teren.

Dlatego właśnie Mistrz Wojny wysłał tam własny Legion. Wiedział, że sobie poradzą.

Hologram znów oddalił się i ukazał całą planetę.

– Celem operacji przygotowawczych będzie zniszczenie stacji monitorującej na siódmej planecie układu, Isstvanie Extremis – wyjaśniał dalej Horus. – Kiedy buntownicy staną się ślepi, rozpocznie się inwazja na Isstvana III. Oddziały wybrane do poprowadzenia ataku zostaną zrzucone kapsułami desantowymi i transporterami szturmowymi, druga fala będzie czekać w rezerwie. Myślę, że wszyscy rozumiecie, czego oczekuję od waszych Legionów.

– Mam tylko jedno pytanie, Mistrzu Wojny – powiedział Angron.

– Mów.

– Dlaczego planujemy ten atak z taką precyzją, skoro wystarczyłoby jedno zmasowane uderzenie?

– Kwestionujesz moje plany, Angronie? – spytał ostrożnie Horus.

– Oczywiście, że kwestionuję – warknął Angron. – Mamy do dyspozycji cztery Legiony, Tytany i okręty, a to tylko jedno miasto. Powinniśmy uderzyć wszystkim, co posiadamy, i wyrznąć wrogów na ulicach. Potem zobaczymy, kto jeszcze na tej planecie będzie miał odwagę się buntować. Ale nie, ty wolisz, żebyśmy zabijali ich pojedynczo i polowali na ich przywódców, jakbyśmy mieli zachować ten świat nietknięty. Bunt tkwi w ludziach, Horusie. Zabij ludzi, to położysz kres rebelii.

– Lordzie Angronie – odezwał się Eidolon tonem perswazji – zapominasz się...

– Powściągnij język w obecności lepszych od siebie – prychnął Angron. – Wiem, co wy, Dzieci Imperatora, o nas myślicie, ale mylicie się, biorąc naszą bezpośredniość za głupotę. Odezwij się do mnie jeszcze raz bez pozwolenia, a cię zabiję.

– Angronie!

Głos Horusa przeciął narastające napięcie i Prymarcha Pożeraczy

Światów odwrócił mordercze spojrzenie od Eidolona.

– Nisko cenisz życie swoich Pożeraczy – powiedział Horus. – I bezgranicznie wierzysz w swój sposób prowadzenia wojny. Ale to nie wyjmuje cię jeszcze spod mojej władzy. Jestem Mistrzem Wojny, dowódcą wszystkich i wszystkiego, co należy do Wielkiej Krucjaty. Twój Legion będzie walczył zgodnie z rozkazami, które ci wydałem. Czy to jasne?

Angron krótko skinął głową, a Horus odwrócił się do Eidolona.

– Lordzie Komandorze Eidolonie, nie jesteś tu pośród równych sobie, a twoja obecność na tej naradzie zależy od mojej dobrej woli. A ta może się bardzo szybko skończyć, jeśli będziesz się dalej zachowywał tak, jakby Fulgrim tu był i mógł cię niańczyć.

Eidolon błyskawicznie się opanował.

– Oczywiście, Mistrzu Wojny, nie było moim zamiarem okazanie braku szacunku. Dopilnuję, żeby mój Legion był przygotowany do szturm na Istvana Extremis i zdobycia Pałacu Precentora.

Horus przeniósł spojrzenie na Angrona, który chrząknął potwierdzająco.

– Pożeracze Światów będą gotowi, Mistrzu Wojny – powiedział Khârn.

– A więc ta narada jest zakończona – oznajmił Horus. – Wracajcie do swoich Legionów i szykujcie się na wojnę.

Delegacje wyszły. Khârn mówił coś cicho do Angrona, a Eidolon szedł dumnie wyprostowany, jakby chciał w ten sposób zrekompensować to, jak został złajany. Lokenowi wydawało się, że widzi błysk rozbawienia w oczach Mortariona, gdy ten wychodził z Garrem i swoimi Terminatorami.

Horus odwrócił się do Abaddona.

– Przygotujcie stormbirda, żeby przewiózł mnie na „Zdobywcę”. Angrona trzeba oświecić, jak ma właściwie wykonać to zadanie.

Mistrz Wojny odwrócił się i wyszedł z Dworu Luperkal razem z Abaddonem i Aksymandem, nie obejrząwszy się nawet na Lokena i Torgaddona.

– To było pouczające – powiedział Tarik, kiedy zostali sami.

Loken uśmiechnął się ze znużeniem.

– Czuję, jak próbujesz siłą woli zmusić Angrona, żeby uderzył Eidolona.

Torgaddon się zaśmiał, wspominając, jak on i Eidolon omal się nie pobili, kiedy spotkali się po raz pierwszy na Rzeźni.

– Gdybyśmy tylko mogli polecieć z Mistrzem Wojny na „Zdobywcę” –

powiedział. – To by było coś, co warto obejrzeć. Horus oświecający Angrona. O czym będą rozmawiali?

– Właśnie, o czym? – zgodził się Loken.

Tak wiele wciąż nie wiedział.. Dumając nad swoją niewiedzą, przypomniał sobie ostatnie słowa, które Kyril Sindermann wykrzyczał do niego, kiedy odprowadzali go żołnierze Maloghursta.

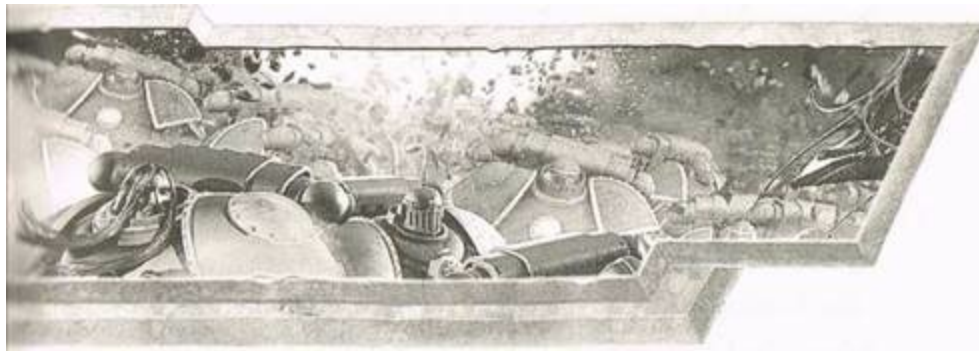
– Tariku, musimy się przygotować do bitwy, więc chcę, żebyś wszystkiego przypilnował. Na Istvanie III czeka nas ciężka przeprawa.

– Wiem – przytaknął Torgaddon. – Syreni Gród. Co za bałagan. Tak to się kończy, jak każesz ludziom wierzyć w boga.

– Poinformuj też o wszystkim Vipusa. Jeśli mamy zaatakować Syreni Gród, chcę mieć przy sobie Locastę.

– Oczywiście. – Tarik kiwnął głową. – Czasami mam wrażenie, że ty i Neron to ostatni ludzie, którym mogę jeszcze zaufać. Co ty będziesz robił?

– Mam trochę lektury do nadrobienia.



## **CZTERY**

### **OFIARA TA JEDNA CHWILA TRZEBA JĄ CHRONIĆ**

Wszędzie, gdzie Erebus szedł, podążały za nim cienie. Jego nieustannymi towarzyszami były migotliwe, szepczące istoty, niewidzialne, czające się na krawędzi pola widzenia niczym duchy w półmroku. Teraz szepczący uciekli od Erebusa i zebrali się w cienistych kątach pomieszczenia, kamiennej sali zbudowanej na wzór świątynnej komnaty w Delfos, w której Akshub poderżnęła mu onegdaj gardło.

Znajdująca się głęboko w trzewiach „Mściwego Ducha” świątynia łoży była niska, ciasna i duszna, oświetlona trzaskającym ogniem płonącym w palenisku na środku podłogi. Płomienie rzucały rozbiegane cienie na ściany.

– Panie mój – powiedział Erebus – jesteśmy gotowi.

– Doskonale – odparł Horus. – Dotarcie do tego momentu bardzo wiele nas kosztowało, Erebusie. Lepiej dla nas wszystkich, żeby to było tego warte. Ale głównie dla ciebie.

– Tak będzie, Mistrzu Wojny – zapewnił Erebus, nie zwracając uwagi na groźbę. – Nasi sprzymierzeńcy pragną w końcu przemówić do ciebie bezpośrednio.

Zgarbił się i wpatrzył w ogień. Blask płomieni odbijał się od jego wygolonej, wytatuowanej czaszki i od zbroi, przemalowanej niedawno na ciemny szkarłat, którego używał teraz Legion Głosicieli Słowa. Choć przemawiał z wielką pewnością, pozwolił sobie na chwilę zawahania. Kontakty z istotami z osnowy nigdy nie były proste, a gdyby nie spełnił oczekiwań Mistrza Wojny, mógłby się pożegnać z życiem.

Horus wypełniał swoją obecnością całą komnatę, odziany we wspaniałą, obsydianową zbroję Terminatora, dar od samego Nadkonstruktora. Pancierz, przysłany z Marsa, by przypieczętować sojusz między Horusem i marsjańskim Mechanicum, powielał barwy elitarnego Justaerinu, ale przewyższał jego zbroje zdobieniami i mocą. Z napierśnika i naramienników spoglądały bursztynowe Oczy, a jedną dłoń Horusa okrywała monstrualna rękawica ze śmiercionośnymi ostrzami zamiast palców.

Erebus wziął leżącą obok ognia księgę i wstał, nabożnie przewracając starożytny karty, aż znalazł zawity rysunek nakładających się symboli.

– Jesteśmy gotowi. Mogę zaczynać, kiedy tylko ofiara zostanie złożona.

Horus kiwnął głową.

– Adeptie, podejdź.

Chwilę później do loży wszedł zgarbiony, okryty szatą adept Regulus. Przedstawiciel Mechanicum był prawie całkowicie zmechanizowany, jak to było w zwyczaju wśród wyższych rang jego zgromadzenia. Skryte pod szatami ciało wykonane zostało z lśniącego brązu i stali. Pomiedzy okablowaniem widać było twarz, o ile można ją było tak nazwać, z wielkimi augmented soczewkami i wokabulatore, umożliwiającym mu porozumiewanie się.

Regulus prowadził eteryczną postać Ing Mae Sing, stąpającą ostrożnie i wymachującą rękami, jakby opędzała się przed rojem much.

– To bardzo niespotykane – odezwał się głosem, który brzmiał jak stalowy drut przeciągany po gołych nerwach.

– Adeptie – odparł Mistrz Wojny – jesteś tu jako przedstawiciel Mechanicum. Kapłani Marsa są bardzo ważni dla przebiegu Krucjaty i muszą stać się częścią nowego porządku. Ofiarowałeś mi już swoją siłę, a teraz przyszła pora, żebyś zobaczył cenę tej umowy.

– Mistrzu Wojny – odparł Regulus – jestem na twoje rozkazy.

Horus kiwnął głową.

– Erebusie, kontynuuj.

Kapelan wyminął Prymarchę i skierował spojrzenie na Ing Mae Sing. Choć astropatka była ślepa, wzdrygnęła się, czując jego wzrok wędrujący po jej ciele. Cofnęła się pod ścianę, próbowała uciec przed Erebussem, skulić się, ale schwycił jej ramię w miążdzący uścisk i powłókł do ognia.

– Jest potężna – powiedział. – Czuję jej smak.

– Jest najlepsza z tych, których mam – odparł Horus.

– Dlatego właśnie to musi być ona – przyznał Erebus. – Symbolika jest równie ważna, jak sama moc. Ofiara nie jest ofiarą, jeśli nie ma wartości dla ofiarodawcy.

– Nie, proszę! – krzyknęła Ing Mae Sing, wykręcając się w jego uścisku, kiedy dotarło do niej znaczenie słów Głosiciela Słowa.

Horus wystąpił do przodu i czule ujął ją za brodę, kładąc kres szamotaninie. Uniósł jej głowę tak, że patrzyłaby mu w twarz, gdyby miała oczy.

– Zdradziłaś mnie, Mistrzynie Sing – powiedział.

Ing Mae Sing zaskomlała, z jej przerażonych ust posypały się bezsensowne protesty. Próbowwała pokręcić głową, ale Horus trzymał ją mocno.

– Nie ma sensu zaprzeczać – powiedział. – Wiem o wszystkim. Po tym jak powiedziałaś mi o Euphrati Keeler, wysłałaś komuś ostrzeżenie, prawda? Powiedz mi komu, to daruję ci życie. Spróbuj oporu, a twoja śmierć będzie bardziej bolesna, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić.

– Nie – szepnęła Ing Mae Sing. – Ja już nie żyję. Zdaję sobie z tego sprawę. Więc zabij mnie i miejmy to już za sobą.

– Nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć?

– To nie ma sensu – westchnęła Sing. – Zabijesz mnie i tak. Ty może posiadasz moc ukrywania swoich kłamstw, ale twoja żmija nie.

Erebus zobaczył, że Horus powoli kiwa głową, jakby niechętnie podejmował jakąś decyzję.

– W takim razie nie mamy sobie już nic do powiedzenia – rzekł ze smutkiem i cofnął rękę w zamachu.

Szpony jego rękawicy wbiły się w pierś Ing Mae Sing, rozdarły serce i płuca i wyszły plecami w rozbryzgu krwi.

Erebus ruchem głowy wskazał płomienie. Mistrz Wojny uniósł trupa nad palenisko. Kapiąca krew astropatki zaskwierczała w ogniu.

Łożę zalały emocje jej śmierci, gorące, surowe i potężne: strach, ból, groza zdrady.

Erebus ukląkł i zaczął kreślić na podłodze wzory, kopiując je dokładnie z rysunków w księdze: ośmioramienną gwiazdę okoloną trzema okręgami, stylizowaną czaszkę i klinowe runy z Colchis.

– Już to kiedyś robiłeś – stwierdził Horus.

– Wiele razy – odparł Erebus, skinieniem głowy wskazując ogień. – Przemawiam tu głosem mojego Prymarchy, a to głos, który nasi

sprzymierzeńcy darzą respektem.

– Jeszcze nie są naszymi sprzymierzeńcami. – Horus opuścił rękę i pozwolił, by ciało Ing Mae Sing zsunęło się ze szponów rękawicy.

Erebus wzruszył ramionami i zaczął zawodzić słowa z *Księgi Lorgara*, ponurym i gardłowym głosem wzywał bóstwa osnowy, by przysłały swojego emisariusza.

Mimo blasku ognia łoża pociemniała. Kapelan poczuł spadek temperatury, zimny wiatr, który powiał z jakiegoś niewidocznego i nieznanego miejsca. Każdy jego podmuch niósł ze sobą kurz minionych wieków, ruinę imperiów i oddech wieczności.

– Czy to normalne? – spytał Regulus.

Erebus uśmiechnął się i w milczeniu kiwnął głową. Powietrze zrobiło się lodowato zimne, szepczący mamrotali w bezrozumnym strachu, wyczuwając nadejście czegoś starożytnego i straszliwego. W kątach komnaty zaległy cienie, choć nie rzucało ich żadne źródło światła; wokół ścian zawirował ostry jak uderzenie bicia złowrogi śmiech.

Regulus obrócił się z sykiem przekładni, próbując zidentyfikować źródło tych odgłosów. Jego implanty wzrokowe z mechanicznym brzęczeniem usiłowały zogniskować się na czymś w ciemności. Na wspomnikach i rurach w górze osiadł szron.

Horus stał nieporuszony, gdy cienie w komnacie zasyczały i plunęły chórem głosów dochodzących jednocześnie zewsząd i znikąd.

– *To ciebie pobratymcy nazywają Mistrzem Wojny?*

Horus spojrzał na Erebusa, który kiwnął głową.

– To ja – powiedział. – Mistrz Wojny Wielkiej Krucjaty. Z kim rozmawiam?

– *Jestem Sarr’Kell* – oznajmił głos. – *Pan Cieni!*

\* \* \*

We trzech szybko pokonywali kolejne pokłady „Mściwego Ducha”, kierując się w stronę wyłożonych płytkami korytarzy pokładu medycznego. Sindermann szedł najszybciej jak mógł, oddychał prędko i z wysiłkiem. Spieszyli się, by uratować świętą przed czekającym ją ponurym losem.

– Co spodziewasz się zastać na miejscu, iteratorze? – spytał Jonasz Aruken, nerwowo macając zapięcie kabury pistoletu.

Sindermann pomyślał o małym pokoiku, gdzie on i Mersadie Oliton czuwali nad Euphrati, i zadał sobie to samo pytanie.

– Nie wiem dokładnie – powiedział. – Wiem tylko, że musimy jej

pomóc.

– Mam nadzieję, że zniedołężniały starzec i nasze pistolety wystarczą.

– Co masz na myśli? – spytał Sindermann. Schodzili właśnie szerokimi krętymi schodami prowadzącymi w głąb statku.

– Zastanawiam się po prostu, jak zamierzasz walczyć z niebezpieczeństwem, które jest w stanie zagrozić świętej. To znaczy, to musi być coś cholernie niebezpiecznego, prawda?

Kyryl przystanął, zarówno, żeby złapać oddech, jak i odpowiedzieć Arukenowi.

– Ktokolwiek wysłał mi ostrzeżenie, najwyraźniej uważa, że mogę pomóc – powiedział.

– I to ci wystarczy?

– Jonasz, daj mu spokój – ostrzegł Tytus Cassar.

– Nie, do cholery, nie dam – odparował Aruken. – To poważna sprawa i możemy mieć wielkie kłopoty. Ta cała Keeler to podobno jakaś wielka święta, tak? To dlaczego nie uratuje się mocą Imperatora? Do czego jesteśmy jej potrzebni my?

– Imperator działa przez swoje wierne służby, Jonaszu – wyjaśnił Tytus.

– Nie wystarczy po prostu wierzyć i oczekiwać boskiej interwencji, która spadnie z nieba i wszystko naprawi. Imperator pokazał nam drogę, a naszym obowiązkiem jest skorzystać z tej szansy i spełnić jego wolę.

Sindermann przysłuchiwał się ich dyskusji. Z każdą sekundą rósł jego niepokój.

– Tylko że ja nie wiem, czy dam radę, Tytusie – powiedział Aruken. – Nie bez jakiegoś dowodu, że robimy to, co słuszne.

– Robimy, Jonaszu – przekonywał Tytus. – Musisz uwierzyć, że Imperator ma wobec ciebie plan.

– Imperator może go ma, a może nie ma, ale na pewno mam taki plan ja – warknął Aruken. – Chcę dowodzić Tytanem, a to się nie stanie, jeśli złapią nas na robieniu czegoś głupiego.

– Proszę! – przerwał im Sindermann. Tak bardzo martwił się o świętą, że aż bolało go w piersi. – Musimy iść! Zbliża się do niej coś strasznego i musimy to powstrzymać. Nie przychodzi mi do głowy żaden bardziej przekonujący argument. Przepraszam, ale będziesz musiał po prostu mi zaufać.

– Dlaczego? – spytał Aruken. – Nie dałeś mi żadnego powodu. Nawet nie wiem, czemu tu jestem.



– Posłuchaj mnie, moderati Arukenie – powiedział Sindermann z naciskiem. – Kiedy człowiek ma za sobą życie tak długie i skomplikowane jak moje, uczy się, że wszystko sprowadza się zawsze do tej jednej chwili: chwili, kiedy przekonuje się raz na zawsze, kim jest naprawdę. To jest właśnie ta chwila. Czy będziesz ją wspominał z dumą, czy raczej żałował do końca życia?

Dwaj moderati popatrzyli po sobie. Jonasz w końcu westchnął.

– Mam nie po kolei w głowie, że się zgadzam, ale w porządku, chodźmy ją uratować.

Iteratora zalała namacalna fala ulgi, a ból w jego piersi zelżał.

– Jestem z ciebie dumny, moderati Arukenie – powiedział. – I dziękuję ci gorąco za pomoc.

– Podziękuj mi, kiedy uratujemy tę twoją świętą – odparł Jonasz i ruszył w dół.

Szli schodami, mijając kilka pokładów, aż napotkali symbol przedstawiający węże oplatające skrzydlatą laskę, który wskazywał, że dotarli do pokładu medycznego. Minęło kilka tygodni, odkąd na „Mściwego Ducha” zwieziono ostatnich rannych, i sterylna, lśniąca kraina wyłożonych płytkami ścian i szafek ze szczotkowanej stali robiła wrażenie pustej, niczym labirynt bezdusznych szklanych sal i laboratoriów.

– Tędy – powiedział Sindermann, zagłębiając się w dezorientującą płataninę korytarzy. Znał drogę z niezliczonych poprzednich odwiedzin pogrążonej w śpiączce imagistki.

Cassar i Aruken podążyli za nim, wypatrując każdego, kto mógłby zakwestionować ich obecność w tym miejscu. W końcu dotarli do niczym się niewyróżniających białych drzwi.

– To tutaj – oznajmił Sindermann.

– Lepiej puść nas przodem, starcze – polecił Aruken.

Iterator kiwnął głową i cofnął się, zakrywając rękami uszy. Dwaj moderati wyjęli pistolety. Aruken przykucnął przy drzwiach i ruchem głowy dał znak Cassarowi, który wcisnął guzik otwierania.

Drzwi odsunęły się na bok i Aruken wskoczył do środka z bronią w wyciągniętych rękach.

Cassar wbiegł sekundę później, obracając się na lewo i prawo w poszukiwaniu celów. Sindermann czekał na ogłuszającą kanonadę wystrzałów.

Kiedy się nie rozległa, ośmielił się otworzyć oczy i odsłonić uszy. Nie

wiedział, czy się cieszyć, czy raczej śmiertelnie bać, bo może przyszli za późno.

Odwrócił się i zajrzał przez drzwi. Zobaczył znajomy, zadbanej pokoik, który tyle razy odwiedzał. Euphrati leżała na łóżku jak manekin, skórę miała niczym alabaster, a twarz ściągniętą i wychudłą. Dwie kroplówki podawały jej płyny, a mała, popiskująca maszyna obok wyświetlała na zielonym ekranie zygzakującą linię.

Keeler wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni.

– Dobrze, że się pospieszyliśmy – warknął Aruken. – Wygląda na to, że ledwie zdążyliśmy.

– Chyba masz rację – odparł Sindermann.

Zza zakrętu korytarza wyłonił się złotooki Maggard z obnażonym mieczem w dłoni.

\* \* \*

– *Jesteś nam znany, Mistrzu Wojny* – przemawiał Sarr’Kell. Jego głos skakał po komnacie jak kapryśny szept. – *Mówi się, że jesteś tym, który może nas wybawić. Czy to prawda?*

– Być może – odparł Horus, najwyraźniej nieporuszony niezwykłością swojego niewidzialnego rozmówcy. – *Mój brat Lorgar zapewnia, że twoi panowie mogą umożliwić mi zwycięstwo.*

– *Zwycięstwo* – szepnął Sarr’Kell. – *Słowo niemal pozbawione znaczenia w skali kosmosu, ale tak, możemy ci zaoferować wielką moc. Nie oprze ci się żadna armia, żaden śmiertelnik cię nie powali i żadna twoja zachcianka nie pozostanie niespełniona, jeśli zaprzysięgniesz nam wierność.*

– *Słowa* – prychnął Horus. – *Pokaż mi coś namacalnego.*

– *Moc* – syknął Sarr’Kell, a jego głos oplótł Mistrza Wojny jak śliski wąż. – *Osnowa daje moc. Nic nie leży poza zasięgiem bogów osnowy.*

– *Bogów?* – powtórzył Horus. – *Marnujesz czas, takie słowa nie robią na mnie wrażenia. Wiem już, że twoi „bogowie” potrzebują mojej pomocy, więc mów jasno albo nic tu po mnie.*

– *Wasz Imperator...* – zaczął Sarr’Kell, a Erebus wyczuł w jego głosie przelotną nutkę niepokoju. Były takie jak on nie przywykły do oporu śmiertelników, nawet tak potężnych jak Prymarcha. – *Dotyka spraw, których nie rozumie. Jego wielkie plany, snute na planecie, którą nazywacie Terrą, wywołują w osnowie niszczycielską burzę. Nie obchodzi nas wasz świat, wiesz o tym. Dla nas jest zgubą. Oferujemy ci moc, która pozwoli ci zająć*

*jego miejsce, Mistrzu Wojny. Z naszą pomocą zniszczysz swoich wrogów i dotrzesz pod same bramy pałacu Imperatora. Możemy ci rzucić do stóp całą galaktykę. Nas interesuje tylko jedno: żebyś położył kres jego knowaniom i zajął jego miejsce.*

Niewidzialna istota mówiła syczącym głosem, śliskim i przekonującym, ale Erebus widział, że Horus pozostaje nieporuszony.

– A cóż to za moc? Czy zdajecie sobie sprawę z ogromu tego zadania? Galaktyka zostanie podzielona, brat będzie walczył z bratem. Przy Imperatorze pozostaną jego Legiony, Armia Imperialna, Custodes, Milcząca Siostry. Możecie dorównać takiej potędze?

– *Bogowie osnowy władają pierwotnymi siłami całej rzeczywistości. To, co wasz Imperator tworzy, osnowa rozkłada i niszczy. Kiedy stanie do walki z nami, rozplyniemy się, a gdy będzie zbierał siły, uderzymy z cienia. Zwycięstwo bogów jest tak nieuniknione, jak upływ czasu i śmiertelność ciała. Czyż bowiem bogowie nie rządzą całym wszechświatem ukrytym przed twoimi oczami, Mistrzu Wojny? Czy w osnowie nie zapanował mrok na ich rozkaz?*

– Twoi bogowie to zrobili? Po co? Oślepiście moje Legiony!

– *To była konieczność, Mistrzu Wojny. Ciemność oślepia też Imperatora, ukrywa przed nim nasze i twoje plany. Imperator uważa się za pana osnowy i próbowałby szukać z jej pomocą swoich wrogów, ale zobacz, jak szybko udało się nam pokrzyżować mu szyki! Kiedy będziesz potrzebował, Mistrzu Wojny, zyskasz przejście przez osnowę, bo tak jak sprowadzamy ciemność, możemy też sprowadzić światło.*

– Imperator wciąż nie wie o wszystkim, co się wydarzyło?

– *Nie ma pojęcia – tchnął Sarr’Kell. – Oto, Mistrzu Wojny, jest moc, którą możemy cię obdarzyć. Potrzeba tylko twojego słowa i pakt zostanie zawarty.*

Horus milczał, jakby rozważał wybór, przed którym stał. Erebus wyczuwał rosnące zniecierpliwienie bytu z osnowy.

W końcu Mistrz Wojny przemówił:

– Wkrótce poszczuję swoje Legiony na planety układu Isstvan. Tam skieruję je na ścieżkę nowej Krucjaty. Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć na Isstvanie, i zajmę się nimi po swojemu.

Obejrzał się na Erebusa.

– Kiedy skończę, zaprzysięgnę swoje siły twoim panom, ale nie wcześniej. Moje Legiony przejdą przez ogień Isstvana o własnych siłach, bo

tylko wtedy zahartują się w lśniące ostrze wymierzone w serce Imperatora.

Sykliwy, niespokojny chłód głosu Sarr’Kella zabrzmiał, jakby istota brała jednocześnie wiele głębokich oddechów.

– *Moi panowie się zgadzają* – powiedział w końcu. – *Podjąłeś słuszną decyzję, Mistrzu Wojny.*

Zimny wiatr, który niósł słowa posłańca osnowy, znów powiał, tym razem mocniej, a jego odwieczna złowrogość była jak morderstwo niewinnych.

Lodowaty dotyk przeszył Erebusa, który wciągnął raptownie mroźne powietrze do płuc; zaraz potem wrażenie zniknęło i nienaturalna ciemność zaczęła odpełzać. Świątynię łoży na powrót oświetlił blask płomieni.

Istota odeszła, a brak jej obecności był niczym tępy ból głęboko w duszy kapelana.

– Czy było warto, Mistrzu Wojny? – spytał, wypuszczając wstrzymywany oddech.

– Tak – odparł Horus, spoglądając na ciało Ing Mae Sing. – Było warto.

Odwrócił się do Regulusa.

– Adeptcie, pragnę, by Nadkonstruktor się o tym dowiedział. Nie mogę skontaktować się z nim bezpośrednio, więc weźmiesz szybki statek i sam wyruszysz na Marsa. Jeśli to, co powiedziała ta istota, to prawda, nie zajmie ci to długo. Kelbor-Hal ma oczyścić swoje zgromadzenie i przygotować się do wypełnienia roli w mojej nowej Krucjacie. Przekaż, że dam mu znać, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, i spodziewam się, że Mechanicum do tego czasu zostanie zjednoczone.

– Oczywiście, Mistrzu Wojny. Stanie się, jak rozkażesz.

– Nie trać czasu, adeptcie. Idź.

Regulus wyszedł.

– Długo czekaliśmy na ten dzień – odezwał się Erebus. – Lorgar będzie zachwycony.

– Lorgar ma własną bitwę do stoczenia, Erebusie – odparł ostro Horus.  
– Jeśli poniesie klęskę na Calth, jeśli Legion Guillimana zdoła interweniować, wszystko to pójdzie na marne. Zaczekaj ze świętowaniem, dopóki nie zasiądnę na Tronie Terry.

\* \* \*

Na widok zbliżającego się ochroniarza Petronelli Vivar Sindermannowi serce stanęło w piersi. Każdy krok mężczyzny był jak nadchodząca śmierć;

iterator przeklął się w myślach, że tak długo zwlekali. Przez jego opieszałość święta miała zginąć, a oni prawdopodobnie razem z nią.

Jonasz Aruken szeroko otworzył oczy, gdy zobaczył potężną sylwetkę mordercy. Odwrócił się szybko.

– Tytus, łap ją. Migiem!

– Słucham? – spytał Cassar. – Jest podpięta do tych wszystkich maszyn, nie mogę...

– Nie kłóć się – syknął Aruken. – Rób, co mówię, mamy towarzystwo, bardzo złe towarzystwo.

Obejrzał się na Sindermana.

– No i co, iteratorze? Czy to jest ta chwila, o której mówiłeś, kiedy przekonujemy się, kim naprawdę jesteśmy? Jeśli tak, to już żałuję, że ci pomogłem.

Sindermannowi słowa uwięzły w gardle. Zobaczył, że Maggard ich zauważył. Poczł zimną, lepłą grozę na widok uśmiechu, który powoli wypełził ochroniarzowi na usta.

„Zabiję cię” – mówił ten uśmiech. „Zabiję cię powoli”.

– Nie krzywdź jej – szepnął iterator. Własne słowa zabrzmiały żałośnie w jego uszach. – Proszę...

Chciał uciekać, byle dalej od tego okropnego uśmiechu, zwiastującego bezgłołą, okrutną śmierć, ale nogi miał jak z ołowiu, jakby w miejscu trzymała go jakaś olbrzymia siła, która nie pozwala mu poruszyć nawet jednym mięśniem.

Jonasz Aruken wybiegł z salki, za nim Tytus Cassar z bezwładną Euphrati na rękach. Z jej rąk zwisały rurki kroplówek. Sindermann mimowolnie skupił wzrok na kroplach soli fizjologicznej, które nabrzmiewały na końcach plastikowych przewodów, a potem odrywały się i rozbryzgiwały na podłodze.

Aruken wyciągnął przed siebie pistolet, wycelował w głowę Maggarda.

– Nie podchodź – ostrzegł.

Maggard nawet nie zwolnił, uśmiechnął się tylko znów tym samym upiornym uśmiechem.

Tytus Cassar z Euphrati w ramionach cofał się przed nadchodzącym nieubłąganie mordercą.

– Szybciej, do cholery! – syknął. – Idziemy!

Aruken pchnął Sindermana za Cassarem i nagle czar bezruchu, który przykuwał iteratora do podłogi, prysł. Maggarda dzieliło od nich niecałe

dziesięć kroków; Sindermann wiedział, że nie zdołają uciec bez rozlewu krwi.

– Zastrzel go! – krzyknął Cassar.

– Co? – spytał Aruken, rzucając koledze rozpaczliwe spojrzenie.

– Zastrzel go – powtórzył Cassar. – Zabij go, zanim on zabije nas.

Jonasz Aruken odwrócił się z powrotem do zbliżającego się Maggarda, kiwnął głową i szybko, raz za razem, dwukrotnie nacisnął spust. Huk był ogłuszający, korytarz wypełniło oślepiające światło i toczące się echo. Kule uderzyły, roztrzaskując płytki i ryjąc kraterzy w ścianie, przed którą stał Maggard.

Sindermann krzyknął, przestraszony hałasem. Ruszył w tył za Cassarem. Maggard wychynął z wpuszczonych w ścianę drzwi, w których się schował na ułamek chwili przed tym, jak Aruken nacisnął spust. Pistolet wskoczył mu do ręki, a jego lufa trzykrotnie rozbłysła światłem.

Sindermann znów krzyknął i wyrzucił przed siebie ręce w oczekiwaniu na straszny ból pocisków rozdzierających mu ciało, szarpiących narządy i wychodzących w krwawych rozbryzgach plecami.

Nic się nie stało.

Usłyszał okrzyk zaskoczenia Arukena, który tak samo wzdrygnął się na gromowy huk broni Maggarda. Moderati opuścił ręce i rozdziawił usta, oszołomiony tym, co przed sobą widział.

Maggard stał nieruchomo, jego muskularne ramię wciąż trzymało wielkokalibrowy pistolet wycelowany prosto w nich.

Z lufy rozkwitał znieruchomiąły, nieskończenie powoli wyrastający płomień. Sindermann zobaczył dwie kule wiszące w powietrzu przed nimi. Tylko refleksy światła na ich obracających się powierzchniach zdradzały, że w ogóle się poruszają.

Na jego oczach z lufy pistoletu Maggarda wyłonił się ostry czubek trzeciej mosiężnej kuli. Sindermann spojrzał zdezorientowany na Arukena.

Moderati był tak samo wstrząśnięty jak on, ręce zwiesił bezwładnie wzdłuż boków.

– Co się dzieje, do diabła? – sapnął.

– Nie... nie wiem – wyjąkał Sindermann, nie mogąc oderwać wzroku od nieruchomej sceny. – Może już nie żyjemy.

– Nie, iteratorze – odezwał się za ich plecami Cassar. – To cud.

Sindermann się odwrócił. Cały zdrętwiał, tylko serce waliło, jakby chciało wyrwać się mu z piersi. Tytus Cassar stał na końcu korytarza, tuląc

mocno do piersi świętą. Euphrati, która przedtem zwisała bezwładnie na jego rękach, teraz miała szeroko otwarte, przerażone oczy. Wyciągała prawą dłoń, a srebrny orzeł, który wypalił się w jej ciele, jarzył się słabym, wewnętrznym blaskiem.

– Euphrati! – zawołał Sindermann, ale kiedy tylko wypowiedział jej imię na głos, oczy Keeler uciekły pod czaszkę, a dłoń bezwładnie opadła. Zaryzykował spojrzenie za siebie, na Maggarda, ale zabójca wciąż stał unieruchomiony tajemniczą mocą, która ich uratowała.

Iterator wziął głęboki oddech i na niepewnych nogach ruszył na koniec korytarza. Euphrati spoczywała z głową na piersi Cassara, bezwładna tak samo jak przez ostatni rok. Na jej widok w takim stanie chciało mu się płakać.

Pogładził dłonią jej włosy. Skórę miała rozpaloną.

– Uratowała nas – powiedział Cassar z nabożeństwem i pokorą.

– Chyba masz rację, mój drogi chłopcze – odparł Kyril. – Chyba masz rację.

Dołączył do nich Jonasz Aruken, z lękiem zerkający to na Maggarda, to na Euphrati. Pistolet wciąż trzymał wycelowany w mordercę.

– Co z nim zrobimy?

Sindermann obejrzał się na Maggarda.

– Zostawcie go. Nie pozwolę, żeby jego śmierć splamiła dłonie świętej. Jaki by to był początek dla Lectitio Divinitatus, gdyby pierwszym dziełem naszej patronki było pozbawienie kogoś życia? Jeśli mamy założyć nowy Kościół w imieniu Imperatora, niech to będzie Kościół przebaczenia, a nie rozlewu krwi.

– Na pewno? – spytał Aruken. – On znów po nią przyjdzie.

– A więc będziemy jej bronić – oznajmił Cassar. – Lectitio Divinitatus ma przyjaciół na „Mściwym Duchu”. Ukryjemy ją, dopóki nie wyzdrowieje. Zgadzasz się, iteratorze?

– Tak, to właśnie trzeba zrobić – przytaknął Sindermann. – Ukryć ją. Trzeba ją chronić.



## PIĘĆ

### MROCZNE MILLENIUM PIEŚNIARKA

Loken od dość dawna nie był w strategium; Dwór Luperkala uczynił je w zasadzie bezużytecznym. Tym bardziej że od członków loży wyszedł niewypowiedziany rozkaz, iż Torgaddon i Loken nie mogą już dłużej stawać u boku Mistrza Wojny i pełnić roli sumienia Legionu.

Samotna platforma strategium wisiała nad gwarem i krzątaniem mostka okrętu. Loken oparł się o poręcz i patrzył na oficerów „Mściwego Ducha”, pracujących nad dziełem zniszczenia Isstvana Extremis.

Legioniści Gwardii Śmierci i Dzieci Imperatora byli już na polu bitwy; wrogowie Mistrza Wojny właśnie ginęli. Lokenowi nie dawała spokoju myśl o tym, że go tam nie ma, że nie może dzielić z nimi ryzyka. Chciał być na tej gołej skale razem ze swoimi braćmi, zwłaszcza odkąd Torgaddon powiedział mu, że na dole jest także Saul Tarvitz.

Synowie Horusa i Dzieci Imperatora spotkali się po raz ostatni podczas wojny z Technokracją. Oba Legiony zadzierzgnęły więzy braterstwa: oficjalne Prymarchów i nieoficjalne wśród szeregowych Legionistów.

Loken tęsknił za czasami, kiedy stawał z przyjaciółmi i rozmawiali o przeszłych i przyszłych kampaniach. Serdeczne poczucie braterstwa było pokrzepieniem, którego istnienie uświadomił sobie, dopiero gdy go zabrakło.

Uśmiechnął się kpiąco do samego siebie.

– Brakuje mi nawet twoich opowieści o „dawnych czasach”, Iactonie – szepnął.

Odwrócił się od mostka i rozłożył papier, który znalazł we wnętrzu obwoluty *Kronik Ursh*.



Jeszcze raz przeczytał słowa na nierówno wyrwanej kartce z notatnika, zapisane pospiesznie charakterystycznym, pajęczym pismem Kyrila Sindermana.

*Nawet Mistrz Wojny może nie zasługiwać na twoje zaufanie. Szukaj świątyni. Będzie w miejscu, w którym biło kiedyś serce Krucjaty.*

Przypomniawszy sobie słowa iteratora, kiedy Maloghurst wyrzucał go z sal treningowych, Loken wyszukał księgę na wypalonych półkach sali Archiwum Trzeciego. Duża część biblioteki wciąż była zrujnowana po pożarze, który zdewastował salę i wtrącił Euphrati Keeler w śpiączkę. Serwitorzy i służebni starali się uratować tyle tomów, ile byli w stanie; choć Loken nie czytał wiele, smuciła go strata tak cennej skarbnicy wiedzy.

Znalazł *Kroniki Ursh* prawie bez wysiłku, książka bowiem została zostawiona jakby specjalnie dla niego. Otworzył ją i zrozumiał, że faktycznie tak było – pomiędzy kartek wysunęła się wiadomość od Sindermana.

Nie wiedział, czego konkretnie szuka, a myśl, że na pokładzie „Mściwego Ducha” znajduje się jakaś świątynia, wydawała się absurdalna. Ale iterator był śmiertelnie poważny, gdy prosił Lokena, by ten znalazł księgę i jego wiadomość.

*Będzie w miejscu, w którym biło kiedyś serce Krucjaty.*

Loken podniósł wzrok znad kartki i rozejrzał się po strategium: podwyższeniu, z którego Mistrz Wojny prowadził kiedyś swoje odprawy, niszach na obwodzie, w których Synowie Horusa pełnili honorową wartę, i sklepionej kopule z ciemnej stali. Na łukowatych ścianach wisiały chorągwie, niewyraźne w półmroku – sztandary Kompanii Synów Horusa. Kiedy spojrzenie Lokena spoczęło na sztandarze Dziesiątej, uderzył pięścią w napierśnik.

Jeśli gdzieś kiedyś biło serce Krucjaty, to właśnie tutaj.

Strategium było puste. Nie chodziło o zwykły brak ludzi – to była pustka, która mówiła, że jest opuszczone i nikomu niepotrzebne. Zostało porzucone, tak samo jak ideały, które kiedyś tu wykuwano, zastąpione czymś innym, czymś mrocznym.

Loken stał na środku strategium i czuł w piersi ból niemający nic wspólnego z jakimkolwiek cielesnym doznaniem. Dopiero po chwili dotarło do niego, że coś się nie zgadza. Uświadomił sobie obecność czegoś, czego być tu nie powinno: zapachu, którego nie rozpoznawał, słabego, ale zdecydowanie obecnego w powietrzu.

W końcu zrozumiał, że to kadzidło, ciężki aromat pachnący znajomo

gorącymi, suchymi wiatrami, niosącymi kwaśne wonie gorzkiego kwiecia. Jego genetycznie ulepszone zmysły wychwyciły w nim subtelne substancje składowe. Ruszył przez strategium, mając nadzieję znaleźć źródło zapachu, który robił się coraz wyraźniejszy. Gdzie wcześniej już go czuł?

Śladem gorzkiej woni dotarł do sztandaru Siódmej, Kompanii Targosta. Czyżby mistrz loży używał chorągwi w jakiejś rytualnej ceremonii?

Nie, zapach był za mocny, żeby pochodził jedynie z przesiąkniętego nim materiału. To był aromat kadzidła palonego w tym miejscu. Loken odsunął sztandar od ściany i nie był zaskoczony, kiedy zamiast polerowanej stali ściany strategium zobaczył za nim czerń otworu, prowadzącego do jednego z licznych korytarzy serwisowych wijących się po całym „Mściwym Duchu”.

Czy przejście było tu już, kiedy zbierała się Kwadra? Nie sądził.

„Szukaj świątyni” – powiedział Sindermann. Loken schylił się i wszedł w otwór, opuszczając za sobą sztandar. Zapach kadzidła zdecydowanie pochodził właśnie stąd i palono je niedawno albo wciąż się paliło.

Loken nagle uświadomił sobie, gdzie wcześniej go czuł. Chwycił za rękojeść miecza: przypomniał sobie powietrze na Davinie, zapachy, którymi przesycone były jurty i które wisiały w powietrzu, wyczuwalne nawet przez filtry hełmów.

Korytarz był ciemny, ale ulepszony wzrok Lokena przeniknął mrok i ukazał mu krótki tunel, niedawno wybudowany, prowadzący do zwieńczonych lukami drzwi okolonych wyrytymi w stali krętymi symbolami. Choć wyglądały zupełnie zwyczajnie, Garviel poczuł niewytłumaczalny strach na myśl o tym, co leży za nimi, i przez chwilę rozważał nawet, czy nie zawrócić.

Otrząsnął się z tych tchórzliwych myśli i ruszył do przodu, czując jednak, jak z każdym krokiem wzbiera w nim coraz większy niepokój. Drzwi były zamknięte, na poziomie oczu przymocowano do nich stylizowaną czaszkę; Loken czuł się nieswojo przez samą świadomość, że ona tam jest. Coś w jej prymitywnym kształcie przemawiało do tkwiącego w nim zabójcy, opiewało radość rozlewu krwi i rozkosz, którą można czerpać z rzezi.

Oderwał wzrok od wyszczerzonej czaszki i wyciągnął nóż, zwalczając ochotę, by od razu wbić go w ciało tego, kto stał za drzwiami, ktokolwiek by to był.

Pchnął je i przestąpił próg.

Pomieszczenie było duże – tworzyła je komora serwisowa, którą

uprzątnięto i przerobiono tak, by przypominała podziemną, kamienną komnatę. W głębi dwa rzędy kamiennych ław stały frontem do ściany, na której namalowano niezrozumiałe symbole i słowa. Z sufitu zwisały czaszki, gapiące się pustookim wzrokiem i szczerzące zęby. Kołysały się lekko, kiedy Loken pod nimi przechodził, a z ich oczodołów wydobywały się cienkie smużki dymu.

Pod ścianą stał niski, drewniany stół. Wyrzeźbione w nim płytkie zagłębienie pokrywała obłaząca, ciemna substancja: Loken poznał po zapachu zaschniętą krew. Obok leżała gruba księga.

Czy to była świątynia? Przypomniał sobie butelki i szklane fiolki rozrzucone w świątyni pod Szeptunami.

Ta komnata i tamto miejsce na Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście wyglądały inaczej, ale robiły takie samo wrażenie.

Loken usłyszał nagły szelest, jakby ktoś szeptał mu do ucha. Obrócił się gwałtownie, zastawiając się nożem.

Był sam, ale wrażenie, że ktoś do niego szepcze, było tak prawdziwe, że przysięgłby na własne życie, iż tuż obok niego ktoś stał. Wziął głęboki oddech i wolno okrążył komnatę z wyciągniętym przed siebie nożem, na wypadek gdyby tajemniczy szepczący się ujawnił.

Przy ławach leżały kłęby podartego materiału. Loken ruszył w stronę stołu – uświadomił sobie, że to ołtarz – na którym leżała zauważona przez niego wcześniej księga.

Oprawiona była w skórę, popękaną ze starości i poczerniałą od ognia.

Kapitan pochylił się, żeby ją obejrzeć; czubkiem noża otworzył okładkę. Tekst w środku zapisano kanciastym pismem pionowo, z góry na dół.

– Erebus – powiedział. Znaki były identyczne jak te wytatuowane na głowie Głosiciela Słowa.

Czy to mogła być *Księga Lorgara*, o której Kyril Sindermann bredził po pożarze w bibliotece? Iterator twierdził, że księga uwolniła jakiś horror z osnowy i że to była przyczyna pożaru, ale Loken widział przed sobą tylko słowa.

Co mogło być niebezpiecznego w słowach?

W chwili, kiedy to pomyślał, zamrugał, bo znaki na karcie przed nim się zamazały. Symbole zmieniły się z obcego mu języka w szorstką, numeryczną mowę Cthonii, potem w elegancką kursywę imperialnego gotyku, a później w tysiąc innych języków, których nigdy nie widział.

Zamrugał jeszcze raz, żeby pozbyć się nagłych, niewytłumaczalnych zawrotów głowy.

– Co ty tu robisz, Lokenie? – zapytał znajomy głos, mówiący mu prosto w ucho.

Loken obrócił się błyskawicznie, ale znów nikogo nie zobaczył. Świątynia była pusta.

– Jak śmiesz nadużywać zaufania Mistrza Wojny? – spytał głos, tym razem silniejszy.

Tym też razem Loken go poznał.

Odwrócił się powoli i zobaczył stojącego przed ołtarzem Torgaddona.

\* \* \*

– Padnij! – wrzasnął Tarvitz, kiedy zagwizdały nad nim kule, wycinając wzór monochromatycznych eksplozji na gołej skale Isstvana Extremis. – Drużyna Fulgeriona, za mną. Wszystkie drużyny na pozycje i czekać na sygnał!

Pobiegł do najbliższego krateru, wiedząc, że drużyna sierżanta Fulgeriona biegnie tuż za nim. Przestrzeń przed stacją monitoringową, którą Isstvanicy zbudowali na Isstvanie Extremis – wysoką budowlą przypominającą organy z wieżami, kopułami i antenami – przecinała siatka jasnych linii pocisków smugowych. Zakotwiczona na gołej skale potężnymi szponami dokującymi, stacja była pokryta mialkim osadem kryształków lodu i pyłu.

Słońce układu Isstvan było zaledwie zimnym dyskiem wyglądającym nad horyzont, zalewającym wszystko ostrym, niebieskim światłem. Automatyczne działka pluły ogniem w nacierające Dzieci Imperatora – ponad dwustu Astartes idących w klasycznym szyku szturmowym w stronę ogromnych wrót na wschodniej ścianie stacji.

Isstvan Extremis był prawie pozbawiony atmosfery i zabójczo zimny; atak lądowy wchodził w ogóle w grę tylko dzięki hermetycznym pancerzom Kosmicznych Marines.

Tarvitz zsunął się do krateru. Ostrzał z wieżyczki obronnej obsypywał go odłamkami szarej skały. Sierżant Fulgerion i jego ludzie, z tarczami wysoko uniesionymi dla osłony przed ogniem, przypadli po jego obu stronach. Drużyna Fulgeriona – weterani, którzy czuli się najlepiej w ogniu najbardziej zaciętych walk – walczyła razem od lat i Tarvitz wiedział, że ma przy sobie jednych z najlepszych wojowników Legionu.

– Czyli na nas czekali? – spytał Fulgerion.

– Musieli wiedzieć, że wrócimy tu przywrócić uległość – powiedział Tarvitz. – Kto wie od kiedy na nas czekali.

Wyjrzał nad krawędź krateru i zobaczył sylwetki w fioletowych zbrojach, zajmujące wyznaczone pozycje przed wrotami. Tak właśnie walczyły Dzieci Imperatora: perfekcyjnie skoordynowanymi uderzeniami z upatrzonych pozycji. Drużyny przesuwwały się po strefie walki jak figury na szachownicy.

– Kapitan Garro z Gwardii Śmierci melduje, że jest na pozycji – powiedział głos Eidolona przez vox. – Pokażcie im, czym naprawdę jest wojna!

Gwardii Śmierci przypadło zadanie zdobycia zachodniego podejścia do stacji. Tarvitz uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak jego stary druh Garro prowadzi swoich ludzi z ponurą determinacją prosto na działa, wygrywając raczej dzięki nieustępliwości niż finezyjnej taktyce. Co kto lubi pomyślał, dobywając miecza.

Tak proste rozwiązania nie leżały w naturze Dzieci Imperatora, bo tu nie chodziło tylko o zabijanie. To była sztuka.

– Tarvitz i Fulgerion na pozycji – zameldował. – Wszystkie jednostki gotowe.

– Atakować! – padł rozkaz.

– Słyszeliście Lorda Eidolona – krzyknął. – Dzieci Imperatora!

Legioniści wokół niego wznieśli tryumfalny okrzyk. Tarvitz i Fulgerion wspięli się na krawędź krateru pod ogniem osłaniających ich drużyn wsparcia. Rozpoczął się perfekcyjny balet: wszystkie jednostki działały w idealnej synchronizacji, ciężka broń ostrzeliwała wieże wroga, drużyny szturmowe ruszyły do natarcia, a oddziały taktyczne zajęły pozycje, z których mogły je osłaniać.

W lodowatym powietrzu rozkwitły niszczycielskie eksplozje, z powierzchni kopuły wejściowej poleciały wielkie odłamki – to detonowały wieże z działami, wyrzucając w powietrze taśmy wybuchającej amunicji.

Obok Tarvitz przeleciała rakietka. Uderzyła we wrota, zostawiając w metalu ognisty, poczerniały krater. W ślad za nią poleciała następna, potem jeszcze jedna i wrota ugięły się do środka. Tarvitz zobaczył złotą zbroję Eidolona błyskającą w bezlitosnym świetle słońca układu. Lord Komandor dzierżył ogromny młot, którego obuch spowijały niebieskie łuki wyładowań.

Młot uderzył w szczątki wrót. Jasnoniebieskie światło strzeliło jak błyskawica i wrota zniknęły w gromowej eksplozji. Eidolon zaszarżował do

środku stacji. Zaszczyt ten należał mu się przez wzgląd na ranę.

Tarvitz pobiegł za nim, schylony wpadł przez zniszczone przejście.

W środku panowała ciemność, rozświetlana tylko płomieniami wylotowymi bolterów i iskrzącymi kablami, wyrwanymi z mocowań w trakcie gwałtownych zmagania. Ulepszony wzrok Tarvitza przenikał ciemność. Przez rozdarte wrota z wnętrza stacji było ciepłe powietrze i w chmurze białej pary po raz pierwszy zobaczył wroga.

Obrońcy nosili czarne zbroje, grube kable łączyły masywne akumulatory na ich plecach z ciężkimi rusznicami. Płyty pancerzy obwiedzione były srebrnymi wzorami – może była to ozdoba, a może linie obwodów.

Spod kapturów wzywały twarze, każda z czerwoną soczewką w miejscu jednego oka. Pod kopułą było ich ze stu, kryli się za porzuconymi maszynami i meblowaniem. Tworzyli zwartą linię obrony i kiedy tylko Eidolon z Dziećmi Imperatora wyłonili się z tunelu wejściowego, obrońcy otworzyli ogień.

Rusznice Isstvańczyków plunęły seriami rubinowych laserowych wyładowań, wypełniając kopułę poziomym czerwonym deszczem. Tarvitz dostał trzy razy, raz w pierś, raz w nagolenicę i raz w hełm; jego autozmysły przez chwilę siały zakłóceniami.

Fulgerion był przed nim, brnął przez ogień, zasłaniając się tarczą. Eidolon zaszarżował w sam środek obrońców, zabijając Isstvańczyków każdym ciosem swego młota. W powietrze wyleciało jakieś ciało ze zmiażdżonym torsem i kończynami połamanymi od siły uderzenia. Natężenie ognia wroga osłabło i Dzieci Imperatora zaszarżowały; nakładające się pola ostrzału z bolterów unicestwiały osłonę Isstvańczyków, a specjaliści od walki wręcz wpadali przez wyrwy, by siać śmierć krwawymi wymachami łańcuchowych mieczy.

Tarvitz strzelał z pistoletu w przemykające czarne postacie. Jedna z nich zakręciła się w powietrzu, trafiona w gardło. Drużyna Fulgeriona zajęła pozycje za resztkami barykady, osłaniając seriami z bolterów Eidolona i jego wybrańców.

Tarvitz zabijał wrogów brutalnie skutecznymi strzałami i cięciami miecza, walczył, jak na wojownika Fulgrima przystało. Każdy jego cios niósł niechybną śmierć, każdy krok był odmierzony i idealny. Strzały rykoszetowały od jego złoczonej zbroi, blask bitwy odbijał się na hełmie niczym u bohatera ze starożytnych legend.

– Kopuła wejściowa zajęta – krzyknął Eidolon, kiedy otaczający go Astartes sprawnie wybili ostatnich Isstvańczyków. – Jednostki Gwardii Śmierci meldują, że napotkały zacięty opór w środku. Wysadzić wewnętrzne wrota, załatwimy to za nich.

Do drzwi pobiegli Legioniści z ładunkami wybuchowymi; nawet przez huk płomieni i wystrzałów Tarvitz słyszał zza nich stłumione eksplozje. Opuścił miecz i wykorzystując chwilę spokoju, rozejrzał się dookoła.

U jego stóp leżały zwłoki. Płyty zbroi zabitego były popękane, przez kaptur osłaniający twarz bieгло nierówne rozdarcie. Zamarznięta krew wałała się wokół niczym szlachetne kamienie. Tarvitz przyklęknął i odsunął podarty kaptur.

Skórę mężczyzny pokrywały misterne zawijasy czarnego tatuażu, kopia srebrnych wzorów ze zbroi. Na Tarvitza patrzyło zamarznięte oko, puste i ciemne. Zastanawiał się, jaka istota miała władzę wystarczającą, by zmusić tego człowieka do złamania przysięgi lojalności wobec Imperium.

Rozmyślenia przerwał mu głuchy huk wysadzanych wrót wewnętrznych. Wyrzucił z głowy myśli o zabitym i pobiegł za Eidolonem, który z wysoko uniesionym młotem nacierał w głąb centralnej kopuły. Biegł wśród innych, wiedząc, że cokolwiek Isstvańczycy rzuciliby przeciw nim, jest wojownikiem Astartes i żadna broń, jaką mogą mieć, nie może się równać z wolą Dzieci Imperatora.

Tarvitz i jego ludzie wpadli w dym i kurz eksplozji, na moment pozbawieni autozmysłów zbroi. Chwilę później wyłonili się w sercu stacji na Isstvanie Extremis. Tarvitz stanął jak wryty, bo nagle uświadomił sobie, że informacje, jakie im podano, były całkowicie błędne.

To nie była stacja łącznościowa. To była świątynia.

\* \* \*

Twarcz Torgaddona była szara jak popiół i wyschnięta, poznaczona bliznami wokół płonącego złotego oka. W bezwargich ustach połyskiwały ostre, metaliczne zęby, zamiast nosa ziały dwie wyrwane dziury. Na skroni miał wyciętą ośmioramienną gwiazdę. Druga, identyczna, inkrustowana złotem, znajdowała się na zdobionej czarnej zbroi.

– Nie... – szepnął Loken, cofając się przed tą upiorną zjawą.

– Przeszkodziłeś, Lokenie – syknął Torgaddon. – Zdradziłeś.

Jego słowa niósł suchy, śmiercionośny wiatr, cuchnący smrodem palonych ciał. Kiedy Loken się nim zaciągnął, rozpostarła się przed nim wizja zniszczonego stepu, niezmiernego pustkowia i równin pełnych

rdzewiejącej maszynierii, wyglądającej niczym szkielety wymarłych potworów. Miasto-kopiec na dalekim horyzoncie otworzyło się jak kwiat, a z jego połamanych, płonących płatków wyrosła ogromna spizowa wieża, która przebiła ciężkie od wyziewów chmury.

Niebo w górze płonęło i huczał z niego śmiech Mrocznych Bogów. Loken chciał krzyknąć – ta wizja zniszczenia była gorsza niż wszystko, co w życiu widział.

To nie była prawda. Nie mogła być. Nie wierzył w duchy i iluzje.

Ta myśl dała mu siłę. Wyrwał swój umysł z tego zdewastowanego świata i nagle spostrzegł, że leci przez galaktykę, koziółkuje wśród ciał niebieskich. Widział, jak są niszczone, jak krwawią w pustkę pióropuszcami gwiazdnej materii. Nad nim jarzyła się złowrogo czerwona gromada gwiazd, wpatrywała się w niego jak wielkie i straszne płomieniste oko. Wymiotowała niekończącym się strumieniem tytanicznych potworów i olbrzymich kosmicznych flot, topiąc wszechświat w powodzi krwi. Z krwi strzelało morze ognia, pożerało wszystko na swojej drodze, zostawiając czarne, jałowe pustkowia.

Czy to była jakaś szalona wizja piekła, wymiar zniszczenia i chaosu, do którego po śmierci trafiali grzesznicy? Loken wysiłkiem woli przypomniał sobie opisy z *Kronik Ursh*, niesamowite sceny stworzone z inspiracji mrocznej wiary.

– *Nie* – powiedział głos Torgaddona. – *To nie są zwidy obłąkańca. To przyszłość.*

– Nie jesteś Tarikiem! – krzyknął Loken, potrząsając głową, żeby pozbyć się z niej tego szeptu.

– *Masz przed oczami śmierć galaktyki.*

Loken zobaczył Synów Horsa, którzy wylewali się z czerwonego oka falą ognistego szaleństwa, odziani w czarne zbroje i otoczeni przez skaczące, bezkształtne kreatury. Był tam Abaddon i sam Horus – obsydianowy gigant miażdżący w swoich rękawicach całe światy.

To nie mogła być przyszłość. To była chora, zniekształcona wizja przyszłości.

Galaktyka, w której ludzkości przewodził Imperator, nie mogła się stać takim strasznym wirem chaosu i śmierci.

– *Mylisz się.*

Galaktyka w ogniu zniknęła. Loken rozpaczliwie szukał czegoś realnego, czegoś, co udowodniłoby mu, że ta przerażająca wizja nigdy się nie



ziści. Znów koziółkował, wszystko się przed nim rozmywało, aż otworzył oczy i znalazł się w sali Archiwum Trzeciego, miejscu, w którym czuł się bezpieczny, otoczony księgami, które sprowadzały wszechświat do czystej logiki, a szaleństwo trzymały zamknięte w prymitywnych pogańskich mitach, gdzie jego miejsce.

Ale coś było nie tak. Księgi wokół płonęły, najczystsza wiedza była systematycznie niszczone, by ukryć zawartą w tych tomach prawdę przed masami. Półki wypełniał popiół i ogień; Loken próbował ratować ginące książki, ale uderzały go fale żaru. Ręce pokryły się mu pęcherzami i poczerniały, ciało odeszło od kości...

Muzyka sfer. Mechanizmy rzeczywistości, niewidzialne i wszechobecne...

Loken widział je tam, gdzie płomienie przepaliły się na wylot – nieskończoną, kłębiącą się masę osnowy w sercu wszystkiego i wrogo rozjarzone ślepią mrocznych sił. Groteskowe stwory podskakiwały obscenicznie wśród stosów trupów, istoty o rogatych łbach i ryczących kozich pyskach, wykrzywionych przez bezmyślne siły osnowy. Napuchnięte monstra o cielskach pulsujących od robactwa i śluzu pożerały martwe gwiazdy, olbrzym zakuty w spiż ryczał w niekończącym się wojennym okrzyku wznoszonym z tronu z czaszek, a bezduszni magowie składali miliardy ofiar w srebrnym mieście zbudowanym z kłamstw.

Loken walczył, by oderwać wzrok od tego szaleństwa. Przypominając sobie słowa, które rzucił w twarz Horusowi Aksymandowi pod bramą Delfos, wyrzeszczał je na głos ponownie:

– Nie kłaniam się bałwanom i nie wierzę w duchy! Wyznamę tylko empiryczną jasność Imperialnej Prawdy!

W jednej chwili z hukiem wróciły na miejsce ściany mrocznej świątyni i Loken zachłysnął się powietrzem dusznym od kadzideł. Serce biło mu jak oszalałe, w głowie się kręciło, mdliło go od wysiłku wypierania tego, co zobaczył.

To nie był strach. To była wściekłość.

Ci, którzy przychodzili do tej kaplicy, zaprzędawali całą ludzką rasę mrocznym potęgom, które czały się, niewidzialne, w głębinach osnowy. Czy to były te same siły, które zainfekowały Xavyera Jubala? Te same, które omal nie zabiły Sindermana w okrętowej bibliotece?

Lokenowi zrobiło się niedobrze, kiedy uświadomił sobie, że wszystko, co wiedział o osnowie, było nieprawdą.

Mówiono mu, że nie ma czegoś takiego jak bogowie.

Mówiono mu, że w osnowie nie ma niczego oprócz bezmyślnej, pierwotnej siły.

Mówiono mu, że w nieczułej, sterylnej galaktyce nie ma miejsca na podobny melodramat.

Wszystko, co mu powiedziano, było kłamstwem.

Czerpiąc siłę z gniewu, skoczył do ołtarza i zatrzasnął starożytną księgę, zamykając mosiężny wrzeciędz na skobelku. Nawet jednak kiedy była zamknięta, czuł straszliwe przeznaczenie ukryte na jej kartach. Myśl, że księga mogła mieć jakąś moc, jeszcze kilka miesięcy temu wydawałaby mu się absurdalna, ale teraz nie wątpił we własne zmysły mimo tego, jak bardzo niewiarygodne, okropne i niewyobrażalne rzeczy zobaczył i usłyszał. Wziął księgę i ściskając ją pod pachą, wyszedł ze świątyni.

Zamknął drzwi, potem wyśliznął się z za chorągwi Siódmej z powrotem w bezludny półmrok strategium.

Sindermann miał rację. Loken słyszał muzykę sfer i był to dźwięk straszliwy, zwiastujący zepsuciu, krew i śmierć wszystkiego.

Kapitan miał niezachwianą pewnością, że tylko on może ją uciszyć.

\* \* \*

Wnętrze stacji na Isstvanie Extremis zdominowane było przez szeroką, schodkową piramidę z wielkich kamiennych bloków, zbudowaną z materiału, który w oczywisty sposób nie mógł występować na takiej planecie. Każdy blok pochodził z jakiegoś innego budynku, na wielu wciąż widać było rzeźbienia, fragmenty fryzów, gargulce czy nawet posągi, sterczące pod absurdalnymi kątami.

Wokół podnóża piramidy roili się Isstvańczycy, toczący desperacką walkę wręcz z opancerzonymi Legionistami Gwardii Śmierci. Bitwa nie miała żadnego konkretnego kształtu, sztuka wojny ustąpiła miejsca bezlitosnemu okrucieństwu zabijania.

Wzrok Tarvitza powędrował od sceny tej rzezi ku szczytowi piramidy, gdzie jaskrawe światło wirowało i skręcało się wokół ledwie widocznej postaci otoczonej przez piskliwe tony.

– Do ataku! – ryknął Eidolon i zaszarżował na czele szpicy, otoczony Legionistami drużyn szturmowych. Tarvitz zapomniał o dziwnej postaci i pobiegł za Lordem Komandorem, ułatwiając mu natarcie. Osłaniał go i odpierał wrogów, którzy próbowali go otoczyć.

Do kopuły wpadało coraz więcej Dzieci Imperatora, dołączając do

bitwy pod piramidą. Obok Eidolona Tarvitz dostrzegł Lucjusza. Miecz szermierza błyskał niczym ujarzmiona gwiazda.

Lucjusz w pierwszej linii był typowym widokiem; chciał pokazać, że szybko awansuje i zajmie miejsce u boku Eidolona wśród elity Legionu. Tarvitz rąbał na lewo i prawo, zabijanie tych wrogów nie wymagało finezji, wystarczyło silne ramię i wola zwycięstwa. Wspiął się na pierwszy stopień piramidy, przebijając się przez kolejne szeregi czarno opancerzonych żołnierzy.

Zerknął na wierzchołek i zobaczył Astartes z Gwardii Śmierci, wspinających się przed nim w stronę postaci na szczycie.

Na ich czele ujrzał znajomą sylwetkę Nataniela Garro. Jego stary przyjaciel parł w górę wielkimi krokami z typową dla siebie zaciętością. Nawet w epicentrum szaleńczej bitwy Tarvitz ucieszył się, że znów walczy u boku zaprzysiężonego honorowego brata. Garro przedzierał się ku szczytowi budowli, w stronę jaśniejącej postaci kierującej bitwą.

Otaczały ją rozwiane, długie włosy, a kiedy w górę strzeliły wiązki błyskawic, Tarvitz ujrzał, że to kobieta. Stała tam w powłóczystych jedwabnych szatach, trzepoczących niczym macki jakiejś podmorskiej istoty.

Mimo chaosu bitwy usłyszał jej głos. Śpiewała.

Siła muzyki uniosła ją nad piramidę, zawieszając ponad wierzchołkiem na pieśni z czystej mocy. Setki tonów przeplatały się w niej niemożliwie, wypływające z nienaturalnego gardła piskliwe dźwięki zderzały się ze sobą z niszczycielską siłą. Ze szczytu piramidy oderwały się głązy, zawirowały pod sklepieniem kopuły. Pieśń rozdzierała osnowę i wątek rzeczywistości.

Tarvitz usłyszał, jak pośród dźwięków w monumentalnym crescendo pojawił się pojedynczy zgrzytliwy ton i wielki kawał piramidy zniknął w eksplozji. Wyrwane bryły kamienia pokoziołkowały w prądach światła. Piramida zadygotała, a głązy runęły pomiędzy Dzieci Imperatora, miażdżąc wielu Astartes i jeszcze więcej z nich strącając na dół.

Część piramidy runęła lawiną potrzaskanego kamienia i pyłu. Tarvitz walczył, żeby utrzymać równowagę. Po zboczu zjechało opancerzone ciało wojownika Gwardii Śmierci. Zsuwało się w stronę ogromnej wyrwy wypełniającej się gruzem. Tarvitz zobaczył, że to zakrwawiony Garro.

Ruszył po rozpadającej się piramidzie, skoczył na krawędź urwiska, złapał Nataniela za rękę i powłókł go na pewniejszy grunt.

Odciągając przyjaciela na bok, dalej od walki, zobaczył, że Garro jest poważnie ranny. Jedną nogę miał odciętą w połowie uda, do tego zmiażdżoną

część klatki piersiowej i ramienia. Zamarznięta, gęstniejąca krew wzbierała wokół jego ran jak dmuchane szkło, z brzucha sterczały kamienne odłamki.

– Tarvitz! – warknął Garro. Jego wściekłość przewyciężała ból. – To Pieśniarka. Nie słuchaj...

– Trzymaj się, bracie – powiedział Tarvitz. – Wrócę po ciebie.

– Zabij ją!

Tarvitz spojrział w górę i zobaczył, że Pieśniarka zbliżyła się do Dzieci Imperatora. Na twarzy wiedźmy malowały się błogość i spokój, ramiona miała rozpostarte niczym na powitanie, oczy zamknięte. Z jej gardła wciąż wydobywała się straszliwa pieśń.

Między Dzieci Imperatora sypało się coraz więcej głazów z piramidy. Tarvitz zobaczył, że muzyka Pieśniarki porywa w powietrze jednego z Astartes – kapitana Odovocara, chorążego noszącego sztandar Legionu. Jego zbroja zadygotała, jakby szarpały ją niewidzialne palce. Moc Pieśniarki rozrywała ją w eksplozjach iskier i ceramitowych odłamków.

Odovocar rozpadł się razem ze zbroją. Jego hełm oderwał się od reszty ciała wraz z głową, powlókł za sobą wstęgi lśniącej krwi i kości.

Kiedy chorąży umierał, Tarvitz uderzyło dzikie piękno pieśni – pieśni, która wydawała się być śpiewana właśnie dla niego. W jej zgrzytliwych tonach zawarto piękno i śmierć, cudowny spokój, który spłynąłby na niego, gdyby tylko przestał walczyć i oddał się muzyce zapomnienia. Wojna dobiegłaby końca, przemoc nie byłaby nawet wspomnieniem.

„Nie słuchaj...”

Saul ryknął. Pistolet szarpnął mu się w dłoni, kiedy otworzył ogień do Pieśniarki. Odgłos strzałów zniknął w kakofonii bitwy. Pociski uderzyły o migotliwą powłokę mocy wokół wiedźmy i eksplodowały przedwcześnie w wykwitach białego światła. Coraz więcej Astartes, zarówno Dzieci Imperatora, jak i Gwardzistów Śmierci, było unoszonych w powietrze i rozrywanych dźwiękami. Tarvitz wiedział, że już niewiele brakuje, żeby bitwa zakończyła się ich klęską.

Ocalali istwańscy żołnierze przegrupowali się i zaatakowali Astartes. Tarvitz zobaczył wśród nich Lucjusza, rąbiącego i tnącego czarno opancerzone ciała.

Jego przyjaciel potrafił o siebie zadbać. Tarvitz zmusił się do ruchu, z trudem utrzymując równowagę w chaosie szalejącego zniszczenia. W górze przed nim zalśniło złoto i zobaczył zbroję Eidolona, błyszczącą w poświacie bijącej od Pieśniarki jak latarnia morska. Lord Komandor zaryczał gniewnie i

pokonał ostatnie kilka stopni piramidy. Tarvitz biegł za nim.

Pieśniarka spowiła się całunem światła, a Eidolon runął prosto w niego. Blask zrobił się nieprzezroczysty, jak lśniąca, biała skorupa. Tarvitz nie miał już nabożów, więc rzucił pistolet, chwycił miecz obiema rękami i skoczył za dowódcą w światło.

Kiedy pokonał świetlny całun, głowę natychmiast wypełniła mu śmiertelna antymuzyka wrzasków Pieśniarki, narastająca w ogłuszającym crescendo.

Eidolon był na kolanach, stracił młot, a nad nim unosiła się wiedźma. Z wyciągniętymi przed siebie rękami smagała Lorda Komandora falami mocy tak potężnymi, że skręcało się od nich powietrze.

Zbroja Eidolona została pogięta, w rozbryzgu krwi zerwało mu z głowy hełm, ale wciąż żył i walczył.

Tarvitz zaatakował z wrzaskiem.

– Za Imperatora!

Pieśniarka zobaczyła go i powaliła na ziemię lekceważącym ruchem nadgarstka. Od siły uderzenia pękł mu hełm; przez chwilę cały świat wypełniło piękno wiedźmiej pieśni. Widzenie wróciło mu w samą porę, by zobaczyć, jak Eidolon rzuca się do przodu. Szarża Tarvitz kupiła mu czas, na krótką chwilę osłabiła tony śmiertelnej muzyki.

Ta krótka chwila była wszystkim, czego wojownik Dzieci Imperatora potrzebował.

Oczy Eidolona płonęły. Z twarzą wykrzywioną w grymasie nienawiści i odrazy otworzył usta jak do krzyku wściekłości – rozwarły się jednak szerzej, a dźwięk, który się z nich wydobył, był zgrzytliwym wyciem. Tarvitz przetoczył się na plecy, upuścił miecz i zasłonił dłońmi uszy przed tym straszliwym odgłosem. Podczas gdy pieśń Pieśniarki zadawała śmierć pod maską zwodniczego piękna, dźwiękowy atak Eidolona nie był tak subtelny – a jedynie boleśnie, straszliwie głośny.

Fala hałasu uderzyła Pieśniarkę i odarła ją z całego jej wdzięku. Wiedźma otworzyła usta, żeby odpowiedzieć nową pieśnią śmierci, ale wrzask Eidolona zmienił jej krzyki w ponure zawodzenie.

Przy wtórze głosów żałoby i bólu, nakładających się i zlewających w pogrzebowy szloch, Pieśniarka runęła na kolana. Eidolon schylił się po upuszczony przez Tarvitz miecz; jego własny krzyk ucichł. Pieśniarka wiała się z bólu, biły od niej poskręcane strumienie światła. Straciła kontrolę nad swoją pieśnią.

Eidolon ruszył przez jasność i dźwięk. Błysnął miecz i srebrzysta smuga zdjęła Pieśniarce głowę z ramion.

Wiedźma nagle ucichła.

Tarvitz, uczepiony kruszącego się wierzchołka piramidy, patrzył, jak Eidolon unosi miecz w geście zwycięstwa. Wciąż nie rozumiał, co zobaczył.

W uszach nadal rozbrzmiewały mu potworne tony krzyku Pieśniarki, ale otrząsnął się, patrząc z niedowierzaniem na Lorda Komandora.

Eidolon odwrócił się do Tarvitz i rzucił miecz na ziemię obok Astartes.

– Dobra broń – powiedziała. – Dziękuję za pomoc.

– Jak...? – wykrztusił Saul. Zmysły wciąż miał otępiałe od ogłuszającego wrzasku, który wydał z siebie jego zwierzchnik.

– Siła woli, Tarvitz – odparł Lord Komandor. – To właśnie było to. Siła woli. Przekłęte czary tej suki nie mogły się mierzyć z dwoma takimi wojownikami jak my, co?

– Chyba tak – odpowiedział Tarvitz i wstał, wspierając się na dłoni, którą wyciągnął do niego dowódca.

W kopule zapadła nagle niesamowita cisza. Istotni, którzy wciąż żyli, osunęli się bezwładnie tam, gdzie stali w chwili śmierci Pieśniarki. Szlochali i kołysali się w przód i w tył, jak dzieci po stracie rodzica.

– Nie rozumiem... – zaczął Saul. Astartes z Gwardii Śmierci zaczęły zabezpieczać kopułę.

– Nie musisz rozumieć, Tarvitz – przerwał mu Eidolon. – Wygraliśmy, tylko to się liczy.

– Ale to, co zrobiłeś, panie...

– To, co zrobiłem? Po prostu zabiłem wroga – warknął Eidolon. – Zrozumiano?

– Zrozumiano. – Tarvitz kiwnął głową, choć nie rozumiał nowej umiejętności dowódcy wcale bardziej niż mechaniki podróży przez osnowę.

– Dobić resztki żołnierzy wroga – rozkazał Lord Komandor. – A potem zniszczyć stację.

Odwrócił się i ruszył w dół po potrzaskanej piramidzie, nagradzany wiewatami swoich ludzi.

Tarvitz podniósł upuszczoną broń i popatrzył na pobojuwisko. Astartes się przegrupowywali. Wrócił niżej, w miejsce, gdzie zostawił ранego Garra.

Kapitan Gwardii Śmierci siedział oparty o bok piramidy. Ciężko oddychał i widać było, że tylko dzięki najwyższemu wysiłkowi woli nie

pozwoił, by specyfiki z systemów znieczulających zbroi pozbawiły go przytomności.

– Tarvitz, żyjesz – powiedział, kiedy Saul zszedł z ostatniego stopnia.

– Ledwie – odparł Tarvitz. – Ale to i tak więcej, niż można powiedzieć o tobie.

– Mówisz o tym? – parsknął Garro. – Bywało gorzej. Zapamiętaj moje słowa, chłopie. Zanim się obejrzysz, stanę na nogi i pokażę ci parę nowych sztuczek w klatkach treningowych.

Mimo dziwnego przebiegu bitwy, mimo tylu zabitych Tarvitz się uśmiechnął.

– Dobrze znów cię widzieć, Natanielu – powiedział, pochylił się i ujął wyciągniętą dłoń Garra. – Dawno razem nie walczyliśmy.

– To prawda, honorowy bracie – przytaknął Garro. – Ale coś mi się wydaje, że zanim ta kampania się skończy, będziemy mieli jeszcze mnóstwo okazji.

– Nie, jeśli będziesz pozwalał tak się ranić. Potrzebny ci konsyliarz.

– Bzdura, chłopcze. Wielu potrzebuje łapiducha bardziej niż ja.

– Nigdy się przyznasz, że dostałeś, co? – spytał Tarvitz z uśmiechem.

– Nie – zgodził się Garro. – To raczej nie w stylu Gwardii Śmierci, czyż nie?

– Trudno mi powiedzieć – odparł Saul i mimo protestów Garra machnął na konsyliarza Dzieci Imperatora. – Jesteście takimi barbarzyńcami, że nigdy was nie zrozumiem.

– A wy jesteście bandą lalusiów, którzy bardziej się przejmują tym, czy dobrze wyglądają, niż czy wykonują swoją robotę – odparł Garro, kończąc tradycyjną wymianę złośliwości, która uchodziła między nimi za powitanie. Obaj w trakcie trwania swojej długiej przyjaźni za dużo przeszli, zbyt wiele razy ratowali sobie nawzajem życie, by liczyły się dla nich formalności i małostkowe różnice między ich Legionami.

Garro wskazał kciukiem wierzchołek piramidy.

– Ty ją zabiłeś?

– Nie – odparł Tarvitz. – Lord Komandor Eidolon.

– Eidolon, tak? – powtórzył Garro z zadumą. – Nigdy za nim nie przepadałem. Ale skoro udało mu się ją załatwić, najwyraźniej nauczył się tego i owego, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

– Wydaje mi się, że możesz mieć rację.



## SZEŚĆ

### DUSZA LEGIONU NIC NIE BĘDZIE TAKIE SAMO OHYDA

Loken znalazł Abaddona w kopule obserwacyjnej, wyrastającej jak pęcherz z górnego pokładu „Mściwego Ducha”. Przezroczyste szkło ukazywało gołe pustkowie Isstvana Extremis. Kopuła była ciemna i cicha, idealna na chwilę wspomnień i relaksu, i Abaddon nie pasował tu ze swoją potęgą oraz energią, kojarzącą się z gotową do ataku bestią zamkniętą w klatce.

– Lokenie – odezwał się, kiedy Garviel wszedł – ty mnie tu wezwałeś?

– Tak.

– Po co?

– Lojalność – odparł po prostu Loken.

Abaddon prychnął.

– Nie znasz znaczenia tego słowa. Nigdy nie musiałeś go sprawdzać.

– Jak ty na Davinie?

– Ach... A więc o to chodzi. Nie myśl sobie, że będziesz mnie pouczał, Lokenie. Nie stać by cię było, żeby zrobić to, co zrobiliśmy my, ratując Mistrza Wojny.

– A może to tylko ja się nie poddałem?

– Nie poddałeś się czemu? Wolałbyś pozwolić, żeby Mistrz Wojny umarł, niż zaakceptować fakt, że we wszechświecie istnieje coś, czego nie rozumiesz?

– Nie przyszedłem tu dyskutować o tym, co się stało na Davinie – przerwał Loken, już czując, że stracił kontrolę nad tą rozmową.



– To po co? Muszę przygotować ludzi, nie zamierzam marnować czasu na puste słowa.

– Wezwałem cię tu, bo muszę usłyszeć odpowiedzi. Na temat tego.

Loken cisnął na środek kopuły księgę, którą zabrał ze świątyni za strategium.

Abaddon schylił się i ją podniósł. W rękach Pierwszego Kapitana wydawała się malutka, jak jedna z ulotek Karkasego.

– A więc do tego jesteś złodziejem – powiedział.

– Nie waż się tak do mnie mówić, Ezekailu, dopóki mi nie odpowiesz. Wiem, że Erebus spiskował przeciwko nam. Ukradł anatamę intereksom i zabrał ją na Davina. Ja to wiem i ty to wiesz.

– Nie wiesz nic, Lokenie – warknął Abaddon. – To, co się dzieje w trakcie Krucjaty, dzieje się dla dobra Imperium. Mistrz Wojny ma plan.

– Plan? – powtórzył Loken. – I ten plan wymaga mordowania niewinnych ludzi? Hektora Varvarusa? Ignace Karkasego? Petronelli Vivar?

– Upamiętniacze? – Abaddon się zaśmiał. – Naprawdę obchodzą cię ci ludzie? To gorszy rodzaj, Lokenie, niższy niż my. Rada Terry postanowiła objuczyć nas tymi nędznymi wierszorobami, żeby zdusić naszą ambicję podboju galaktyki.

– Erebus – powiedział Loken, starając się zapanować nad gniewem. – Co robił na „Mściwym Duchu”?

Abaddon w jednej chwili pokonał dzielącą ich szerokość kopuły.

– Nie twoja sprawa.

– To mój Legion! – krzyknął Loken. – Czyli i sprawa moja!

– Już nie.

Loken poczuł, że ponosi go gniew, i zacisnął dłonie w mordercze pięści.

Abaddon zobaczył jego gest.

– Chciałbyś rozstrzygnąć to jak wojownik?

– Nie, Ezekailu – wycedził Garviel przez zęby. – Mimo tego wszystkiego, co się stało, wciąż jesteś moim bratem z Kwadry i nie będę z tobą walczył.

– Kwadra. – Abaddon pokiwał głową. – Szlachetna idea, dopóki trwała, ale żałuję teraz, że cię do niej wprowadziłem. Tak czy inaczej, gdyby doszło do rozlewu krwi, naprawdę sądzisz, że dałbyś radę mnie pokonać?

Loken zignorował wyzwanie.

– Erebus ciągle tu jest?

– Erebus jest gościem na okręcie flagowym Mistrza Wojny. Radzę ci o tym pamiętać. Gdybyś się do nas przyłączył, kiedy miałeś szansę, zamiast się od nas odwracać, poznałbyś wszystkie swoje odpowiedzi. Ale zdecydowałeś inaczej, Lokenie. Pogódź się z tym.

– Loża sprowadziła do naszego Legionu zło, Ezekailu, może do innych Legionów też. Coś z osnowy. To właśnie zabiło Jubala i to opanowało Tembę na Davinie. Erebus okłamał nas wszystkich!

– I jesteśmy wykorzystywani, tak? Erebus podstępnie szykuje nam los gorszy niż śmierć? – prychnął Abaddon. – Tak mało wiesz. Gdybyś pojmował skalę planów Mistrza Wojny, błagałbyś nas, żebyśmy cię przyjęli z powrotem.

– To mi o nich powiedz, Ezekailu, a wtedy może będę błagał. Byliśmy kiedyś braćmi i znów możemy nimi być.

– Naprawdę w to wierzysz, Lokenie? Wystarczająco jasno pokazałeś, że jesteś przeciwko nam. Torgaddon powiedział to wprost.

– Dla mojego Legionu, dla mojego Mistrza Wojny zawsze mogę to wszystko cofnąć – odparł Loken. – Dopóki tylko ty będziesz uważał tak samo.

– Nigdy się nie poddajesz, co?

– Nigdy! Nie, kiedy stawką jest dusza mojego Legionu.

Abaddon pokręcił głową.

– Wplątujemy się w takie sytuacje, bo ludzie tacy jak ty są zbyt dumni, żeby pójść na kompromis.

– Kompromis będzie dla nas wyrokiem śmierci, Ezekailu.

– Zapomnij o tym wszystkim do Isstvana, Lokenie – rozkazał Abaddon. – Po Isstvanie to się skończy.

– Nie zapomnę, Ezekailu. I dostanę swoje odpowiedzi – warknął Garviel, odwrócił się i zostawił brata.

– Jeśli spróbujesz z nami walczyć, przegrasz – zawołał za nim Abaddon.

– Być może. Ale sprzeciwią się wam inni.

– W takim razie oni także umrą.

\* \* \*

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie – powiedział Sindermann, zaskoczony i trochę speszony liczbą ludzi przed sobą. – Doceniam, że podjęliście ryzyko przyjscia tutaj, ale to naprawdę za wiele.

W ciemnej komorze serwisowej, brudnej od smarów, przytłoczonej

syczącą płataniną rur pod sufitem, zebrali się wierni z całego statku. Chcieli posłuchać słów świętej, mylnie sądząc, że jest przytomna. Sindermann widział w tłumie mundury załóg Tytanów, załogi serwisowe statku, personel medyczny, ochronę, a nawet paru żołnierzy Armii Imperialnej. Wejścia do komory pilnowali uzbrojeni mężczyźni. Ich obecność wymownie przypominała wszystkim, jakie ryzyko niesie sama obecność w tym miejscu.

Takie duże zgromadzenie stanowiło niebezpieczeństwo, zbyt łatwo je było zauważyć, i Sindermann wiedział, że musi ich szybko odesłać, zanim zostaną odkryci. Wiedział też, że powinien to zrobić w taki sposób, żeby nie wszcząć zamieszek.

– Jak dotąd uniknęliście wykrycia dzięki temu, że spotykaliście się w małych grupach, ale taka liczba ludzi nie pozostanie długo niezauważona – ciągnął. – Bez wątplenia słyszeliście ostatnio o wielu dziwnych i cudownych zajściach, ale mam nadzieję, że wybaczycie mi ten środek ostrożności.

Wiadomość o uratowaniu Keeler szybko rozeszła się po statku. Szeptali o niej usmarowani majtkowie, wśród upamiętniaczy rozprzestrzeniła się jak epidemia, dotarła do uszu nawet najniższych rangą członków Ekspedycji. W ślad za informacją pojawiły się upiększenia i nieprawdopodobne plotki; rodziły się opowieści o świętej i jej cudownych mocach, historie o odbijanych kulach i wizjach Imperatora, przemawiającego bezpośrednio do kobiety, żeby wskazać drogę swojemu ludowi.

– Co ze świętą? – spytał ktoś z tłumu. – Chcemy ją zobaczyć!

Sindermann podniósł rękę.

– Święta na szczęście żyje. Nic jej nie jest, ale ciągle pozostaje w śpiączce. Niektórzy z was słyszeli, że się obudziła i przemówiła, ale niestety, to nieprawda.

Tłum wydał rozczarowany pomruk. Ludzie byli źli na Sindermanna, że zaprzeczył temu, w co tak rozpaczliwie chcieli wierzyć. Iteratorowi przypomniały się mowy, które wygłaszał na nowo skłonionych do uległości światach, kiedy wykorzystywał różne retoryczne sztuczki, by podkreślić zalety Imperialnej Prawdy.

Teraz musiał użyć tych samych umiejętności, by dać tym ludziom nadzieję.

– Święta wciąż pozostaje nieprzytomna, to prawda, ale na jedną krótką, świetlistą chwilę ocknęła się ze snu i uratowała mi życie. Widziałem, jak otworzyła oczy, i teraz wiem, że kiedy będziemy jej potrzebować, wróci do nas. Do tego czasu musimy pozostawać czujni, bo są we flocie tacy, którzy

chcieliby nas zniszczyć za to, w co wierzymy. Sam fakt, że musimy się spotykać w sekrecie i wystawiać uzbrojone strażę, przypomina, że sam Maloghurst regularnie wysyła żołnierzy, żeby rozbijali spotkania Lectitio Divinitatus. Zginęli ludzie, a ich krew jest na rękach Astartes. Ignace Karkasy, niech Imperator ma jego duszę w opiece, wiedział, jak groźni są Astartes pozbawieni kontroli, zanim ktokolwiek z nas zdał sobie sprawę, że trzymają nam rękę na gardle. Kiedyś nie wierzyłem w takie rzeczy jak święci. Nauczyłem się akceptować tylko logikę i naukę, odrzucałem religię jako zabobon. Magia i cuda były niemożliwe, stanowiły jedynie wymysł prostych ludzi usiłujących zrozumieć świat. Potrzeba było ofiary świętej, żebym zrozumiał, jaki byłem arogancki. Zobaczyłem, że Imperator strzeże, ale ona pokazała mi jeszcze, że to nie wszystko. Jeśli bowiem Imperator strzeże swoich wiernych, kto strzeże Imperatora?

Sindermann pozwolił, by to pytanie zawisło w powietrzu.

– My musimy – odezwał się Tytus Cassar. Przepchnął się przez tłum i odwrócił do zgromadzonych. Sindermann umieścił go wśród publiczności ze szczegółowymi instrukcjami, kiedy się odezwać. Była to jedna z podstawowych sztuczek iteratorów, mająca wzmocnić ich przekaz.

– My musimy strzec Imperatora, bo nie ma nikogo innego – powiedział Cassar i obejrzał się na Kyrila. – Ale żeby móc to zrobić, musimy też pozostać przy życiu. Czy nie tak, iteratorze?

– Tak – potwierdził Sindermann. – Wiara, którą okazaliście, wzbudziła taki lęk wśród wysokich rang floty, że teraz próbują nas zniszczyć. Imperator ma tu wroga, co do tego nie mam wątpliwości. Musimy przeżyć i musimy stawić czoła temu wrogowi, kiedy w końcu odsłoni swoje oblicze.

W tłumie rozległy się zmartwione i gniewne pomruki. Ludzie zrozumieli, w jak śmiertelnym są zagrożeniu.

– Wierni przyjaciele – kontynuował Sindermann – stojące przed nami niebezpieczeństwo jest wielkie, ale mamy ze sobą świętą, która jednak potrzebuje schronienia. A to najlepiej zapewnić jej w pojedynkę. Lecz wypatrujcie znaków i bądźcie czujni. Rozgłoście wieść, że jest bezpieczna.

Cassar ruszył między ludzi, instruując, żeby wrócili na swoje stanowiska. Uspokojeni słowami iteratora wierni stopniowo zaczęli się rozchodzić. Sindermann patrzył na nich i zastanawiał się, ilu przeżyje nadchodzące dni.

\* \* \*

Galeria Mieczy ciągnęła się wzdłuż kadłuba „Androniusza” niczym

złożony kręgosłup. Jej sklepienie było przezroczyste, wpuszczało do sal blask dalekich gwiazd. Wzdłuż ścian stały setki posągów, herosów Dzieci Imperatora, ze szlachetnymi kamieniami wprawionymi w oczy i surowymi, osądającymi minami. Mówiło się, że miarą odwagi było to, jak długo ktoś mógł patrzeć im w oczy, idąc Galerią Mieczy pod tymi bezlitosnymi spojrzeniami.

Tarvitz wszedł do sali z wysoko uniesioną głową, choć wiedział, że nie jest żadnym bohaterem, a tylko zwykłym Legionistą, który robi, co w jego mocy. Patrzyli na niego Mistrzowie Zakonów i dowódcy z zamierzchłej przeszłości; każdy wojownik Dzieci Imperatora znał i otaczał czcią ich imiona i szlachetne oblicza. Poległym Legionu poświęcone były całe sekcje „Androniusza”, ale każdy z braci miał nadzieję, że zostanie unieśmiertelniony właśnie tu.

Tarvitz nie spodziewał się, że jego oblicze kiedyś tutaj trafi, ale zamierzał dokonać żywota w sposób, który mógłby zostać uznany za godzien takiego zaszczytu. Nawet jeśli tak wzniosły cel był niemożliwy do osiągnięcia, można było do niego aspirować.

Eidolon stał przed posągiem Lorda Komandora Teliosy, bohatera Kampanii Madrywańskiej. Odwrócił się do Saula, zanim jeszcze ten się zbliżył.

– Kapitanie Tarvitz – powiedział – rzadko cię tu widuję.

– To nie jest moje środowisko naturalne, komandorze – odparł Saul. – Nie chcę zakłócać spoczynku bohaterom Legionu.

– A więc co cię tu teraz sprowadza?

– Chciałbym z tobą porozmawiać, komandorze, jeśli pozwolisz.

– Lepiej spędziłbyś ten czas, zajmując się swoimi ludźmi, Tarvitz. W tym kierunku jesteś uzdolniony.

– Zaszczycasz mnie tymi słowami, komandorze, ale muszę cię o coś zapytać.

– O co?

– O śmierć Pieśniarki.

– Ach. – Eidolon popatrzył na górujący nad nimi posąg, który przyglądał się im zimnym, niewzruszonym spojrzeniem pustych oczu. – Była trudnym przeciwnikiem, na wskroś zepsuta, ale to zepsucie dawało jej siłę.

– Muszę wiedzieć, jak ją zabiłeś.

– Nie zapominasz się, kapitanie? Mówisz jak do równego sobie.

– Widziałem, co zrobiłeś, komandorze – nie ustępował Tarvitz. – Ten

krzyk, to było coś... nie wiem... jakaś moc, o której nigdy wcześniej nie słyszałem.

Eidolon podniósł dłoń.

– Rozumiem, skąd biorą się twoje pytania, i mogę na nie odpowiedzieć, ale chyba byłoby lepiej, gdybym ci to pokazał. Chodź za mną.

Tarvitz podążył za Lordem Komandorem. Poszli Galerią Mieczy, skręcili w boczny korytarz o ścianach obwieszonych pergaminowymi kartami. Zapisywano na nich starannie chwalebne boje z przeszłości Legionu; nowicjusze przed awansowaniem na pełnych Astartes musieli nauczyć się na pamięć dat i szczegółów wielu różnych bitew.

Dzieci Imperatora nie tylko pamiętały swoje tryumfy, ale też ogłaszały je wszem wobec, bo perfekcja wojennej metody Legionu zasługiwała na uhonorowanie.

– Czy wiesz, dlaczego walczyłem z Pieśniarką? – spytał Eidolon.

– Dlaczego?

– Tak, kapitanie, dlaczego.

– Bo tak walczą Dzieci Imperatora.

– Wyjaśnij.

– Nasi bohaterowie dowodzą z pierwszego szeregu. Reszta Legionu może czerpać natchnienie z ich przykładu. A mogą to robić, bo Legion walczy z takim kunsztem, że walka w pierwszym szeregu niczym im nie grozi.

Eidolon się uśmiechnął.

– Bardzo dobrze, kapitanie. Powinieneś nauczać nowicjuszy. A ty sam, czy dowodziłbyś z pierwszego szeregu?

W piersi Tarvitz rozbłysła nagle nadzieja.

– Oczywiście! Gdybym tylko dostał szansę. Nie sądziłem, że uważasz mnie za godnego takiej roli.

– Nie uważam, kapitanie. Jesteś szeregowym oficerem i niczym więcej – powiedział Eidolon, zabijając nikłą nadzieję Saula, że oto właśnie nadarza się okazja do sprawdzenia go jako dowódcy i bohatera. – Nie mówię tego, żeby cię obrazić – ciągnął Lord Komandor, najwyraźniej nieświadom, jak nieuprzejmie zabrzmiały jego słowa. – Tacy ludzie jak ty pełnią bardzo ważną rolę w Legionie. Ale to ja jestem jednym z Wybrańców Fulgrima. To mnie wybrał Prymarcha i wyniósł do tej rangi. Dostrzegł we mnie cechy potrzebne, by dowodzić Dziećmi Imperatora, we mnie, a nie w tobie. Dlatego właśnie rozumiem, z jaką odpowiedzialnością wiąże się bycie Wybrańcem

Fulgrima, a ty do tego nie jesteś zdolny, kapitanie Tarvitz.

Eidolon zaprowadził Saula do wielkich schodów, biegnących lukiem w dół, do wielkiej sali wyłożonej płytami białego marmuru. Saul rozpoznał jedno z wejść do okrętowego apotekarionu, gdzie zaledwie kilka godzin wcześniej zwieziono rannych z Istvana Extremis.

– Myślę, że mnie nie doceniasz, Lordzie Komandorze – powiedział Tarvitz. – Ale też proszę zrozumieć, że przez wzgląd na moich ludzi muszę wiedzieć...

– Przez wzgląd na naszych ludzi wszyscy się poświęcamy – warknął Eidolon. – A ofiary Wybrańców są najdonioślejsze. Największą z nich jest fakt, że w obliczu zwycięstwa wszystko ma drugorzędne znaczenie.

– Komandorze, nie rozumiem.

– Ale zrozumiesz – powiedział Eidolon i poprowadził go pod złoconym lukiem do centralnego apotekarionu.

\* \* \*

– Księga? – spytał Torgaddon.

– Księga – powtórzył Loken. – To klucz. Erebus jest na statku, wiem to.

Szara od popiołów, spowita w półmrok sala Archiwum Trzeciego była jednym z ostatnich nielicznych miejsc na „Mściwym Duchu”, w których Loken czuł się swobodnie. Przypominała mu te wszystkie ożywione dyskusje z Kyrilem Sindermannem, które prowadzili tu w czasach, kiedy wszystko było prostsze. Nie widział iteratora od kilku tygodni i miał gorącą nadzieję, że starzec jest bezpieczny, że nie podpadł Maloghurstowi ani jego bezimiennym żołnierzom.

– Abaddon i reszta muszą go ukrywać – powiedział Torgaddon.

Loken westchnął.

– Jak do tego doszło? Kiedyś oddałbym życie za Abaddona i za Aksymanda i wiem, że oni zrobiliby to samo dla mnie.

– Nie możemy się poddawać, Garvielu. Znajdziemy jakieś wyjście. Możemy odbudować Kwadrę, a przynajmniej sprawić, że Mistrz Wojny dostrzeże, co robi Erebus.

– Cokolwiek to jest.

– Tak, cokolwiek to jest. Gość łoży czy nie, nie chcę go na swoim statku. On jest kluczem. Jeśli go odnajdziemy, będziemy mogli go zdemaskować przed Mistrzem Wojny i położyć temu kres.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie wiem, ale to mi nie przeszkodzi spróbować.

Torgaddon obejrzał się dookoła, palcem wzruszył popiół zwęglonych książek na półkach.

– Dlaczego musiałeś się ze mną umówić właśnie tutaj? Śmierdzi tu stosem pogrzebowym.

– Bo nikt tu nigdy nie przychodzi – odparł Loken.

– Nie mam pojęcia, z jakiego powodu, tak tu przecież przytulnie.

– Nie żartuj sobie, Tariku, nie teraz. Kiedyś celem Wielkiej Krucjaty było niesienie światła w najdalsze zakątki galaktyki, ale teraz boi się ona wiedzy. Im więcej się dowiadujemy, tym więcej mamy pytań, a im więcej mamy pytań, tym wyraźniej widzimy kłamstwa, które nam narzucono. Dla tych, którzy chcą nas kontrolować, książki są zagrożeniem.

– Iterator Loken – zaśmiał się Torgaddon. – Oświeciłeś mnie.

– Miałem dobrego nauczyciela – odparł Garviel i znów pomyślał o Kyrilu Sindermannie, o tym, że wszystko, w co nauczono go wierzyć, właśnie stawało na głowie. – A stawką jest coś więcej niż tylko rozłam wśród Astartes. Tu chodzi o... o filozofię, ideologię, nawet religię... wszystko. Kyril nauczył mnie, że taki właśnie ślepy posłuch doprowadził do Ery Zamętu. Przemierzyliśmy galaktykę, żeby szerzyć pokój i oświecenie, ale przyczyna naszego upadku może tkwić w nas samych.

Torgaddon położył przyjacielowi dłoń na ramieniu.

– Posłuchaj, niedługo lecimy walczyć na Isstvana III, a od Gwardii Śmierci przyszła wiadomość, że wrogiem dowodzą jakieś potwory o psychicznych mocach, które potrafią zabijać krzykiem. To nie są nasi wrogowie dlatego, że przeczytali nie te książki co trzeba, ale dlatego, że tak nam powiedział Mistrz Wojny. Zapomnij na chwilę o tym wszystkim. Idź i walcz. Będziesz mógł się od tego zdystansować.

– Wiesz chociaż, czy na pewno tam polecimy?

– Mistrz Wojny wybrał drużyny do pierwszego uderzenia. Jesteśmy wśród nich i wygląda na to, że będziemy też dowodzić.

– Naprawdę? Po tym, co się stało?

– Też się dziwię, ale darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda.

– Przynajmniej będę miał ze sobą Dziesiątą.

Torgaddon pokręcił głową.

– Niezupełnie. Mistrz Wojny nie wybierał Kompaniami, tylko drużynami.

– Dlaczego?



- Bo uważa, że zabawnie wyglądasz z taką skołowaną miną.
  - Proszę cię, Tariku, bądź poważny.  
Torgaddon wzruszył ramionami.
  - Mistrz Wojny wie, co robi. To nie będzie łatwa bitwa. Zrzucają nas prosto do miasta.
  - A Locasta?
  - Będziesz ich miał. Zresztą nie wydaje mi się, żebyś mógł się pozbyć Vipusa. Wiesz, jaki on jest, schowałby się w twojej kapsule, gdybyś go zostawił. Jest taki sam jak ty, potrzebna mu porządna bijatyka, żeby mu się rozjaśniło w głowie. Po Isstvanie wszystko wróci do normy.
  - To dobrze. Będę się czuł o wiele lepiej, mając za sobą wsparcie Locasty.
  - No, to akurat prawda, że będziesz potrzebował pomocy – uśmiechnął się Torgaddon.
- Loken też się zaśmiał. Nie dlatego, że rozśmieszyły go te słowa, ale dlatego, że mimo wszystkiego, co się wydarzyło, Torgaddon wciąż był sobą: człowiekiem, któremu można było zaufać, i przyjacielem, na którego można było liczyć.
- Masz rację, Tariku – powiedział. – Po Isstvanie wszystko będzie wyglądało inaczej.

\* \* \*

Główny apotekarion lśnił stalą i szkłem. Dziesiątki sal odchodziły promieniście od okrągłej piasty centralnego laboratorium. Tarvitz poczuł na plecach zimny dreszcz, kiedy zobaczył zmasakrowane ciało kapitana Odovocara zawieszona w zbiorniku anabiotycznym, czekające na pobranie genoziarna.

Eidolon przeszedł przez laboratorium i skręcił w wyłożony płytkami korytarz. Na jego końcu znajdował się złocony westybul, zdominowany przez olbrzymią mozaikę przedstawiającą tryumf Fulgrima na Tarsusie, na którym Prymarcha, pomimo okrutnych ran, pokonał podstępnych eldarów. Eidolon przycisnął jeden z emaliowanych odłamków w pasie Fulgrima, otwierając ukryte przejście – jaśniejący korytarz i kręte, spiralne schody. Wszedł do środka, gestem każąc Tarvitzowi iść za sobą.

W przeciwieństwie do reszty „Androniusza” tu uderzał brak ozdób; schodzący po schodach Tarvitz zobaczył w dole zimną, błękitną poświatę. Kiedy dotarli na sam dół, Eidolon odwrócił się do niego.

- Kapitanie Tarvitz, oto twoja odpowiedź.

Niebieskie światło padało z kilkunastu sięgających do sufitu przezroczystych cylindrów ustawionych pod ścianami pomieszczenia. Każdy z nich wypełniony był cieczą, w której unosiły się niewyraźne kształty – niektóre z grubsza humanoidalne, inne przypominające raczej zlepki narządów czy części ciała. Resztę sali zajmowały lśniąca laboratoryjne stoły zastawione różnymi przyrządami. Przeznaczenia wielu z nich Tarvitz nie potrafił nawet zgadnąć.

Ruszył od zbiornika do zbiornika. Z obrzydzeniem zobaczył, że niektóre pełne były spotworniałego, obrzmiałego ciała, ledwie się w nich mieszczącego.

– Co to jest? – spytał ze zgrozą.

– Obawiam się, że moje wyjaśnienia byłyby niewystarczające – odparł Eidolon i ruszył w stronę łukowatego przejścia prowadzącego do następnego pomieszczenia.

Tarvitz poszedł za nim, po drodze przyglądając się cylindrom jeszcze uważniej. W jednym zobaczył ciało rozmiarów Astartes, ale nie zwłoki, raczej coś, co nigdy nie zostało urodzone; twarz miało zapadniętą i nie do końca wykształconą.

W następnym pływała sama głowa, za to posiadająca wielkie fasetowe oczy jak owad. Kiedy Tarvitz przyjrzał się bliżej, z obrzydzeniem i zgrozą zobaczył, że nie zostały one przeszczepione – nie było widać blizn, a sama czaszka dopasowała się do nich kształtem.

Zostały wyhodowane.

W ostatnim cylindrze ujrzał masę mózgow połączonych w płynnej zawieszynie cielistymi przewodami, każdy z dodatkowymi płatami wyrzuszającymi się niczym guzy.

Z następnego pomieszczenia bił chłód. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy metalowych chłodzi. Saul zastanowił się przelotnie, co może w nich być, ale uznał, że nie chce wiedzieć – wyobraźnia podsuwała mu obrazy najróżniejszych deformacji i mutacji. Na środku stał stół operacyjny, dość duży, by z łatwością pomieścić Legionistę. Nad nim, pod sufitem, zamontowano chirurga.

Na stole leżały równo pokrojone odcinki włókien mięśniowych. Pochylał się nad nimi konsyliarz Fabiusz; posykujące sondy i igły jego nartecjum zagłębiały się w ciemną masę lśniącego, wilgotnego mięsa.

– Konsyliarzu – odezwał się Eidolon – kapitan chciałby dowiedzieć się czegoś o naszym przedsięwzięciu.

Fabiusz wyprostował się zaskoczony. Jego pociągłą, inteligentną twarz okalały długie i jasne włosy. Tylko oczy wydawały się nie na miejscu, małe i ciemne, tkwiące w czaszce jak czarne perły. Miał na sobie sięgającą do podłogi lekarską togę; jej nieskazitelną biel kalały czerwone smugi krwi.

– Doprawdy? – powiedział. – Nie wiedziałem, że kapitan Tarvitz należy do naszego znakomitego towarzystwa.

– Nie należy – odparł Eidolon. – Jeszcze nie.

– W takim razie co tu robisz?

– Moja własna przemiana wyszła na jaw.

– Ach, rozumiem. – Fabiusz pokiwał głową.

– Co się tu dzieje? – spytał ostro Tarvitz. – Co to za miejsce?

Konsyliarz uniósł brew.

– A więc widziałeś rezultaty udoskonalień komandora, tak?

– Jest psionikiem? – spytał Tarvitz oskarżycielsko.

– Nie, nie, nie! – Fabiusz się roześmiał. – Nie jest. Zdolności Lorda Komandora są efektem wszczepienia implantu krtaniowego połączonego z regulacją rytmów genoziarna. Można powiedzieć, że ten przypadek okazał się sukcesem. Jego moce są oparte na procesach chemicznych i metabolicznych, a nie psychicznych.

– Modyfikowałeś genoziarno? – sapnął wstrząśnięty Tarvitz. – Genoziarno to krew naszego Prymarchy... Kiedy się dowie, co tu robicie...

– Nie bądź naiwny, kapitanie – powiedział Fabiusz. – Jak sądzisz, kto rozkazał nam rozpocząć te eksperymenty?

– Nie – zaprotestował Tarvitz. – On by nigdy...

– Dlatego właśnie musiałem ci to pokazać, kapitanie – wtrącił się Eidolon. – Pamiętasz czystkę na Laeranie?

– Oczywiście.

– Nasz Prymarcha zobaczył tam, co Laerowie osiągnęli w dążeniu do cielesnej doskonałości dzięki chemicznej i genetycznej manipulacji swoją strukturą biologiczną. Lord Fulgrim ma wobec naszego Legionu wielkie plany, Tarvitz. Dzieci Imperatora nie mogą spocząć na laurach, kiedy inni Astartes odnoszą takie same za każdym razem, pospolite zwycięstwa. Musimy dążyć ku perfekcji, ale szybko zbliżamy się do momentu, w którym nawet Astartes nie będą w stanie sprostać wymaganiom Lorda Fulgrima i Mistrza Wojny. Żeby tego dokonać, musimy się zmieniać. Musimy ewoluować.

Tarvitz odsunął się od stołu operacyjnego.

– Imperator stworzył Lorda Fulgrima jako wojownika doskonałego, a Legion został ukształtowany na jego obraz. Ku temu obrazowi powinniśmy właśnie dążyć. Branie z ksenosów przykładu doskonałości to bezceństwo!

– Bezceństwo! – powtórzył Eidolon. – Tarvitz, jesteś odważny i zdyscyplinowany, twoi ludzie cię szanują, ale brak ci wyobraźni, żeby dostrzec, dokąd może nas ta praca zaprowadzić. Musisz zrozumieć, że przewaga Legionu jest o wiele ważniejsza niż jakiegokolwiek przyziemne obawy.

Tak śmiałe słowa, arogancja i pycha przewyższająca wszystko, co Eidolon dotąd powiedział, sprawiły, że Saul wstrząśnięty umilkł.

– Gdyby nie twoja przypadkowa obecność przy śmierci Pieśniarki, nie dostałbyś tej szansy, kapitanie – ciągnął Eidolon. – Zrozum, jaką masz przed sobą okazję.

Tarvitz poderwał głowę i spojrzał na niego uważnie.

– Co masz na myśli, Lordzie Komandorze?

– Skoro wiesz już, co chcemy osiągnąć, być może jesteś gotów zacząć decydować o przyszłości Legionu, zamiast być ledwie jednym z liniowych oficerów.

– Istnieje oczywiście pewne ryzyko – oznajmił Fabiusz – ale mógłbym dokonać cudów z twoim ciałem. Mogę sprawić, że staniesz się czymś więcej, niż jesteś, mogę cię wynieść bliżej perfekcji.

– Pomyśl o alternatywie – powiedział Eidolon. – Będziesz walczył i umrzesz, wiedząc, że mogłeś osiągnąć tak wiele.

Tarvitz popatrzył na dwóch wojowników przed sobą. Obaj byli Wybrańcami Fulgrima i przykładami nieustępliwego dążenia Legionu do perfekcji.

Zrozumiał, że jemu samemu bardzo, bardzo wiele brakuje do doskonałości w ich rozumieniu, ale ten jeden raz cieszył się ze swojej ułomności, o ile można to było nazywać ułomnością.

– Nie – powiedział, wycofując się. – To jest... złe. Nie czujecie tego?

– Bardzo dobrze – oznajmił Eidolon. – Podjąłeś decyzję i nie jestem nią zaskoczony. Niech więc tak będzie. Musisz teraz odejść, ale zakazuję ci mówić o tym, co tu widziałeś. Wracaj do swoich ludzi, Tarvitz. Na Istwanie III nie będzie lekko.

– Tak jest, komandorze – rzekł Tarvitz, czując niewypowiedzianą ulgę na myśl o opuszczeniu tej komnaty grozy.

Zasalutował i wyszedł, siłą woli powstrzymując się, żeby nie biec. Miał

wrażenie, że okazy zawieszono w zbiornikach go obserwują.

Kiedy wyszedł w jasność apotekarionu, nie mógł się pozbyć wrażenia, że właśnie poddano go jakiejś próbie.

To, czy ją przeszedł, to już zupełnie inna sprawa.



## **SIEDEM**

### **BÓG-MASZYNA PRZYSŁUGA PODSTĘP**

Wrażenie chłodu prześlizgujące się Cassarowi przez umysł było jak stary przyjaciel, jak pocrzepiający dotyk czegoś znajomego. Metaliczna pieszczota Dies Irae, kiedy interfejsy mózgowe łączyły się z jego świadomością, dla większości ludzi byłaby czymś przerażającym, ale dla moderati Tytusa Cassara pozostawała jednym z nielicznych, niezmiennych pewników, jakie zostały mu w całej galaktyce.

To i Lectitio Divinitatus.

Pogrążony w półmroku mostek Tytana był oświetlony nierzeczywistą poświatą monitorów i wskaźników, wydobywającą z ciemności kontury zdobień w zimnym błękitcie i zieleni. Mechanicum nie próżnowało, wysłało na Tytana swoich zakapturzonych adeptów i mostek był pełen sprzętu, którego przeznaczenia Cassar nie znał. Obsługa reaktora plazmowego w sercu wojennej maszyny przygotowywała ją do bitwy, odkąd „Mściwy Duch” znalazł się w układzie Isstvan, i według wszystkich odczytów główne systemy Dies Irae działały lepiej niż zwykle.

Cassara cieszyło wszystko, co mogło udoskonalić jego maszynę, ale w głębi ducha mierzila go myśl, że dotyka jej ktoś inny. Włókna interfejsu wsunęły się głębiej pod skórę głowy, śląc falę niespodziewanego chłodu. Systemy Tytana zaświeciły się mu przed oczami, jakby były częścią jego własnego ciała. Reaktor plazmowy cicho tykał w pełnej gotowości bojowej, gotów na jeden rozkaz uwolnić nagromadzoną w sobie energię.

– Trochę luzu na systemach motywacyjnych – mruknął do siebie

Cassar, zwiększając ciśnienie w olbrzymich hydraulicznych siłownikach w korpusie i nogach mechanizmu.

– Broń gotowa, amunicja załadowana – powiedział, wiedząc, że wystarczy jego jedna myśl, by rozpętać piekło.

Zaczął widzieć w potędze i wspaniałości Dies Irae uosobienie samego Imperatora. Z początku odrzucał tę myśl, wyśmiewał upór, z jakim Jonasz Aruken twierdził, że Tytan ma duszę, ale stawało się dla niego coraz bardziej oczywiste, czemu został wybrany przez świętą.

Lectitio Divinitatus było w niebezpieczeństwie i wierni potrzebowali obrony. Omal nie roześmiał się na głos, kiedy o tym pomyślał, ale to, co widział na pokładzie medycznym, tylko wzmocniło jego przekonanie, że obrał właściwą drogę.

Tytan był symbolem tej siły, awatarem boskiego gniewu, bogiem-maszyną, który niósł sprawiedliwość Imperatora grzesznikom z Isstvana iii.

– Imperator strzeże – szepnął Cassar. Jego głos poniósł się echem po kolejnych warstwach danych w jego głowie. – I Imperator niszczy.

– Czyżby?

Tytus otrząsnął się z zamyślenia, a systemy Tytana wycofały się do jego podświadomości. Poderwał wzrok w nagłej panice, ale odetchnął z ulgą, widząc stojącego nad nim moderati Arukena.

Aruken pstryknął przełącznik i na mostku zapaliły się światła.

– Musisz uważać, kto cię słyszy, Tytusie, teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

– Przeprowadzałem testy przed bitwą.

– Oczywiście. Jeśli jednak princeps Turnet usłyszy, jak mówisz takie rzeczy, będzie po tobie.

– Moje myśli to moja sprawa, Jonaszu. Nawet princeps nie może mi ich zabronić.

– Naprawdę w to wierzysz? Daj spokój, Tytusie. Dobrze wiesz, że całe to sekciarstwo nie jest dobrze widziane. Mieliśmy szczęście na pokładzie medycznym, ale to sprawa nie na nasze głowy. To zbyt niebezpieczne.

– Teraz nie możemy się już wycofać – rzekł Cassar. – Nie po tym, co widzieliśmy.

– Ja nawet nie mam pewności, co naprawdę widziałem – stwierdził Aruken obronnym tonem.

– Żartujesz, prawda?

– Nie – oznajmił Jonasz zdecydowanie. – Nie żartuję. Posłuchaj,

mówię ci to, bo jesteś dobrym człowiekiem i Dies Irae straciłby, gdyby cię tu nie było. Potrzebuje dobrej załogi, a ty do niej należysz.

– Nie zmieniaj tematu – odparował Cassar. – Obaj wiemy, że to, co widzieliśmy na pokładzie medycznym, to był cud. Musisz to zaakceptować, zanim przyjmiesz Imperatora do swojego serca.

– Posłuchaj mnie. Słyszałem na pokładzie różne plotki – odparł Aruken, nachylając się bliżej. – Turnet wypytywał ludzi. O nas. Pyta, jak głęboko to sięga, czy należymy do jakiegoś tajnego spisku. Zupełnie jakby już nam nie ufał.

– Niech sobie nie ufa.

– Nic nie rozumiesz. W bitwie jesteśmy zgranym zespołem. Jeśli... bo ja wiem... zamkną nas albo gorzej, ten zespół się rozpadnie, a nie ma lepszej załogi dla Dies Irae niż my. Nie pozwól, żeby ta cała afera ze świętą to zniszczyła. To się odbije na Krucjacie.

– Moja wiara nie pozwala mi na kompromisy, Jonaszu.

– Ale tym właśnie tylko jest – warknął Aruken. – Twoją wiara.

– Nie – odparł Tytus i pokręcił głową. – To także twoja wiara, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Aruken nie odpowiedział. Opadł ciężko na swój fotel i ruchem głowy wskazał odczyty przed Cassarem.

– Jak wyglądamy?

– Dobrze. Reaktor pracuje gładko, systemy celownicze reagują szybciej, niż zdarzało się im od jakiegoś czasu. Adepti Mechanicum trochę przy nim podłubali, więc mamy parę nowych bajerów do zabawy.

– Mówisz, jakby to było coś złego. Mechanicum wie, co robi. W każdym razie według najnowszych informacji zostało nam dwanaście godzin do zrzutu. Wysyłają nas jako wsparcie Gwardii Śmierci. Princeps Turnet za parę godzin przeprowadzi odprawę, ale generalnie chodzi o to, żeby potupać, pohłasować i żeby wróg się posrał ze strachu. Brzmi dobrze?

– Brzmi jak bitwa.

– Dla Dies Irae to żadna różnica.

\* \* \*

– To mi przypomina, dlaczego byłem taki dumny – powiedział Loken, patrząc na pokład desantowy „Mściwego Ducha”, gdzie szykowała się pierwsza fala natarcia. – Że należę do Kwadry, że w ogóle biorę udział w tym wszystkim.

– Ja dalej jestem dumny – odparł Torgaddon. – To wciąż jest mój



Legion. Nic się nie zmieniło.

Loken i Torgaddon, w pełnych zbrojach i gotowi do zrzutu, stali na czele kontyngentu Astartes. Zgromadziła się tu ponad jedna trzecia Legionu – tysiące wojowników gotowych na wojnę. Loken patrzył na weteranów i świeżo mianowanych nowicjuszy, drużyny szturmowe z mieczami łańcuchowymi i masywnymi plecakami skokowymi oraz na dewastatorów dźwigających ciężkie boltery i działa laserowe.

Sierżant Lachost rozmawiał ze swoją drużyną łączności, upewniając się, że rozumieją wagę utrzymania połączenia z „Mściwym Duchem”, kiedy już szpica znajdzie się w Mieście Chórów.

Konsyliarz Vaddon sprawdzał raz po raz swój sprzęt – rękawicę nartecjum z wiązką sond oraz reduktor, służący do pobierania genoziaren poległych braci.

Kapitan Iacton Qruze, tak stary, jak tylko stary może być Astartes wciąż nazywany wojownikiem, opowiadał młodemu narybkowi o dawnych tryumfach Legionu, które powinni brać za wzór.

– Wolałbym iść z Dziesiątą – powiedział Loken, odwracając się do przyjaciela.

– A ja z Drugą – odparł Torgaddon. – Ale nie zawsze dostajemy to, co byśmy chcieli.

– Garvi! – zawołał znajomy głos.

Loken odwrócił się i zobaczył zbliżającego się Nerona Vipusa. Sierżant zostawił weteranów z Locasty, którzy kontynuowali przygotowania do zrzutu.

– Neronie – przywitał się Loken – dobrze, że idziesz z nami.

Vipus klepnął go w naramiennik augmented ręką, wszczepioną w miejsce organicznej, straconej na Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście.

– Nie mógłbym przegapić czegoś takiego.

– Wiem, co masz na myśli – przyznał Garviel. Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz zebrali się na „Mściwym Duchu” jako bracia gotowi walczyć za Imperatora. Neron Vipus i Loken byli starymi przyjaciółmi, znali się od na wpół zapomnianych już czasów szkolenia; dobrze było mieć przy sobie jeszcze jedną znajomą twarz.

– Słyszałeś raporty z Isstvana Extremis? – spytał Vipus z błyskiem w oku.

– Niektóre.

– Mówią, że wróg ma jakąś rządzącą kastę psioników, a jego żołnierze

to fanatycy. Nosi mnie, jak tylko o tym pomyślę.

– Nie przejmuj się – rzucił Torgaddon. – Na pewno wszystkich ich pozabijasz.

– Zupełnie jak na Davinie. – Vipus wyszczerzył zęby w grymasie zniecierpliwienia.

– Nie – powiedział Loken. – To nie jest drugi Davin. Zupełnie nie.

– To znaczy?

– Zacznijmy od tego, że nie ma tam cholernych bagien – wtrącił Torgaddon.

– Byłoby zaszczytem, gdybyś poszedł do bitwy z Locastą, Garvi – z nadzieją zmienił temat Vipus. – Mam miejsce w kapsule.

– To dla mnie zaszczyt – odparł Loken i uścisnął dłoń przyjaciela. Do głowy wpadł mu pewien pomysł. – Zajmij dla mnie to miejsce.

Po czym skinął głową przyjaciołom i ruszył między krzątającymi się Astartes do stojącego samotnie Iactona Qruze. Cichy przyglądał się przygotowaniom z nieskrywaną zazdrością i Loken poczuł ukłucie współczucia dla czcigodnego, starego wojownika. Qruze był przykładem tego, jak mało o fizjologii Astartes wiedzieli nawet konsyliarze Legionu. Twarz Legionisty była gruzłowata i pomarszczona jak kora starego dębu, ale ciało miał twarde jak wilk, wyćwiczone latami walk i mimo wieku wciąż mocne.

Astartes był z praktycznego punktu widzenia nieśmiertelny, co oznaczało, że jego służbę kończyła dopiero śmierć w bitwie. Lokenowi przebiegł po plecach zimny dreszcz.

– Lokenie – przywitał go Qruze.

– Nie lecis z nami, by podziwiać widoki Syreniego Grodu? – spytał Garviel.

– Niestety, nie. Mam zostać tutaj i czekać na rozkazy. Nie znalazło się dla mnie miejsce nawet w siłach pacyfikacyjnych.

– Jeśli Mistrz Wojny nie ma wobec ciebie planów, Iactonie, to mógłbyś coś zrobić dla mnie. Jeśli tylko wyświadczyłbyś mi ten zaszczyt.

Qruze zmrużył oczy.

– Co to za przysługa?

– Nic zanadto uciążliwego, zapewniam.

– Mów.

– Na pokładzie jest kilkoro upamiętniaczy, być może o nich słyszałeś. Mersadie Oliton, Euphrati Keeler i Kyril Sindermann.

– Tak, słyszałem – potwierdził Qruze. – Co z nimi?

– To są moi... moi przyjaciele i byłbym zaszczycony, gdybyś zechciał ich odnaleźć i zaopiekować się nimi. Upewnić się, że nic im nie jest.

– Dlaczego ci śmiertelnicy są dla ciebie tacy ważni, kapitanie?

– Dzięki nim pozostaję uczciwy wobec samego siebie, Iactonie. – Loken się uśmiechnął. – I nie zapominam, jacy powinniśmy być jako Astartes.

– To akurat coś, co rozumiem – odparł Qruze. – Legion się zmienia, chłopcze. Wiem, że już cię tym kiedyś zanudzałem, ale czuję w kościach, że tuż za horyzontem czyha na nas coś, czego nie widzimy. Jeśli dzięki tym ludziom możemy pozostać sobą, mi to wystarczy. Sprawa załatwiona, kapitanie Loken.

– Dziękuję ci, Iactonie. To dla mnie wiele znaczy.

– Nie ma za co, chłopcze. – Qruze wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. – A teraz znikaj stąd i zabijaj za żywych.

– Jednostki szpicy na stanowiska – zahuczał głos oficera pokładowego.

– Pomyślnych łowów w Syrenim Grodzie – dokończył Qruze. – Luperkal!

– Luperkal! – powtórzył Loken.

Kiedy biegł w stronę kapsuły desantowej Locasty, czuł się prawie tak, jakby wydarzenia na Davinie poszły w niepamięć i znów był tylko wojownikiem, walczącym w Krucjacie, którą trzeba wygrać, z wrogiem, który zasługiwał na śmierć.

Potrzeba było wojny, żeby znów poczuł się jednym z Synów Horusa.

\* \* \*

– Za zwycięstwo! – krzyknął Lucjusz.

Dzieci Imperatora były tak pewne doskonałości swoich metod prowadzenia wojny, że tradycją wśród nich był toast za zwycięstwo jeszcze przed bitwą. Tarvitza nie zaskoczyło, że wzniosł go Lucjusz. Na przedbitewne celebracje przychodziło wielu starszych stopniem oficerów, a szermierzowi zależało, żeby zostać przez nich zauważonym.

Astartes zasiadający na wystawnej uczcie dookoła niego dołączyli do toastu. Ich wiwaty odbiły się echem od alabastrowych ścian sali bankietowej. Wisiały na nich zdobyczne chorągwie, broń noszona kiedyś przez Wybrańców Fulgrima, pośród nich zaś widniały freski ukazujące bohaterów pokonujących siły obcych – chwalebne pamiątki dawnych zwycięstw.

Samego Prymarchy nie było z nimi, dlatego jego miejsce na uczcie

przypadło Eidolonowi, który zachęcał pozostałych Astartes do święcenia nadchodzącego tryumfu. Lucjusz był równie głośny, raz po raz wznosił toasty dobrym winem w złotym kielichu.

Tarvitz odstawił swój puchar i wstał od stołu.

– Już wychodzisz, Tarvitz? – prychnął Eidolon.

– Właśnie! – wtrącił Lucjusz. – Dopiero zaczęliśmy świętować!

– Jestem pewien, że będziesz świętował za nas dwóch, Lucjuszu – odparł Saul. – Mam kilka spraw do załatwienia przed zrzutem.

– Bzdura! Musisz zostać tu z nami, uraczyć nas wspomnieniami z Rzeźni, o tym, jak pomogłem ci pokonać plagę megarachnidów.

Biesiadnicy zaczęli głośno domagać się, żeby Tarvitz opowiedział tę historię jeszcze raz, ale on podniósł ręce i uciszył ich żądania.

– Może ty ją opowiesz, Lucjuszu? – powiedział. – I tak wydaje mi się, że w mojej wersji twoja rola wydaje ci się niedostatecznie wyeksponowana.

– To prawda – uśmiechnął się Lucjusz. – Dobrze, opowiem tę historię sam.

– Lordzie Komandorze. – Tarvitz ukłonił się Eidolonowi, a potem wyszedł przez złote wrota z sali bankietowej.

Odwołanie się do próżności Lucjusza było najpewniejszym sposobem odwrócenia od siebie jego uwagi. Tarvitz tęsknił za braterską atmosferą świętowania, ale myśli zaprzętały mu inne, pilne sprawy.

Zamknął za sobą drzwi, słysząc, jak Lucjusz zaczyna opowiadać o ich niefortunnej wyprawie na Rzeźnię. Choć początek miała koszmary, w jakiś sposób zakończyła się jednak wielkim tryumfem, w znacznej mierze dzięki samemu Lucjuszowi, jeśli wierzyć jego wersjom.

Majestatyczny korytarz w sercu „Androniusza” był cichy, słychać było tylko miarowy szum okrętu, pokrzepiający w swojej niezmienności. Statek, podobnie jak wiele innych okrętów we flocie Dzieci Imperatora, przypominał starożytny pałac z Terry i odzwierciedlał dążenie Legionu, by wszystkiemu nadawać królewski majestat. Tarvitz szedł przed siebie, mijał przestrzenie, na widok których szkutnicy z Jowisza szlochali by z podziwu, aż dotarł do Sali Rytów, okrągłej komnaty, w której Dzieci Imperatora składały przysięgi i przechodziły ceremonie wiążące je z Legionem. W porównaniu z resztą okrętu sala była ciemna, ale przez to nie mniej majestatyczna: marmurowe kolumny podpierały wysokie, kopulaste sklepienie, a w plamach cienia na obwodzie połyskiwały rytualne ołtarze z marmuru.

Tu właśnie przysięgali służbę Prymarsze Wybrańcy Fulgrima i tu

Tarvitz otrzymał mianowanie na kapitana – przed Ołtarzem Służby. Sala Rytów zastępowała przepych powagą i wydawała się zaprojektowana tak, by onieśmielać obietnicą mądrości, ukrytej przed wszystkimi z wyjątkiem najwyższych oficerów Legionu.

Tarvitz przystanął na progu, widząc charakterystyczną sylwetkę Pradawnego Rylanora, drednota stojącego przed Ołtarzem Oddania.

– Wejdz – zazgrzytał Rylanor swoim sztucznym głosem.

Tarvitz zbliżył się ostrożnie do Pradawnego. Niewyraźna sylwetka wyglądała jak podobny do czołgu sarkofag, wsparty na potężnych, hydraulicznych nogach. Szerokie bary drednota wieńczyło działko szturmowe na jednym ramieniu i wielka, hydrauliczna pięść na drugim. Rylanor powoli, na osi centralnego łożyska, odwrócił się od *Księgi Ceremonii* otwartej na ołtarzu.

– Kapitanie Tarvitz, dlaczego nie jesteś ze swoimi ludźmi? – spytał. Szczelina wzrokowa, w której mieściły się jego obwody optyczne, przyglądała się Saulowi bez emocji.

– Radzą sobie ze świętowaniem wystarczająco dobrze i beze mnie – odparł Tarvitz. – Poza tym nasłuchałem się już tylu wersji opowieści Lucjusza, że wiele chyba nie stracę.

– Ja też za nimi nie przepadam – przyznał Rylanor. Z głośnika jego voxu wydobył się zgrzytliwy, elektroniczny jazgot. W pierwszej chwili Tarvitz pomyślał, że drednot ma usterkę, potem jednak uświadomił sobie, że słyszy jego śmiech.

Rylanor był Pradawnym Rytów Legionu; kiedy nie walczył, odprawiał ceremonie towarzyszące kolejnym szczeblom awansu Astartes, od nowicjusza po Wybrańca Fulgrima. Wiele dziesiątków lat temu został ciężko ranny w walce z dwulicowymi eldarami, nawet konsyliarze Legionu nie byli w stanie go uratować. Dlatego został umieszczony w wojennej maszynie – drednocie, aby móc służyć dalej. Obok Lucjusza i Tarvitz był jednym z oficerów wysyłanych do szturm na kompleks pałacowy Miasta Chórów.

– Chciałbym z tobą pomówić, wielebny Pradawny – powiedział Tarvitz. – O rzucie.

– To już za kilka godzin – odparł Rylanor. – Nie zostało wiele czasu.

– Tak, zbyt długo z tym zwlekałem i przepraszam za to, ale sprawa dotyczy kapitana Odovocara.

– Kapitan Odovocar nie żyje, poległ na Isstvanie Extremis.

– A Legion stracił tego dnia świętego wojownika. – Tarvitz kiwnął

głową. – Nie dość tego: Odovocar miał pełnić rolę starszego oficera sztabowego Eidolona na pokładzie „Androniusza” i przekazywać rozkazy komandora na powierzchnię. Po jego śmierci nie ma nikogo, kto by pełnił tę funkcję.

– Eidolon wie o śmierci Odovocara. Wyznaczy następcę.

– Proszę o zaszczyt pełnienia tej roli – rzekł Tarvitz uroczyście. – Dobrze znałem Odovocara i uważałbym to za należyty hołd, gdybym mógł dokończyć jego dzieło w tej kampanii.

Drednot nachylił się do Tarvitz. Okaleczony wojownik, ukryty za zimnym, nieprzeniknionym obliczem maszyny, rozważał los Saula.

– Chcesz odrzucić zaszczytne miejsce w szpicie natarcia, żeby przejąć jego obowiązki?

Tarvitz spojrział w wizurę Rylanora, starając się zachować neutralny wyraz twarzy. Rylanor oglądał wszystko, co Legion przeszedł od początku Krucjaty, i mówiło się, że potrafi przejrzeć każde kłamstwo w tej samej chwili, w której tylko zostało wypowiedziane.

Prośba Tarvitz o pozostawienie go na pokładzie „Androniusza” była bardzo niezwykła i Rylanor na pewno miał podejrzenia co do jego motywów. Kiedy jednak Saul dowiedział się, że Eidolon nie prowadzi desantu osobiście, zrozumiał, że musi być ku temu jakiś powód. Lord Komandor nigdy nie przepuszczał okazji, by zabłysnąć swoim wojennym kunsztem, i nie zdarzyło się jeszcze, by wyznaczył kogoś na swoje miejsce.

Jakby tego było mało, plan szturm, który przygotował, nie miał sensu.

Zamiast normalnego, rygorystycznie rozplanowanego układu jednostek, typowego dla natarcia Dzieci Imperatora, siły mające przeprowadzić pierwsze uderzenie wydawały się wybrane na chybił trafił. Jedyne, co je łączyło, to że nie pochodziły z Zakonów dowodzonych przez ulubionych lordów komandorów Eidolona. Niewłączenie oddziałów owych faworytów do desantu było z jego strony rzeczą niesłychaną i wielką obrazą.

Cały ten zrzut wyglądał bardzo podejrzanie i Tarvitz nie mógł się pozbyć wrażenia, że za wyborem tych konkretnych wojowników stoi jakiś ponury cel. Musiał się dowiedzieć jaki.

Rylanor się wyprostował.

– Dopilnuję, żebyś został zastąpiony. To wielkie poświęcenie, kapitanie Tarvitz. Oddajesz wielką cześć pamięci Odovocara.

Saul z trudem ukrył ulgę. Wiedział, że kłamiąc Rylanorowi, podjął niewyobrażalne ryzyko. Kiwnął głową.

– Dziękuję, Pradawny.  
– Udam się do oddziałów szpicy – oznajmił drednot. – Ich uczta wkrótce się skończy i muszę dopilnować, żeby były gotowe do bitwy.  
– Zanieś perfekcję do Miasta Chórów – pozdrowił go Tarvitz.  
– Prowadź nas dobrze – odparł Rylanor tonem, w którym słychać było niewypowiedzianą sugestię. Tarvitz nagle nabrał pewności, że drednot chce, żeby został na okręcie. – Buduj dzieło Imperatora, kapitanie Tarvitz.

Saul zasalutował.

– Tak jest.

Rylanor ruszył przez Salę Rytów w kierunku pomieszczenia, gdzie odbywała się uczta. Każdy jego krok rozbrzmiewał ciężkim echem.

Tarvitz odprowadzał go wzrokiem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Pradawnego.

\* \* \*

Dormitoria wpuszczone w grube ściany wzdłuż pomostu były ciemne i duszne. Stojąca w drzwiach Mersadie obserwowała maszynownię w dole. Z tej odległości załoga składała się z nieodróżnialnych spoconych postaci, pracujących w piekielnym upale i czerwonej poświacie plazmowych reaktorów. Ludzie biegali pomostami między reaktorami i wspinali się po grubych przewodach, zwisających w półmroku niczym pajęczne sieci.

Mersadie otarła pot z czoła. Nie była przyzwyczajona do takich warunków, od gorąca i ciasnoty było jej słabo.

– Mersadie – przywitał ją Sindermann, który nadszedł pomostem. Iterator jeszcze bardziej stracił na wadze, brudne szaty zwisały luźno z jego i tak wątych ramion, ale na jej widok rozpromienił się z radości i ulgi. Objęli się serdecznie, niewymownie wdzięczni, że znów się widzą. Mersadie na widok starca poczuła szczypanie łez w oczach – aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskniła.

– Kyril, tak dobrze znów cię widzieć – załkała. – Po prostu zniknąłeś. Myślałam, że cię dopadli. Nie wiedziałam, co się z tobą stało.

– Ćśśśś, Mersadie. Już dobrze. Przepraszam, że nie mogłem ci dać znać. Zrozum, gdybym miał wybór, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby cię w to nie mieszać. Ale już nie wiem, co robić. Nie możemy jej tu trzymać wiecznie.

Mersadie zajrzała przez drzwi do dormitorium, przed którym stali, żałując, że nie ma odwagi uwierzyć tak jak Kyril.

– Nie bądź śmieszny. Cieszę się, że się ze mną skontaktowałeś,

myślałam... Myślałam, że Maloghurst albo Maggard cię zabił.

– Maggardowi niewiele brakowało – odparł Sindermann. – Ale święta nas ocaliła.

– Ocaliła was? Jak?

– Nie wiem dokładnie, ale to było coś takiego jak w archiwum. Była w niej moc Imperatora. Widziałem to, Mersadie, tak samo jak widzę teraz ciebie. Szkoda, że ty nie mogłaś tego zobaczyć.

– Ja też żałuję – stwierdziła Mersadie i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że to prawda.

Weszła do dormitorium i spojrzała na nieruchomą Euphrati Keeler leżącą na wąskim, składanym łóżku. Upamiętniaczka wyglądała, jakby spała. Pokoik był ciasny i brudny. Na podłodze obok łóżka leżał rozłożony cienki koc.

Przez nieduży bulaj wpadało do środka mrugające światło gwiazd, coś bardzo cennego tak głęboko w trzewiach okrętu. Bez pytania wiedziała, że ktoś z radością oddał swój cenny pokój, by służył świętej i jej towarzyszowi.

Nawet tutaj, w ciemności i smrodzie, rozkwitała wiara.

– Chciałabym móc uwierzyć – powiedziała Mersadie, patrząc, jak pierś Euphrati rytmicznie unosi się i opada.

– A nie wierzysz?

– Nie wiem – odparła i pokręciła głową. – Powiedz mi, czemu miałabym wierzyć? Co dla ciebie znaczy wiara, Kyrilu?

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

– Daje mi coś, czego mogę się trzymać. Na tym statku są ludzie, którzy chcą ją zabić, a mimo to... nie pytaj mnie skąd, po prostu wiem, że muszę ją chronić.

– Nie boisz się?

– Czy się boję? Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony, moja droga, ale muszę mieć nadzieję, że Imperator nade mną czuwa. To mi daje siłę i wolę przeciwstawiania się strachowi.

– Wyjątkowy z ciebie człowiek, Kyrilu.

– Nie jestem wyjątkowy, Mersadie. – Sindermann potrząsnął głową. – Miałem szczęście. Widziałem, co zrobiła święta, więc łatwo przyszło mi uwierzyć. Dla ciebie to trudne, bo niczego nie widziałaś. Musisz po prostu przyjąć, że Imperator działa przez Euphrati, ale to trudne, prawda?

Mersadie odwróciła się i wysunęła dłoń z jego dłoni. Zapatrzyła się przez bulaj w kosmos.



– Nie. Nie umiem. Jeszcze nie teraz.

Za szybą, niczym spadająca gwiazda, przemknęła biała smuga. Za nią następna i jeszcze jedna.

– Co to?

Sindermann przysunął się, żeby lepiej widzieć.

Mimo jego wyczerpania Mersadie dostrzegła w nim siłę, którą wcześniej brała za rzecz oczywistą.

Mrugnięciem utrwaliła obraz, uwieczniając waleczność i odwagę, które zobaczyła w jego twarzy.

– Kapsuły desantowe – powiedział, wskazując na nieruchomy lśniący obiekt na tle czerni, znajdujący się bliżej Istvana III. W kierunku powierzchni planety wystrzeliły z niego maleńkie iskierki. – To chyba „Androniusz”, flagowiec Fulgrima. Wygląda na to, że atak, o którym słyszeliśmy, właśnie się rozpoczął. Wyobraź sobie, jak by to było, gdybyśmy mogli być jego świadkami.

Euphrati jęknęła i oboje przysunęli się do jej łóżka, natychmiast zapominając o ataku na planetę. Sindermann delikatnie otarł jej czoło o skórce tak jasnej, że wydawała się świecić, a Mersadie wyraźnie zobaczyła jego miłość.

Przez krótką chwilę rozumiała, dlaczego ludzie wierzyli w cudowność Euphrati. Była taka blada i krucha, a zarazem niezbrukana przez otaczający ją świat. Mersadie znała Keefer jako zadziorną kobietę, która nie boi się mówić, co myśli, czy nagiąć zasady, żeby tylko móc zrobić wspaniałe zdjęcia, z których zasłuzenie słynęła. Teraz jednak była już czymś zupełnie innym.

– Budzi się? – spytała.

– Nie – odparł Sindermann ze smutkiem. – Wydaje dźwięki, ale nigdy nie otwiera oczu. To taka strata. Czasami mógłbym przysiąc, że jest na krawędzi przebudzenia, ale potem znów zapada się w jakieś piekło, które przeżywa w swojej głowie.

Mersadie westchnęła i wyjrzała ponownie w kosmos.

Kropki światła pędziły setkami w stronę Istvana III. Szpica uderzyła.

– Lokenie...

\* \* \*

Miasto Chórów zapierało dech w piersiach.

Jego projekt był arcydziełem architektury, grę światła w przestrzeni rozplanowano tak cudownie, że Peeter Egon Momus błagał Mistrza Wojny, by nie szturmować z taką brutalnością. Miasto starsze o tysiąclecia od

Imperium, które przybyło zająć je w imieniu Imperatora, jego ulice i place, miało się wkrótce zmienić w śliskie od krwi pobożowisko.

Podczas gdy pancerny walec uległości czynił galaktykę uporządkowaną i racjonalną, Miasto Chórów pozostało mieszkaniem bogów.

Pałac Precentora – przyprawiający o zawrót głowy, mieniący się w słońcu labirynt lśniących, marmurowych łuków i przypór – otwierał się ku niebu niczym olbrzymia kamienna orchidea, otoczony niby wyznawcami polerowanym granitem najbogatszych dzielnic miasta. Momus nazwał go hymnem na cześć potęgi i chwały, symbolem boskiego prawa, które miało władać Isstvanem III.

Dalej od pałacu, za architektoniczną perfekcją Miasta Chórów, rozciągały się wielowarstwowe połączenia dzielnic mieszkalnych. Między domami, spiętymi niezliczonymi galeriami i mostami ze szkła i stali, ciągnęły się szerokie kaniony zadrzewionych bulwarów, przy których żyli mieszkańcy.

Przemysłowe zagłębienie miasta pięło się niczym stalowy szkielet po wschodnim zboczu gór; buchające czarnym dymem fabryki wypluwały broń dla armii planety. Nadchodziła wojna i każdy Isstvanczyk musiał być gotowy do walki.

Ale nic w Mieście Chórów nie mogło się równać z Syrenim Grodem.

Nie przyćmiewał go nawet przepych pałacu. Wyniosłe mury umocnień definiowały Miasto Chórów swoim ogromem, pomniejszały wszystko dookoła, a sama święta forteca zawstydzała nawet ośnieżone szczyty gór. W obrębie jej murów ku niebu pięły się gigantyczne wieże-grobowce o ścianach zdobionych monumentalnymi rzeźbami ilustrującymi legendarną przeszłość Isstvana.

Legandy owe głosiły, że sam Isstvan stworzył świat mocą swojej muzyki, którą wciąż słyszały błogosławione Pieśniarki, i że spłodził niezliczone dzieci, którymi zaludnił planetę u jej zarania. Dzieci te stały się potem nocą i dniem, morzami i górami, i tysiącem legend, których oddech czuć było w każdej chwili i każdego dnia w Mieście Chórów.

Mroczniejsze rzeźby opowiadały o Zagubionych Dzieciach, synach i córkach, którzy wyparli się ojca i zostali wygnani na bezludne pustkowie piątej planety układu, gdzie zmienili się w płonące zazdrością potwory, wzniesli czarne fortece i rozpamiętywali w nich swoje wygnanie z raju.

Wojna, zdrada, objawienie i śmierć: wszystko to przenikało Syreni Gród niekończącymi się cyklami mitów, a ciężar ich znaczenia spajał Miasto

Chórów z całym Isstvanem III i napawał każdego mieszkańca poczuciem świętej misji.

Mówiło się, że w Syrenim Grodzie spali bogowie planety, szeptem snujący swoje mordercze intrygi, śnione w koszmarach dzieci i starców.

Przez długi czas mity i legendy pozostawały odległe od życia mieszkańców Miasta Chórów, teraz jednak na powrót kroczyły pośród nich, a każdy oddech wiatru krzyczał o powrocie Zagubionych Dzieci.

Nie wiedząc dlaczego, populacja Isstvana III uzbroiła się i bez pytania wykonała rozkaz Vardusa Praala, by bronić swojego miasta. Armia dobrze uzbrojonych żołnierzy czekała na z dawna zapowiedzianą inwazję na zachodnich rubieżach miasta, gdzie Pieśniarki śpiewem stworzyły solidną sieć umocnień.

Działa ustawione w lśniących kanionach ulic skierowały lufy na zachód, gotowe rozgnieść każdego wroga, zanim ten dotarłby do okopów. Żołnierze Miasta Chórów mieli dokończyć rzezi, wycinając niedobitków starannie zaplanowanym ogniem krzyżowym.

Umocnienia zostały drobiazgowo przygotowane, chroniły miasto od ataku z zachodu, jedyne go kierunku, z którego mogła nadejść inwazja.

A przynajmniej tak powiedziano żołnierzom w okopach.

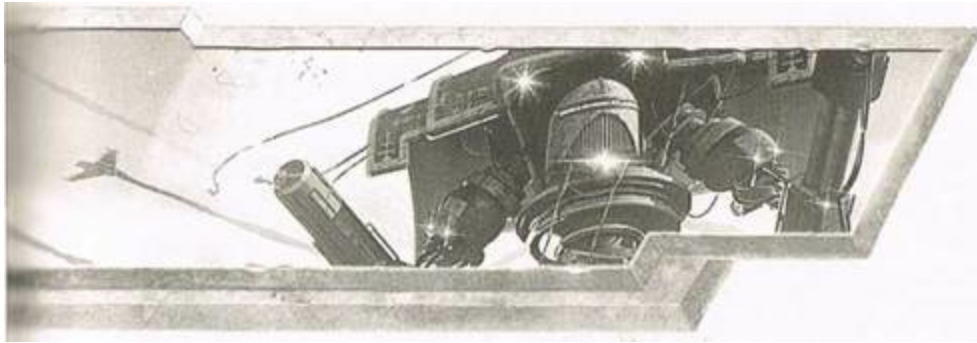
Pierwszym zwiastunem był ogień na porannym niebie. Krwawoczerwony firmament przecięły spadające gwiazdy, płonące niczym ogniste łyzy. Wartownicy w okopach zobaczyli, jak mkną w dół niczym płomieniste włócznie; pierwsza wbiła się w okopy w fontannie błota i ognia.

Miasto Chórów z prędkością myśli obiegła wieść, że Zagubione Dzieci powróciły, że przepowiednia się ziszcza.

Pogłoska okazała się prawdą, kiedy kapsuły desantowe pękły i wyłonili się z nich Legioniści Gwardii Śmierci.

I rozpoczęła się rzeź.

**CZĘŚĆ DRUGA**  
**MIASTO CHÓRÓW**



## JEDEN

### ŻOŁNIERZE Z PIEKŁA RZEŹ ZDRADA

Trzydzieści sekund! – wrzasnął Vipus głosem ledwie słyszalnym przez wycie turbin kapsuły pędzącej przez atmosferę Isstvana III. Astartes Locasty byli skąpani w czerwonym świetle i Loken wyobraził sobie, jak będą wyglądali dla mieszkańców Miasta Chórów, kiedy zaczną się atak: wojownicy z innego świata, żołnierze z piekła.

– Jak wygląda punkt lądowania? – krzyknął.

Vipus zerknął na wyświetlacz nad głową.

– Znosi nas! Trafimy w cel, ale nie centralnie. Nienawidzę tych kapsuł, dajcie mi porządnego stormbirda!

Loken nie próbował odpowiadać. Ledwie słyszał Nerona. Atmosfera wokół kapsuły zgęstniała i odpaliły dolne dysze. Kapsuła zadygotała i zaczęła się nagrzewać, napierające na nią olbrzymie siły przekładały się na ogień i huk.

Loken przeczekał ostatnie kilka minut, kiedy wszystko dookoła było hałasem; nie widział wroga, z którym miał walczyć, i nie miał kontroli nad swoim losem, dopóki kapsuła nie wyląduje.

Neron miał rację, mówiąc, że woli desant ze stormbirdów – każdy Astartes wolał precyzyjny, chirurgiczny zrzut z powietrza niż takie bezwładne spadanie.

Jednak Mistrz Wojny zdecydował, że szpica natarcia zostanie zrzucona w kapsułach, rozumując – słusznie, zdaniem Lokena – że tysiące Astartes wbijające się bez ostrzeżenia w sam środek umocnień wroga wywrą

o wiele bardziej druzgocący efekt. Przygotowując się na wybuchowe otwarcie klap, Garviel wyobraził sobie chwilę, kiedy kapsuła uderzy o ziemię.

Mocno ścisnął bolter i po raz dziesiąty upewnił się, że w pochwie u boku ma swój miecz łańcuchowy. Był gotowy.

– Locasta, dziesięć sekund! – krzyknął Vipus.

Niecałą sekundę później kapsuła uderzyła w coś z taką siłą, że szarpnięta głowa Lokena poleciała w tył.

I nagle hałas zniknął, i wszystko ogarnęła ciemność.

\* \* \*

Lucjusz zabił pierwszego wroga, nie zwalniając nawet kroku.

Zbroja zabitego była jak ze szkła, migotliwa i mieniąca się, ostrze jego halabardy zrobiono z tego samego materiału. Twarz zakrywała maska z witrażowym wzorem, usta z ołowiowej spoiny wypełniały zęby z trójkątnych klejnotów.

Lucjusz wyrwał dymiący od krwi miecz, a żołnierz runął na ziemię. Nad nimi w blasku świtu lśnił czerwienią marmurowy łuk. W powietrzu unosiła się chmura kurzu i pyłu, wzbita lądowaniem kapsuły, z której Lucjusz właśnie wyskoczył.

Przed nim wznosił się Pałac Precentora, olbrzymi i onieśmiałający, wyglądający niczym kamienny kwiat z iglicą na środku i granitowymi płatkami zachodzącymi na siebie w skomplikowanym układzie.

Z tyłu o ziemię uderzały następne kapsuły; plac wokół północnych wejść do pałacu był dla Dzieci Imperatora głównym celem. Jeden z pobliskich lądowników otworzył się z hukiem i z jego oświetlonego na czerwono wnętrza wyłonił się Pradawny Rylanor. Działko szturmowe drednota już się obracało i wyszukiwało cele.

– Nasicae! – krzyknął Lucjusz. – Do mnie!

Zobaczył błysk kolorowego szkła z wnętrza pałacu, ruch za szerokimi kamiennymi płytami wejściowymi.

Coraz więcej pałacowej straży reagowało na nagły atak, ale w przeciwieństwie do tego, czego Lucjusz się spodziewał, nie krzyczeli ani nie błagali o litość. Nie uciekali także ani nie stali nieruchomo, odrętwiali i zszokowani.

Ze straszliwym okrzykiem strażnicy zaatakowali, a Lucjusz się zaśmiał, zachwycony, że walczy z wrogiem, który ma trochę ikry. Opuścił poziomo miecz i pobiegł w ich stronę. Tuż za nim biegła z bronią w

gotowości drużyna Nasicae.

Szarżowała na nich setka pałacowych strażników, olśniewających w swoich szklanych zbrojach. Utworzyli przed Astartes linię, opuścili halabardy i otworzyli ogień.

Powietrze wokół Lucjusza wypełniły srebrzyste, ogniste igły, które wyryły mu głębokie bruzdy w naramienniku i zbroi na nodze. Wojownik osłonił głowę ręką z mieczem i pociski odbiły się z sykiem od rozżarzonej klingi. W miejscach, gdzie trafiały w mur lub posadzkę wokół wejścia, kamień bulgotał i syczał jak kwas.

Jeden z członków Nasicae padł obok Lucjusza ze stopioną ręką i bulgocącym brzuchem.

– Perfekcja i śmierć! – krzyknął szermierz, pędząc między rozżarzonymi do białości srebrzystymi igłami. Z odgłosem miliona pękających szyb Dzieci Imperatora i straż pałacowa zderzyli się; straszliwe wycie strzelających halabard przeszło w brzęk ostrzy uderzających o pancerze i łoskot ognia z bolterów.

Pierwszy cios miecza Lucjusza przeciął drzewce halabardy i rozdarł gardło żołnierza przed nim. Patrzyły na niego niewidzące szklane oczy, spod maski tryskała krew. Szermierz zerwał przeciwnikowi hełm, żeby móc pełniej napawać się jego umieraniem.

Pistolet plazmowy plunął jęzorem płynnego ognia, który spowił jednego z żołnierzy wroga od stóp do głów płomieniami, ale tamten dalej walczył – ściał halabardą jednego z Legionistów, zanim inny zerwał mu głowę z ramion łańcuchowym mieczem.

Lucjusz obrócił się na jednej nodze, uciekając spod ciosu halabardy, i rąbnął przeciwnika głowicą miecza w twarz. Poczul ukłucie złości, kiedy maska hełmu nie pękła. Strażnik cofnął się chwiejnie, a Lucjusz obrócił miecz w dłoni i pchnął nim między płyty na brzuchu przeciwnika. Pole energetyczne klingi przepaliło wnętrzności i kręgosłup.

Strażnicy spowalniali natarcie Dzieci Imperatora, za cenę swojego życia kupując czas czemuś, co znajdowało się w głębi pałacu. Choć Lucjusz rozkoszował się rzezią, zapachem posoki, przenikliwym smrodem ciała palonego żarem jego miecza i hukiem krwi w uszach, wiedział, że nie może dać obrońcom tego czasu.

Pobiegł naprzód, odrąbując kończyny i tnąc gardła. Walczył, jakby wykonywał kolejne kroki złożonego tańca, baletu, w którym grał rolę zwycięzcy, a jedynym zadaniem wroga było umrzeć. Gwardia pałacowa

ginęła wokół niego, zbroję miał zbryzganą krwią. Zaśmiał się z czystej radości.

Astartes za nim wciąż walczyli, a Lucjusz parł dalej, by zdążyć, zanim straż zdoła zdusić ich natarcie przewagą liczebną.

– Drużyny Quemondil! Rethaerin! Zabić ich i za mną!

Pod ostrzałem ze wszystkich stron Dzieci Imperatora ruszyły w stronę skrzyżowania korytarzy, do którego dotarł Lucjusz. Szermierz wyrwał za róg i zobaczył oszałamiający widok. Przez otwór na środku kolosalnej granitowej kopuły spływał wodospad, obok niego zaś padał snop różowego światła, rzucający jaskrawe, kolorowe tęcze pomiędzy lukami stworzonymi przez płyty kopuły.

Z czegoś na kształt wewnętrznego morza, zajmującego większą część potężnej budowli, wyłaniały się wyspy, każda zwieńczona malowniczą altaną z bieli i złota.

Pod kopułą zebrały się tysiące żołnierzy pałacowej straży; brnęli w stronę Astartes w wodzie po pas i zajmowali pozycje między altanami. Większość nosiła szkliste zbroje, takie same jak ci, którzy wciąż jeszcze ginęli za plecami Lucjusza, ale wielu z nich miało na sobie znacznie bardziej misterne pancerze barwy jasnego srebra. Jeszcze innych spowijały długie, jedwabne wstęgi, w ruchu powiewające za nimi jak dym.

Do kopuły za Lucjuszem wkroczył drednot. Lufy jego działka szturmowego dymiły, a dłutowate chwytaki energetycznej rękawicy oblepiała gruba warstwa krwi.

– Grupują się – warknął Lucjusz. – Gdzie są ci przekłeci Pożeracze Światów?

– Będziemy musieli zdobyć pałac sami – odparł Rylanor zgrzytliwym głosem, dobywającym się z głębi jego sarkofagu.

Lucjusz kiwnął głową, zadowolony, że ma okazję zawstydzić Pożeraczy.

– Pradawny, osłaniaj nas. Dzieci Imperatora, ogień osłonowy! Nasicae, tym razem macie nadążyć!

Pradawny Rylanor wyszedł za róg i powietrze wokół niego zgęstniało od nawały ognia. Z działka na jego ramieniu posypał się grad wielkokalibrowych łusek i buchnął tłusty dym.

Eksplodujące pociski pogruchootały kamień najbliższych altan. Z ruin wypadły poszarpane, zakrwawione trupy.

– Naprzód! – krzyknął Lucjusz, ale Dzieci Imperatora już szarżowały.



Ich wyszkolenie było tak gruntowne, że każdy Legionista znał swoje miejsce w złożonym układzie nakładających się pól ostrzału i ruchu, według którego grupa uderzeniowa przypuściła szturm w głąb kopuły.

Twarz nacierającego Lucjusza rozświetliła dzika radość. Bitewna gorączka i przyjemność zabijania podniecały go aż do cudownej przesady.

Do Miasta Chórów w wirującej kakofonii dźwięku przybyła perfekcja śmierci.

\* \* \*

Po południowej stronie pałacu do jego murów przylegał dziwny, wyglądający na organiczny budynek, którego pękate, płynne kształty przypominały raczej coś wyhodowanego niż zbudowanego. Jasny marmur ścian poznaczony był ciemnymi żyłkami, a masywne blanki zwisały niczym dojrzałe owoce. Sądząc po ilości marmurowych sarkofagów, należących do najznakomitszych i najpotężniejszych obywateli miasta, stawało się jasne, że to święte miejsce.

Była to Świątynia Pieśni, upamiętniająca muzykę, którą wyśpiewał Ojciec Isstvan, tworząc wszechświat.

Był to także cel Pożeraczy Światów.

Kiedy pierwsza kapsuła wbiła się w powierzchnię placu, miażdżąc nagrobki i wyrzucając w powietrze kawałki marmuru, było już wiadomo, że inwazja się rozpoczęła. W porannym powietrzu rozległa się dziwna, zawodząca muzyka, wzywająca mieszkańców Miasta Chórów do chwycenia za broń. Żołnierze z pobliskich koszar porwali za karabiny, a na blankach świątyni pojawiły się Pieśniarki, by wyśpiewać najeźdźcom pieśń śmierci.

Wezwani lamentem mieszkańcy miasta wylegli na ulice i ruszyli tłumnie w stronę bitwy.

Grupą uderzeniową Pożeraczy Światów dowodził kapitan Ehrlen. Wyskakując z kapsuły, spodziewał się zobaczyć wyszkolonych żołnierzy, o których mówił na odprawie Angron, a nie tysiące wrzeszczących cywilów wbiegających na plac. Nadeszli falą, uzbrojeni we wszystko, co znaleźli w domach, ale to nie broń czyniła ich śmiertelnie groźnymi, lecz ich przewaga liczebna i straszliwa pieśń, zwiastująca rzeź i mord.

– Pożeracze Światów, do mnie! – wrzasnął Ehrlen, podrzucił do ramienia bolter i wycełował w nacierającą ludzką masę.

Astartes w białych zbrojach utworzyli wokół niego linię, zwracając broń na zewnątrz.

– Ognia! – krzyknął kapitan. Pierwsze szeregi mieszkańców Miasta

Chórów zostały skoszone śmiertoczną salwą, ale zbliżający się tłum wezbrał jak wiosenna fala i przelał się przez wał trupów.

Dystans zrobił się za krótki na ostrzał. Pożeracze Światów odrzucili boltery i wyciągnęli miecze łańcuchowe. Ehrlen zobaczył w oczach wrogów bezrozumną nienawiść i zrozumiał, że ta bitwa wkrótce przeistoczy się w masakrę.

A jeśli było coś, w czym Pożeracze Światów wiedli prym, była tym właśnie masakra.

\* \* \*

– Niech to szlag – warknął Vipus. – Musieliśmy uderzyć o coś przy lądowaniu.

Loken zmusił się do otwarcia oczu. Wnętrze kapsuły rozjaśniał tylko pojedynczy, wąski pasek światła, wpadający przez pękniętą powłokę, ale to wystarczyło, by się upewnić, że jest wciąż w jednym kawałku.

Był poobijany, ale chyba nie stało się mu nic poważniejszego.

– Locasta, odlicz! – rozkazał Yipus.

Członkowie drużyny wykrzyczeli swoje imiona. Lokenowi ulżyło, kiedy usłyszał, że żaden z nich nie ucierpiał podczas zderzenia. Rozpiął klamrę uprząży grawitacyjnej, przetoczył się i wstał. Kapsuła była przekrzywiona pod nienaturalnym kątem. Kapitan wyjął bolter z uchwytu i przecisnął się przez wąską szczelinę pęknięcia.

Kiedy wyszedł na jasne słońce, zobaczył, że uderzyli w kamienny występ jednej z wież. Zniszczoną kapsułę otaczał pozostały z niej gruz. Loken okrążył wrak. Byli jakieś dwieście metrów nad ziemią, wkliniwani między potężne blanki Syreniego Grodu.

Po lewej stronie ujrzał wspaniałe wieże-grobowce z posągami, po prawej zaś samo Miasto Chórów, skąpane w różanym blasku świtu. Z tej wysokości widział je całe, niewiarygodny kamienny kwiat pałacu i umocnienia na zachodzie, wyglądające jak blizny w krajobrazie.

Od strony pałacu dobiegł go odgłos wystrzałów. Zrozumiał, że Dzieci Imperatora i Pożeracze Światów starli się już z wrogiem. Strzały rozbrzmiały także w dole: oddziały Synów Horusa walczyły w gmatwaninie kaplic i pomników wypełniających kaniony ulic u podnóża wież-grobowców.

– Musimy znaleźć drogę na dół – stwierdził Loken, kiedy wojownicy Locasty wydostali się z wraku kapsuły. Vipus podbiegł do niego z bronią w gotowości.

– Cholerni mierniczy musieli nie wziąć pod uwagę balkonów –

burknął.

– Na to wygląda – przytaknął Garviel. Na jego oczach inna kapsuła odbiła się od ściany wieży-grobowca i pokoziołkowała w dół w deszczu potrzaskanych posągów.

– Nasi bracia giną – powiedział z goryczą. – Ktoś za to zapłaci.

– Wygląda na to, że nas rozrzuciło – zauważył Vipus, zerkając w dół, w głąb Syreniego Grodu. Mniejsze kaplice i świątynie pomiędzy wieżami wspierały się jedna na drugiej niczym jakaś skomplikowana układanka.

Ponad polem walki unosiły się już pióropusze czarnego dymu, widać było rozbłyski eksplozji.

– Musimy znaleźć miejsce, żeby się przegrupować – powiedział Loken. Przełączył vox na kanał Torgaddona. – Tarik? Tu Loken, gdzie jesteś?

Jedyną odpowiedzią był trzask zakłóceń.

Loken spojrział na Syreni Gród i zobaczył wieżę blisko muru, wspartą na kolumnach ukształtowanych w potwory, z wierzchołkiem utraconym przez spadającą kapsułę.

– Niech to szlag. Tariku, jeśli mnie słyszysz, dostańcie się do wieży pod zachodnim murem, tej z roztrzaskanym szczytem. Tam się przegrupujcie. Idę do was.

– I co? – spytał Yipus.

– Nic. Vox nie działa. Coś go zakłóca.

– Wieże?

– Nie sądzę. Chodź. Spróbujmy zejść z tego cholernego muru.

Vipus kiwnął głową i odwrócił się do swoich ludzi.

– Locasta, szukać drogi na dół.

Legioniści rozbiegli się na rozkaz, a Loken wychylił się za blanki. W dole zobaczył maleńkie figurki Astartes ostrzeliwujących się z jakimiś żołnierzami w czarnych zbrojach. Odwrócił się, desperacko pragnąc znaleźć drogę na dół.

– Tutaj! – krzyknął brat Casto, operator miotacza ognia. – Schody.

– Dobra robota – rzekł Loken i podszedł do Casta. Faktycznie, za wysokim, zżartym przez erozję posągami starożytnego wojownika, w kamiennej ścianie koloru piasku ujrzał biegnące w dół schody.

Zejście wyglądało na wycięte prowizorycznie i niewykończone, kamień był porowaty i kruszył się ze starości.

– Naprzód – powiedział Vipus. – Casto, prowadzisz.

– Tak jest, kapitanie – odparł wojownik i zanurzył się w mrok

przejścia.

Loken i Vipus poszli za nim, ledwie mieszcząc się w otworze. Schody biegły jakieś dziesięć metrów w dół i prowadziły na szeroką, niską galerię.

– Mur musi być pusty w środku – zawyrokował Yipus.

– Katakumby – stwierdził Loken, wskazując nisze w ścianach, w których spoczywały pleśniejące szkielety, niektóre wciąż owinięte w podarte szmaty.

Casto poprowadził ich wzdłuż galerii. Im dalej szli, tym liczniejsze były zwłoki. Szkielety leżały w dwóch albo trzech warstwach.

Vipus nagle się obejrzał, poderwał do ramienia bolter z palcem na spuście.

– Neronie?

– Wydawało mi się, że coś słyszałem.

– Za nami czysto – rzekł Loken. – Idź dalej i skup się. To może...

– Ruch! – zawołał Casto i posłał w ciemność przed sobą żółtopomarańczowy strumień ognia ze swojego miotacza.

– Casto! – warknął Vipus. – Melduj! Co widzisz?

Astartes się zawahał.

– Nie wiem. Cokolwiek to było, zniknęło.

W niszach huczały płomienie, żarłocznie pożerające gołe kości. Loken zobaczył, że przed nimi nie ma żadnego wroga, tylko istwańscy zmarli.

– Pusto – powiedział Vipus. – Skupić się, Locasta, nie bać się cieni! Jesteście Synami Horusa!

Drużyna przyspieszyła kroku. Astartes wyrzucili z głów myśli o ukrytych wrogach i szybko minęli płonące nisze.

Galeria wychodziła na dużą komnatę. Loken domyślił się, że musiała ona zajmować całą szerokość muru. Jedyne światło pochodziło z płomyka tańczącego pod lufą miotacza Casta; jego żółty blask ukazywał grube kamienne bloki grobowca.

Loken zobaczył sarkofag z czarnego granitu, otoczony rzeźbami klęczących ludzi z pochylonymi głowami i dłońmi skutymi z przodu łańcuchami. Panele wprawione w ściany pokryte były ceremonialnymi płaskorzeźbami scen wojennych.

– Casto, naprzód – rozkazał Vipus. – Szukaj drogi w dół.

Loken podszedł do sarkofagu i przesunął dłoń po jego długiej pokrywie. Wyrzeźbiono na niej ludzką postać, wiedział jednak, że nie mógł to być portret znajdującego się w środku ciała: twarz rzeźby nie miała

żadnych rysów oprócz trójkątnych oczu zrobionych z odłamków kolorowego szkła.

Mimo grubych kamiennych murów Loken słyszał dobiegającą z zewnątrz pieśń z Syreniego Grodu – samotny, żałobny dźwięk, unoszący się i opadający, oplatający wieże-grobowce.

– Pieśniarka – powiedział z goryczą. – Kontratakują. Musimy dostać się na dół.

\* \* \*

Straż pałacowa w srebrnych zbrojach zaczęła latać.

Otoczeni płonącymi łukami białej energii żołnierze skoczyli w górę, nad nacierające Dzieci Imperatora, tnąc w dół lśniącymi, lancetowatymi ostrzami przymocowanej do nadgarstków broni.

Lucjusz przetoczył się po ziemi, unikając gradu ciosów. Srebrny gwardzista przemknął nisko i ściął dwóch Astartes z drużyny Quemondil. Energetyczne ostrza przecięły ich zbroje z zatrwającą łatwością.

Lucjusz ześliznął się do wody i odkrył, że sięga mu ona zaledwie do pasa. Wyżej halabardy straży pałacowej pluły srebrzystym ogniem, ale Astartes poruszali się i strzelali ze swoją zwykłą dyscypliną. Nawet dziwny wygląd obrońców nie wytrącił ich z rytmu natarcia. Obok Lucjusza zważyło się ciało z głową oderwaną strzałem z boltera. Krew rozeszła się w wodzie szkarłatną chmurą.

Lucjusz zrozumiał, że srebrni gwardziści są za szybcy i poruszają się zbyt zwinnie, by próbować zwyczajnego starcia. Musiał podejść do nich niekonwencjonalnie.

Jeden ze strażników zanurkował w jego stronę. Lucjusz zobaczył misterny wzór na zbroi, cieniutkie, złote, przypominające żyły nitki na napierśniku, nagolennikach i ornamencie skrywającym twarz.

Żołnierz pikował jak morski ptak, strzelił jasnym ostrzem z nadgarstka.

Lucjusz odbił pocisk mieczem i skoczył na spotkanie przeciwnika. Strażnik skręcił się w powietrzu, próbując uniku, ale był już za blisko. Astartes ciął mieczem i odrąbał mu rękę. Trzaskający wyładowaniami miecz przeszedł przez zbroję jak przez papier. Z dymiącej rany trysnęła krew i gwardzista runął do wody.

Lucjusz spadł razem z nim. W tym samym momencie Dzieci Imperatora zwały się z wrogiem. Salwy z bolterów orały wysepki, Astartes szarżowali nieubłaganie na niedobitków. Straż pałacowa cofała się, tworząc coraz ciaśniejszy krąg. Trupy w lustrzanych zbrojach piętrzyły się stosami,

sztuczne jezioro zrobiło się rdzaworóżowe od krwi.

Serie z działka szturmowego Rylanora rozrywały strażników w jedwabiach; nadludzka szybkość nie była w stanie ocalić ich przed kulami. Wnętrze kopuły zmieniło się w rzeźnię. Upadł następny żołnierz w srebrze, ze zbroją rozdartą pociskami bolterów.

Drużyna Nasicae dotarła do Lucjusza. Szermierz wyszczerzył się do towarzyszy w wilczym uśmiechu, uradowany perspektywą walki z następnymi srebrnymi gwardzistami.

– Uciekają – powiedział. – Nie dajcie im złapać oddechu. Nacierać dalej.

– Drużyna Kaitheron melduje z placu – poinformował brat Scetherin. – Pożeracze Światów walczą po drugiej stronie świątyni, od północy.

– Cały czas?

– Podobno bronią się przed połową miasta.

– Ha! Niech się zatem bronią. Pożeracze Światów są dobrzy w takich walkach – zaśmiał się Lucjusz, przepojony świadomością swojej wyższości.

Nic w całej galaktyce nie mogło się równać z tym uczuciem, ale zaczynało ono już przygasać i wiedział, że będzie musiał znaleźć sobie więcej przeciwników, żeby zaspokoić bitewny głód.

– Nacieramy w kierunku sali tronowej – zdecydował. – Pradawny Rylanorze, zabezpieczaj tyły. Pozostali: idziemy po Praala. Za mną! A jak nie będziecie nadążać, to precz do Gwardii Śmierci!

Astartes wzniesli tryumfalny okrzyk i ruszyli za Lucjuszem do serca pałacu.

Każdy z nich chciał zabić Praala i wywiesić jego głowę na pałacowych blankach, tak by zobaczyło ją całe Miasto Chórów.

Ale tylko Lucjusz był pewien, że głowa Praala będzie jego.

\* \* \*

Na „Androniuszu” panowały cisza i napięcie, sale godne pałaców były ciemne, a długie, pełne ech korytarze puste, nie licząc służby. Silniki statku pulsowały niewyraźnie na rufie, odczuwalne były tylko wibracje dysz kierunkowych. Wszystkie stanowiska zostały obsadzone, wszystkie grodzie zamknięte – Tarvitz umiał rozpoznać alarm bojowy.

Dezorientował go jedynie fakt, że Isstwańczycy nie mieli żadnej wojennej floty.

Kadłub jęknął i przez metalowy pokład dobiegło go niskie dudnienie, wyczuł ruch okrętu, zanim dostosowała się do niego sztuczna grawitacja.

Odkąd zrzucono pierwszą falę natarcia, statek pozostawał w ruchu i Tarvitz wiedział już, że jego podejrzenia, iż coś jest nie w porządku, były uzasadnione.

Według planu przedstawionego na odprawie flagowiec Fulgrima miał wystrzelić drugą falę desantu, kiedy tylko zostanie zdobyty pałac i Syreni Gród. Do tego nie musiał zmieniać pozycji.

Jedynym wytłumaczeniem takiego manewru było zejście na niską orbitę i przygotowanie do bombardowania. Choć powtarzał sobie, że to paranoja, Tarvitz wiedział, że musi zobaczyć na własne oczy, co się dzieje.

Szedł szybkim krokiem przez „Androniusza”, kierując się w stronę pokładów działowych, unikając tak wspaniałych pomieszczeń, jak Amfiteatr Tarseliana czy pełna kolumnad Sala Monumentalna. Trzymał się tych części statku, w których jego obecność nie budziłaby zainteresowania i gdzie miał małą szansę spotkać tych, którzy mogliby go rozpoznać.

Powiedział Rylanorowi, że chce się rzec zaszczytnej pozycji w desancie, by zastąpić kapitana Odovocara jako głównego oficera sztabowego Eidolona, przekazując rozkazy komandora na powierzchnię planety, ale było tylko kwestią czasu, zanim ktoś odkryje jego podstęp.

Zszedł na dolne pokłady statku, daleko od najznakomitszych sal „Androniusza”, w których mieszkały Dzieci Imperatora. Reszta okrętu, zasiedlona przez służbę i serwitorów, była urządzona bardziej funkcjonalnie i Tarvitz wiedział, że tu nikt go nie zaczepi.

Otuliła go ciemność, a w dole, pod pomostem, na którym stał, rozwarły się głębokie na kilkaset metrów czeluście komór silników. Nad maszynownią ciągnęły się cuchnące pokłady działowe, gdzie w ogromnych pancernych obudowach tkwiły potężne wyrzutnie, zdolne równać z ziemią całe miasta.

– Przygotować się do ostrzału – oznajmił automatyczny, metaliczny głos.

Tarvitz poczuł, że okręt znów się porusza, i tym razem usłyszał skrzypienie kadłuba: górne warstwy atmosfery podniosły temperaturę zewnętrznych powłok.

Zszedł po stalowych schodach na końcu ciemnego pomostu i ujrzał przed sobą pokład działowy – tytaniczną kryptę ciągnącą się przez całą długość okrętu. Olbrzymie, syczące dźwigi, dostarczające amunicję do dział, wciągały przez pancerne wrota pokładu magazynowego naboje rozmiarów czołgu. Strzelcy i ładowniczy pocili się przy wielokrążkach – każde działo obsługiwała setka mężczyzn, ciągnących grube łańcuchy i dźwignie w

przygotowaniu do strzału. Serwitorzy roznosili wodę załogom, a adepci Mechanicum czuwali nad armatami, pilnując, by były należycie skalibrowane.

Na widok dział Tarvitz poczuł, że wzbiera w nim determinacja i gniew. Do kogo oni zamierzali strzelać?

Na planecie wylądowały tysiące Astartes, bombardowanie Miasta Chórów było absurdem, a mimo to artyleria pokładowa szykowała się, by rozpętać piekło.

Wątpił, by ludzie obsługujący działa wiedzieli, na orbicie jakiej planety właśnie się znajdują, czy nawet do kogo mają strzelać. Pod pokładami okrętów żyły całe społeczności i było bardzo prawdopodobne, że załogi armat nie miały pojęcia, kogo będą zabijać.

Tarvitz dotarł do końca schodów i zstąpił na pokład. Sklepienie niknęło w mroku wysoko nad nim, niczym w olbrzymiej katedrze jakichś niszczycielskich mocy. Usłyszał zbliżające się kroki. Odwrócił się i zobaczył adepta w długiej szacie w barwach Mechanicum.

– Kapitanie – zapytał tamten – czy coś się stało?

– Nie – odparł Tarvitz. – Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko idzie jak trzeba.

– Zapewniam cię, panie, że przygotowania do bombardowania postępują dokładnie według planu. Głowice zostaną wystrzelone przed zrzutem drugiej fali.

– Głowice?

– Tak jest, kapitanie. Wszystkie działa orbitalne są załadowane wybuchającymi w powietrzu głowicami z bombami wirusowymi, zgodnie ze specyfikacją planu bitwy.

– Bombami wirusowymi – powtórzył Tarvitz, z trudem skrywając zgrozę.

– Czy wszystko w porządku, kapitanie? – spytał adept, zauważając jego zmieniony wyraz twarzy.

– Tak – skłamał Tarvitz, choć miał wrażenie, że za chwilę kolana odmówią mu posłuszeństwa. – Możesz wracać do swoich obowiązków.

Adept skłonił się i oddalił w stronę jednego z dział.

Bomby wirusowe.

Broń tak straszliwa i zakazana, że tylko sam Mistrz Wojny – a przed nim Imperator – mogli w ogóle autoryzować jej użycie.

Każda głowica uwalniała rozprzestrzeniającego się gwałtownie

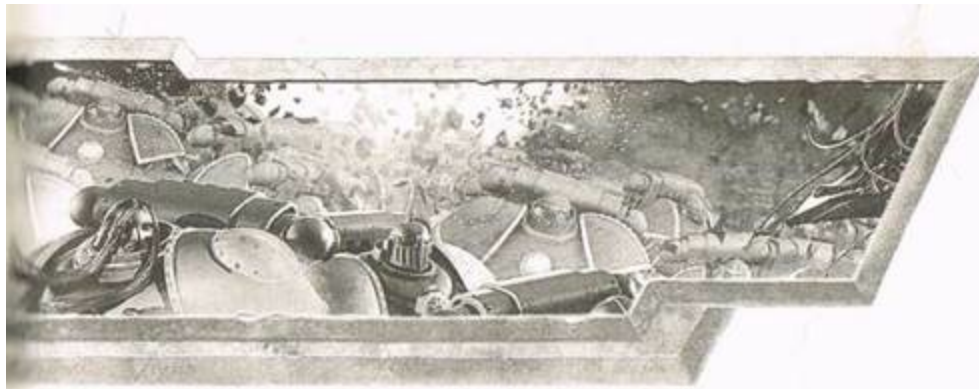


nekrowirusa, który niszczył życie w każdej postaci i w przeciągu kilku godzin potrafił unicestwić całą materię organiczną na planecie, do ostatniej komórki. Tarvitz zachwiał się pod brzemieniem tego, czego się właśnie dowiedział, i implikacji tej wiedzy. Łapał oddech krótkimi, bolesnymi haustami i usiłował powiązać to, co wiedział wcześniej, z tym, co usłyszał przed chwilą.

Jego Legion przygotowywał się do zamordowania planety pod nimi i Saul uświadomił sobie nagle z całą wyrazistością, że Dzieci Imperatora nie mogły być w tym planie osamotnione. Nasycenie atmosfery planety taką ilością głowic z wirusem, by zniszczyć całe jej życie, wymagało udziału wielu okrętów. Z nagłym ukłuciem mdlącej zgrozy Tarvitz zrozumiał, że taki rozkaz mógł paść jedynie z ust Mistrza Wojny.

Z powodów, których nie umiałby nawet spróbować odgadnąć, Mistrz Wojny postanowił zdradzić jedną trzecią swoich Astartes i wybić ich wszystkich za jednym zamachem.

– Muszę ich ostrzec – syknął Tarvitz, odwrócił się i pobiegł na pokład desantowy.



## DWA

### BOSKA MOC PRZEGRUPOWANIE HONOROWI BRACIA

Strategium pogrążone było w ciemności, rozświetlanej tylko mosiężnymi lampami, w których tańczyły zielone płomyki. Sztandary Kompanii Legionu, które kiedyś wisiały tu na ścianach, teraz zostały zastąpione chorągwiami łóż wojowników. Kompanijne sztandary zdjęto zaraz po zrzucie pierwszej fali natarcia, co stanowiło jasny komunikat: wśród Synów Horusa najważniejsze były teraz łóże. Na platformie, z której Mistrz Wojny przemawiał kiedyś do oficerów floty, stał teraz pulpit, a na nim spoczywała *Księga Lorgara*.

Prymarcha siedział na tronie strategium i patrzył na spływające z Isstvana III meldunki, przewijające się przed nim na ścianie monitorów.

Szmaragdowe światło wydobywało z mroku kontury jego zbroi i odbijało się od bursztynowego Oka na napierśniku. Po wyświetlaczach spływały kolumny statystyk bitewnych, przekazy na wizji ukazywały przebieg starć w Mieście Chórów. Pożeracze Światów znaleźli się w centrum epickiej batalii. Na plac przed Pałacem Precentora wlewały się tysiące ludzi, a ulice spływały rzekami krwi rozlanej przez Astartes, którzy bolterami i mieczami wyrzynali kolejne fale Isstwańczyków.

Sam pałac był nietknięty, tylko kilka słupów dymu zdradzało, że toczą się w nim walki – to Dzieci Imperatora przedzierały się przez szeregi obrońców.

Vardus Praal miał wkrótce zginąć, choć Horusa nie obchodził los

zbuntowanego namiestnika Isstvana III. Jego bunt dał po prostu Mistrzowi Wojny szansę pozbycia się tych, którzy nigdy nie poszliby za nim w wielkim marszu na Terrę.

Prymarcha podniósł wzrok. Obok niego pojawił się Erebus.

– Pierwszy Kapelanie – powitał go Mistrz Wojny. – Sytuacja jest napięta, nie przeszkadzaj mi bez potrzeby.

– Przyszły wieści z Prospera – odparł niezmierny Erebus. Szepczące cienie wciąż go otaczały, wiły się u jego stóp i wokół croziusa, który nosił u pasa.

– Co z Magnusem? – spytał Horus, nagle zainteresowany.

– Wciąż żyje – powiedział Erebus. – Choć nie z powodu braku starań ze strony Wilków z Fenrisa.

– Magnus żyje – warknął Horus. – A więc wciąż może być niebezpieczny.

– Nie – zapewnił Erebus. – Wieże Prospera runęły, a osnowa rozbrzmiewa echem potężnych czarów, których Magnus użył, by uratować swoich wojowników i uciec.

– Jak zwykle czarów... Dokąd uciekł?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale dokądkolwiek się uda, psy Imperatora go dopadną.

– I albo się do nas przyłączy, albo zginie osamotniony na jakimś pustkowiu – powiedział Horus w zamyśleniu. – Pomyśleć tylko, że tak wiele zależy od osobowości tak nielicznych. Magnus był jednym z moich największych wrogów, być może równie groźnym, co sam Imperator. A teraz nie ma innego wyjścia, jak tylko pójść z nami aż do końca. Jeśli Fulgrimowi uda się skaptować Ferrusa Manusa, zwycięstwo mamy w ręku.

Machnął lekceważąco ręką na wyświetlacze relacjonujące przebieg bitwy o Miasto Chórów.

– Isstvańczycy wierzą, że bogowie przybyli ich zniszczyć, i w pewnym sensie mają rację. Ja decyduję o życiu i śmierci. Czyż to nie jest boska moc?

\* \* \*

– Kapitanie Loken, sierżancie Vipus. Dobrze was obu widzieć – zaczął sierżant Lachost, skulony w gruzowisku kaplicy poświęconej jednemu z zasłużonych patrycjuszy Isstvana III. – Próbowaliśmy wywołać wszystkie drużyny. Rozrzuciło je po całej strefie. Szpica została rozbita.

– W takim razie zbudujemy ją tu na nowo – odparł Loken.

Dolina rozbrzmiewała sporadycznym grzechotem ognia, dlatego

kapitan schował się obok Lachosta. Drużyna sierżanta z bolterami w gotowości zajęła pozycje w ruinie; co jakiś czas Astartes ostrzeliwali kształty przemykające w cieniach. Vipus i ocalali z Locasty skulili się obok nich.

Wróg nosił tradycyjne isstwańskie zbroje z matowych srebrno-czarnych płyt i używał dziwnej, antycznej broni – szybkostrzelnych kusz plujących strugami płynnego srebra.

Wśród dziesiątków indywidualnych starć pod wieżami rodziły się opowieści o bohaterstwie, z jakim Synowie Horusa odpierali żołnierzy Syreniego Grodu.

– Mamy dobrą osłonę i pozycję, którą da się utrzymać – stwierdził Vipus. – Możemy zebrać tu drużyny i przeprowadzić natarcie.

Loken kiwnął głową. Obok nich za mur wskoczył Torgaddon. Legioniści, których przyprowadził, dołączyli do ludzi Lachosta.

Tarik wyszczerzył się do Lokena.

– Co tak długo, Garvi?

– Musieliśmy zejść ze szczytu muru – odparł Loken. – Gdzie twoi ludzie?

– Wszędzie – powiedział Torgaddon. – Kierują się na tę wieżę, ale wiele drużyn jest odciętych. W Syrenim Grodzie stacjonowały... elity, chyba można tak powiedzieć. Mieli tu cholernie mocną zbrojownię, jakieś relikty, wygląda mi to na zaawansowaną technologię.

Loken kiwnął głową.

– No, przynajmniej ta wieża jest czysta – ciągnął Tarik. – Kazałem Vaddonowi i Lachostowi urządzić punkt dowodzenia na niższym poziomie, jesteśmy w stanie utrzymać tę pozycję. W Mieście Chórów są jeszcze trzy Legiony, reszta Synów Horusa na orbicie. Nie ma potrzeby...

– Wróg panuje nad polem bitwy – przerwał mu ostro Loken. – Mogą nas okrążyć. Pod nami biegają katakumby, którymi mogą nas obejść. Jeśli więc zostaniemy w jednym miejscu, znajdą sposób, żeby się do nas dostać. To ich teren. Dlatego uderzymy, jak tylko będziemy mogli. Jesteśmy szpicą i naszym zadaniem jest wbić się jak najgłębiej.

– W co? – spytał Torgaddon.

– W wieże-grobowce – odparł Garviel. – Zaatakujemy je jedną po drugiej. Szturmujemy, zabijamy wszystko, co znajdziemy, idziemy dalej. Będziemy cały czas nacierać, nie damy im czasu się przegrupować.

– Większość ludzi jest w drodze na pozycje, kapitanie – wtrącił się Lachost.

– To dobrze.

Loken spojrział na wieże wokół kaplicy.

Świątynka stała w dolinie pomiędzy jedną iglicą, z której zeszli, i drugą, sąsiednią – prostym kamiennym cylindrem ozdobionym gęsto płaskorzeźbami przedstawiającymi groźnie wykrzywione twarze. Do środka prowadziło kilkadziesiąt sklepionych wejść u jej podnóża. Ich ciemność rozświetlały co chwila rozbłyśki wystrzałów.

Teren pomiędzy wieżami zapełniała bezładna gmatwanina kaplic i świątyń. Z ruin sterczały posągi czcigodnych zmarłych Miasta Chórów.

Loken wskazał wieżę po drugiej stronie przejścia.

– Jak tylko będziemy mieli dość ludzi, żeby przeprowadzić natarcie, tam uderzymy. Lachost, zaczniście zabezpieczać kaplice dookoła, żebyśmy mieli dobry punkt startu. Wyślij paru Legionistów na pierwsze poziomy wieży, by nas osłaniali. Z bronią ciężką, jeśli takich masz.

Ze wschodu dobiegło echo wystrzałów i Loken zobaczył zbliżających się Astartes: Synów Horusa w barwach drużyny Eskhalen. Na ich pozycji zbierało się coraz więcej wojowników. Wszyscy, zanim dobiegli do schronienia, toczyli swoje własne bitwy pośród świątyń.

– To coś więcej niż cmentarzysko – powiedział Loken. – Cokolwiek się stało z Isstvanem III, tu miało swój początek. Nasi przeciwnicy wierzą, a to jest ich kościół.

– Nic dziwnego, że powariowali – prychnął Torgaddon z pogardą. – Szaleńcy kochają swoich bogów.

\* \* \*

Thunderhawk miał luzy na sterach, usiłował wyrwać się Tarvitzowi spod kontroli i pokoziołkować w przestrzeń. Saul miał za sobą tylko najbardziej podstawowe przeszkolenie na tym najnowszym nabytku zbrojowni Astartes, i to głównie w atmosferze – w niskich przelotach nad polem bitwy, zrzutach desantów czy zapewnianiu wsparcia ogniowego.

Za pancerną szybą kokpitu widział Isstvana III. Po powierzchni planety sunął luk słonecznego blasku. Gdzieś na jego obrzeżach znajdowało się miasto, w którym walczyli jego bracia i Astartes z pozostałych trzech Legionów, nieświadomi, że już zostali zdradzeni.

– Thunderhawk, zidentyfikuj się – odezwał się głos z pokładowego voxu. Tarvitz musiał wejść w pole rażenia „Androniusza” i wieżyczki obronne statku wzięły go na cel.

Jeśli dopisałoby mu szczęście, miałby kilka chwil, zanim zostałyby

skutecznie namierzony, podczas których mógłby spróbować maksymalnie zwiększyć odległość między porwanym thunderhawkiem a „Androniuszem”.

– Thunderhawk, zidentyfikuj się – powtórzył głos. Tarvitz wiedział, że musi grać na zwłokę, jeśli chce uciec przed wieżyczkami.

– Kapitan Saul Taryitz w drodze na „Niezlomnego” jako oficer łącznikowy.

– Czekać na autoryzację.

Wiedział, że nie dostanie autoryzacji, ale z każdą sekundą oddalał się od „Androniusza” i zbliżał do powierzchni planety.

Otworzył przepustnice thunderhawk najszerzej jak śmiał i nasłuchiwał szumu z voxu w płonnej nadziei, że jednak mu uwierzą i pozwolą lecieć dalej.

– Uwaga, thunderhawk – odezwał się głos. – Natychmiast wracaj na „Androniusza”.

– Nie słyszę, „Androniusz” – odparł Tarvitz. – Tracę łączność.

To była tania sztuczka, ale mogła mu kupić jeszcze kilka sekund.

– Powtarzam, wracaj...

– Idź do diabła.

Tarvitz spojrział na wyświetlacz nawigacyjny, szukając pościgu. Z zadowoleniem stwierdził, że jeszcze żadnego nie widać, i pchnął thunderhawk w dół, ku Istvanowi III.

\* \* \*

– „Duma Imperatora” jest w drodze – oznajmił Saeverin, najstarszy oficer pokładowy „Androniusza”. – Ale ich nawigator twierdzi, że napotkali trudności. Lord Fulgrim nie dotrze do nas w najbliższym czasie.

– Czy przysłał wieści o swoim zadaniu? – spytał Eidolon, stając obok niego.

– Łączność wciąż jest bardzo słaba – odparł Saeverin ostrożnie. – Ale to, co mamy, nie brzmi zachęcająco.

– W takim razie będziemy musieli nadrobić to perfekcją działania i doskonałością naszego Legionu – powiedział Eidolon. – Inne Legiony może i są bardziej zawzięte, wytrzymalsze czy bardziej podstępne, ale żaden z nich nawet nie zbliża się do perfekcji Dzieci Imperatora. Cokolwiek nas czeka, nie wolno nam o tym zapominać.

– Oczywiście, komandorze – przyznał Saeverin.

Jego konsola rozświetliła się serią ostrzegawczych błysków. Dłonie oficera zatańczyły nad pulpitem. Po chwili odwrócił się do Eidolona.

– Lordzie Komandorze, możemy mieć problem.  
– Nie mów mi o problemach.  
– Dowództwo obrony właśnie mnie poinformowało, że namierzyli thunderhawka lecącego w stronę powierzchni planety.  
– Jednego z naszych?  
– Na to wygląda – przyznał Saeverin, nachylając się nad konsolą. – Czekam na potwierdzenie.  
– Kto go pilotuje? – zapytał surowo Eidolon. – Nikt nie ma autoryzacji do zejścia na powierzchnię.  
– Ostatnie nawiązanie łączności z thunderhawkiem wskazuje, że to kapitan Saul Tarvitz.  
– Tarvitz? Niech go szlag, ależ on mi zalazł za skórę.  
– To na pewno on – powiedział Saeverin. – Wygląda na to, że zabrał maszynę z pokładu desantowego od strony planety.  
– Dokąd leci? – spytał Eidolon. – Dokładnie.  
– Do Miasta Chórów.  
Lord Komandor uśmiechnął się.  
– Chce ich ostrzec. Wydaje mu się, że to coś zmieni. Myślałem, że możemy go wykorzystać, ale jest za bardzo uparty, a teraz jeszcze wbił sobie do głowy, że zostanie bohaterem. Saeverin, pošlij tam parę myśliwców i zestrzelcie go. Nie potrzeba nam żadnych komplikacji.  
– Tak jest, komandorze – kiwnął głową Saeverin. – Start myśliwców za dwie minuty.

\* \* \*

Mersadie wyżeła szmatkę i ułożyła ją Euphrati na czole. Keefer jęknęła i zadygotała, zatrzepotała rękami jak w jakimś ataku. Była blada i wychudzona niczym trup.

– Jestem tu – powiedziała Mersadie, choć podejrzewała, że pogrążona w śpiączce imagistka jej nie słyszy. Nie rozumiała, przez co Euphrati przechodzi, i czuła się przez to zupełnie bezużyteczna.

Z powodów, których do końca nie rozumiała, pozostała z Kyrilem Sindermannem i Euphrati, kiedy ci przemieszczali się po statku. „Mściwy Duch” miał rozmiary sporego miasta i było na nim mnóstwo kryjówek.

Poprzedzały ich wieści o ich przyjsciu i gdziekolwiek się udali, czekali na nich jacyś uwalani brudem mechanicy czy robotnicy z obsługi technicznej, by wskazać im bezpieczne miejsce, przynieść jedzenie czy wodę, a przy tym spojrzeć na świętą. Teraz chowali się w jednej z obudów silnika, ogromnej,

pustej rurze, którą normalnie wypełniała rozpalona plazma i wielkie, miarowo uderzające tłoki. Silnik został wyłączony na czas przeglądu i służył za dobrą kryjówkę, odludną i sekretną mimo swoich wielkich rozmiarów.

Sindermann spał na cienkim kocu obok Euphrati i nigdy jeszcze nie wyglądał na tak zmęczonego. Kończyny miał pokryte plamami i wychudzone, policzki zapadnięte i blade.

Jeden z mechaników przybiegł do zagłębienia, w którym leżała Keeler, z naręczem koców i ubrań. Był to nagi do pasa i wysmarowany smarem muskularny olbrzym, który kilka kroków przed łóżkiem swojej świętej pokornie opadł na kolana.

– Panno Oliton – odezwał się z szacunkiem do Mersadie – czy pani albo święta czegoś potrzebujecie?

– Wody – odparła Mersadie. – Czystej wody, a Kyril prosił o więcej papieru.

Mechanikowi zaświeciły się oczy.

– Coś pisze?

Mersadie pożałowała, że o tym wspomniała.

– Zbiera swoje przemyślenia do mowy – odparła. – W końcu ciągle jest iteratorem. Gdyby udało się wam znaleźć jakieś środki medyczne, też by się przydały. Euphrati się odводniła.

– Imperator ją uchowa – powiedział mechanik z troską w głosie.

– Nie wątpię, ale musimy mu pomóc, jak tylko możemy – odparła Mersadie, starając się, by nie zabrzmiało to protekcjonalnie.

Efekt, jaki wywierała nieprzytomna Euphrati na załogę, był niezwykły; już to można było uznać za cud. Sama jej obecność wystarczyła, by wątpliwości i tęsknoty tylu ludzi przekuć w żelazną wiarę w dalekiego Imperatora.

– Przyniesiemy, co zdołamy – obiecał mężczyzna. – Mamy ludzi w kantynie i na pokładach konsyliarzy.

Wyciągnął rękę, by dotknąć koca Euphrati, i zmówił szeptem krótką modlitwę. Kiedy wyszedł, Mersadie sama profilaktycznie się pomodliła. Ostatecznie Imperator był prawdziwszy niż wszyscy ci tak zwani „bogowie”, których napotykała Krucjata.

– Wybaw nas od tego wszystkiego, Imperatorze – powiedziała cicho.

Ze smutkiem spuściła wzrok i wstrzymała oddech, bo Euphrati poruszyła się i otworzyła oczy, jak ktoś budzący się z głębokiego snu. Mersadie wolno wyciągnęła do niej rękę – bała się, że jeśli poruszy się za



szybko, ten kruchy cud pęknie – i chwyciła dłoń imagistki.

– Euphrati – szepnęła cicho – słyszysz mnie?

Euphrati Keeler otworzyła usta i zaczęła wrzeszczeć z przerażenia.

\* \* \*

– Na pewno? – spytał kapitan Garro z Gwardii Śmierci, kuśtykając na swojej nowo wszczepionej augmetycznej nodze. Stabilizatory protezy nie zgrały się jeszcze z układem nerwowym i ku wściekłości Legionisty odmówiono mu miejsca w pierwszej fali natarcia. Z mostka widać było niczym nieosłonięte mechanizmy okrętu, jak zwykle u Gwardii Śmierci, Mortarion bowiem gardził wszelkiego rodzaju ozdobami.

Sam mostek był szkieletową konstrukcją zawieszoną we wnętrzościach statku. W górze, niczym węzły metalicznych jelit, majaczyły grube rury systemów chłodzących. Załoga pochylała się nad platformą z rzędami kogitatorów; blask wyświetlaczy barwił ich twarze zimną zielenią i błękitem.

– Na pewno, kapitanie – odparł oficer łącznościowy, patrząc na trzymany w dłoni czytnik danych. – Przez nasze pole ostrzału przelatuje thunderhawk Dzieci Imperatora.

Garro wziął czytnik od oficera. Rzeczywiście, blisko „Eisensteina” przelatywał thunderhawk ścigany przez kilka myśliwców.

– Brzydko mi to pachnie. Ustaw nas na zbieżnym kursie.

– Tak jest, kapitanie. – Oficer odwrócił się sprężysto i ruszył do steru.

Po chwili silniki ożyły, a w oleistych cieniach wokół mostka poruszyły się w górę i w dół olbrzymie tłoki. „Eisenstein” przechylił się i rozpoczął powolny, ciężki obrót w stronę nadlatującego thunderhawka.

\* \* \*

Wrzask wyrwał Kyrila Sindermana ze snu. Przebudzonemu gwałtownie iteratorowi serce ze strachu zatłukło boleśnie o żebra.

– Co...? – wykrztusił, zanim zobaczył Euphrati, siedzącą na łóżku prosto jak strzała i wrzeszczącą tak, jakby zaraz miały jej pęknąć płuca.

Niezdarnie zerwał się na nogi. Mersadie próbowała objąć krzyczącą imagistkę. Keeler ciskała się jak obłąkana i Sindermann rzucił się na pomoc, wyciągnął ramiona, jakby chciał nimi objąć je obie.

Kiedy tylko jego palce dotknęły Euphrati, poczuł bijący od niej żar i ból. Chciał odskoczyć, ale miał wrażenie, że dłonie przywarły mu do jej ciała. Napotkał spojrzenie Mersadie i widoczna w jej oczach groza powiedziała mu, że ona czuje to samo.

Zaskamlał. Wszystko rozmyło mu się przed oczami i pociemniało, jakby miał atak serca. Do głowy wlała mu się bezładna fala obrazów, mrocznych i potwornych. Pod naporem wizji czystego zła walczył, by nie postradać rozumu.

Nad wszystkim zawisła śmierć niczym czarny, złowrogi płaszcz. Sindermann zobaczył, że delikatna, czarna jak węgiel twarz Mersadie jej ulega, zapada się w zepsuciu.

W powietrzu wiły się macki ciemności, niszczyły wszystko, czego dotknęły. Kyril wrzasnął: zobaczył, że z Mersadie płatami obłazi ciało. Spojrzał w dół i ujrzał, że jego własne dłonie gniją i rozpadają się, skóra odchodzi od białych jak robaki kości.

A potem wizja zniknęła, czarna, gnijąca śmierć odeszła i znów miał przed sobą ich kryjówkę, taką samą, jak kilka godzin temu, kiedy się kładł, by spróbować złapać choć trochę niespokojnego snu. Oderwał się chwiejnie od Euphrati. Jedno spojrzenie wystarczyło, by wiedzieć, że Mersadie doświadczyła tego samego – okropnego, skoncentrowanego zepsucia.

Sindermann przyłożył dłoń do piersi. Jego spracowane serce wyrabiało nadgodziny.

– O nie... – jęknęła Mersadie. – Proszę... co się...?

– To zdrada – powiedziała Keeler niespodziewanie mocnym głosem i odwróciła się do Sindermanna. – I dzieje się właśnie teraz. Musisz im powiedzieć. Powiedz im wszystkim, Kyrilu!

Zamknęła oczy i opadła bezwładnie na Mersadie, która przytuliła ją ze szlochem.

\* \* \*

Tarvitz mocował się ze sterami thunderhawka. Za szybą kokpitu próżnię cięły jasnoczerwone smugi – myśliwce siedziały mu na ogonie i zasypywały go rubinowymi lancami ognia.

Desantowiec obrócił się wokół własnej osi, Isstvan III za szybą zawirował.

Z tyłu thunderhawka dobiegł głuchy huk trafienia i Tarvitz poczuł, że stery szarpia mu się w rękach. Zareagował poderwaniem statku w górę. Usłyszał pod sobą jękliwy protest turbin, które z całą mocą poniosły go ponad linię ognia przeciwnika. Głośny szcęk gdzieś w tyle powiedział mu, że w jednym z silników coś się urwało. Kokpit rozświetliły czerwone lampki ostrzegawcze i awaryjne komunikaty.

Kropki myśliwców rosły groźnie na taktycznym wyświetlaczu.

Vox znów zaskrzeczał i Tarvitz sięgnął, by go wyłączyć. Nie chciał słuchać wyzwisk i tryumfów w chwili, kiedy będzie ginął wraz z nadzieją, że kogoś ostrzeże. Powstrzymał jednak rękę, bo usłyszał znajomy głos.

– Thunderhawk na kursie zbieżnym z „Eisensteinem”, zidentyfikuj się.

Tarvitz miał ochotę płakać z ulgi, poznał bowiem głos swojego honorowego brata.

– Nataniel? – zawołał. – Tu Saul. Dobrze cię słyszeć, bracie!

– Saul? – zdziwił się Garro. – Co tu się dzieje, na Imperatora? Te myśliwce próbują cię zestrzelić?

– Tak! – krzyknął Tarvitz i znów położył thunderhawka w ciasny skręt. Isstvan III w dole zakreślił się jak bąk. Flota Gwardii Śmierci była pękiem migoczących smug na tle przecinanej czerwonymi promieniami laserów czerni.

Tarvitz wyciskał ostatnie póty z jedyne go ocalałego silnika.

– Dlaczego? – spytał Garro. – Tylko mów szybko, Saul. Prawie już cię mają!

– To zdrada! – krzyknął Saul. – Wszystko to zdrada! Zostaliśmy zdradzeni. Flota zamierza zbombardować planetę głowicami wirusowymi.

– Co? – wykrztusił Garro z jawnym niedowierzaniem. – To szaleństwo.

– Zaufaj mi! Wiem, jak to brzmi, ale proszę cię jako honorowego brata, żebyś mi zaufał, jak nigdy przedtem. Klnę się na swoje życie, że nie kłamię, Natanielu!

– Nie wiem, Saul...

– Natanielu! – wrzasnął Tarvitz z frustracją. – Wyłączyli łączność okrętów z planetą, więc jeśli nie uda mi się zanieść im ostrzeżenia, wszyscy Astartes na Isstvanie III zginą!

\* \* \*

Kapitan Nataniel Garro nie był w stanie oderwać wzroku od syczącego głośnika voxu, jakby miał nadzieję, że jeśli będzie się w niego wystarczająco intensywnie wpatrywał, odkryje, czy Saul Tarvitz mówi prawdę. Na siatce taktycznej obok niego migąły punkty oznaczające thunderhawka Tarvitz i ścigające go myśliwce. Doświadczone oko mówiło Garrowi, że ma w najlepszym razie sekundy na podjęcie decyzji, a cały jego instynkt krzyczał, że to, co słyszy, nie może być prawdą.

Z drugiej strony Saul Tarvitz był jego zaprzysiężonym honorowym bratem, ślubowali sobie braterstwo na polach Kampanii Preaixorskiej, gdzie rozlewali krew i walczyli ramię w ramię przez całą wyczerpującą, pechową

wojnę, na której zginęło tylu ich ukochanych braci.

Taka przyjaźń i honorowa więź, wykuta w ogniu walki, miały wielką wagę, a Garro znał Saula Tarvitz'a wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że ten nigdy nie przesadza i nigdy, przenigdy nie kłamie. Nie potrafił sobie wyobrazić, że jego honorowy brat miałby mu teraz mówić nieprawdę – ale równie nie do pomyślenia było, że flota zamierza zbombardować ich braci na planecie.

W głowie kłębił mu się wir myśli. Przeklął swoje niezdecydowanie. Spojrzał na orła, którego Tarvitz wyciął dawno temu na zaręczawiu jego zbroi, i nagle zrozumiał, co musi zrobić.

\* \* \*

Tarvitz pchnął thunderhawk'a w płytkie nurkowanie, gotowy zamknąć przepustnicę i wypuścić hamulce powietrzne. Miał nadzieję, że zszedł wystarczająco nisko, by atmosfera planety zaczęła spowalniać jego opadanie na tyle, żeby mógł zrobić to, co planował...

Zerknął na wyświetlacz taktyczny i zobaczył, że myśliwce zachodzą go z boków, gotowe zamknąć kleszcze, kiedy wytraci prędkość. Najważniejsze było to, żeby nie przegapić właściwej chwili.

Tarvitz ściągnął dźwignię przepustnicy i uderzył przycisk zwalniający hamulce.

Poleciał do przodu. Uprząż grawitacyjna fotela napięła się mocno na jego piersi, a wewnątrz kokpitu rozświeciły jaskrawe rozbłyski. Cały statek wpadł we wściekły dygot. Tarvitz usłyszał uderzenia w kadłub i poczuł, że thunderhawk wemyka się mu spod kontroli.

Wrzasnął z wściekłości, bo zrozumiał, że ci, którzy chcieli zdradzić Astartes, wygrali, że na darmo się im przeciwstawił. Za szybami kokpitu wykwitły ogniste kule. Czekał na nieunikniony atak, eksplozję i śmierć.

Ta jednak nie nadeszła.

Zdumiony chwycił stery i zaczął się z nimi mocować, usiłując wyrównać lot. Wyświetlacz oszalał od zakłóceń, elektromagnetycznej sieczki i radioaktywnych śmieci, które spowiły wszystko dookoła nieprzeniknioną mgłą potężnej detonacji. Nie widział myśliwców, ale przy takich zakłóceniach wciąż mogły tam być, może właśnie brały go na cel.

Co się stało?

– Saul – powiedział w końcu czyjś głos ciężkim, smutnym tonem i Tarvitz zrozumiał, że jego honorowy brat go nie zawiódł. – Możesz przyhamować, myśliwców już nie ma.

– Nie ma? Jak to?

– „Eisenstein” zestrzelił je z mojego rozkazu – wyjaśnił Garro. – Powiedz mi, Saul, że postąpiłem słusznie, bo jeśli mówiłeś nieprawdę, to pograżyłem się razem z tobą.

Tarvitz miał ochotę się roześmiać. Żałował, że jego stary przyjaciel nie stoi obok niego, że nie może chwycić go w objęcia i podziękować mu za zaufanie. Wiedział, że Nataniel Garro podjął najdonioślejszą decyzję w swoim życiu w oparciu tylko o to, co powiedział mu parę chwil temu. Tak głębokie zaufanie było dla niego wielkim zaszczytem.

– Tak – rzekł. – Wybrałeś właściwie, że mi zaufałeś, przyjacielu.

– Powiedz mi, dlaczego tak się stało.

Tarvitz chciał jakoś go pokrzepić, ale wiedział, że żadne słowa nie złagodzą ciosu, jakim była zdrada.

– Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś o Terze?

– Tak, przyjacielu – westchnął Garro. – Powiedziałem ci, że była stara, już wtedy.

– Opowiedziałeś mi o tym, co Imperator tam zbudował – ciągnął Tarvitz. – Cały świat, tam gdzie przedtem nie było nic, tylko barbarzyńcy i śmierć. Mówiłeś o bliznach Ery Zamętu, o stopionych lodowcach i zrównanych z ziemią górach.

– Tak – potwierdził Garro. – Pamiętam. Imperator na tej wyniszczonej planecie zapoczątkował swoje Imperium. I o to właśnie walczę: by stawić czoła ciemności i zbudować Imperium, które odziedziczy ludzkość.

– To właśnie jest dziś zdradzane, przyjacielu.

– Nie dopuszczę do tego, Saul.

– Ja też nie – przysiągł Tarvitz. – Co teraz zrobisz?

Garro się zawahał. Teraz, kiedy wybrał już stronę, sam zadawał sobie to pytanie.

– Poinformuję „Androniusza”, że cię zestrzeliłem. Rozbłysk eksplozji i to, że jesteś w górnych warstwach atmosfery, powinny zamaskować cię na czas wystarczający do tego, żebyś doleciał na powierzchnię.

– A potem?

– Inne Legiony muszą zostać poinformowane o tym, co się dzieje. Tylko Mistrz Wojny ośmieliłby się uknuć podobną zdradę, a on nie rozpocząłby przedsięwzięcia na taką skalę, gdyby nie przeciągnął na swoją stronę kilku innych Prymarchów. Rogal Dorn czy Magnus nigdy by się nie odwrócili od Imperatora i jeśli uda mi się uciec „Eisensteinem” z układu

Isstvan, sprowadzę ich tutaj. Wszystkich.

– Dasz radę? – spytał Tarvitz. – Mistrz Wojny wkrótce spostrzeże, co próbujesz zrobić.

– Mam trochę czasu, zanim nabiorą podejrzeń, ale potem ruszy za mną cała flota. Dlaczego za każdym razem, kiedy któryś z nas próbuje zrobić to, co słuszne, muszą ginąć ludzie?

– Bo tyle znaczy Imperialna Prawda – odparł Tarvitz. – Uda ci się zachować kontrolę nad „Eisensteinem”, kiedy to wszystko się wyda?

– Tak – potwierdził Garro. – Będzie ciężko, ale duża część załogi to wierni Terranie i staną po mojej stronie. Ci, którzy tego nie zrobią, umrą.

Prawy silnik się zakrzusił i Tarvitz zrozumiał, że nie ma wiele czasu, zanim desantowiec straci moc.

– Muszę się dostać na powierzchnię, Natanielu. Nie wiem, jak długo jeszcze ten statek zostanie w powietrzu.

– A więc tu nasze drogi się rozchodzą – odparł Garro tonem, w którym brzmiała świadomość straszliwej nieodwołalności zdarzeń.

– Kiedy spotkamy się znów, bracie, będzie to już na Terze.

– O ile się spotkamy.

– Spotkamy, Natanielu – obiecał Saul. – Na Imperatora, przysięgam.

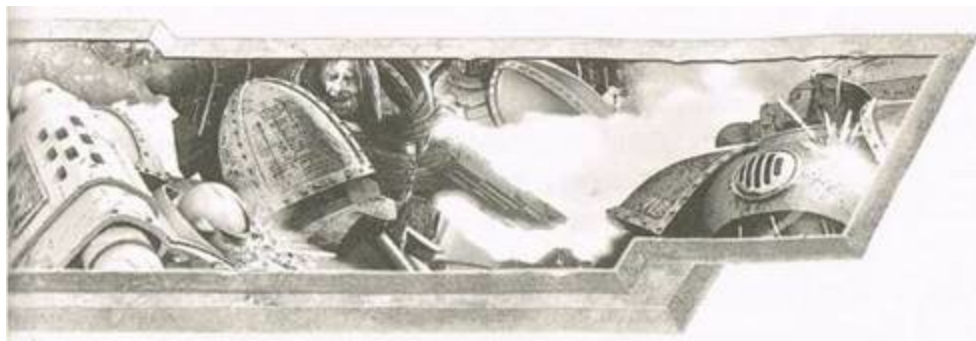
– Niech ci sprzyja szczęście Terry – powiedział Garro i vox umilkł.

Kilka chwil wcześniej Tarvitz znajdował się na skraju śmierci, teraz jednak miał nadzieję, że może mu się uda powstrzymać zdradę Mistrza Wojny.

Tyle właśnie znaczy Imperialna Prawda, zrozumiał w końcu.

To nadzieja: nadzieja dla galaktyki, nadzieja dla ludzkości.

Otworzył przepustnicę silnika thunderhawka, obrał kurs na Pałac Precentora i pomknął w stronę Miasta Chórów.



## TRZY

### NAJCENNIJSZA PRAWDA PRAAL GROBOWIEC ŚMIERCI

Podpokład był pełen ludzi, którzy przyszedli wysłuchać słów apostoła świętej. „Apostoł” – tak go teraz nazywali... Sindermann czerpał otuchę z faktu, że nawet w tych niespokojnych czasach wciąż był kimś, na kim inni się wzorowali. Próżna myśl, owszem, ale mimo wszystko... Trzeba brać, co się da, kiedy okoliczności wymykają się człowiekowi spod kontroli.

Na „Mściwym Duchu” szybko rozeszła się wieść, że będzie przemawiał. Rozejrzał się nerwowo po podpokładzie, szukając jakiegokolwiek znaku, że wiadomość ta dotarła do kogoś więcej niż cywilów i upamiętniaczy. Wejść strzegli uzbrojeni wartownicy, ale Sindermann wiedział, że jeśli zaatakują ich Astartes albo Maggard i jego żołnierze, nikt nie wyjdzie stąd żywy.

Podejmowali olbrzymie ryzyko, ale Euphrati bardzo jasno dała do zrozumienia, że iterator musi przemówić do mas, szerzyć Słowo Imperatora i ujawnić zdradę, którą zobaczyła.

Wpatrywały się w niego z oczekiwaniem tysiące ludzi. Sindermann odchrząknął i obejrzał się przez ramię na Mersadie i Euphrati. Stał przy mównicy na prowizorycznym podwyższeniu zbudowanym ze skrzyń załadunkowych. Ktoś zamontował przenośny głośnik voxu, który miał ponieść jego słowa w najdalsze zakątki podpokładu, choć Kyril wiedział, że jego wyszkolony głos iteratora byłby tam słyszalny bez pomocy żadnych urządzeń. Vox podłączono po to, by usłyszeli go ludzie, którzy nie mogli przyjść na zebranie – wierni wśród obsługi technicznej statku podpięli łącze

do głównej sieci łączności „Mściwego Ducha”.

Słowa Sindermana miała usłyszeć cała flota Ekspedycji.

Kyryl uśmiechnął się do zebranych i wypił łyk wody ze stojącej obok niego szklanki. Patrzyło na niego morze wyczekujących twarzy, rozpaczliwie pragnących usłyszeć płynącą z jego ust mądrość. Co im powiedzieć? Spojrzał na nagryzmołone notatki, które zrobił, gdy ukrywał się we wnętrznościach statku. Obejrzał się jeszcze raz na Euphrati, a jej uśmiech podniósł go na duchu.

Spojrzał znów na kartki. Zapisane na nich słowa wydały się mu wyświechtane i płaskie.

Zmiał notatki i cisnął je na ziemię. Aprobata Euphrati rozlewała się mu w żyłach jak balsam.

– Przyjaciele – zaczął – żyjemy w dziwnych czasach, a wydarzenia, do których doszło, wstrząsną wieloma z was tak samo, jak wstrząsnęły mną. Przysłuchajcie się słowom świętej, ale ona poprosiła, żebym to ja do was przemówił. Żebym opowiedział wam, co widziała i co wszyscy wierni muszą zrobić.

Jego iteratorski głos przekazywał w idealnie dobranych proporcjach powagę sytuacji i żal, że mówca musi obwieszczać zgromadzonym straszliwe wieści o zagładzie.

– Mistrz Wojny zdradził Imperatora – oznajmił Sindermann i zrobił pauzę na nieuniknione wycie niedowierzania i oburzenia. Chóralny krzyk unosił się i opadał jak morskie fale. Iterator pozwolił, by jęk zawodu wybrzmiał, wiedział bowiem dokładnie, w którym momencie powinien się odezwać.

– Wiem, wiem – powiedział w końcu. – Uważacie, że to niemożliwe, i jeszcze niedawno zgodziłbym się z wami. Ale to prawda. Widziałem na własne oczy. Święta ukazała mi swoją wizję, a ta zmroziła mą duszę: pobojowiska pełne trupów, okrutne wichry niosące proch kości, zwrócone ku niebu oczy ludzi, którzy widzieli cuda i marzyli tylko o rodzinie i przyjaźni. Posmakowałem powietrza i było ono lepkie od krwi, przyjaciele, śmierdziało trupami ludzi, których nauczyliśmy się nazywać wrogiem. Tylko dlaczego? Bo uznali, że nie chcą być częścią naszego wojującego Imperium? Może doświadczyli więcej niż my? Może potrzeba świeżego spojrzenia z boku, by dostrzec coś, na co my jesteśmy już ślepi?

Tłum ucichł, ale Sindermann zdawał sobie sprawę, że większość zebranych wciąż uważa go za szaleńca. Wielu z nich mu uwierzyło, ale duża



część nie. Choć prawie wszyscy byli gotowi uznać Imperatora za boga, mało kto potrafił pogodzić się z myślą, że Mistrz Wojny zdradziłby tak cudowną istotę.

– Kiedy rozpoczynaliśmy tę tak zwaną „wielką krucjatę”, zamierzaliśmy ponieść galaktyce oświecenie i rozum, i przez jakiś czas to właśnie robiliśmy. Ale spójrzcie na nas teraz, przyjaciele: kiedy ostatni raz zbliżyliśmy się do jakiejś planety z innymi niż mordercze zamiarami w sercu? Przynosimy ze sobą tyle najróżniejszych postaci wojny, okrucieństwo obłąkań, przesiąknięte krwią okopy i nieszczęście pod niebem rozdieranym przez echo salw. A ci, którzy nas prowadzą, nie są wcale lepsi! Czego możemy oczekiwać od obcych kultur, które napotkają na swojej drodze ludzi o przydomkach takich jak „Mistrz Wojny”, „Mężobójca” czy „Skrzywiony”? Widzą Astartes, odzianych w swoje owadzie skorupy zbroi, maszerujących do wtóru ponurego szczęku odbezpieczanych bolterów i ryku łańcuchowych mieczy. Jaka kultura nie próbowałaby się przed nami bronić?

Sindermann czuł, że nastrój tłumu się zmienia, i wiedział, że wzbudził zainteresowanie. Teraz musiał zawładnąć ich emocjami.

– Spójrzcie, co zostawiamy za sobą! Tyle pomników urządzonych przez nas rzezi! Spójrzcie na Dwór Luperkala, gdzie zakrwawiony oręż wisi w jasno oświetlonych salach i czeka, aż znów przyjdzie jego czas, podziwiany za swoje okrutne piękno. Patrzymy na tę broń i widzimy eksponaty, ale zapominamy, jak prawdziwe były życia, które te narzędzia zakończyły. Nasi martwi nie mogą do nas przemówić, nie mogą błagać o pokój, ich wspomnienie blaknie i odchodzi w niepamięć. Mimo cmentarnych pól, tryumfalnych łuków i wiecznego ognia zapominamy o nich, boimy się bowiem zobaczyć, co naprawdę zrobili, żeby nie ujrzeć tego w sobie samych.

Sindermann poczuł, że wypełnia go cudowna energia; słowa wypływały z niego niepowstrzymanym strumieniem, każde wyrywało się z jego ust niczym obdarzone własną wolą, jakby pochodziło spoza niego, jakby zrodziła je elokwencja nieskończenie większa niż jego nędzny, śmiertelny talent.

– Od dwóch wieków niesiemy między gwiazdy wojnę, a mimo to tylu rzeczy się nie nauczyliśmy. Zmarli powinni być naszymi nauczycielami, bo to oni są prawdziwymi świadkami dziejów. Tylko oni znają grozę i niekończącą się klęskę, jaką jest wojna. To choroba, która nawraca pokolenie po pokoleniu, bo nie słyszymy świadectwa tych, którzy padli ofiarą naszej wojennej dumy, chciwości czy chorej ideologii.

Pierwsze rzędy wybuchły gromkim aplauzem, który szybko ogarnął całą salę. Sindermann zastanawiał się, czy tak samo zareagowali wierni słuchający jego słów na innych statkach.

W oczach stanęły mu łzy. Ścisnął mocno krawędź pulpitu, a głos zadrżał z emocji.

– Niech polegli na polach bitew ujmą nas za ręce i oświecą nas najcenniejszą prawdą, jaką możemy poznać: że zamiast wojny musi zapanować pokój!

\* \* \*

Lucjusz wyhamował na podłodze czegoś, co wyglądało jak sala tronowa. Posadzka wyłożona była mozaiką układającą się w niewiarygodnie misterne ślimacznice, tak gęste, że wydawały się falować. Powietrze ciężki pociski z bolterów. Obsypywany odłamkami Lucjusz przetoczył się pod osłonę olbrzymiego klawikordu.

Wokół niego huczała pierwotna muzyka, wypełniająca centralną wieżę Pałacu Precentora. Z płatków wielkiego, granitowego kwiatu zwisały kryształowe żyrandole, mieniące się i drżące w rytm kakofonii bitwy w dole. Cała sala pełna była instrumentów, a na każdym zaprogramowany serwitör grał świętą muzykę Pieśniarek. Gigantyczne organy, z rurami pnącymi się wzwyż w mlecznych snopach porannego światła, stały obok rzędów złożonych dzwonek, a w szeregach spiżowych klatek śpiewali ze ślepym oddaniem chórzyci z ogolonymi głowami.

Struny harf brzęczały i dźwięczały do rytmu strzałów. Kiedy pociski z bolterów poszatkowały bok organów, te buchnęły zgrzytliwym wyciem. Nawała ognia wypełniała powietrze gorącym metalem i śmiercią, bitwa i muzyka konkurowały ze sobą, kto narobi najwięcej zgiełku.

Lucjusz poczuł przyptyw energii od samej głośności tego jazgotu. Każdy ryczący dźwięk i huk wystrzału napełniał go żądzą przemocy.

Wyjrzał za klawikord, zmęczony i uradowany, że dotarł tak daleko i tak szybko. Dzieci Imperatora przebijały się przez pałac, zabijając przy tym tysiące gwardzistów w czarno-srebrnych zbrojach, aż w końcu dotarły do sali tronowej.

Za swojej osłony Lucjusz zobaczył, że znajduje się w drugim rzędzie instrumentów, za którym wznosi się podium Precentora. Stał na nim olbrzymi tron, odwrócony do szermierza tyłem i otoczony kręgiem pulpitów zdobionych złotem i szmaragdami. Na każdym leżała gruba księga nut.

Ostrzał rozerwał jedną z nich i wokół tronu zawirowały w powietrzu

kartki.

Gwardia pałacowa zebrała się po przeciwnej stronie sali, wokół wysokiej postaci w złotej zbroi, z której pleców sterczały różnej grubości tuby i coś, co wyglądało jak głośniki. W powodzi srebra Lucjusz zobaczył kolejnych gwardzistów wbiegających innymi wejściami. Zaszarżowali na Dzieci Imperatora i wywiązała się zaciekle walka.

– Odważni są, trzeba im to przyznać – mruknął do siebie.

Łańcuchy mieczy i pociski z pistoletów dźwięczały o zbroje, srebrne smugi przecinały powietrze między złożonymi instrumentami, za którymi kryli się walczący. Każda salwa rozrywała drewniane obudowy i szatkowała serwitorów, siedzących za zdobionymi klawiaturami czy szarpiących struny metalowymi palcami.

A mimo to muzyka nie cichła.

Lucjusz obejrzał się za siebie. Jeden z Legionistów Nasicae padł, biegnąc w jego stronę. Srebrne smugi przebiły mu głowę, ciało zważyło się na podłogę. W Nasicae zostało już tylko trzech Astartes, do tego odciętych od dowódcy.

– Pradawny Rylanorze, naprzód! – wrzasnął Lucjusz do voxu. – Oslaniaj mnie! Drużyny taktyczne, naprzód w kierunku tronu, związać gwardię pałacową! Czystość i śmierć!

– Czystość i śmierć! – powtórzyły jak echo Dzieci Imperatora. Ruszyły do przodu z koordynacją, z której słynęły.

Jeden z gwardzistów w srebrnym pancerzu, rozszarpany ogniem z bolterów, padł bezwładnie na ziemię. Na podziurawionych kulami instrumentach leżały ciała w szklistych zbrojach, zmasakrowane i zakrwawione. Serwitorzy miotali się urywanymi ruchami, wciąż próbowali grać, choć ich ręce były dymiącymi ruinami kości i kabli.

Dzieci Imperatora nacierały drużyna po drużynie, salwa po salwie, szturmowały pod ostrzałem, tak jak umiał to robić tylko jeden, najdoskonalszy z Legionów.

Lucjusz wyskoczył zza osłony i pobiegł w huragan ognia. Na jego zbroi rozbryznięty się srebrne igły.

Za nim, w przerażającym łoskocie, przez tytaniczne skupisko bębnow i dzwonów przebiło się pancerne cielsko Rylanora. Drednot otworzył ogień do wroga. Gwardziści, osłonięci długimi taśmami jedwabiu, skakali jak akrobaci albo tancerze, uchylali się od mieczy i kul, odrąbywali kończyny ostrzami z monofilamentowego drutu.

Żołnierze w szklistych pancerzach zaatakowali zwartymi szeregami, dźgając halabardami, ale żaden z wrogów nie mógł się mierzyć ze zdyscyplinowanym kontrnatarciem Dzieci Imperatora. Błyskawiczne tempo i perfekcja ich metody walki nie zawiodły nawet w burzy ognia i śmierci, jaka szalała w sali tronowej.

Lucjusz zygzakiem popędził przez ostrzał w stronę postaci w złotej zbroi. Odłamki parowały w rozbłyskach energii na ostrzu jego miecza.

Zbroja jego przeciwnika wyglądała na starożytną, była wspaniale zdobiona, dorównywała ornamentacją zbroi Lorda Komandora Eidolona. W rękach wróg trzymał długą włócznię, z obu stron zakończoną pulsującą falą śmiercionośnych harmonii. Lucjusz uchylił się przed ciosem, uskoczył zwinnie w bok i pchnął mieczem w górę, w korpus przeciwnika.

Szybciej, niż uwierzyłyby, że to możliwe, włócznia zawróciła i straszliwa eksplozja dźwięku odbiła klingę, zanim ta uderzyła. Lucjusz odskoczył, bo z tub i głośników na zbroi złotego wojownika buchnęła śmiercionośna fala hałasu, tak potężna, że wyryła głęboką bruzdę w mozaikowej posadzce.

Jeden z gwardzistów runął Lucjuszowi u stóp z piersią rozerwaną ogniem Rylanora, drugi padł, gdy Legionista Nasicae odrąbał mu nogę.

Dzieci Imperatora rzuciły się dowódcy na pomoc, ale Lucjusz zatrzymał ich machnięciem ręki – to była jego walka. Wskoczył na podwyższenie tronowe, na którym złocisty wojownik czekał na niego w snopie światła padającym z wysokiego sklepienia.

Tętniąca dźwiękiem włócznia opadła, a Lucjusz uchylił się przed ciosem, jednocześnie wciąż nacierając. Pchnął mieczem, ale idealnej wysokości dźwięk zepchnął klingę w podłogę. Lucjusz zdołał ją poderwać w ostatniej chwili; włócznia znów uderzyła, a muzyczne ostrze minęło go o włos, przypalając fiolet i złocenia na zbroi. Wokół wciąż szalała bitwa, ale nie zwracał na to uwagi, bo wiedział, że walczy z przywódcą buntowników.

Tylko Vardus Praal otoczyłyby się taką obstawą.

Lucjusz zawirował, uchodząc spod kolejnego ciosu, obrotem wszedł za Praala i ciął mieczem tuby i głośniki na jego plecach. Poczł ogromną satysfakcję, kiedy rozjarzone ostrze bez trudu przecięło metal.

Z rozrąbanych rur buchnął straszliwy, niski ryk. Lucjusz poleciał w tył, strącony z podwyższenia podmuchem.

Od siły uderzenia popękała mu zbroja. Muzyka nagle wezbrała czystością i poczuł, jak jej moc omywa jego ciało cudowną, czystą falą.

Śpiewała mu we krwi, obiecywała następne tryumfy oraz nieskrępowany przepych dźwięku, światła i hedonistycznych uciech.

Lucjusz poczuł tę muzykę w swojej duszy i zrozumiał, że pragnie jej bardziej niż czegokolwiek innego w życiu.

Podniósł wzrok, kiedy złocisty wojownik zeskoczył lekko z tronu. Zobaczył wirujące linie mocy i obietnicę, płynącą w powietrzu jak woda.

– Czas umierać – powiedział i pochwyciła go pieśń śmierci.

\* \* \*

Później mieli to nazwać Grobowcem Śmierci, a Loken nigdy w życiu nie czuł takiego obrzydzenia, jak widząc to, co tam zastał. Nawet księżyc Davina, gdzie bagna wypluły na Synów Horusa żywe trupy, nie był tak obrzydliwy.

Odgłosy bitwy były jak piekielna muzyka – wrzaski unosiły się straszliwym crescendo, a widok przyprawiał o mdłości. Grobowiec Śmierci był pełny trupów: gnijących, kipiących rozkładem stosów zwłok.

Wieża, w której Loken i Synowie Horusa walczyli, była większa w środku niż z zewnątrz. W podłodze ziała otchłań, do której wrzucano zmarłych. To był grobowiec samej śmierci. Nad jamą górowało mauzoleum z poplamionego od krwi czarnego żelaza, zwieńczone rzeźbą samego Ojca Isstvana – potężnego, brodatego boga, który zabierał dusze swoich wiernych, a pozostałe ciskał w niebo, by cierpieli razem z jego Zagubionymi Dziećmi.

Na czarnym ramieniu Isstvana przycupnęła Pieśniarka. Wywrzaskiwać śmiertcioną pieśń, która szarpała nerwy Lokena i boleśnie wibrowała mu w kościach. Jamę otaczały setki isstvańskich żołnierzy, którzy strzelając z biodra, rzucili się na Astartes, gnani piskliwą melodią śmierci.

– Na nich! – krzyknął Loken i zanim zdążył zaczerpnąć tchu, już zderzyli się z wrogiem. Astartes ze szpicy wlewali się przez sklepione wejścia do wieży i otwierali ogień, kiedy tylko zobaczyli tłum Isstvańczyków.

Loken wystrzelił krótką salwę, zanim obie strony na siebie wpadły. Ponad dwa tysiące Synów Horusa rzuciło się do bitwy i Grobowiec Śmierci stał się sceną wielkiej, straszliwej rzezi, niczym areny starożytnych Romanich.

– Nie rozpraszać się! Plecami do siebie i naprzód! – wołał Loken, ale mógł tylko mieć nadzieję, że jego ludzie usłyszą go przez vox. Wrzask ogłuszał, wszyscy Isstvańczycy mieli rozwarte usta i wyli do wtóru piskliwych kadencji muzyki Pieśniarki.

Loken wycinał w masie ciał przed sobą krwawy półksiężyc. Vipus ze swoim długim łańcuchowym mieczem nie ustępował mu ani na krok. Strategia i wymyślna broń przestały się liczyć. Bitwa zmieniła się w brutalne starcie wręcz, na śmierć i życie.

Wynik mógł być tylko jeden.

Loken poczuł wypełniający go wstręt. Nie chodziło o krew i śmierć dookoła – widywał dużo gorsze rzeczy. Brzydziło go marnotrawstwo tej wojny. Ludzie, których zabijał... ich życie mogło coś znaczyć. Mogli przyjąć Imperialną Prawdę i przyczynić się do budowy galaktyki, w której rodzaj ludzki żyłby zjednoczony, prowadzony przez Imperatora w świetlaną przyszłość. Zamiast tego zostali zdradzeni, a skorumpowany przywódca zrobił z nich fanatycznych morderców, których przeznaczeniem było zginąć w imię kłamstw.

Marnotrawstwo życia. Nie było nic dalszego od ideałów Imperium.

– Torgaddon! Nacierajcie. Odrzućcie ich, żeby zrobić miejsce do ostrzału.

– Łatwo powiedzieć, Garvi! – odparł Torgaddon. W tle słychać było ostry trzask pękających kości.

Loken rozejrzał się, zobaczył jednego z Astartes z drużyny Lachosta powalonego samą masą napastników i spróbował podnieść bolter do strzału. Zakrwawione, poranione ręce uwiesiły mu się na lufie i jego brat zginął. Loken pochylił bark i zaszarżował; poczuł pod sobą trzask pękających kości napastników, ale następni już się na niego wspinali, ostrza i pociski biły o jego zbroję.

Z rykiem wściekłości przebił mieczem opancerzonego żołnierza przed sobą, odrzucając wroga na ułamek chwili potrzebny, by otworzyć ogień z boltera. Pełna salwa – cały magazynek – uderzyła w zbitą masę Isstvańczyków, rozrywając ich w czerwonej siekaninie poszarpanych twarzy i popękanych zbroi.

Loken błyskawicznie zmienił magazynek i wymierzył w żołnierzy, którzy próbowali powalić innych Synów Horusa. Pozostali Astartes także wsparli ogniem swoich braci.

Ton wrzasku Pieśniarki się zmienił. Loken poczuł, jakby ktoś przeciągnął mu po kręgosłupie zardzewiałym gwoździem. Zachwiał się, opadnięty natychmiast przez wrogów.

– Torgaddon! – krzyknął przez jazgot. – Zabij Pieśniarkę!

\* \* \*

– Błagam o wybaczenie, Mistrzu Wojny – zaczął Maloghurst, z obawą przerywając Horusowi obserwację bitwy trwającej na planecie. – Doszło do pewnych wydarzeń.

– W mieście? – spytał Horus, nie patrząc na niego.

– Na okręcie.

Mistrz Wojny podniósł wzrok, zirytowany.

– Wyjaśnij.

– Pierwszy iterator, Kyril Sindermann...

– Stary Kyril? Co z nim?

– Wygląda na to, że ile oceniliśmy jego charakter, panie mój.

– Jak to, Mal? Przecież to tylko starzec.

– Owszem, ale może być największym zagrożeniem, jakie dotąd przed nami stanęło. Jest teraz przywódcą, apostołem, jak go nazywają. On...

– Przywódcą? – przerwał Horus. – Czyim?

– Członków floty, cywilów, członków załóg i Lectitio Diyinitatus. Właśnie skończył przemowę skierowaną do całej floty, w której namawia ich, by sprzeciwili się Legionowi. Nazwał nas podżegaczami wojennymi i oznajmił, że chcemy zdradzić Imperatora. Próbujemy namierzyć, skąd nadano sygnał, ale najprawdopodobniej dawno już go tam nie będzie.

– Rozumiem. Ten problem powinien być załatwiony na długo przed Isstvanem.

– I w tym cię zawiedliśmy, panie mój – odparł Maloghurst. – Nawołując do pokoju, iterator dużo mówił o religii i wierze.

– Nie powinno nas to dziwić. Sindermann został przydzielony do mojej floty właśnie dlatego, że potrafi przekonać nawet najbardziej krnąbrny tłum do wszystkiego, co sobie wymyśli. Dodaj do tego religijny zapał i rzeczywiście, zrobi się z niego niebezpieczny człowiek.

– Oni wierzą, że Imperator jest bogiem – ciągnął Maloghurst – a my popełniamy świętokradztwo.

– To musi być upajająca wiara – zadumał się Horus. – A wiara to bardzo potężna broń. Wygląda na to, Maloghurście, że nie doceniliśmy potencjału, jaki tkwi nawet w cywilu, jeśli ten autentycznie w coś wierzy.

– Co chcesz, żebym zrobił, panie mój?

– Nie zajęliśmy się tym zagrożeniem jak trzeba – stwierdził Horus. – Powinno było zniknąć, kiedy oświecaliśmy Varvarusa i tych uciążliwych upamiętniaczy, a wtedy nie pojawiłoby się teraz, kiedy nasz plan wszedł w najdelikatniejszą fazę. Bombardowanie wkrótce się rozpocznie.

Maloghurst skłonił głowę.

– Mistrzu Wojny, Sindermann i jego poplecznicy zostaną zniszczeni.

– Wolno ci do mnie wrócić z tym problemem dopiero wtedy, kiedy będą wszyscy martwi – rozkazał Horus.

– Tak się stanie.

\* \* \*

– Głupcy! – warknął Praal zgrzytliwym, pełnym obrzydzenia głosem. – Nie widzieliście tej planety? Cudów, które chcecie zniszczyć? To miasto bogów!

Lucjusz przetoczył się po ziemi i poderwał na nogi, wciąż ogłuszony po uderzeniu fali dźwiękowej, która strąciła go z podwyższenia, ale przekonany, że pieśń śmierci rozbrzmiewała dla niego – i tylko dla niego. Uderzył, ale Praal płynnie odbił jego atak uniesioną włócznią.

– To miasto moich wrogów – zaśmiał się Lucjusz. – Tylko to się dla mnie liczy.

– Jesteście głusi na muzykę galaktyki. Słyszałem o wiele więcej niż wy – prychnął Praal. – Może to wy zasługujecie na litość, bo ja słuchałem dźwięków bogów. Słyszałem ich pieśń, a oni w swojej mądrości przekleli galaktykę!

Lucjusz roześmiał mu się w twarz.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? Ja tylko chcę cię zabić.

– Bogowie wyśpiewali, co wasza Imperialna Prawda sprowadzi na galaktykę! – zawołał Praal. Jego melodyjny głos ociekał pogardą. – To przyszłość pełna strachu i nienawiści. Byłem głuchy na muzykę, dopóki nie otworzyli mnie na swoją pieśń zapomnienia. Moim obowiązkiem jest położyć kres waszej Krucjacie!

– Możesz próbować – powiedział Lucjusz. – Ale nawet jeśli zabijesz nas wszystkich, przybędą następni: sto tysięcy, milion, aż ten świat zostanie starty na proch. Wasza mała rebelia jest skończona, po prostu jeszcze o tym nie wiecie.

– Nie, Astartes – odparł Praal. – Wypełniłem swój obowiązek i sprowadziłem was tutaj, do tej kuźni losu. Moje dzieło jest skończone! Teraz pozostaje mi tylko rozlać krew w imię Ojca Isstvana.

Lucjusz odskoczył, kiedy Praal zaatakował błyskawicznymi, mistrzowskimi zwodami, ale szermierz stawiał czoła i pokonywał już o wiele lepszych przeciwników. Pieśń śmierci falowała mu w głowie i widział każdy ruch Praala, zanim ten go wykonał. Muzyka przemawiała do niego w sposób,



którego nie rozumiał, ale odruchowo wiedział, że to moc większa niż wszystko, z czym spotkał się do tej pory.

Zasyłał Praala nawałą ciosów, spychał go krok po kroku w tył i nieważne, jak szybko tamten parował jego uderzenia, z każdym z nich szermierz był coraz bliżej zadania rany.

Błysk strachu, który Lucjusz zobaczył w oczach przeciwnika, wypełnił go poczuciem okrutnego tryumfu. Pulsująca, muzyczna włócznia wydała z siebie ostatni, atonalny krzyk i w końcu pękła pod ciosem energetycznego miecza.

Lucjusz obrócił się płynnie i oburącz wbił ostrze w złocistą pierś Praala, przesywając zbroję, żebra i narządy wewnętrzne.

Praal, wciąż żywy, upadł na kolana. Niemo poruszał ustami, a z rozległej rany trysnęła krew. Lucjusz przekręcił ostrze, rozkoszując się odgłosem pękających kości. Zaparł się stopą o ciało przeciwnika, wyciągnął miecz i stanął w tryumfie nad zwłokami pokonanego wroga.

Dookoła niego Dzieci Imperatora dorzynały resztki pałacowej gwardii, ale ze śmiercią Praala pieśń we krwi Lucjusza przycichła i stracił zainteresowanie walką. Odwrócił się do tronu, już czując bolesną tęsknotę za mocą krążącą w jego ciele.

Tron stał tyłem do niego, więc Lucjusz nie widział, kto na nim siedzi. Przed tronem dygotał szaleńczo panel kontrolny, przypominający nieludzko skomplikowaną, mechaniczną klawiaturę.

Lucjusz obszedł tron i zajrzał w szkliste oczy serwitora.

Jego głowa tkwiła na metalowym szkielecie, w miejscu wnętrzości pracował mosiężny mechanizm. Z pustej piersi wyrastały metalowe, zgrzytające wysięgniki, odczytujące nuty zapisane w księgach leżących wokół tronu, a dłonie – skomplikowane, dwudziestopalczaste konstrukcje z metalu i drutu – tańczyły nad panelem kontrolnym.

Bez Praala muzyka brzmiała fałszywie i nierówno, synkopowane rytmy zaczynały się rozjeżdżać. Lucjusz wiedział, że to marna namiastka tego, co dało mu siłę do walki z namiestnikiem.

W nagłym wybuchu niewymownej wściekłości opuścił miecz roziskrzonym łukiem, roztrzaskując panel kontrolny w deszczu pomarańczowych iskier. Ohydna muzyka przeszła w wyjący, śmiertelny wrzask, który wstrząsnął kamiennymi płatkami pałacu i zgasł niczym zapomniany sen.

Muzyka stworzenia ucichła i głosy bogów na całym Isstvanie zamilkły.

\* \* \*

Loken bronił się rozpaczliwie przed kilkudziesięcioma gwardzistami, którzy dźgali go swoimi lśniącymi halabardami. Jego uwagę zwróciła nagła salwa: Torgaddon ustawił swoich ludzi w szereg i w czarne żelazo mauzoleum śmierci załomotały pociski z bolterów. Pieśniarkę rozgniotło jak umierającego ptaka na posągu Ojca Isstvana.

Runęła, a jej ostatni krzyk ucichł, gdy zmasakrowane ciało roztrzaskało się o misternie rzeźbiony grobowiec.

– Padła! – powiedział głos Torgaddona przez vox. Wydawał się zaskoczony łatwością, z jaką udało się ją zabić.

– Kogo straciliśmy? – spytał Loken. Żołnierze wroga z chwilą śmierci Pieśniarki zaczęli się wycofywać. Kapitan podejrzewał, że powodem tego było coś więcej niż tylko jej śmierć. Na Isstvanie coś się zmieniło, coś bardzo ważnego, ale nie wiedział jeszcze co.

– Większość drużyny Chaggrat – odparł Torgaddon. – I wielu innych. Nie będziemy wiedzieli, dopóki się stąd nie wydostaniemy, ale jest coś jeszcze...

– Co?

– Lacbost mówi, że straciliśmy kontakt z orbitą – wyjaśnił Torgaddon.  
– Nie ma sygnału. Zupełnie tak, jakby „Mściwego Ducha” tam nie było.

– To niemożliwe. – Loken rozejrzał się za znajomą postacią sierżanta Lachosta.

Zobaczył go na krawędzi jamy i podszedł do niego. Torgaddon i Vipus poszli także.

– Niemożliwe czy nie – powiedział Torgaddon – tak mówi.

– Co z resztą grupy uderzeniowej? – spytał Loken, kucając obok Lachosta. – Co z pałacem?

– Z nimi mamy więcej szczęścia – odparł Lacbost. – Udało mi się połączyć z kapitanem Ehrlenem z Pożeraczy Światów. Wygląda na to, że są właśnie pod pałacem. Urządzili tam jakąś masakrę, tysiące cywilów nie żyją.

– Na Terrę! – zawołał Loken na myśl o upodobaniu Pożeraczy do rzezi i rzekach krwi, którymi musiały spłynąć ulice Miasta Chórów. – Udało się im skontaktować z kimś na orbicie?

– Mają pełne ręce roboty, kapitanie. Nawet gdyby udało im się wywołać „Zdobywcę”, nie mają jak przekazać żadnej wiadomości od nas. Z Ehrlena udało mi się wydobyć tylko tyle, że zabija ich gołymi rękami.

– A pałac?

– Nie wiem nic, nie mogę się połączyć z kapitanem Lucjuszem z Dzieci Imperatora. Mury pałacu odcięły łączność, kiedy tylko do niego weszli. Odbieraliśmy jakąś muzykę, ale nic poza tym.

– Spróbuj z Gwardią Śmierci. Wspiera ich Dies Irae, możemy go wykorzystać jako przekaźnik.

– Spróbuję, ale nie wygląda to obiecująco.

– Wszystko to powinno się już dawno skończyć! – warknął Loken. – Ale śmierć przywódców nie powaliła Miasta Chórów. Może Pożeracze mieli rację. Będziemy musieli pozabijać ich wszystkich. Musimy ściągnąć tu drugą falę uderzeniową, a jeśli nie możemy nawet skontaktować się z Mistrzem Wojny, to będzie bardzo długa kampania.

– Będę próbował – powiedział Lachost.

– Musimy dołączyć do reszty grupy uderzeniowej – ciągnął Loken. – Tu jesteśmy odcięci. Musimy dostać się do pałacu i znaleźć Pożeraczy albo Dzieci Imperatora. Tutaj nic nie zdziałamy. Dajemy tylko Isstwańczykom się okrążyć.

– Między nami a resztą grupy jest dużo wojska – zauważył Torgaddon.

– W takim razie będziemy się przebijać. Nie zdobędziemy tego miasta, czekając, aż nas zaatakują.

– Zgoda. Widziałem bramy w zachodnim murze. Możemy się tamtędy dostać do środka, ale będzie ciężko.

– Dobrze – powiedział Loken.

\* \* \*

– To pułapka – powiedziała Mersadie. – To musi być pułapka.

– Pewnie masz rację – zgodził się Sindermann.

– Oczywiście, że mam. Maloghurst próbował zabić Euphrati. Ten jego potwór, Maggard, omal nie zabił też ciebie, pamiętasz?

– Pamiętam doskonale, ale pomyśl, jaka to okazja. Będą tam tysiące ludzi, a oni nie odważą się spróbować czegokolwiek przy tylu świadkach. Prawdopodobnie nawet nie zauważą, że tam jesteśmy.

Mersadie spojrzała na Sindermanna z góry. Nie mogła uwierzyć, że stary iterator jest tak uparty. Przecież zaledwie kilka godzin temu mówił setkom ludzi o perfidii Mistrza Wojny! A teraz chciał się znaleźć z nim w jednym pomieszczeniu!

Ze snu obudził ich jeden z mechaników, który wetknął zwiniętą ulotkę w drżącą dłoń Sindermanna. Kyril wymienił zatroskane spojrzenia z Mersadiei przeczytał pismo. Było to zarządzenie Mistrza Wojny, nakazujące

wszystkim Upamiętniaczom zebrać się w głównej sali audiencyjnej „Mściwego Ducha”, by ujrzeli ostateczny tryumf na Isstvanie III. Tekst mówił o rozdzwieku, który – ku wielkiemu rozżaleniu Mistrza Wojny – powstał między Astartes i upamiętniaczami. Tym wspaniałomyślnym gestem Horus miał nadzieję rozwiać wszelkie obawy, że konflikt ten został rozmyślnie zaaranżowany.

– Chyba ma nas za idiotów – powiedziała Mersadie. – Naprawdę myśli, że się na to nabierzemy?

– Maloghurst to bardzo przebiegły człowiek – odparł Sindermann. Zwinął ulotkę i położył ją na łóżku. – Nie można go traktować jak zwykłego wojownika. Próbuje wykurzyć naszą trójkę, mając nadzieję, że żaden upamiętniacz nie oprze się takiej propozycji. Gdybym się nim tak nie brzydził, mógłbym go nawet podziwiać.

– Tym bardziej nie powinniśmy wchodzić w tę pułapkę! – zawołała Mersadie.

– Ach, a jeśli to prawda, moja droga? – spytał Sindermann. – Wyobraź sobie, co byśmy zobaczyli na powierzchni Isstvana III.

– Kyril, to wielki statek i możemy się na nim ukrywać bardzo długo. Kiedy Loken wróci, ochroni nas.

– Tak jak ochronił Ignace?

– To było nie fair... Loken pomoże nam uciec ze statku, kiedy opuścimy ten układ.

– Nie – odezwał się głos ya nią. Oboje obejrżeli się i zobaczyli Euphrati Keeler.

Znów się obudziła, a jej głos dawno nie brzmiał tak zdecydowanie. Wyglądała zdrowiej niż kiedykolwiek od czasu strasznych wydarzeń w archiwum. Widok jej stojącej, chodzącej i mówiącej po tak długim czasie wciąż był dla Mersadie nowością. Uśmiechnęła się na widok przyjaciółki.

– Pójdziemy – powiedziała Euphrati.

– Euphrati? – zdziwiła się Mersadie. – Ty naprawdę...?

– Tak, Mersadie. Nie żartuję. I tak, jestem pewna.

– To pułapka.

– Nie potrzebuję wizji od Imperatora, żeby to wiedzieć – zaśmiała się Euphrati. Jej śmiech wydał się Mersadie trochę złowróżbny i wymuszony.

– Ale oni nas zabiją.

Euphrati się uśmiechała.

– Owszem. Jeśli tu zostaniemy, w końcu nas dopadną. Wśród załogi

mamy wiernych, ale też wrogów. Nie pozwolę, żeby Kościół Imperatora w ten sposób zginął. To się nie może skończyć mordem w ciemności.

– A teraz, panno Keeler – powiedział Sindermann wymuszenie lekkim tonem – zacznasz mówić jak ja.

– Może w końcu nas znajdą, Euphrati – przyznała Mersadie. – Ale to nie znaczy, że mamy im to ułatwić. Po co iść Mistrzowi Wojny na rękę, skoro możemy pożyć trochę dłużej?

– Bo musisz to zobaczyć – odparła Euphrati. – Musisz zobaczyć. Ta zdrada to coś zbyt wielkiego, by ktokolwiek z nas zdołał to pojąć, nie zobaczywszy jej na własne oczy. Miejcie wiarę, że mam rację, przyjaciele.

– To nie jest kwestia wiary, prawda? – powiedział Sindermann. – To...

– To pora, żebyśmy przestali myśleć jak upamiętniacze – przerwała mu Euphrati, a Mersadie zobaczyła w jej oczach światło płonące coraz jaśniej z każdym słowem. – Imperialna Prawda kona. Kona na naszych oczach od czasu Sześćdziesiąt Trzy Dziewiętnaście. Albo umrzecie razem z nią, albo pójdziecie za głosem Imperatora. Ta galaktyka jest zbyt prosta, żebyśmy dłużej chowali się w jej złożoności, a Imperator nie może dokonywać swojego dzieła przez tych, którzy nie wiedzą, czy w ogóle wierzą.

– Pójdę za tobą – powiedział Sindermann, a Mersadie uświadomiła sobie, że potakująco kiwa głową.



## CZTERY

### OSTRZEŻENIE ŚMIERĆ PLANETY OSTATNI CTHONIANIN

Pierwszą rzeczą, jaką Saul Tarvitz ujrzał w Mieście Chórów, była wyniosła, kamienna orchidea Pałacu Precentora. Wskoczył z poobijanego thunderhawka na dach jednego ze skrzydeł pałacu, ogromna kopała wznosiła się wysoko nad nim. W powietrzu wiły się smugi dymu z miejsc toczonych w dole walk, a z placu na północy dochodził straszliwy wrzask i mocny smród świeżo rozlanej krwi.

Tarvitz jednym spojrzeniem ogarnął miasto. Uderzyła go myśl, że w każdej chwili wszystko to może przestać istnieć. Zobaczył Astartes biegnących po dachu w jego stronę. Dzieci Imperatora. Serce zabiło mu szybciej z radości na widok drużyny Nasicae, na której czele biegł Lucjusz z dymiącym mieczem.

– Tarvitz! – zawołał szermierz, a Saul pomyślał, że Lucjusz kroczy z jeszcze większą dumą niż zwykle. – Myślałem, że ci się nie uda! Pozazdrościłeś nam zwycięstw?

– Lucjusz, jak sytuacja?

– Pałac jest nasz, a Praal nie żyje, padł z mojej ręki! Na pewno możesz też wy wachać Pożeraczy Światów. Nie czują się u siebie, dopóki wszystko nie cuchnie krwią. Reszta miasta jest odcięta. Nie możemy nikogo wywołać. – Lucjusz wskazał na zachód, gdzie ogromna sylwetka Dies Irae pluła ogniem w nieszczęsnych, niewidocznych z tej pozycji Isstvańczyków. – Chociaż wygląda na to, że Gwardia Śmierci niedługo nie będzie miała co zabijać.

– Musimy się skontaktować z resztą grupy uderzeniowej, i to szybko – rzekł Tarvitz. – Z Synami Horusa i Gwardią Śmierci. Wyślij kogoś wyżej.

– Dlaczego? Saul, co się dzieje?

– Zbombardują nas. Czymś dużym. Bombą wirusową.

– Isstvańczycy?

– Nie – powiedział Tarvitz z rezygnacją. – Zdradzili nas nasi.

Lucjusz się zawahał.

– Mistrz Wojny? Saul, co ty...

– Wysłali nas tu na śmierć, Lucjuszu. Fulgrim wybrał tych, dla których nie było miejsca w ich wielkim planie.

– Saul, to obłąd! Dlaczego nasz Prymarcha miałby coś takiego robić?

– Nie wiem, ale nie zrobiłby tego bez rozkazu Mistrza Wojny – odparł Tarvitz. – To dopiero pierwszy etap jakiegoś większego planu. Nie wiem, jakie są jego cele, ale musimy spróbować go pokrzyżować.

Lucjusz pokręcił głową, skrzywiony w grymasie nadąsanego rozgoryczenia.

– Nie. Prymarcha nie wysłałby mnie na śmierć, nie po tych wszystkich bitwach, które dla niego stoczyłem. Popatrz, kim się stałem. Byłem jednym z Wybrańców Fulgrima! Nigdy się nie zawahałem, nigdy nie pytałem! Poszedłbym za nim do piekła!

– Ale ja nie, Lucjuszu – przerwał mu Tarvitz. – A ty jesteś moim przyjacielem. Przykro mi, ale nie mamy na to czasu. Musimy wszystkich ostrzec, a potem znaleźć jakieś schronienie. Zniosę wiadomość Pożeraczom Światów, ty ostrzeż Synów Horusa i Gwardię Śmierci. Nie wchodź w szczegóły, powiedz im tylko, że czeka nas bombardowanie wirusowe i żeby szukali schronienia, gdzie się da.

Saul popatrzył na Pałac Precentora, pokrzepiająco masywny.

– Pod pałacem muszą być jakieś katakumby czy podziemia. Jeśli do nich dotrzemy, może uda się nam przeżyć. To miasto umrze, Lucjuszu, ale niech mnie diabli, jeśli umrę razem z nim.

– Ściągnę tu łącznościowca – powiedział Lucjusz ze stalowym gniewem w głosie.

– Dobrze. Nie mamy dużo czasu, bomby mogą spaść w każdej chwili.

– To bunt.

– Tak – powiedział Tarvitz. – To bunt.

Pod swoimi rytualnymi bliznami Lucjusz wciąż był tym samym doskonałym wojownikiem co zawsze, szczęśliwcem, którego pewność siebie

udzielała się wszystkim dookoła, i Tarvitz wiedział, że może na niego liczyć.

– Idź, znajdź kapitana Ehrlena – powiedział szermierz. – Ja wywołam pozostałe Legiony i zaprowadzę naszych ludzi w bezpieczne miejsce. Jeszcze porozmawiamy.

– Wkrótce – odparł Tarvitz.

Lucjusz odwrócił się do Nasicae, warknął rozkaz i pobiegł z powrotem w kierunku kopuły pałacu. Tarvitz ruszył za nim. Spojrzał na północny plac i dojrzał przelotnie toczącą się tam bitwę. Słyszał krzyki i wycie łańcuchowych ostrzy. Poparzył na przedpołudniowe niebo. Zbierały się na nim chmury.

W każdej chwili mogły się przez nie przebić wirusowe główce.

Kiedy bomby spadną na Isstvana III, miliardy ludzi czeka śmierć.

\* \* \*

Pośród okopów i bunkrów ciągnących się na zachód od Miasta Chórów w błocie i ogniu ginęli ludzie i Astartes. Dies Irae dygotał od siły ognia, który prowadził. Moderati Cassar czuł to wszystko, jakby olbrzymi, wielolufowy bolter Vulkan trzymał we własnych rękach. Tytan odniósł wiele obrażeń, nogi miał porwane eksplozjami rakiet, a na korpusie głębokie bruzdy po pociskach ukrytych w bunkrach dział.

Cassar czuł każde z nich, ale nawet tyle uszkodzeń nie mogło spowolnić Dies Irae ani zawrócić go z kursu. Celem istnienia Tytana było zniszczenie, a śmierć karą, jaką zsyłał na głowy wrogów Imperatora.

Cassarowi rosło serce. Nigdy nie czuł się tak bliski swojego Imperatora, zjednoczony z bogiem-maszyną, jakby Dies Irae został natchnięty okrucieństwem boskiego władcy.

– Aruken, zwrot na sterburte! – rozkazał princeps Turnet z fotela dowódcy. – Uważaj na te bunkry, bo nam okulawią lewą nogę.

Dies Irae skręcił w bok, olbrzymią stopą zdejmując dachy ze skupiska bunkrów i miażdżąc stanowiska artylerii. Z ruin wysypał się tłum isstwańskich żołnierzy, którzy zaczęli rozstawiać broń ciężką, by ostrzelać górującego nad nimi Tytana.

Isstwańscy byli dobrze wyszkoleni i wyposażeni. Chociaż większość ich broni nie dorównywała karabinom laserowym, okopy znakomicie wyrównywały szanse, a kiedy zaczynał się ostrzał, człowiek z karabinem był po prostu człowiekiem z karabinem.

Gwardia Śmierci wyrzynała ich tysiącami, przebijając się przez okopy, ale Isstwańscy mieli przewagę liczebną i nie uciekali. Zamiast tego



oddawali kolejne linie umocnień, cofając się w porządku przed nieubłagany natarciem Astartes.

Isstvańczycy w swoich szarzielonych hełmach i oblepionych błotem zbrojach byli słabo widoczni na tle błota i gruzu, ale sensory Dies Irae rzucały na siatkówkę Cassara ostry obraz, dzięki czemu widział ich cudownie wyraźnie i ze szczegółami.

Cassar wystrzelił serię wielkokalibrowych pocisków i patrzył, jak w powietrze, niczym rozbryzgi wody, wylatują kolumny błota i trupów. Istvańczycy znikali, niszczeni ręką Imperatora.

– Siły wroga grupują się w prawym przednim kwadrancie – powiedział moderati Aruken.

Dla Cassara jego głos dobiegał z oddali, choć Aruken siedział po drugiej stronie mostka Tytana.

– Gwardia Śmierci da sobie z nimi radę – odparł princeps Turnet. – Skoncentrujcie się na artylerii. Ona może nam zaszkodzić.

W dole, pod Cassarem, wokół bunkrów zalśniły sylwetki Astartes Gwardii Śmierci. Dwie drużyny wrzuciły wiązki granatów przez szczeliny strzelnicze, a potem wysadziły drzwi wejściowe i zasypały ocalałych Istvańczyków salwami z bolterów i miotaczy ognia. Z wysokości głowy Dies Irae wojownicy przemykający przez okopy w skorupach swoich zbroi wyglądali jak rój żuków.

Kilku Legionistów leżało tam, gdzie padli, ścięci ogniem artylerii albo zmasowanym ostrzałem istvańskich żołnierzy, ale było ich niewielu w porównaniu z trupami Istvańczyków, rozwłóczonymi wzdłuż każdej transzei.

Obrońcy byli metr po metrze spychani w stronę północnego krańca umocnień. Kiedy dotrą w końcu do białego marmuru wysokiej bazyliki z iglicą w kształcie trójzęba, zostaną wzięci w kleszcze i wyrżnięci.

Cassar wymierzył uzbrojone ramię Tytana w pozycję artylerii, strzelającej o jakieś pięćset metrów od nieb. Działa pluły jęzorami ognia i miotały w Gwardię Śmierci pociski rozpryskowe.

– Princepsie! – zawołał Cassar. – Artyleria wroga przesuwa się we wschodni kwadrant.

Turnet nie odpowiedział, za bardzo skupiony na czymś, co słyszał na swoim osobistym kanale dowódcy. Kiwnął głową, potwierdzając rozkaz, który właśnie otrzymał.

– Stać! – krzyknął. – Aruken, wygaś ruch krokowy. Cassar, odetnij

podajniki amunicji.

Cassar odruchowo wyłączył automatyczne przeładowywanie broni grzmiącej na ramieniu Tytana, a wywołany tym szok spowodował wyrzucenie jego świadomości z powrotem na mostek. Nie patrzył już oczami Dies Irae, wrócił do reszty załogi.

– Princepsie? – spytał, przeglądając odczyty. – Jest jakaś usterka? Jeśli tak, to jej nie widzę. Główne systemy są wszystkie w normie.

– To nie usterka – odparł ostro Turnet.

Cassar oderwał się od informacji przepływających w jego polu widzenia niewyraźnymi kolumnami.

– Moderati Cassar – warknął princeps – jak temperatura broni?

– Do przyjęcia – odparł Cassar. – Miałem właśnie ostrzelać tę artylerię.

– Zamknij przewody chłodzące i zapieczętuuj podajniki amunicji, jak tylko będziesz mógł.

– Princepsie? – spytał Cassar, nie rozumiejąc. – Przecież będziemy bezbronni.

– Wiem – odparł Turnet takim tonem, jakim tłumaczy się coś komuś nierozgarniętemu. – Wykonać. Aruken, masz nas uszczelnić.

– Uszczelnić? – powtórzył Jonasz, tak samo zdezorientowany jak Cassar.

– Tak, uszczelnić. Musimy być hermetycznie zamknięci od stóp do głów – powtórzył Turnet i otworzył kanał ogólny, łącząc się z resztą załogi olbrzymiej wojennej maszyny. – Do całej załogi, mówi princeps Turnet. Natychmiast zająć stanowiska awaryjne zagrożenia biologicznego. Hermetyczne grodzie zostaną zamknięte. Zamknąć wentylację reaktora i przygotować się do wyłączenia zasilania.

– Princepsie – powiedział Aruken z naciskiem – to jakaś broń biologiczna? Atomowa?

– Istwańcy mają broń, o której nie wiedzieliśmy – odparł Turnet, ale Cassar widział, że kłamie. – Za chwilę ją odpalą. Musimy się uszczelnić albo nas załatwią.

Cassar spojrział oczami Tytana na okopy. Gwardia Śmierci wciąż nacierała przez transeje i bunkry.

– Ale princepsie, Astartes...

– Dostałeś rozkaz, moderati Cassar! – krzyknął Turnet. – I wykonasz go! Zamknąć wszystko, każdy włącz, każdy kanał wentylacyjny, albo wszyscy umrzemy.

Cassar rozkazał Dies Irae zamknąć włązy i zabezpieczyć wszystkie wejścia; jego wahanie sprawiało, że procedury ciągnęły się dłużej niż zwykle.

Na ziemi w dole Gwardia Śmierci dalej przebijają się przez umocnienia Miasta Chórów, najwyraźniej nie przejmując się faktem, że Isstwańscy zamierzają odpalić w nią jeden Imperator wie co – a może zupełnie tego nieświadoma.

W zgiełku toczącej się wokół bitwy Dies Irae zamilkł.

\* \* \*

Główna sala audiencyjna „Mściwego Ducha” była kolosalnym pomieszczeniem z kolumnadami, marmurowymi ścianami i pilastrami z litego złota. Sindermann jeszcze nigdzie nie widział takiego przepychu, a tysiące ludzi, które się tu zebrały, miały miny jak onieśmiałe dzieci, którym ktoś pokazał nowe, niesłychane cuda. Widząc wiele znajomych twarzy, Sindermann domyślił się, że na wezwanie Mistrza Wojny stawili się wszyscy upamiętniacze floty.

Horus i Maloghurst stali na podwyższeniu na drugim końcu sali, za daleko, by któryś z nich rozpoznał Sindermanna, Mersadie czy Euphrati. A przynajmniej Kyril miał taką nadzieję. Kto mógł wiedzieć, jak bystry wzrok mają Astartes, nie mówiąc już o Prymarsze?

Obaj Astartes byli spowici w kremowe szaty lamowane złotem i srebrem, obok nich stał oddział Legionistów. Na ścianach zawieszono kilka wielkich ekranów.

– Wygląda to jak wiec iteratorów na podbitym świecie – powiedziała Mersadie, wyrażając na głos to, o czym Sindermann pomyślał. Podobieństwo było tak wielkie, że zaczął się zastanawiać, jaka wiadomość zostanie tu przekazana i jak to się odbędzie.

Rozejrzał się, szukając wśród widowni klakierów, którzy mieli klaskać i wiwatować w odpowiednich momentach, by pokierować tłumem. Na każdym z ekranów wyświetlono fragment Isstvana III na tle czerni kosmosu usianej jasnymi, srebrnymi kropkami flotylli Mistrza Wojny.

– Euphrati – odezwała się Mersadie, kiedy przeciskali się między upamiętniaczami – pamiętasz, jak mówiłam, że to zły pomysł?

– Tak? – Twarz Euphrati wykrzywił szeroki, niewinny uśmiech.

– No to teraz uważam, że to bardzo, bardzo zły pomysł. Popatrz, ilu tu Astartes.

Sindermann podążył za jej spojrzeniem i spocił się na widok tyłu uzbrojonych Legionistów. Gdyby choć jeden rozpoznał ich twarze, to byłyby

koniec.

– Musimy to zobaczyć. – Euphrati odwróciła się i chwyciła go za rękaw. – Ty musisz to zobaczyć.

Sindermann poczuł żar jej dotyku, dostrzegł ogień w jej oczach, jak grom przed burzą, i zrozumiał nagle, że trochę się jej boi. Tłum kręcił się niecierpliwie, a Kyril starał się nie odwracać twarzy w stronę Astartes, przypatrujących się ludziom zgromadzonym na sali.

Euphrati ścisnęła Mersadie za rękę. Ekran ożyły i upamiętniacze głośno westchnęli na widok spływających krwią ulic Miasta Chórów. Obrazy, robione z lotu ptaka, wypełniły olbrzymie monitory, a Sindermann poczuł, że od skali rzezi żółć podchodzi mu do gardła.

Wspomniał masakrę w Szeptunach. Przekonywał sam siebie, że Astartes do tego właśnie zostali stworzeni, ale wiedział, że nigdy nie przyzwyczai się do tej myśli. Ulice zasłane były trupami, a tętnicza krew pokrywała niemal każdą powierzchnię, zupełnie jakby z nieba spadł szkarłatny deszcz.

– Mówiliście, że chcecie zobaczyć wojnę, upamiętniacze – powiedział Horus. Jego głos niósł się z łatwością w najdalsze zakątki olbrzymiej auli. – Proszę, oto wojna.

Obraz na ekranie zmienił się, oddalił w ciemne, usiane gwiazdami niebo.

W kierunku pola bitwy w dole mknęły płonące włócznie światła.

– Co to jest? – spytała Mersadie.

– To bomby – szepnął Sindermann z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Planeta jest bombardowana.

– A więc zaczęło się – rzekła Euphrati.

\* \* \*

Plac wyglądał makabrycznie, zalany krwią po kostki, zasłany nieprzeliczonymi tysiącami trupów. Większość ciał została rozerwana pociskami z bolterów, ale wiele porąbano łańcuchowymi mieczami albo po prostu rozszarpano na strzępy.

Tarvitz biegł w stronę prowizorycznego punktu obronnego na środku placu. Między poobijanymi kapsułami desantowymi piętrzyły się wały usypane z porzniętych zwłok.

Kiedy wspiął się na ten makabryczny wał, przywitał go Pożeracz Światów w zakrwawionej zbroi i z twarzą poznaczoną bliznami. Jego pancerz był do tego stopnia pokryty czerwienią, że Tarvitz przez chwilę zastanawiał

się, czemu Astartes po prostu nie pomalował go na czerwono, zanim to wszystko się zaczęło.

– Kapitan Ehrlen, gdzie on jest? – zapytał.

Legionista nie tracił czasu na odpowiedzi, tylko wskazał kciukiem wojownika, na którego napierśniku trzepotały dziesiątki papierowych ślubowań. Tarvitz skinął głową w podzięcie i ruszył przez przyczółek.

Minął rannych wojowników, opatrywanych przez konsyliarza, który wyglądał, jakby walczył tak samo żąrcie jak jego pacjenci. Obok leżało dwóch zabitych Pożeraczy Światów, odrzuconych bezceremonialnie na bok, żeby nie przeszkadzali.

Kiedy Tarvitz podszedł, Ehrlen odwrócił się do niego. Twarz dowódcy została ciężko poparzona w którejś z poprzednich bitew, a jego topór oblepiała tak gruba warstwa krwi, że przypominał raczej maczugę.

– Wygląda na to, że Dzieci Imperatora przysłały nam posiłki! – krzyknął, wywołując tym ryk śmiechu swoich żołnierzy. – Cały jeden wojownik! Co za szczęście, wróg teraz niechybnie ucieknie.

– Kapitanie – powiedział Tarvitz, stając obok niego przy barykadzie z zabitych Isstwańczyków – nazywam się Saul Tarvitz, jestem kapitanem i przyszedłem was ostrzec. Musisz zaprowadzić swoje drużyny w jakieś bezpieczne miejsce.

– W bezpieczne miejsce? Nie ma mowy – odparł Ehrlen, ruchem głowy wskazując przeciwległy skraj placu. W oknach rezydencji i pomiędzy budynkami poruszały się jakieś kształty. – Przegrupowują się. Jeśli się stąd ruszymy, zadcpczą nas.

– Isstwańczycy mają broń biologiczną – ciągnął Tarvitz, wiedząc, że kłamstwo to jedyny sposób, by przekonać Pożeraczy Światów. – Zamierzają ją odpalić. Zabije wszystko i wszystkich w Mieście Chórów.

– Chcą zniszczyć własną stolicę? Myślałem, że to jakiś kościół. Ich święte miejsce.

– Pokazali już, na ile cenią swoich ludzi – odparł Tarvitz, wskazując sterty trupów przed nimi. – Poświęcą całe miasto, żeby nas zabić. Wypędzenie nas z planety jest dla nich tego warte.

– Mamy opuścić tę pozycję? – spytał ostro Ehrlen, jakby Tarvitz osobiście obraził jego honor. – Skąd to wszystko wiesz?

– Właśnie przyleciałem z orbity. Broń już została odpalona. Jeśli będziecie na powierzchni, kiedy uderzy wirus, zginiecie. Uwierz temu, jeśli nic innego cię nie przekonuje.

– Gdzie mamy się przemieścić?

– Na zachód od tej pozycji, kapitanie. – Tarvitz zerknął w niebo. – Na skraju umocnień jest dużo bunkrów, hermetycznych schronów. Jeśli zaprowadzisz tam swoich ludzi, powinni być bezpieczni.

– Powinni? – warknął Ehrlen. – To najlepsze, co możesz mi zaoferować? – Przyglądał się chwilę Tarvitzowi. – Jeśli się mylisz, krew moich ludzi będzie na twoich rękach, a ja cię za nich zabiję.

– Rozumiem – odparł Tarvitz. – Ale na razie nie mamy czasu.

– Dobrze, kapitanie Tarvitz. Sierzancie Fleiste, lewa flanko! Sierzancie Wronde, prawa! Pożeracze Światów, wszystkimi siłami na zachód! Gotuj broń!

Astartes dobyli swoich łańcuchowych toporów i mieczy. Zbryzgane krwią drużyny szturmowe pospieszyły na czoło i wspięły się na prowizoryczne barykady z trupów.

– Idziesz z nami, Tarvitz? – spytał Ehrlen.

Saul kiwnął głową, dobył miecza i ruszył za Legionistami przez plac.

Choć byli braćmi Astartes, wiedział, że jest wśród nich obcy. Biegli w stronę potencjalnego schronienia w bunkrach, wyrzaskiwali bojowe klątwy i rozdeptywali zabitych. Tarvitz spojrział na gromadzące się chmury i poczuł, że coś ściska go w piersi.

W stronę miasta spadały pierwsze ogniste smugi.

\* \* \*

– Zaczęło się – oznajmił Loken.

Lachost podniósł wzrok znad polowego voxu. Po niebie, w stronę Miasta Chórów, mknęły ogniste punkty. Loken próbował ocenić kąt i prędkość pocisków. Niektóre miały spaść między wieżami Syreniego Grodu, tak samo jak lądownicy Synów Horusa zaledwie kilka godzin wcześniej. Powinny uderzyć już za kilka minut.

– Czy Lucjusz powiedział coś jeszcze?

– Nie – odparł Lachost. – Coś o broni biologicznej i nic więcej. Potem brzmiało to tak, jakby wdał się w jakąś strzelaninę.

– Tarik! – krzyknął Loken. – Musimy się schować, i to już. Pod Syrenim Grodem.

– To wystarczy?

– Jeśli wydrążyli swoje katakumby wystarczająco głęboko, to być może tak.

– A jeśli nie?

– Jeśli nie, to według Lucjusza wszyscy umrzemy.

– W takim razie lepiej się ruszmy.

Loken odwrócił się do otaczających go Synów Horusa.

– Uwaga! Wszyscy do Syreniego Grodu i na dół! Szybko!

Najbliższa wieża była strzelistą, makabryczną iglicą. Z zewnątrz pokrywały ją bezkształtne posągi i wyszczerzone gargulce rodem z jakiegoś starożytnego piekła istwańskiej mitologii. Synowie Horusa złamali szyk i pobiegli w jej stronę.

Loken usłyszał charakterystyczny huk detonacji wysoko nad miastem i jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Wbiegł w mrok grobowca. Wnętrze było ciemne i brzydkie, podłoga wyłożona płaskorzeźbami udręczonych, na poły ludzkich istot, wyciągających kamienne dłonie, jakby wysuwały je przez pręty krat.

– Jest tu zejście w dół – oznajmił Torgaddon.

Loken pobiegł za nim do wejścia do katakumb, stylizowanego na olbrzymi kamienny łeb jakiegoś potwora, z przejściem prowadzącym w głąb gardzieli.

Kiedy spowiła ich ciemność, usłyszał dobiegający zza murów Syreniego Grodu znajomy dźwięk.

Krzyk.

Pieśń o śmierci Miasta Chórów.

Pierwsze bomby wirusowe detonowały wysoko nad miastem. Olbrzymie eksplozje rozsiały śmiertcionośny ładunek w atmosferze. Wirus, zaprojektowany tak, by zabić wszystkie żywe istoty na powierzchni planety, był najskuteczniejszą bronią w arsenale Mistrza Wojny. Moc bomb wystarczała ponad stukrotnie do uśmiercenia globu o takiej wielkości. Ustawiono je tak, by wybuchały na różnych wysokościach i w różnych miejscach nad powierzchnią.

Wirus rozszedł się błyskawicznie po lasach i równinach, przeskoczył przez wykwity morskich alg, niesiony prądami powietrznymi okrążył świat. Przebył góry i rzeki, wgryzł się w lodowce. Był najbardziej śmiertcionośną bronią Imperium, przed której użyciem wzdragał się sam Imperator.

Bomby spadły na całego Isstvana III, ale przede wszystkim uderzyły w Miasto Chórów.

\* \* \*

Pożeracze Światów mieli najdalej do schronienia i po rozpoczęciu bombardowania ucierpieli najbardziej. Niektórzy dobiegli do bunkrów, ale

wielu nie zdołało tego uczynić. Astartes padali na kolana, gdy wirus przenikał przez ich zbroje: zabójcze, żrące czynniki, wplecione w strukturę broni, przeżerały nieosłonięte przewody i stawy pancerzy albo wdzierały się do środka przez uszkodzenia po walce.

Astartes wrzeszczeli. Ich krzyk był bardziej wstrząsający przez sam fakt jego zaistnienia niż przez grozę swojego brzmienia. Wirus rozkładał wiązania molekularne w komórkach; jego ofiary w kilka chwil po zainfekowaniu dosłownie rozpuszczały się w zupę zepsutego mięsa. Zostawały z nich jedynie skorodowane zbroje pełne chlupiącej mazi. Także wielu z tych, którzy dopadli hermetycznych bunkrów, skonało w cierpieniach, bowiem zatrasnęli wrota tylko po to, by odkryć, że wirus dostał się do środka razem z nimi.

Wirus rozprzestrzeniał się po cywilnej populacji Isstvana III z prędkością myśli, przeskakiwał z ofiary na ofiarę, potrzebując do ataku tylko tyle czasu, ile trwało wciągnięcie do płuc jego plugawych cząsteczek. Ludzie padali tam, gdzie stali, ciało spływało z kości, układy nerwowe się rozpadały, a szkielety nabierały konsystencji galarety.

Oślepiające eksplozje karmiły wirusową ucztę, rozsiewały śmiertelny rozkład i zepsucie. Sama zabójczość nekrowirusa była jego najgorszym wrogiem, bo nie mając nosiciela, który przenosiłby go z ofiary na ofiarę, szybko pożerał się sam.

Bombardowanie z orbity jednak nie ustawało, pokrywało całą planetę drobiazgowo obliczoną siatką ostrzału, tak by nic się przed nim nie uchowało.

Całe królestwa i wasalne państwa zginęły w przeciągu kilku minut. Starożytne kultury, które przetrwały Długą Noc i rozliczne straszliwe inwazje, umarły, nie wiedząc nawet dlaczego. Mieszkańcy ginęli milionami z wrzaskiem cierpienia, zdradzeni przez własne ciała, które rozpadały się, podobnie jak cała obracająca się w przegniłą, pleśniąca breję cywilizacja.

\* \* \*

Sindermann patrzył, jak po fragmencie planety widocznym na olbrzymich ekranach rozpełza się czarna plama. Rosła wielkim, ciemnym kręgiem, ze zdumiewającą prędkością pożerała powierzchnię Isstvana III, zostawiając po sobie szare pustkowia. Z innej części planety nadciągnęła druga fala zniszczenia; spotkały się i rozprzestrzeniały dalej niczym objaw jakiejś strasznej choroby.

– Co... co to jest? – szepnęła Mersadie.



– Już to widziałaś – odparła Euphrati. – Imperator ci to ukazał przeze mnie. To śmierć.

Sindermannowi skurczył się żołądek na wspomnienie obrzydliwej wizji rozkładu, jego własnego gnijącego ciała i czarnego zepsucia pochłaniającego wszystko dookoła.

To właśnie działo się na Isstvanie III.

To właśnie była zdrada.

Miał wrażenie, że uszła z niego cała krew. Na jego oczach planetę spowił ogrom śmierci. Poczuł echo strachu mieszkańców Isstvana pomnożonego przez wszystkie te miliardy ludzi i było to uczucie przekraczające jego pojmowanie.

– Jesteście upamiętniaczami – powiedziała Keeler z cichym smutkiem w głosie. – Oboje. Zapamiętajcie to i przekazcie innym. Ktoś musi się o tym dowiedzieć.

Sindermann tępo kiwnął głową, za bardzo zszokowany tym, co widział, by cokolwiek powiedzieć.

– Chodźcie – powiedziała Euphrati. – Musimy iść.

– Iść? – załkała Mersadie ze wzrokiem przykutym do umierającego świata. – Dokąd?

– Daleko stąd – uśmiechnęła się Euphrati, ujęła ich za ręce i poprowadziła przez znieruchomiały, przerażony tłum upamiętniaczy w stronę wyjścia z auli.

Sindermann z początku dał się jej prowadzić, był w stanie jedynie przesuwając tępo stopy, jedna za drugą, ale kiedy spostrzegł, że Keeler idzie w kierunku Astartes pod ścianą, zaczął w przestkach ciągnąć ją w tył.

– Euphrati! – syknął. – Co ty robisz?! Jeśli ci Astartes nas rozpoznają...

– Zaufaj mi, Kyrilu – odparła. – Właśnie na to liczę.

Poprowadziła ich w stronę olbrzymiego wojownika stojącego z dala od innych. Sindermann potrafił odczytywać mowę ciała wystarczająco dobrze, by zobaczyć, że ten człowiek jest tak samo jak oni przerażony tym, co widzi.

Astartes odwrócił się w ich kierunku. Twarz miał wiekową, kościstą i wysuszoną jak stara skóra.

Euphrati stanęła przed nim.

– Iactonie. Potrzebuję twojej pomocy.

Iacton Qruze. Sindermann słyszał, jak Loken o nim wspominał. Cichy.

Qruze był wojownikiem z dawnych dni, którego głosu nie brały już pod uwagę najwyższe rangi dowództwa.

Wojownik z dawnych dni...

– Potrzebujesz mojej pomocy? – spytał Qruze. – Kim jesteś?

– Nazywam się Euphrati Keeler, a to jest Mersadie Oliton – powiedziała, jakby wzajemne prezentacje z planetarną rzezią w tle były czymś najzupełniej normalnym. – To Kyril Sindermann.

Sindermann zobaczył w oczach Qruzego błysk rozpoznania i zamknął oczy, czekając na nieunikniony krzyk, który ich zdradzi.

– Loken prosił, żebym się wami zajął – rzekł Qruze.

– Loken? – powtórzyła Mersadie. – Wiesz coś o nim?

Cichy potrząsnął głową.

– Prosił mnie, żebym się wami zaopiekował, kiedy go nie będzie – powiedział. – Teraz chyba wiem, co miał na myśli.

– Co to znaczy? – spytał Sindermann. Nie podobały mu się czujne spojrzenia, które Qruze rzucał uzbrojonym Legionistom pod ścianami auli.

– Nieważne.

– Iactonie – rozkazała Euphrati głosem, w którym pobrzmiwał autorytet – spójrz na mnie.

Astartes spojrzał na drobną kobietę przed sobą, a Sindermann poczuł bijącą od niej moc i determinację.

– Nie jesteś już Cichym – powiedziała Euphrati. – Teraz twój głos poniesie się dalej i głośniejszy niż kogokolwiek innego z twojego Legionu. Wierzysz w dawne obyczaje i z czułą nostalgią czcigodnego starca chciałbyś, aby wróciły. Tamte dni właśnie umierają, Iactonie, ale z twoją pomocą możemy je ocalić.

– O czym ty mówisz, kobieto? – warknął Qruze.

– Chcę, żebyś przypomniawszy sobie Cthonię – powiedziała Keeler, a Sindermann drgnął, kiedy poczuł elektryzującą iskrę energii, która przeskoczyła na niego z upamiętniaczki, jakby jej skóra była pod napięciem.

– Co wiesz o moim rodzinnym świecie?

– Tylko tyle, ile widzę w tobie, Iactonie. – Oczy Euphrati nabrały delikatnego blasku, a jej słowa wypełniły się kuszącą obietnicą. – Honor i dzielność, z których wykuto Wilki Luny. Tylko ty to pamiętasz, Iactonie. Tylko ty wciąż jeszcze ucieleśniasz, co to znaczy być wojownikiem Astartes.

– Nic o mnie nie wiesz – powiedział Qruze, ale Sindermann widział, że jej słowa go poruszają, że przełamują bariery, które Astartes wzniósł między sobą a śmiertelnikami.

– Twoi bracia nazywają cię Cichym, ale ty ich za to nie rugasz. Wiem,

że to dlatego, że cthoński wojownik ma swój honor i nie obchodzą go drobne uszczypliwości innych. Wiem też, że nikt nie słucha twoich słów, bo przemawiasz głosem minionej ery, kiedy Wielka Krucjata była szlachetnym przedsięwzięciem powziętym nie dla zysku, ale dla dobra całej ludzkości.

Sindermann patrzył na Qruzego, na którego twarzy malował się konflikt szalejący w jego duszy.

Lojalność wobec Legionu walczyła z lojalnością wobec idei, które go stworzyły.

W końcu uśmiechnął się smutno.

– „Nic zanadto uciążliwego”, powiedział... – Obejrzał się na Mistrza Wojny i Maloghursta. – Chodźcie – zdecydował. – Za mną.

– Dokąd? – spytał Sindermann.

– W bezpieczne miejsce – odparł Qruze. – Loken prosił, żebym się wami zaopiekował, a ja właśnie zamierzam to zrobić. Teraz milczcie i idźcie za mną.

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę jednych z wielu drzwi auli. Euphrati poszła za nim, a Sindermann i Mersadie ruszyli w jej ślady, nie wiedząc, dokąd idą ani dlaczego. Qruze dotarł do drzwi, wielkich wrót z polerowanego brązu pilnowanych przez dwóch Legionistów, którym krótkim gestem kazał się odsunąć.

– Zabieram ich na dół – powiedział.

– Mamy rozkaz nikogo nie wypuszczać – odparł jeden z wartowników.

– A ja wam wydaję nowy rozkaz – oznajmił Qruze. W jego głosie pojawiła się żelazna determinacja, której Sindermann wcześniej nie zauważył. – Odsuńcie się. Zamierzacie odmówić wykonania rozkazu oficera?

– Nie, kapitanie – powiedzieli Legioniści, skłonili się i otworzyli wrota.

Qruze skinął im głową i gestem wskazał Upamiętniaczom, żeby wychodzili.

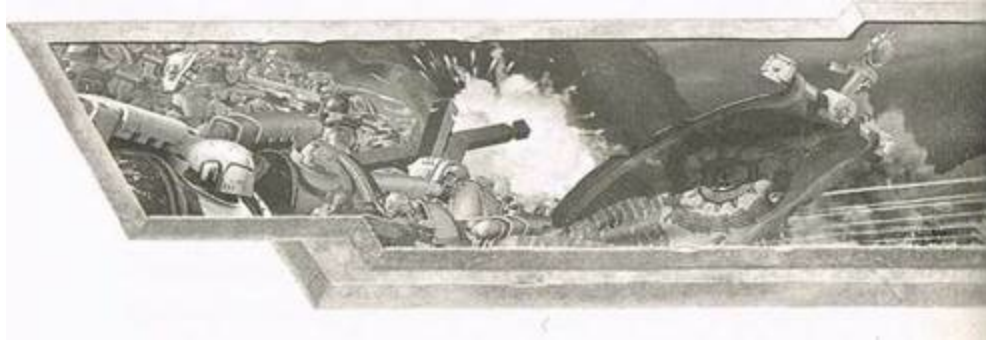
Sindermann, Euphrati i Mersadie wyszli z auli, a drzwi zatrzasnęły się za nimi z głuchym, ostatecznym hukiem. Odgłosy ginącej planety i wstrząśnięte westchnienia umilkły. Nastąpiła przyprawiająca o dreszcz cisza.

– Co teraz? – spytała Mersadie.

– Teraz zabiorę nas wszystkich najdalej jak się da od „Mściwego Ducha” – odparł Qruze.

– Opuszczamy statek?

– Tak. Dla takich jak wy nie jest tu teraz bezpiecznie. Ani trochę.



## PIĘĆ

### CZYSTKA NIECH GALAKTYKA PŁONIE BÓG-MASZYNA

Wrzask agonii Miasta Chórów uderzał w mury Pałacu Precentora jak fale tsunami. Na ulicach w dole i w całym pałacu ludzie rozkładali się, zanim jeszcze upadli, ciała spływały kaskadami rozpadających się tkanek.

Mieszkańcy wylegli umrzeć na ulice, wykrzykiwali w niebo swoją nienawiść i strach, błagali bogów, żeby ich ocalili. Miliony ludzi wrzasnęły jednocześnie, a dźwięk ten przetoczył się ponad nimi jak straszliwy huragan śmierci. W górze krążyła Pieśniarka, próbująca swoją pieśnią łagodzić ból i grozę ich konania, ale wirus ją też odnalazł i zamiast wyśpiewywać pochwały istwańskich bóstw, wykaszała czarną chmurę, przeżarta od wewnątrz. Spadła niczym ustrzelony ptak, koziółkując między umierającymi w dole.

Na dachu Pałacu Precentora pojawił się zwalisty kształt. Pradawny Rylanor podszedł do krawędzi i spojrział na przerażające sceny w dole, na wirusową jatkę między gmachami. Metalowe ciało Rylanora odgradzało go od zewnętrznego świata o wiele skuteczniej niż jakakolwiek zbroja Astartes i śmiertcionośny wicher owiewał go nieszkodliwie, patrzącego na śmierć miasta.

Rylanor spojrział ku niebu. Daleko w górze flota Mistrza Wojny wystrzeliwała ostatnie głowice w Isstvana III. Pradawny dreadnot stał samotnie, jak ostoja spokoju pośród rozwrzeszczanej grozy agonii Miasta Chórów.

\* \* \*

– Dobrze, że porządnie zbudowaliśmy te bunkry – odezwał się kapitan

Ehrlen.

W mroku hermetycznego schronu słycać było tylko odgłosy umierania, docierające do nich nawet zza jego grubych ścian. Żałośnie mała garść Pożeraczy Światów zdołała się schronić w sieci bunkrów na skraju pasa umocnień i zabarykadować się od środka. Czekali w ciemności, słuchając, jak wirus zabija populację miasta szybciej i sprawniej, niż zdołałyby tego dokonać ich łańcuchowe topory.

Tarvitz czekał wśród nich, z niemą zgrozą słuchając śmierci milionów. Pożeracze Światów wydawali się nieporuszeni. Umieranie cywilów nic dla nich nie znaczyło.

Krzyki cichły, zastąpione głuchym jękiem. Ból i strach mieszały się w odległym echu powolnego konania.

– Jak długo jeszcze będziemy musieli kryć się jak szczury w ciemnościach? – spytał z gniewem Ehrlen.

– Wirus szybko się wypali – odparł Tarvitz. – Tak go zaprojektowano: ma zniszczyć wszystko, co żywe, i zostawić wolne pole do zajęcia przez zbrojnych wroga.

– Skąd wiesz? – spytał Ehrlen.

Tarvitz popatrzył na niego. Mógł powiedzieć prawdę i wiedział, że kapitan na to zasługuje, ale co by to dało? Pożeracze Światów mogli go zabić za same takie słowa. Ostatecznie ich Prymarcha należał do spisku Mistrza Wojny.

– Widziałem już taką broń w użyciu – powiedział.

– Obyś miał rację – warknął Ehrlen, wyraźnie nieusatisfakcjonowany odpowiedzią. – Nie będę się tu krył nie wiadomo jak długo!

Pożeracz spojrział na swoich żołnierzy, ciasno upakowanych w mroku bunkra, w swoich czerwonych od krwi zbrojach. Podniósł topór.

– Wrathe! – zawołał. – Wywołałeś Synów Horusa?

– Jeszcze nie – odparł Wrathe. Tarvitz widział, że to weteran, który na wygolonej czaszce miał liczne domózgowe implanty. – Odbieram jakieś urywki komunikatów, ale nic konkretnego.

– Czyli jeszcze żyją?

– Może.

Ehrlen pokręcił głową.

– Załatwili nas. Myśleliśmy, że miasto jest nasze, a oni nas załatwili.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć – rzekł Tarvitz.

– Nie. Nie ma żadnej wymówki. – Twarz Ehrlena stwardniała. –

Pożeracze Światów muszą zawsze posunąć się dalej niż nieprzyjaciel. Kiedy oni atakują, my szarżujemy. Kiedy się okopują, my ich wykopujemy. Kiedy zabijają naszych żołnierzy, my niszczymy ich miasta. Ale tym razem to wróg posunął się dalej niż my. Zaatakowaliśmy ich miasto, a oni je zniszczyli, żeby zabrać nas ze sobą.

– Wszystkich nas zaskoczyli, kapitanie – rzekł Tarvitz. – Dzieci Imperatora też.

– Nie, Tarvitz, to była nasza walka. Dzieci Imperatora i Synowie Horusa mieli odrąbać bestii łeb, ale nas wysłano, żebyśmy wyrwali jej serce. To był wróg, którego nie można było odstraszyć ani zbić z tropu. Isstwańczyków trzeba było zabić. Nieważne, czy inne Legiony zdają sobie z tego sprawę, ale to Pożeracze Światów mieli zdobyć to miasto. A my bierzemy odpowiedzialność za nasze porażki.

– To nie wy jesteście odpowiedzialni – zaproponował Tarvitz.

– Gorszy żołnierz udaje, że jego niedostatki to wina dowództwa – stwierdził Ehrlen. – Wojownik Astartes wie, że winny jest tylko on sam.

– Nie, kapitanie – powiedział Saul. – Nie rozumiesz. Chcę powiedzieć...

– Mam coś! – oznajmił Wrathe z kąta bunkra.

– Synowie Horusa? – spytał Ehrlen.

Wrathe pokręcił głową.

– To Gwardia Śmierci. Schronili się w bunkrach na zachód od nas.

– Co mówią?

– Że wirus się wypala.

– Czyli niedługo będziemy mogli wyjść – zawyrokował Ehrlen z ulgą.

– Jeśli Isstwańczycy przyjdą odbić swoje miasto, będziemy na nich czekali.

– Nie – westchnął Tarvitz. – Przed nami jeszcze jeden etap wirusowego ataku.

– Jaki?

– Pożoga.

\* \* \*

– Teraz widzicie – powiedział Horus do zebranych upamiętniaczy. – Oto wojna. Oto okrucieństwo i śmierć. Oto właśnie to, co robimy dla was, a mimo to wy odwracacie twarze.

Płaczący mężczyźni i kobiety tulili się do siebie. Właśnie ujrzeli monstrualne ludobójstwo i nie byli w stanie ogarnąć umysłami skali rzezi urządzonej w imieniu Imperium.

– Przybyliście na mój okręt, by dokumentować przebieg Wielkiej Krucjaty, i należą się wam słowa uznania za to, co osiągnęliście. Ale czasy się zmieniają.

Horus mówił, a Astartes pod ścianami zamknęli drzwi i stanęli przed nimi z bolterami trzymanymi ukośnie na piersiach.

– Wielka Krucjata dobiegła końca – rzekł Prymarcha głosem, w którym huczała moc i siła. – Ideały, które kiedyś reprezentowała, umarły, a wszystko, o co walczyliśmy, było kłamstwem. Aż do teraz. Teraz ja sprowadzę Krucjatę na właściwą ścieżkę i uratuję galaktykę, którą Imperator opuścił.

Wśród zebranych rozległy się zdumione sapnięcia i jęki, a Horus upajał się poczuciem wolności, jakie dało mu powiedzenie tego wszystkiego po raz pierwszy na głos. Minął czas sekretów i knowań. Teraz mógł ujawnić rozmach swoich planów wobec galaktyki, odrzucić pozory i wyjawić swój prawdziwy cel.

– Płaczecie i wołacie, ale zwykli śmiertelnicy nie mogą mieć nadziei, że pojmą skalę moich zamierzeń – ciągnął, rozkoszując się paniką na twarzach zebranych w auli.

Żaden iterator nigdy nie panował nad swoją publicznością tak mocno.

– Niestety, oznacza to, że w mojej nowej Krucjacie nie ma miejsca dla takich jak wy. Zamierzam wszcząć największą wojnę, jaką kiedykolwiek toczono w galaktyce, i nie mogą mnie zawracać z obranej drogi ci, w których sercach mieszka nielojalność.

Uśmiechnął się.

Uśmiechem anielskiego kata.

– Zabić ich – powiedział. – Zabić ich wszystkich.

Na rozkaz Mistrza Wojny Astartes otworzyli z bolterów ogień do tłumu. Ciała rozbryzgiwały się w mokrych eksplozjach, od pierwszej salwy padła setka trupów. Tłum z wrzaskiem rzucił się do ucieczki przed Legionistami, którzy wmaszerowali między ludzi.

Ale nie było dokąd uciekać.

Boltery pluły ogniem, wyjące miecze łańcuchowe unosiły się i opadały.

Rzeź trwała niecałą minutę. Horus odwrócił się, by popatrzeć na ostatnie, śmiertelne drgawki Istvana III. Z cienia, z którego wraz z Maloghurstem obserwował masakrę upamiętniaczy, wychynął Abaddon.

– Panie mój – powiedział, kłaniając się nisko.

– O co chodzi, synu?

– Otrzymaliśmy meldunek, że wirus prawie się wypalił.  
– A stężenie gazów?  
– Poza skalą, panie. – Abaddon się uśmiechnął. – Załogi dział czekają na twój rozkaz.

Horus popatrzył na kłębiące się trujące wyziewy, które spowijały świat w dole.

Wystarczy jedna iskra...

Wyobraził sobie planetę jako postrzępiony koniec lontu. Lontu, który podpali całą galaktykę i doprowadzi do nieuniknionej konfrontacji na Terze.

– Otworzyć ogień – powiedział Horus zimnym głosem. – Niech galaktyka płonie!

\* \* \*

– Chron nas, Imperatorze – szepnął moderati Cassar. Nie potrafił ukryć zgrozy i nie dbał o to, czy ktoś go usłyszy.

Wokół Tytana wciąż unosiły się gęste miazmaty cuchnących gazów gnilnych. Cassar widział przez nie niewyraźne zarysy okopów i wyłaniającą się z bunkrów Gwardię Śmierci. Niedługo po tym, jak wydany został rozkaz uszczelnienia maszyny, Astartes się pochowali, najwyraźniej odebrawszy ten sam komunikat co Dies Irae.

Isstvańczycy go nie dostali. Widząc cofającą się Gwardię Śmierci, isstvańscy żołnierze ruszyli naprzód i biologiczna broń uderzyła w nich z pełną siłą.

Okopy zalepione były masą śluzowatego ciała, tu i tam wystawały z nich na wpół rozłożone trupy ze stopionymi twarzami i popękkanymi, wzdętymi od gazów brzuchami. Tysiące Isstvańczyków leżały w gnijących stertach i w gęstych potokach spływającej okopami lepkiej, czarnej mazi.

Śmierć pochłonęła również lasy, rosnące tuż za granicami Miasta Chórów. Teraz wyglądały jak bezkresne cmentarzyska poczerniałych kikutów pni, które przypominały zwęglone dłonie szkieletów. Grunt był przesiąknięty śmiercią, a powietrze gęste od cuchnących gazów, wydzielanych przez morze rozkładającej się materii.

Princeps Turnet wrócił na mostek z głównej komory korpusu Tytana.

– Meldować.

– Jesteśmy szczelni – powiedział moderati Aruken, siedzący po przeciwległej stronie mostka. – Załoga jest cała, skażenie zerowe.

– Wirus się wypalił – stwierdził Turnet. – Cassar, jak sytuacja na zewnątrz?



Tytus potrzebował chwili, aby zebrać myśli. Wciąż nie mógł pojąć ogromu śmierci, której nie umiałby sobie nawet wyobrazić, gdyby nie oglądał jej oczami Dies Irae.

– Isstvańczycy... nie żyją – powiedział w końcu. Spojrzał przez gazowe opary w kierunku miasta. – Wszyscy.

– Gwardia Śmierci?

Tytus przyjrzał się uważniej. Zobaczył fragmenty szarometalicznych zbroi częściowo pogrzebanych w makabrycznym osadzie, oznaczających miejsca, gdzie polegli Astartes.

– Niektórych dopadło – powiedział. – Wielu nie żyje, ale do większości rozkaz musiał dotrzeć w porę.

– Rozkaz?

– Tak, princepsie. Rozkaz, żeby się ukryć.

Turnet spojrzawszy okiem Tytana po stronie Arukena. W zielonkawym oparzeniu ujrzał żołnierzy Gwardii Śmierci zabezpieczających okopy wokół bunkrów i brodzących w obrzydliwych pozostałościach po Isstvańczykach.

– Niech to szlag.

– Spotkało nas wielkie błogosławieństwo – oznajmił Cassar. – Tak łatwo mogliśmy...

– Zważaj na słowa, moderati! Te twoje religijne plugastwa to przestępstwo według rozporządzeń...

Turnet umilkł, bo kątem oka zobaczył poruszenie.

Cassar podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zrobił to w samą porę, by zobaczyć, jak gazy rozświetlają się od oślepiającego słupa światła. Uderzenie orbitalnych lanc przeszło chmury toksycznych, łatwopalnych oparów.

\* \* \*

Wystarczyła jedna iskra.

Pokrywająca całą planetę gnijąca materia przesycała atmosferę Isstvana III całunem łatwopalnych gazów. Uderzenie lanc „Mściwego Ducha” przepaliło jej górne powłoki i trafiło w dławiące miazmaty, które zajęły się z głośnym hukem eksplozji.

W jednej sekundzie w płomieniach stanęło samo powietrze, pożar pomknął nad ziemią w wyjąłym piekle ognia i hałasu. Całe kontynenty opustoszały, wypalone do gołej skały; ich wygniłe populacje wyparowały w przeciągu sekund, gdy powierzchnię omiótł ognisty wichur zniszczenia.

Miasta eksplodowały, gdy zajęły się gazociągi, rozszalałe słupy ognia

trzeptały wściekle w morderczej pożodze. Nic nie mogło tego przetrwać, ciało, kamień i metal szklily się albo topiły w niewyobrażalnych temperaturach.

Całe dzielnice budynków waliły się w gruzy, a ciała ich mieszkańców obracały się w popiół na wietrze. Marmurowe pałace i ośrodki przemysłowe znikaly w gigantycznych grzybach wybuchów. Burza ognia omiatała Isstvana III z nieustępliwą, bezmyślną żądzą zniszczenia, aż w końcu wydawało się, że cała planeta płonie.

Ci Astartes, którzy przetrwali atak wirusa, ginęli w ogniu, rozpaczliwie próbując znów znaleźć jakąś osłonę.

Ale nie było schronienia przed pożarem dla tych, którzy odważyli się stawić czoła żywiołom.

Zanim na okręcie Mistrza Wojny ucichły echa odrzutu dział, na Isstvanie III zginęły kolejne miliardy.

\* \* \*

Wokół Dies Irae szalała ognista burza, a moderati Cassar modlił się o życie. Olbrzymi Tytan chwiał się w huraganie jak trzcina, a Tytus miał tylko nadzieję, że nowe stabilizatory, które zainstalowało Mechanicum, wytrzymają w obliczu takiego naporu.

Naprzeciwko niego Aruken ścisnął poręcze wokół swego stanowiska tak mocno, że pobiełaly mu kłykcie, i wpatrywał się ze zgrozą w ogniste wiry szalejące wokół mostka.

– Zbaw nas, Imperatorze. Zbaw nas, Imperatorze. Zbaw nas, Imperatorze – szeptał Cassar w kółko.

Kule ognia wzdymały się i wirowały, zdawałoby się, przez wieczność. Na mostku zrobiło się nieznośnie gorąco, bo jednostki chłodzące zostały wyłączone, kiedy Tytan się hermetyzował.

Temperatura w środku rosła niczym w gigantycznym szybkowarze, aż Cassar poczuł, że nie może już wciągnąć oddechu bez podrażnienia sobie płuc. Zamknął oczy i zobaczył widmowe odczyty danych na siatkówce. Pot lał się z niego strumieniami i Tytus zrozumiał, że to już koniec, że tak właśnie umrze: nie w bitwie, nie odmawiając Lectitio Divinitatus, ale ugotowany we wnętrzu ukochanego Dies Irae.

Stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo spowijał ich ogień, kiedy w końcu tkwiący w nim chłodny profesjonalista zobaczył, że pomiary temperatur – rosnące szybko od chwili, gdy ogień uderzył – zaczynają opadać. Otworzył oczy i przez wizjery Tytana zobaczył wściekle skłębioną

masę płomieni, ale też skrawki nieba, wypalonego na błękit, gdy ogień strawił resztki łatwopalnych gazów wydzielonych przez martwą planetę.

– Temperatura spada – wykrztusił, nie mogąc uwierzyć, że wciąż żyją.

Aruken roześmiał się, kiedy też zrozumiał, że nie umrą.

Princeps Turnet wśliznął się na swój fotel i zaczął uruchamiać z powrotem systemy Tytana. Cassar poprawił się na stanowisku; skóra siedziska była przesiąknięta jego potem. Odczyty z zewnętrznych czujników wyświetlały się przed nim, w miarę jak princeps otwierał kolejne układy na dane z otoczenia.

– Kontrola systemów – polecił Turnet.

Aruken kiwnął głową i rękawem otarł mokre czoło.

– Uzbrojenie w normie, chociaż będziemy musieli uważać na ogień ciągły, bo cały czas jest mocno rozgrzane.

– Potwierdzam – powiedział Cassar. – Nieprędko też będziemy mogli użyć broni plazmowej. Prawdopodobnie urwałoby nam ramię, gdybyśmy spróbowali.

– Zrozumiałem – potwierdził Turnet. – Rozpocząć procedury chłodzenia awaryjnego. Ta broń ma być gotowa do strzału najszybciej, jak tylko możliwe.

Cassar kiwnął głową, choć nie rozumiał, skąd się bierze pośpiech princepsa. Przecież nic nie mogło przetrwać takiej burzy ognia – a już na pewno nic, co by mogło zagrozić Tytanowi.

– Uwaga! – zawołał Aruken, a Cassar spojrział w górę i zobaczył chmurę czarnych kropek spadających z kryształowo czystego nieba i zmierzających w stronę poczerniałych ruin spalonego miasta.

– Aruken, namierzaj ich – warknął Turnet.

– Desantowce szturmowe – odparł Jonasz. – Kierują się na centrum miasta, do pozostałości pałacu.

– Czyje?

– Jeszcze nie wiem.

Cassar opadł na oparcie fotela i znów pozwolił, by na wierzch jego myśli wysunęły się informacje przekazywane przez włókna dowodzenia Tytanem. Włączył systemy namierzania i jego pole widzenia skurczyło się do kółka celownika, przybliżając formację desantowców znikających wśród walących się, poczerniałych od ognia ruin Miasta Chórów. Tytus zobaczył kościaną biel lamowaną błękitem i symbol zębatych szczęk zatraskujących się na planecie.

– Pożeracze Światów – powiedział na głos. – Lecą Pożeracze Światów. To musi być druga fala natarcia.

– Nie ma żadnej drugiej fali – mruknął Turnet, jakby mówił do siebie. – Aruken, wysuń maszt voxu i połącz mnie z „Mściwym Duchem”.

– Z dowództwem floty? – spytał Aruken.

– Nie – odparł princeps. – Z Mistrzem Wojny.

\* \* \*

Iacton Qruze poprowadził ich korytarzami „Mściwego Ducha”. Przeszli obok sal treningowych, Dworu Luperkała i dalej, w głąb krętych tuneli, w które żadne z nich wcześniej się nie zapuszczało, nawet kiedy ukrywali się przed Maggardem i Maloghurstem.

Sindermannowi serce tłukło o żebra niczym werbel. Czuł dziwne połączenie uniesienia i żalu na myśl o tym, przed czym uratował ich Qruze. Nie miał wątpliwości, co spotkało upamiętniaczy w sali audiencyjnej, i myśl o tylu wspaniałych, twórczych ludziach poświęconych dla celów tych, którzy nie rozumieli sztuki ani procesu tworzenia, zarazem przerażała go i smuciła.

Zerknął na Euphrati Keeler, która wydawała się silniejsza, odkąd uciekli przed śmiercią. Włosy miała złociste, oczy jasne, a choć jej skóra wciąż była blada, podkreślało to jedynie drżącą w niej moc.

Mersadie Oliton, dla kontrastu, wyraźnie osłabła.

– Wkrótce ruszą za nami w pościg – powiedziała Keeler. – O ile już tego nie zrobili.

– Uda się nam uciec? – spytała Mersadie ochryple.

Qruze tylko wzruszył ramionami.

– Uda się albo się nie uda.

– Czyli to koniec? – rzekł Sindermann.

Keeler rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

– Nie. Powinieneś wiedzieć, Kyrilu, to nigdy nie jest koniec. Nie dla kogoś, kto wierzy. Zawsze jest coś więcej, coś, czego można wyglądać, kiedy zbliża się kres.

Minęli ciąg kopuł obserwacyjnych wychodzących na zimną pustkę kosmosu. Ich widok przypominał tylko Sindermannowi, jak są maleńcy i nic nie znaczą w obliczu galaktyki. Najdrobniejszy okruch światła, który widział, był w rzeczywistości gwiazdą, być może okrążaną przez własne światy, z ich mieszkańcami i cywilizacjami.

– Jak to się stało, że znaleźliśmy się w samym środku tak przełomowych wydarzeń, a mimo to nas zaskoczyły? – szepnął.

Po chwili zaczął rozpoznawać otoczenie. Ujrzał znajome znaki wydrapane na grodziach i oznaczenia mówiące, że zbliżają się do pokładów desantowych. Qruze prowadził ich bez zawahania, szybkim, pewnym krokiem, w niczym nie przypominając żalosnego pochlebcy, za jakiego go uważano.

Wrota prowadzące na pokład desantowy były zamknięte. Na ścianach dookoła wciąż wisiały podarte resztki kart wotywnych i ofiar składanych Mistrzowi Wojny, kiedy jego synowie zabrali go do Delfos.

– Tutaj – oznajmił Qruze. – Jeśli dopisze nam szczęście, w środku znajduje się desantowiec, który będziemy mogli ukraść.

– I polecieć dokąd? – spytała Mersadie. – Gdzie możemy się schować, żeby Mistrz Wojny nas nie znalazł?

Keeler położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie martw się. Mamy więcej przyjaciół, niż się domyślasz, Sadie. Imperator pokaże mi drogę.

Wrota otworzyły się z głośnym pomrukiem i Qruze pewnym krokiem wmaszerował do środka.

– Tam – powiedział. – Thunderhawk Dziewięć Delta.

Sindermann uśmiechnął się z ulgą.

Uśmiech spełził mu jednak z twarzy, kiedy iterator zobaczył przed maszyną złościście opancerzoną postać Maggarda.

\* \* \*

Saul Tarvitz zobaczył na twarzy Ehrlena wyraz całkowitego niedowierzania, z którym kapitan Pożeraczy Światów patrzył na zniszczenie dokonane przez pożogę. Z Miasta Chórów, jakie znali, nie zostało nic. Każdy strzęp żywej tkanki znikł, spopielony do atomów wyjąłym, ryczącym ogniem, który wybuchł po ataku wirusowym.

Wszystkie budynki były czarne, wypalone i zawałone, tak że Isstvan III przypominał wyobrażenie piekła. W ruinach wciąż płonęły różne szczątki. Wysokie pióropusze ognia biły w niebo, zaprzeczając grawitacji; rurociągi i rafinerie miały gorzeć, dopóki nie skończą się rezerwy ich paliwa. Smród spalonego metalu i mięsa gryzł w oczy, a rozciągający się dookoła widok w niczym nie przypominał terenu, na którym walczyli zaledwie kilka minut wcześniej.

– Dlaczego? – Ehrlen zdołał wykrztusić tylko tyle.

– Nie wiem – odparł Tarvitz, żałując, że nie może powiedzieć Pożeraczowi Światów więcej.

– To nie byli Isstvańczycy, prawda?

Tarvitz chciał skłamać, ale wiedział, że Ehrlen natychmiast go przejrzy.

– Nie – odparł. – Nie byli.

– Zostaliśmy zdradzeni?

Tarvitz kiwnął głową.

– Dlaczego? – powtórzył Ehrlen.

– Nie umiem ci odpowiedzieć, bracie, ale jeśli mieli nadzieję wybić nas wszystkich za jednym zamachem, to im się nie udało.

– A Pożeracze Światów każą im zapłacić za tę porażkę – przysiągł Ehrlen.

Przez trzask płomieni i huk walących się murów dał się słyszeć nowy dźwięk. Tarvitz też go usłyszał i podniósł wzrok akurat na czas, by ujrzeć flotyllę desantowców Pożeraczy Światów mknącą w kierunku ich pozycji od strony obrzeży miasta. Z góry spadł deszcz ognia, pociski dziurawiły ruiny dookoła i ryły czarny marmur na ziemi.

– Wytrzymać! – ryknął Ehrlen.

Desantowce przeleciały nad Pożeraczami Światów, zasypując ich ostrzałem. Tarvitz przycupnął w wypalonym otworze okna obok Ehrlena. Usłyszał stęknienie jakiegoś Pożeracza – to jeden z pocisków znalazł cel.

Statki przeleciały i wzbily się w niebo, zawracając nad zrujnowanym pałacem do następnego przelotu.

– Ciężka broń! Dajcie im popalić! – zawołał Ehrlen.

W otworach w częściowo zawalonych dachach zaterkotała broń. Stukot ciężkich bolterów przetykały rubinowe rozbłyski laserowych dział. Tarvitz odskoczył od okna, kiedy z góry nadeszła odpowiedź, a między Pożeraczami Światów przemknęły odłamki eksplodujących pocisków. Padli następni Legioniści, powaleni na ziemię albo rozerwani na strzępy.

Jeden runął obok Tarytza z pulsującą czerwoną miazgą zamiast potylicy.

Desantowce położyły się na skrzydło, nie przerywając ostrzału ich pozycji. Saul zobaczył, że Pożeracze Światów na ziemi biorą je na cel. Odpowiedzieli ogniem z ruin i jeden statek spadł. Buchając ogniem z silników, rozbił się o płonąca ruinę.

Tarytz widział ich jednak dziesiątki. Musiał mieć przed sobą cały arsenał Legionu.

Prowadzący thunderhawk opadł między zgliszcza i zawisł kilka metrów nad gruntem. Wokół otwartej rampy desantowej rykoszetowały w

rozbłyskach pociski z bolterów.

Ebrlen odwrócił się do Tarytza.

– To nie twoja walka! – zawołał, przekrzykując ostrzał. – Wynoś się stąd!

– Dzieci Imperatora nie uciekają! – odparł Saul, wyciągając miecz.

– Przed tym uciekają!

Żaden wojownik Astartes nie przeżyłby nawały ognia, którym pokryto wnętrze statku. Ale też thunderhawk nie wiozł zwykłego wojownika Astartes.

Z rykiem polującej bestii z desantowca wyskoczył Angron i ze strasliwym łoskotem wylądował w samym środku zrujnowanego miasta.

Był jak potwór z legend, olbrzymi i straszny. Odrażającą twarz Prymarchy wykrzywiała nienawiść, jego olbrzymie łańcuchowe topory nosiły ślady dziesiątków lat rozlewu krwi. W chwili, kiedy wylądował, z kolejnych statków wysypali się pozostali Pożeracze Światów.

Tysiące Astartes lojalnych wobec Mistrza Wojny ruszyło za swoim Prymarchą w ruiny Miasta Chórów, a ich wojenne okrzyki zabrzmiały jak echo pierwotnego wycia, z którym Angron rzucił się na swoich dawnych braci.

\* \* \*

Horus przebił pięścią ekran wyświetlający transmisję z Dies Irae. Obraz statków Pożeraczy Światów rozpadł się na kawałki. Mistrza Wojny poniosła wściekłość na krnąbrność Angrona. Jeden z jego sprzymierzeńców – nie, jeden z podwładnych! – nie posłuchał bezpośredniego rozkazu.

Aksymand, Abaddon, Erebus i Maloghurst czujnie mu się przyglądali. Horus wyobrażał sobie, jak musieli się złączyć na wieść o bezczelnym ataku Angrona na ocalałych po bombardowaniu wirusem.

To, że w ogóle ktoś ocalał, samo w sobie było przerażające, ale działania Angrona pchnęły Kampanię Isstvańską w całkowicie nieoczekiwanym kierunku.

– Tak... – powiedział Horus, dusząc w sobie wściekłość. – Jestem tym zaskoczony.

– Mistrzu Wojny – zaczął Aksymand – co...

– Angron to morderca! – warknął Horus, odwracając się ze złością do swojego syna z Kwadry. – Każdy problem rozwiązuje przemocą. Najpierw atakuje, potem myśli, o ile w ogóle myśli. A mimo to ja tego nie przewidziałem! Co innego miałyby zrobić, widząc ocalałych ze swojego Legionu w Mieście Chórów? Czy siedziałyby spokojnie i patrzyły, jak reszta

floty bombarduje ich z orbity? Nigdy! A mimo to nic nie zrobiłem!

Obejrzał się na roztrzaskany wyświetlacz.

– Nigdy więcej nie dam się tak zaskoczyć. Nie będzie więcej żadnych niespodzianek, których nie przewidzę.

– Nie zmienia to kwestii – powiedział Aksymand – co mamy zrobić z Angronem?

– Zniszczyć go razem z resztą miasta – odparł natychmiast Abaddon. – Jeśli nie można mu zaufać, że wykona rozkazy Mistrza Wojny, to jest przeszkodą i obciążeniem.

– Pożeracze Światów to wyjątkowo skuteczne narzędzie terroru – zaoponował Aksymand. – Po co ich niszczyć, skoro potrafią siać tyle zamętu wśród lojalistów Imperatora?

– Żołnierzy nam nie zabraknie – odparował Abaddon. – Wielu będzie błagać, żeby dołączyć do Mistrza Wojny. W naszych szeregach nie ma miejsca dla tych, którzy nie potrafią wykonać rozkazu.

– Angron to morderca, owszem, ale przewidywalny – wtrącił Erebus, a Horus się zjeżył, słysząc w jego słowach zawołaną obelgę. – Można go nakłonić do posłuszeństwa, raz na jakiś czas spuszczać ze smyczy.

– Głosiciele Słowa może cenią zdradę i kłamstwa – warknął Abaddon – ale wśród Synów Horusa albo jesteś lojalny, albo nie żyjesz!

– Nic nie wiesz o moim Legionie! – Erebus poderwał się i stanął twarzą w twarz z Pierwszym Kapitanem. Z oblicza kapelana zniknął sardoniczny uśmieszek. – Znam sekrety, które zniszczyłyby ci umysł! Jak śmiesz zarzucać mi oszustwo?! To wszystko, ta rzeczywistość, wszystko, co znasz, to jest właśnie kłamstwo!

– Erebusie! – ryknął Horus, natychmiast kończąc ich konfrontację. – To nie czas i nie miejsce na mądrości twojego Legionu. Podjąłem już decyzję, nie marnujcie słów.

– Czyli Angron zostanie zniszczony podczas bombardowania? – spytał Maloghurst.

– Nie – odparł Horus. – Nie zostanie.

– Ależ Prymarcho, nawet jeśli zwycięży, może tam utknąć na całe tygodnie – powiedział Aksymand.

– I nie będzie walczył sam. Czy wiecie, moi synowie, czemu Imperator mianował mnie Mistrzem Wojny?

– Bo byłeś jego ulubionym synem, panie mój – odparł Maloghurst. – Jesteś największym wojownikiem i strategiem Wielkiej Krucjaty. Całe



planety poddawały się na dźwięk twojego imienia.

– Nie prosiłem o pochlebstwa – prychnął Horus.

– Bo nigdy nie przegrywasz – powiedział Abaddon spokojnie.

– Nigdy nie przegrywam. – Horus kiwnął głową, wodząc gniewnym spojrzeniem po czterech Astartes. – Nie przegrywam, bo widzę tylko zwycięstwo. Nigdy nie napotkałem sytuacji, której nie dałoby się przekuć w tryumf, żadnej przewagi wroga, której nie zdołałbym obrócić na własną korzyść. Dlatego właśnie uczyniono mnie Mistrzem Wojny. Na Davinie padłem, a mimo to przetrwałem jeszcze silniejszy. W wojnie z Aurecjańską Technokracją napotkaliśmy opór w naszej własnej flocie, więc wykorzystałem konflikt, żeby się pozbyć buntowników. Nie ma porażki, której nie potrafiłbym wykorzystać do osiągnięcia zwycięstwa. Angron postanowił rozpocząć na Istvanie III natarcie lądowe. Mogę to uznać za niepowodzenie i złagodzić jego konsekwencje, ścierając Angrona i jego Pożeraczy Światów na pył wraz z resztą planety, albo przemienić to w tryumf, którego echa poniosą się daleko w przyszłość.

Zapadłą ciszę przerwał Maloghurst:

– Jakie są twoje rozkazy, Mistrzu Wojny?

– Poinformujcie pozostałe Legiony, że mają się przygotować do uderzenia pełnymi siłami na lojalistów w Mieście Chórów. Ezekailu, zbierz Legion. Synowie Horusa mają być gotowi do zrzutu za dwie godziny.

– Z dumą ich poprowadzę – powiedział Abaddon.

– Nie ty go poprowadzisz. Ten zaszczyt dostaną Sedirae i Targost.

W Abaddonie rozgorzał gniew.

– Ale ja jestem Pierwszym Kapitanem. Ta bitwa, w której do zwycięstwa potrzeba determinacji i brutalnej siły, jest dla mnie wprost stworzona!

– Jesteś kapitanem Kwadry, Ezekailu – rzekł Horus. – W tym starciu przewidziałem dla ciebie i Małego Horusa inne zadanie. Jestem pewien, że ci się spodoba.

– Tak jest, Mistrzu Wojny – odparł Abaddon. Z jego twarzy zniknął grymas frustracji.

– Co do ciebie, Erebusie...

– Tak, Mistrzu Wojny?

– Nie wchodź nam w drogę. Synowie Horusa, na stanowiska.



## SZEŚĆ

### MAGGARD FRAKCJE WILKI LUNY

Princeps Turnet słuchał uważnie nadchodzących rozkazów, a choć Cassar nie słyszał odbieranej przez niego transmisji i wcale nie chciał – i tak z trudem powstrzymywał się, żeby nie zwymiotować. Za każdym razem, kiedy wypuszczał umysł poza systemy Dies Irae, widział tylko zwały wypalonych ruin. Wycofał świadomość do wnętrza maszyny, ograniczył zmysły do potężnej sylwetki Tytana.

Dookoła niego Dies Irae wracał do życia. Cassar czuł, jak członki boga-maszyny wypełnia na powrót moc, jak przeładowują się działa. Reaktor plazmowy w sercu giganta bił do rytmu jego własnego serca, kula atomowego ognia płonąca słuszną mocą samego Imperatora.

Nawet tutaj, pośród całej tej śmierci i grozy, Imperator był z nim. Bóg-maszyna był narzędziem imperatorskiej woli, które trwało nieporuszone pośród zniszczenia. Myśl o tym dodała Cassarowi otuchy i pomogła się mu skupić. Skoro Imperator tu był, to Imperator będzie go strzegł.

– Rozkazy z „Mściwego Ducha” – zakomunikował Turnet z ożywieniem. – Moderati, otworzyć ogień.

– Otworzyć ogień? – zdziwił się Aruken. – Princepsie? Isstwańczyków już nie ma. Nie żyją.

Cassar usłyszał jego głos jakby z oddali, bo był podłączony do systemów Tytana, ale sens słów Turneta objawił mu się tak wyraźnie, jakby princeps wypowiedział rozkaz wprost do ucha.

– Nie do Isstwańczyków. Do Gwardii Śmierci.

– Princepsie? – powiedział Aruken. – Mamy otworzyć ogień do Gwardii Śmierci?

– Nie zwykłem powtarzać rozkazów, moderati. A moje rozkazy brzmią: otworzyć ogień do Gwardii Śmierci. Wypowiedzieli posłuszeństwo Mistrzowi Wojny.

Cassar znieruchomiał. Jakby na Isstvanie III zginęło nie dość ludzi, Dies Irae miał teraz ostrzelać Astartes, tych samych, których powinien wspierać.

– Princepsie – powiedział – to nie ma sensu.

– Nie musi! – krzyknął Turnet, w końcu wyprowadzony z równowagi.  
– Róbcie, co mówię!

Tytus Cassar spojrział mu w oczy i prawda uderzyła go tak, jakby sam Imperator sięgnął do niego z Terry i napełnił go swoim światłem.

– To nie Isstvańczycy to zrobili, prawda? – spytał. – To był Mistrz Wojny.

Twarz Turneta wykrzywiła się w powolnym uśmiechu, a Cassar zobaczył, że jego dłoń sunie do broni w kaburze. Nie dał mu szansy i wyszarpnął własny pistolet automatyczny.

Obaj wystrzelili jednocześnie.

\* \* \*

Maggard dał krok do przodu, dobył swojego złotego kirliańskiego miecza i wyciągnął pistolet. Był jeszcze bardziej masywny, niż Sindermann to zapamiętał – jego ciało w odrażający sposób straciło ludzkie proporcje i przypominało teraz bardziej wojownika Astartes. Czy to właśnie była jego nagroda za służbę Mistrzowi Wojny?

Nie tracąc czasu na wstępy, Qruze podrzucił do góry bolter i strzelił, ale zbroja Maggarda dorównywała pancierzom Astartes i wystrzał tylko zasygnalizował początek pojedynku.

Sindermann i Mersadie padli na ziemię, kiedy pistolet Maggarda plunął ogniem. Z przeraźliwym hałasem obaj wojownicy popędzili ku sobie, nie przestając strzelać.

Keeler patrzyła spokojnie, jak kule Maggarda odłupują fragmenty zbroi Qruzego, ale były ochroniarz zdążył wystrzelić ich tylko kilka, a potem Iacton go dopadł.

Qruze rąbnął zabójcę pięścią w tors, ale ten wytrzymał cios i zamachnął się mieczem, celując w głowę starego wojownika. Astartes odskoczył, lecz ostrze rozcięło mu zbroję na brzuchu.

Z rany trysnął krótki strumień krwi. Qruze padł na kolana, powalony nagłym bólem, ale szybko dobył swojego bojowego noża. Broń miała ostrze długie jak klinga zwykłego, śmiertelnego wojownika.

Maggard skoczył ku niemu, a jego miecz przeorał głęboko bok Iactona. Znów połała się krew. Zabójca wymierzył następne mordercze cięcie, ale tym razem nóż i kirliański miecz spotkały się w deszczu iskier. Qruze pierwszy doszedł do siebie i pchnął Maggarda sztychem między płyty nagolenicy. Zabójca zatoczył się w tył, a stary żołnierz niepewnie podźwignął się na nogi.

Maggard przyskoczył i wyprowadził cios. Dorównywał niemal Astartes rozmiarami i był od niego młodszy, ale nawet Sindermann widział, że poruszał się wolniej, jakby jeszcze nie opanował do końca swojego nowego ciała.

Qruze wyszedł spod zamasytostego cięcia, przesunął się pod gardą przeciwnika i chwycił go, unieruchamiając jego głowę w zgięciu łokcia.

Druga ręka wojownika zatoczyła łuk, by wbić Maggardowi nóż w gardło, ale ten chwycił ją w żelazny uścisk, zatrzymując ostrze centymetry od tętnicy.

Qruze naparł na nóż, ale rozrośnięte mięśnie Maggarda były silniejsze i zabójca zaczął odsuwać ostrze w bok. Astartes pot wystąpił na czoło. Sindermann zrozumiał, że to pojedynek, którego stary wojownik nie może wygrać sam.

Podźwignął się na nogi i pobiegł do upuszczonego pistoletu Maggarda, matowocznego, zimnego i śmiertelnośnego. Choć zaprojektowano go do dłoni śmiertelnika, wydawał się Sindermannowi absurdalnie wielki.

Trzymając broń obiema dłońmi, wyciągnął ją przed siebie i ruszył w kierunku zmagających się postaci. Nie mógł ryzykować strzału z takiej odległości, nie umiał strzelać i równie dobrze mógłby trafić ich wybawiciela.

Podszedł do mocujących się wojowników i przytknął lufę do krwawiącej rany w miejscu, gdzie Qruze zranił Maggarda. Nacisnął spust. Odrzut omal nie zgruchotał mu nadgarstka, ale efekt interwencji z nawiązką wynagrodził ból.

Maggard rozdziawił usta w bezgłośnym krzyku i cały zesztyniał w nagłej agonii. Jego uchwyt na nożu zelżał i Qruze z rykiem wściekłości wbił go przeciwnikowi pod brodę i głębiej, w podniebienie.

Maggard wierzgnął i runął na bok z siłą padającego drzewa. Zabójca w złotej zbroi i Astartes przetoczyli się po ziemi, a kiedy znieruchomieli, to Qruze był na wierzchu, wciąż ściskając nóż.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Maggard splunął Iactonowi w twarz krwią, a Qruze wbił ostrze głębiej, przez podniebienie do mózgu.

Maggard zatrzepotał kończynami, jego olbrzymim ciałem targnął krótki spazm. Gdy znieruchomiał, Qruze patrzył już w parę pustych, martwych oczu.

Stary Astartes dźwignął się z trupa.

– Twarzą w twarz – powiedział, ciężko dysząc z wysiłku. – Nie zdradą, z tysiąca mil w górze. Twarzą w twarz.

Spojrzał na Sindermana i podziękował mu skinieniem głowy. Był ranny i wyczerpany, ale widać w nim było pewność i spokój.

– Pamiętam, jak było kiedyś – powiedział. – Na Cthonii byliśmy braćmi. Nie tylko między sobą, ale też wobec naszych wrogów. To właśnie zobaczył w nas Imperator, kiedy przybył do naszych kopców. Byliśmy bandą morderców, taką samą jak te na tysiącu innych światów, ale wierzyliśmy w kodeks honorowy, ważniejszy niż życie. To właśnie zostało wpojone Wilkom Luny. Myślałem, że nawet jeśli nie pamięta o tym nikt inny, to nie zapomni tego Mistrz Wojny, bo to jego Imperator wybrał na naszego wodza.

– Nie – powiedziała Keeler. – Ty jesteś ostatni.

– Kiedy to zrozumiałem, po prostu... mówiłem im to, co chcieli usłyszeć. Staralem się być jednym z nich i udało mi się. Prawie o wszystkim zapomniałem, aż... Aż do teraz.

– Muzyka sfer – powiedział cicho Sindermann.

Qruze spojrzał na Keeler i spochmurniał.

– Ja nic nie zrobiłam, Cichy – powiedziała Euphrati, odpowiadając najego niezadane pytanie. – Sam to powiedziałaś. Obyczaj Cthonii był powodem, dla którego Imperator wybrał ciebie i twoich braci do Wilków Luny. Może to właśnie on ci o tym przypomniał.

– Od bardzo dawna wiedziałem, że tak to się skończy, ale odrzucałem te myśli, bo przekonywałem się, że teraz tak właśnie wygląda mój kodeks. Ale tak naprawdę nic się nie zmieniło. Wróg tylko przeniknął z zewnątrz i dostał się pomiędzy nas.

– Słuchajcie, to wszystko jest bardzo głębokie, ale czy możemy się już stąd wynosić? – spytała Mersadie.

Qruze kiwnął głową i wskazał thunderhawk.

– Masz rację, panno Oliton, uciekajmy z tego statku. Dla mnie jest już martwy.

– Jesteśmy z tobą, kapitanie – powiedział Sindermann, ostrożnie

przestępując trupa Maggarda. Stary Astartes wydawał się młodnieć, jakby energia zużyta podczas pojedynku teraz wracała do niego z nawiązką. Sindermann widział w jego oczach blask, którego wcześniej tam nie było.

Widok światła zrozumienia, na nowo roznieconego w Iactonie Qruze, przypomniał Sindermannowi, że wciąż jest nadzieja.

A w galaktyce nie było niczego bardziej niebezpiecznego niż iskierka nadziei.

\* \* \*

Strzał Turneta poszedł górą, a Cassara bokiem. Pociski zrykoszetowały od wysokiego sklepienia mostka. Jonasz Aruken rzucił się na ziemię.

Turnet przetoczył się za swój fotel dowódcy, Cassar poderwał się z własnego stanowiska, wpuszczonego głęboko w podłogę na poziomie oka Tytana. Wystrzelił jeszcze raz i z elektroniki wokół fotela dowódcy posypały się iskry.

Princeps odpowiedział ogniem i Cassar schował się w swoim zagłębieniu. Kiedy się podrywał, wyszarpnął sobie z głowy konektory i po twarzy spływały mu teraz krwawe łzy, a metaliczne, monofilamentowe kable lepiły się do karku.

W głowie huczało mu po nagłym odłączeniu od boga-maszyny.

– Tytus! – wrzasnął Aruken. – Co ty robisz?!

– Moderati, poddaj się albo tu zginiesz! – krzyknął Turnet. – Rzuć broń!

– To zdrada! – zawołał Cassar. – Jonasz, wiesz, że mam rację. To Mistrz Wojny to zrobił. Sprowadził śmierć na miasto, żeby wybić wiernych!

Turnet strzelił na oślep z za skomplikowanego oprzyrządowania swojego stanowiska.

– Wiernych? – syknął. – Zdradziłbyś Mistrza Wojny dla tej swojej religii? Jesteś chory, wiesz o tym? Religia to choroba i powinienem był skończyć twoje cierpienia już dawno temu!

Cassar zastanawiał się gorączkowo. Z kokpitu było tylko jedno wyjście – przez drzwi prowadzące do głównej komory Tytana, gdzie znajdował się reaktor plazmowy i mechanicy, którzy go obsługiwali. Nie mógł tam pobiec, bo bał się, że Turnet zastrzeli go, kiedy tylko wyskoczy spod osłony.

Ale to samo tyczyło się princepsa.

Obaj byli w pułapce.

– Wiedziałeś o bombardowaniu – powiedział Cassar.

– Oczywiście, że wiedziałem. Jak możesz być taki ślepy? Nie wiesz

nawet, co się dzieje na tej planecie?

– Imperator jest właśnie zdradzany – odparł Cassar.

– Nie ma żadnego Imperatora – krzyknął Turnet. – Porzucił nas. Porzucił Imperium, za które ginęli dla niego ludzie. Nie obchodziło go to. Za to Mistrza Wojny obchodzi. On podbił tę galaktykę i on ma prawo nią władać, ale są głupcy, którzy tego nie rozumieją. To oni zmusili Mistrza Wojny do tego kroku, który trzeba było wykonać, żeby mógł zrobić to, co musi zostać zrobione.

Cassarowi zakręciło się w głowie. Turnet zdradził wszystko, co Imperator zbudował, a starcie na mostku było odbiciem tego, co na szerszą skalę działo się wokół nich.

Princeps poderwał się, dwukrotnie strzelił na oślep i pobiegł do drzwi. Obie kule uderzyły w ścianę za Cassarem.

– Nie pozwolę ci na to! – wrzasnął Tytus, odpowiadając ogniem.

Pierwszy jego strzał poszedł bokiem, ale princeps Turnet mocował się teraz z kołowrotem zamka.

Cassar wycelował mu w plecy.

– Tytus! Nie! – krzyknął Aruken i pociągnął główny ster Tytana. Machiną szarpnęło, cały mostek przechylił się jak pokład statku podczas sztormu. Cassar uderzył plecami o ścianę, tracąc sposobność do strzału. Turnet szarpnięciem otworzył przejście i wyskoczył szczupakiem z mostka, znikając im z pola widzenia.

Tytan się wyprostował, a Cassar niezgrabnie podźwignął się na nogi. Przesunął się przed nim jakiś kształt i moderati omal nie wystrzelił, zanim nie uświadomił sobie, że to Jonasz Aruken.

– Tytusie, daj spokój. Nie rób tego.

– Nie mam wyboru. To zdrada.

– Nie musisz umierać.

Cassar ruchem głowy wskazał oko Tytana, za którym wciąż widać było żołnierzy Gwardii Śmierci w śliskich od krwi okopach.

– Oni też nie. Wiesz, że mam rację, Aruken. Wiesz, że Mistrz Wojny zdradził Imperium. Jeśli będziemy mieli Dies Irae, będziemy mogli coś na to poradzić.

Jonasz opuścił wzrok z twarzy mężczyzny na pistolet, który Tytus wciąż trzymał w ręku.

– To koniec, Cassar. Po prostu... po prostu przestań.

– Jesteś ze mną albo przeciwko mnie, Jonaszu – powiedział Tytus

Cassar zdecydowanym, spokojnym tonem. – Wierny Imperatorowi czy jego wróg? Wybór należy do ciebie.

\* \* \*

Często mówiło się, że wojownik Astartes nie zna strachu.

Nie była to całkiem prawda. Wojownik Astartes mógł znać strach, ale posiadał wyszkolenie i dyscyplinę, by sobie z nim poradzić i nie pozwolić, by strach wpływał na niego podczas bitwy. Kapitan Saul Tarvitz nie był wyjątkiem. Stawiał czoła nawałom ognia i nieludzkim monstrom, widział nawet oszalałe drapieżniki osnowy. Kiedy jednak Angron zaszarżował, uciekł.

Prymarcha przebijał się przez ruiny niczym czołg. Ryczał jak obłąkany. Jednym zamachem topora rozrąbał na pół dwóch Pożeraczy Światów, drugi topór wbijając w korpus trzeciego. Jego zdrajcy przeskakiwali nad stertami gruzu, strzelali z pistoletów i dźgali łańcuchowymi mieczami.

– Giń! – ryknął kapitan Ehrlen, prowadząc kontr-szarżę lojalistów, którzy jak jeden rzucili się na wroga.

Tarvitz był przyzwyczajony do Astartes walczących zwodami i kontratakami, do nakładających się pół ostrzału, rozbijania porcjami sił wroga i natarć przeprowadzanych z precyzją i gracją. Pożeracze Światów nie walczyli z perfekcją Dzieci Imperatora. Zabijali z wściekłością i nienawiścią, z okrucieństwem i żądzą zniszczenia.

A ich nienawiść nigdy nie była większa, niż kiedy starli się ze swoimi druhami, z braćmi, u których boku walczyli od lat.

Tarvitz tyłem wycofał się z rzezi. Potrącali go Pożeracze szarżujący na Angrona, ale porąbane trupy otaczające Prymarchę zwiastowały los, jaki ich czekał. Tarvitz staranował barkiem zrujnowaną ścianę, przebił się przez nią i wpadł na dziedziniec, na którym stały posągi, czarne i bezgłowe po wcześniejszych wydarzeniach z tego dnia.

Obejrzał się za siebie. Tysiące Pożeraczy Światów szalało w strasliwym tajfunie rzezi, poszczepianych ze sobą i wymieniających ciosy. Pośrodku tego zamętu wirował Angron, olbrzymi i straszny, rąbiący dookoła swymi toporami.

Niedaleko Saula na ziemię zwałił się kapitan Ehrlen. Ich spojrzenia spotkały się przelotnie, zanim Pożeracz Światów przetoczył się na plecy i poderwał na nogi. Twarz miał rozrąbaną, w czerwonej, krwawej masce rozpoznać można było tylko oczy. Spadła na niego gromada przeciwników, przyszpilili go do ziemi i zaczęli obrabiać ostrzami niczym połec mięsa.



Mury zadygotały pod salwami bolterów i bitwa wlała się w ruiny. Pożeracze Światów mocowali się ze sobą, strzelali swoim Współbraciom w twarze i patroszyli ich łańcuchowymi toporami. Tarvitz zerwał się na nogi i pobiegł. Ściana za nim runęła, a przez wyrwę wpadł tuzin zdrajców.

Saul rzucił się za filar, który zadrżał od pocisków odłupujących z niego kawały marmuru. Tarvitz wiedział, że musi spróbować znaleźć Dzieci Imperatora. Tylko ze swoimi braćmi mógł narzucić jakiś porządek tej chaotycznej bitwie.

Pobiegł, uświadamiając sobie, że jest ostrzeliwany ze wszystkich stron. Przez zgliszcza olbrzymiej sali jadalnej przebił się do przepastnej kuchni o ścianach z kamienia.

Biegł dalej, przebijał się przez ruiny, aż wydostał się na ulice Miasta Chórów. W górze nad nim płonący desantowiec zderzył się w pomarańczowej kuli ognia z jakimś budynkiem. Za sobą Astartes wciąż słyszał huk wystrzałów i ryki Angrona, przebijające się nawet przez zgiełk walki.

Nad bitwą toczoną w poczerniałych ruinach miasta górowała majestatyczna kopuła Pałacu Precentora.

Biegąc w stronę pozycji ukochanych Dzieci Imperatora, Tarvitz przysiągł sobie, że jeśli ma zginąć na tej przeklętej planecie, to stawi czoła śmierci wśród braci, a umierając, rzuci wyzwanie nienawiści, którą zasiał między nimi Mistrz Wojny.

\* \* \*

Loken patrzył na Synów Horusa lądujących po drugiej stronie Syreniego Grodu. Astartes pod jego komendą – nie potrafił już o nich myśleć jako o „Synach Horusa” – rozstawili się wokół najbliższej wieży-grobowca w porządnym szyku obronnym.

Ciężka broń miała pole ostrzału na całą dolinę kapliczek, przez którą napastnicy musieli przypuścić szturm, a drużyny taktyczne utrzymywały strategiczne punkty wśród ruin, gdzie mogły dyktować warunki walki.

Ale wrogiem nie była już istwańska armia, lecz jego bracia.

– Myślałem, że nas raczej zbombardują – powiedział Torgaddon.

– Powinni byli to zrobić – odparł Loken. – Coś im poszło nie tak.

– To będzie Abaddon. Musiał od dawna czekać na okazję, żeby się z nami zmierzyć. Horus by go nie powstrzymał.

– Albo Sedirae – przytaknął Loken z niesmakiem. Popołudniowe słońce rozlewało się plamami między cieniami rzucanymi przez mury i

wieżę. – Nigdy nie myślałem, że to się tak skończy, Tariku. Może w trakcie szturmowania na jakąś cytadelę obcych albo podczas obrony... obrony Terry. Jak coś z epickich poematów, coś romantycznego, coś, czym pożywiliby się upamiętniacze. Nigdy nie sądziłem, że mogę skończyć, broniąc takiej dziury przed własnymi braćmi.

– Niby tak, ale też zawsze byłeś idealistą.

Synowie Horusa nadchodzili zza wieży po drugiej stronie doliny, z optymalnego kierunku uderzenia, a Loken wiedział, że to będzie najcięższa bitwa jego życia.

– Nie musimy tu umierać – rzekł Torgaddon.

Loken spojrział na niego.

– Wiem, że możemy wygrać. Rzucimy na nich wszystko, co mamy. Ja poprowadzę z pierwszego szeregu i wtedy jest szansa, że...

– Nie – przerwał mu Torgaddon. – Chodziło mi o to, że nie musimy się bronić właśnie tutaj. Wiemy, że możemy przedostać się przez główną bramę do miasta. Jeśli uderzymy w kierunku Pałacu Precentora, możemy połączyć siły z Dziećmi Imperatora albo Pożeraczami Światów. Lucjusz mówił, że ostrzeżenie przyniósł Saul Tarvitz, więc wiedzą, że zostali zdradzeni.

– Saul Tarvitz jest na Isstvanie III? – spytał Loken. W jego sercu nagle zapłonęła nadzieja.

– Na to wygląda – przytaknął Torgaddon. – Moglibyśmy im pomóc. Umocnić pałac.

Loken spojrział na labirynt kapliczek i wież.

– Wycofałbyś się?

– Tak, jeśli nie ma szansy na zwycięstwo, a w innym terenie możemy walczyć na lepszych warunkach.

– Nie będziemy mieli żadnej szansy, by zmierzyć się z nimi na naszych warunkach, Tariku. Miasta Chórów nie ma, ta cała przeklęta planeta nie żyje. Tu chodzi o to, żeby ich ukarać za zdradę i za braci, których straciliśmy.

– Wszyscy straciliśmy tu braci, Garvi, ale nasza niepotrzebna śmierć nie wróci im życia. Ja też chcę się zemścić, ale nie zamierzam poświęcić garstki ludzi, która mi została, w daremnym geście oporu. Zastanów się, Lokenie. Zastanów się dobrze, dlaczego chcesz z nimi walczyć właśnie tutaj.

Loken usłyszał odległe echo wystrzałów i zrozumiał, że Torgaddon ma rację. Wciąż byli najlepiej wyszkolonym, najbardziej zdyscyplinowanym Legionem i jeśli chciał walczyć z tymi, którzy go zdradzili, musiał walczyć głową, a nie sercem.

– Masz rację, Tariku – powiedział. – Musimy połączyć siły z Tarvitzem. Musimy się przegrupować, żeby przypuścić kontratak.

– Możemy im naprawdę dopiec, Garvi, możemy ich zmusić do bitwy i związać walką. Skoro Tarvitz przyniósł tu ostrzeżenie, skąd wiesz, że inni nie wiozą go właśnie na Terrę? Może inne Legiony już wiedzą, co się stało. Ktoś nas nie docenił, myśleli, że to będzie łatwa masakra, ale my im pokażemy. Rozpętamy na Istwanie III regularną wojnę.

– Myślisz, że damy radę?

– Jesteśmy Wilkami Luny, Garvi. Zrobimy, co zechcemy.

Loken uścisnął dłoń przyjaciela, akceptując prawdę jego słów. Odwrócił się do rozstawionych za nim drużyn, przepatrujących dolinę przez celowniki broni.

– Astartes! – krzyknął. – Wszyscy wiecie, co się stało, i łączę się z wami w bólu i gniewie, ale chcę, żebyście się skupili na tym, co musimy zrobić teraz, i nie pozwolili, żeby ten gniew przesłonił wam twarde, wojenne fakty. Więzy braterstwa zostały zerwane i nie jesteśmy już Synami Horusa, ta nazwa nie ma już dla nas znaczenia. Znow jesteśmy Wilkami Luny, żołnierzami Imperatora!

Odpowiedzią na jego słowa był ogłuszający ryk.

– Oddajemy wrogowi tę pozycję i przebijamy się przez bramę w kierunku pałacu – ciągnął Loken. – Kapitan Torgaddon i ja na czele drużyn szturmowych poprowadzimy natarcie.

Po kilku chwilach ochrzczone na nowo Wilki Luny były gotowe do wymarszu. Torgaddon krótkimi rozkazami wysłał drużyny na czoło, Loken zebrał wokół siebie grupę Legionistów, tworząc gniazdo oporu w cieniu wieży-grobowca.

– Zabijaj za żywych i za zmarłych – powiedział Torgaddon, zanim wyruszył.

– Zabijaj za żywych – odparł Loken. Szpica, licząca jakieś dwa tysiące Wilków Luny, ruszyła między grobowcami Syreniego Grodu w stronę olbrzymiej bramy.

Garviel odwrócił się z powrotem do doliny i ujrzał zbliżające się sylwetki Synów Horusa. W oddali majaczyły większe, ciemniejsze kształty, ścierające na proch zrujnowane kapliczki i posągi: opancerzone transportery piechoty Rhino, ciężkie szturmowe transportery Landa, a nawet beczkowata sylweta drednota.

Miał wrażenie, że powinien go przepęlniać smutek, tragizm walki z

własnymi braćmi, ale nie czuł żadnego smutku.

Czuł tylko nienawiść.

\* \* \*

Aruken miał puste spojrzenie i pocił się obficie. Cassar był wstrząśnięty, widząc jego zawadiacką arogancję zastąpioną przez strach. Z powodu tego strachu wiedział, że nie może Jonaszowi w pełni zaufać.

– To się musi skończyć, Tytusie – powtórzył Aruken. – Nie chcesz zostać męczennikiem, prawda?

– Męczennikiem? Ciekawy dobór słów u kogoś, kto twierdzi, że nie wierzy w Imperatora.

Aruken uśmiechnął się słabo.

– Nie jestem tak głupi, jak ci się wydaje. Jesteś dobrym człowiekiem, Tytusie, i cholernie dobrym członkiem załogi. Wierzysz w coś, a większość ludzi nie jest do tego zdolna. Dlatego wolałbym, żebyś nie umierał.

Cassar nie zareagował na jego wymuszenie lekki ton.

– Proszę cię, wiem, że mówisz to tylko przez wzgląd na princepsa. Nie wątpię, że słyszy każde nasze słowo.

– Prawdopodobnie, ale wie też, że jak tylko otworzy te drzwi, odstrzelisz mu głowę, dlatego wydaje mi się, że możemy obaj mówić, co nam się tylko podoba.

Uścisk dłoni Cassara na kolbie pistoletu zelżał.

– Nie jesteś po jego stronie?

– Przecież ostatnio przeżyliśmy razem parę strasznych chwil, nie? Wiem, przez co przechodzisz.

Cassar potrząsnął głową.

– Nie, nie wiesz, ale ja wiem, co próbujesz zrobić. Nie mogę się jednak wycofać. Ja tu walczę w imieniu Imperatora. Nie poddam się.

– Posłuchaj, Tytusie, jeśli wierzysz w to, w co wierzysz, nie musisz tego nikomu udowadniać.

– Myślisz, że ja to robię na pokaz? – spytał Cassar i wycelował pistolet w gardło Arukena.

Jonasz wyciągnął ręce i ostrożnie wyminął fotel princepsa, stając po drugiej stronie mostka.

– Imperator nie jest tylko symbolem – rzekł Cassar. – To bóg. Ma swoją świętą, czyni cuda i ja je widziałem. I ty też! Pomyśl o tym wszystkim, co widziałeś, Jonaszu, a zrozumiesz, że musisz mi pomóc!

– Widziałem parę dziwnych rzeczy, ale...

– Nie wypieraj się ich – przerwał Cassar. – One się naprawdę wydarzyły. Były tak samo prawdziwe jak to, że ty i ja stoimy teraz w tej wojennej maszynie. Jonaszu, istnieje Imperator, który nad nami czuwa. Osądza nas po naszych wyborach, kiedy wybór jest trudny. Mistrz Wojny zdradził i jeśli teraz wycofam się i nie zareaguję, to sam zdradzę swojego Imperatora. Istnieją zasady, których trzeba bronić, Arukenie. Nie rozumiesz nawet tego? Jeśli żaden z nas się nie sprzeciwi, Mistrz Wojny wygra i po tej zdradzie nie zostanie nawet pamięć.

Aruken z frustracją potrząsnął głową.

– Cassar, gdybym tylko umiał ci uzmysłowić...

– Próbujesz mi wmówić, że nie widziałeś niczego, w co mógłbyś uwierzyć? – spytał Cassar, odwracając się od niego z rozczarowaniem. Wyjrzał przez przypalone wizjery na grupującą się Gwardię Śmierci.

– Tytusie, od bardzo dawna w nic nie wierzyłem – odparł Aruken. – Bardzo mi przykro z tego powodu i bardzo cię też przepraszam za to.

Cassar odwrócił się i zobaczył, że Jonasz Aruken wyciągnął własny pistolet i wycelował mu go prosto w pierś.

– Jonasz? Zdradziłybyś mnie? Po tym wszystkim, co widzieliśmy?

– Jest tylko jedna rzecz, której pragnę, Tytusie, a jest nią dowodzenie własnym Tytanem. Chcę któregoś dnia zostać princepssem Arukenem, a to się nie zdarzy, jeśli pozwolę ci to zrobić.

– Wiedzieć, że cała ta galaktyka jest pozbawiona wiary – powiedział Cassar – i myśleć, że jest się jedynym, który wierzy... a mimo to wierzyć dalej. Oto, czym jest wiara, Arukenie. Żałuję, że nie umiesz tego zrozumieć.

– Na to już za późno, Tytusie – powiedział Jonasz. – Przepraszam.

Jego pistolet wypalił trzy razy, wypełniając mostek hukiem i błyskiem.

\* \* \*

Tarvitz obserwował bitwę spod łuku wejścia do Pałacu Precentora. Uciekł z cyklonu mordy, który rozpętał Angron, i chciał dołączyć do własnych żołnierzy w pałacu, ale przed oczami, niczym czerwony horror, wciąż miał Prymarchę Pożeraczy Światów.

Obejrzał się w głąb budowli. Jej zasłane trupami straży pałacowej sale ciemniały; wieczorne słońce wydłużyło i zagęściło cienie. Wkrótce miała zapaść noc.

– Lucjusz – nadał przez wyjący od zakłóceń vox – Lucjusz, zgłoś się.

– Saul, co widzisz?

- Desantowce i kapsuły w naszych barwach lądują na północ od nas.
- Czy Prymarcha zaszczycił nas swoją obecnością?
- To raczej Eidolon – powiedział Tarvitz z ulgą. Vox trzeszczał od zakłóceń. Mogli się spodziewać, że siły Mistrza Wojny spróbują zakłócić ich łączność bez blokowania własnej.
- Posłuchaj, Lucjuszu, Angron wkrótce tu będzie. Lojalni Pożeracze Światów nie dadzą rady go zatrzymać. Skieruje się w stronę pałacu.
- A więc tam stoczymy bitwę – odparł Lucjusz z udawaną powagą. – Mam nadzieję, że Angron okaże się godnym przeciwnikiem. Tak sobie myślę, że chyba w końcu znalazłem równego sobie fechmistrza.
- Jest cały twój. Nie możemy dać się stąd wypchnąć. Zacznij barykadować centralną kopułę. My zaczniemy umacniać pozostałe kopuły i przejścia pomiędzy nimi, jeśli tylko Angron da nam dość czasu.
- A od kiedy ty tu dowodzisz? – spytał Lucjusz nadąsany. – To ja zabiłem Vardusa Praala.
- Tarvitz poczuł, że rośnie w nim złość na dziecinne zachowanie przyjaciela w tak niebezpiecznej sytuacji, ale stłumił gniew.
- Chodź tu i pomóż obsadzić barykady – powiedział. – Nie mamy dużo czasu.

\* \* \*

Thunderhawk wyprysnął z burty „Mściwego Ducha” i jeszcze przyspieszył, kiedy Qruze włączył dopalacze. Świadomość ucieczki z okrętu Mistrza Wojny sprawiła, że Mersadie zakręciło się w głowie. Po chwili jednak dotarło do niej, że nie mają dokąd lecieć. Wszędzie dookoła widziała migoczące kropki statków floty.

- Co teraz? – spytał Qruze. – Uciekliśmy, ale dokąd?
- Mówiłam ci, że mamy przyjaciół, prawda, Iactonie? – odezwała się Euphrati, siadając obok wojownika Astartes, w fotelu drugiego pilota.
- Qruze spojrział na nią z ukosa.
- Może i tak, upamiętniaczko. Ale przyjaciele nie na wiele się nam zdadzą, jeśli tu zginiemy.
- Ale cóż to by była za śmierć – odparła Keeler, a po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

Sindermann spojrział na nią zmartwiony, bez wątplenia zastanawiając się, czy nie za bardzo zaufali, że Euphrati znajdzie dla nich ratunek w ciemnym kosmosie. Starzec wydawał się słaby i kruchy i Keeler wzięła go za rękę.

Na zewnątrz Mersadie widziała mrowie migoczących światełek. Były to statki należące do Sześćdziesiątej Trzeciej Ekspedycji, a w każdym z nich znajdowali się ich wrogowie.

Jakby chcąc temu zaprzeczyć, Euphrati wskazała na kadłub brzydkiego okrętu, pod którym przelecieliby, gdyby utrzymali obecny kurs. Słabe słońce układu Isstvan lśniło na jego niemalowanych, szarych powierzchniach.

– Leć do tamtego – rozkazała Keeler, a Mersadie z zaskoczeniem zobaczyła, że Qruze skręca ster bez słowa protestu.

Nie znała się za dobrze na statkach kosmicznych, ale wiedziała, że krążownik jest najeżony wieżyczkami, które bez trudu mogły zestrzelić przelatującego thunderhawka. Istniało też ryzyko wysłania przeciwko nim myśliwców.

– Dlaczego się zbliżamy? – spytała pospiesznie. – Przecież powinniśmy się oddalać.

– Zaufaj mi, Sadie – odparła Euphrati. – Tak musi być.

Przynajmniej pójdzie szybko, pomyślała Oliton. Okręt rósł za szybą kokpitu.

– To Gwardia Śmierci – powiedział Qruze.

Mersadie przygryzła wargę i zerknęła na Sindermanna.

Starzec wydawał się spokojny.

– Niezła przygoda, co?

Mersadie uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Co zrobimy, Kyrilu? – spytała ze łzami w oczach. – Co nam pozostało?

– To wciąż nasza walka, Mersadie – powiedziała Euphrati, odwracając się od szyby. – Czasami musimy walczyć otwarcie, a czasami na słowa i idee. Wszyscy mamy swoje role do odegrania.

Mersadie westchnęła, nie mogąc i nie chcąc uwierzyć, że na olbrzymim krążowniku nad nimi są jacyś sprzymierzeńcy.

– Nie jesteśmy sami – uśmiechnęła się Euphrati.

– Ale ta walka... ona mnie tak bardzo przerasta.

– Mylisz się. Każde z nas ma takie samo prawo decydować o losie galaktyki jak Mistrz Wojny. Właśnie tą wiarą go pokonamy.

Mersadie kiwnęła głową i spojrzała na przybliżający się coraz bardziej krążownik, na jego długi, ciemny kształt obramowany gwiazdami, na silniki spowite chmurami skryzalizowanych gazów.

– Desantowiec thunderhawka zidentyfikuj się – zatrzeszczał z

nadajnika voxu szorstki, chrapliwy głos.

– Mów prawdę – uprzedziła Euphrati. – Wszystko od tego zależy.

Qruze kiwnął głową.

– Jestem Iacton Qruze, były wojownik Synów Horusa.

– Były? – nadeszła odpowiedź.

– Tak, były.

– Wyjaśnij.

– Nie należę już do Legionu – powiedział Qruze, a Mersadie usłyszała ból, jaki sprawiło mu powiedzenie tego na głos. – Nie mogę brać udziału w tym, co robi Mistrz Wojny.

Głos zamilkł na długą chwilę.

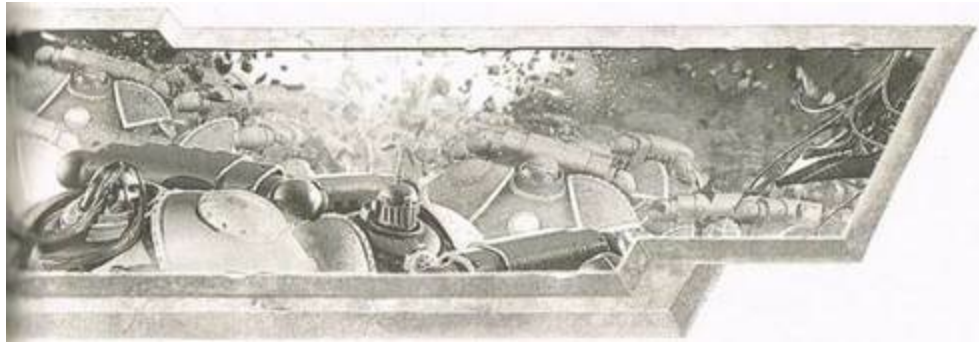
– W takim razie witam na moim okręcie, Iactonie Qruze – usłyszeli w końcu.

– A kim ty jesteś? – spytał Astartes.

– Jestem kapitan Nataniel Garro z „Eisensteina”.



**CZEŚĆ TRZECIA**  
**BRACIA**



## JEDEN

### AŻ DO KOŃCA CHARMOSIAN ZDRADA

Straciłem rachubę dni – powiedział Loken, kucając za prowizoryczną barykadą wychodzącą na dymiące zgliszcza Miasta Chórów.

– Nie sądzę, żeby na Isstvanie III były jeszcze dni i noce – odparł Saul Tarvitz.

Loken spojrzał w stalowoszare niebo. Katastrofalna zmiana klimatu, wywołana nagłym wyginięciem prawie całego życia na planecie, spowodowała powstanie grubej pokrywy chmur. Padał z nich deszczyk popiołu – pozostałości pożaru podrywane przez suche, martwe wichry kontynentalne.

– Przegrupowują się do następnego szturmu – stwierdził Tarvitz, wskazując gąszcz poskręcanych, obsypanych popiołem ruin, które kiedyś były rozległą dzielnicą mieszkaniową na wschód od pałacu.

Loken podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Mignęła mu brudnobiała zbroja.

– Pożeracze Światów.

– A któż by inny?

– Nie wiem, czy Angron w ogóle zna inne metody walki.

Tarvitz wzruszył ramionami.

– Pewnie zna, ale tę lubi najbardziej.

Tarvitz i Loken poznali się na Rzeźni, gdzie Synowie Horusa walczyli u boku Dzieci Imperatora przeciwko ohydny mearachnidom. Tarvitz był wtedy świetnym wojownikiem, pozbawionym pychy swojego Legionu, która

tak odrzucała Torgaddona.

Loken ledwie pamiętał drogę przez Syreni Gród, przedzieranie się przez potrzaskane grobowce i płonące ruiny. Pamiętał, jak przebijał się przez ludzi, których kiedyś nazywał braćmi, w stronę wielkiej bramy i nie ustawał, dopóki nie ujrzał Pałacu Precentora i jego wspaniałych, granitowych płatków.

– Uderzą w przeciagu godziny – powiedział Tarvitz. – Rozstawię ludzi na umocnieniach.

– To może być podstęp – odparł Loken, mając żywo w pamięci pierwsze dni bitwy o pałac. – Angron uderzy z jednej strony, Eidolon przypuści kontratak.

Kiedy zobaczył żołnierzy Tarvitz'a w bitwie po raz pierwszy, przyszła mu na myśl jakaś wielka gra, w której Dzieci Imperatora były pionami mistrzowsko rozgrywającymi zwody i kontrataki. Człowiek mniejszego formatu niż Tarvitz pewnie pozwoliłby, żeby jego siły zostały rozbite, ale kapitan Dzieci Imperatora zdołał jakimś cudem wytrzymać trzy dni bezustannych szturmów.

– Będziemy na nich gotowi – rzekł Saul, zaglądając w głąb pałacu.

Loken i Tarvitz stali na szczycie na wpół zawalonej kopuły, jednej z licznych pałacowych konstrukcji, które zostały zrujnowane podczas walk i pożogi.

Kryli się za zwalonymi kawałami granitowych płatków, podczas gdy poniżej, w zasypanej gruzem kopule, setki ocalałych wojowników zajmowały pozycje na umocnieniach. Wilki Luny i Dzieci Imperatora obsadzały barykady usypane z bezcennych rzeźb i innych dzieł sztuki, które wypełniały sale.

Monumentalne posągi dawnych władców leżały obalone, a za nimi kryli się Astartes.

– Jak myślisz, ile jeszcze się utrzymamy? – spytał Loken.

– Zostaniemy tu do końca – odparł Tarvitz. – Sam powiedziałeś: z każdą sekundą, kiedy żyjemy, rośnie szansa, że Imperator dowie się o tym i przyśle inne Legiony, żeby wymierzyły Horusowi sprawiedliwość.

– O ile Garro sobie poradzi – powiedział Loken. – Mógł już zginąć albo zagubić się w osnowie.

– Być może, ale muszę mieć nadzieję, że Natanielowi się uda – odparł Tarvitz. – Naszym zadaniem jest się bronić tak długo, jak tylko zdołamy.

– To mnie właśnie martwi. Najprawdopodobniej wszystko to sprowokował Angron, który się zerwał ze smyczy, ale Mistrz Wojny mógł po

prostu wycofać swoje Legiony i bombardowaniem zetrzeć to miasto na pył. Straciłby trochę ludzi, ale mimo wszystko... Ta planeta powinna być martwa już dawno temu.

Tarvitz się uśmiechnął.

– Czterech Prymarchów, Garvielu. Oto twoja odpowiedź. Czterech wojowników, którzy nie lubią się poddawać. Kto miałby się wycofać pierwszy? Angron? Mortarion? Jeśli Eidolon dowodzi Dziećmi Imperatora, to chce się wykazać przed Prymarchami. A ja nigdy nie widziałem, żeby Horus okazał słabość, kiedy jego bracia mogą to zobaczyć.

– Tak – zgodził się Loken. – Mistrz Wojny nie wycofuje się z bitwy, kiedy już się rozpoczęła.

– A więc po prostu muszą pozabijać nas wszystkich – zawyrokował Tarvitz.

– Owszem.

Słuchawki voxu w ich hełmach zapiszczały i rozległ się głos Torgaddona:

– Garvi, Saul! Mam meldunki, że Pożeracze Światów się przegrupowują. Słyszemy ich śpiew, więc niedługo zaatakują. Umocniłem wschodnie barykady, ale potrzebujemy tu każdego, kogo możecie przysłać.

– Wycofam swoich ludzi z galerii – nadał Tarvitz. – Wyślę do ciebie Garviela.

– A ty gdzie idziesz? – spytał Loken.

– Sprawdzę, czy zachodnie i północne podejścia są dobrze kryte, i rozstawię trochę ciężkiej broni na kaplicy – odparł Saul, wskazując przez ruiny kopułę dziwnej organicznej Kaplicy Pieśniarek, przylegającej do kompleksu pałacowego.

Ocalali instynktownie unikali tej budowli i mało kto z nich w ogóle zajrzał do środka. Same jej mury przesiąknięte były zepsuciem, które przeżarło duszę Miasta Chórów.

– Ja wezmę kaplicę, a Lucjusz parter – ciągnął Tarvitz, odwracając się z powrotem do Lokena. – Przysięgam, czasem wydaje mi się, że on się tu dobrze bawi.

– Odrobinę za dobrze, moim zdaniem – odparł Loken. – Musisz mieć na niego oko.

Rozbrzmiał znajomy, głuchy huk eksplozji i z udręczonego krajobrazu miasta na północ od pałacu wystrzelił w górę słup gruzu i dymu.

– Nie do wiary, że został tam ktoś żywy – rzekł Tarvitz.

– Gwardię Śmierci niełatwo zabić.

Loken ruszył w stronę prowizorycznej drabiny, prowadzącej do zrujnowanej galerii.

Mimo swoich słów wiedział, że to faktycznie zdumiewające. Mortarion, nigdy nieskory do przesadnej finezji, posadził po prostu jeden ze swoich największych orbitalnych ładowników na krawędzi zachodnich umocnień i zasypał je ogniem z wieżyczek, jednocześnie desantując swoją Gwardię Śmierci.

Wtedy po raz ostatni ktokolwiek słyszał o Astartes z Gwardii w Mieście Chórów, ale mierzone na chybił trafił pociski artyleryjskie, które codziennie spadały na obozy zdrajców, były dowodem, że resztki lojalistów wciąż opierały się wysiłkom Mortariona.

– Mam tylko nadzieję, że my wytrwamy tyle samo – powiedział Tarvitz. – Kończą się nam zapasy i amunicja. Niedługo zaczną się nam kończyć Astartes.

– Dopóki żyje choć jeden, kapitanie, będziemy walczyć – obiecał Loken. – Horus bardzo źle wybrał, robiąc sobie wrogów ze mnie i z ciebie. Pożałuje, że w ogóle z nami zadarł.

– A więc spotkamy się znów, kiedy popędzimy Angrona z podkulonym ogonem – powiedział Tarvitz.

– Będę czekał.

Loken zszedł do galerii, a Tarvitz został sam. Saul przez chwilę patrzył na zrujnowane miasto. Ile minęło czasu, kiedy po raz ostatni otaczało go coś innego niż koszmar, w który zmieniło się Miasto Chórów? Dwa miesiące? Trzy?

Niebo barwy popiołu i dymiące zgliszczka otaczały pałac jak okiem sięgnąć, ze wszystkich stron, a miasto przypominało piekło, w które sami Isstvańczycy mogli kiedyś wierzyć.

Tarvitz wyrzucił tę myśl z głowy.

– Nie ma piekieł – powiedział sam do siebie. – Nie ma bogów ani wiecznych nagród, ani kar po śmierci.

Lucjusz słyszał zabijanie. Czytał z tych odgłosów, jakby były zapisane przed nim niczym nuty. Odróżniał bojowe okrzyki Pożeraczy Światów od Synów Horusa, słyszał różnicę w tonie salwy z bolterów wspierających natarcie od tych, które broniły barykady.

Kaplica, której utrzymanie zlecił mu Saul, nie pasowała na ostatni bastion Wielkiej Krucjaty. Jeszcze nie tak dawno była ośrodkiem nerwowym

wrogiego reżimu, teraz jednak tylko pospiesznie usypane umocnienia powstrzymywały poza nią znacznie silniejsze siły zdrajców.

– Brzmi nieładnie – odezwał się brat Solatben z drużyny Nasicae, skulony za parapetem okna. – Mogą się przebić.

– Nasz przyjaciel Loken da sobie z nimi radę – prychnął Lucjusz. – Po prostu Angron chce zabić nas trochę więcej. I tyle. Posłuchaj. Słyszysz to?

Solathen przekrzywił głowę. Słuch Astartes, podobnie jak i inne zmysły, był bardzo czuły, ale Legionista nie zrozumiał, o co chodziło Lucjuszowi.

– Co, kapitanie?

– Topory łańcuchowe. Ale nie tną ceramitu czy innej broni: tną kamień i stal. Pożeracze Światów nie są w stanie dopaść Synów Horusa, więc próbują przerąbać się przez barykady.

Solathen kiwnął głową.

– Kapitan Tarvitz wie, co robi. Pożeracze Światów znają tylko jeden sposób walki. Możemy to wykorzystać.

Lucjusz skrzywił się, słysząc pochwałę Saula. Drażniło go, że nikt nie docenia jego własnego wkładu w obronę. Czy nie zabił Vardusa Praala? Czy nie zdołał doprowadzić swoich ludzi do schronienia, kiedy spadły bomby wirusowe i nadeszła pożoga?

Odwrocił się, by ukryć rozgoryczenie, i popatrzył przez okno kaplicy na plac, wciąż ciemny od zwęglonych ruin. W niewyjaśniony sposób okno pozostało nietknięte, choć burza ognia wypaczyła szyby, wydęte i poznaczone wielobarwnymi żyłami. Przypominało Lucjuszowi olbrzymie oko jakiegoś insekta.

Kaplica była jeszcze dziwniejsza w środku niż na zewnątrz. Zbudowano ją z gładkich bloków zielonego kamienia układanych w wyniosłe, biologiczne kształty, jakby wielka chmura niezdrowo wyglądającego oparu nagle skamieniała, bijąc w niebo. Ołtarz był wielką, szeroką membraną z jaśniejszego, fioletowego kamienia, kojarzył się z jakimś skomplikowanym narządem, rozkrojonym i przypiętym do ściany w celu zbadania.

– Nie o Pożeraczy Światów powinieneś się martwić, bracie – powiedział Lucjusz swobodnie – tylko o nas.

– O nas, kapitanie?

– O Dzieci Imperatora. Wiesz, jak walczy nasz Legion. To oni są tu najgroźniejsi.

Większość ocalałych lojalnych Dzieci Imperatora znajdowała się w kaplicy. Tarvitz zabrał też ich część pod najbliższą bramę, ale kilka drużyn kryło się jeszcze w pobliżu na poziomie gruntu, wśród dziwnych, organicznych wypustek. W Nasicae zostało tylko czterech żołnierzy, w tym sam Lucjusz; wchodzili w skład grupy szturmowej lojalistów wraz z drużynami Quemondil i Raetherin.

Na dach kaplicy Tarvitz posłał sierżanta Kaitherona i jego drużynę wsparcia wraz z większością ocalałej broni ciężkiej Dzieci Imperatora. Astartes z drużyn taktycznych obsadzili okna albo umocnione punkty w głębi budowli. Reszta Legionistów służących teraz pod Lucjuszem rozstawiona była pod osłoną na zewnątrz, wśród barykad ze zwalonych kamiennych bloków, które wzniesli w pierwszych dniach oblężenia.

Dwa tysiące Astartes – kontyngent wystarczający na pokrycie całego sektora bojowego podczas Wielkiej Krucjaty – broniło pojedynczego podejścia do pałacu w szyku obronnym wspartym o Kaplicę Pieśniarek.

Lucjusz zauważył jakiś ruch i wyjrzał przez zamgloną szybę na poczerńiałe budynki po drugiej stronie. Tam! Błysk złota.

Uśmiechnął się, wiedząc doskonale, jak walczą Dzieci Imperatora.

– Kontakt! – obwieścił reszcie oddziałów. – Trzeci kwartał na zachód, drugie piętro.

– Mam – odparł sierżant Kaitheron, pragmatyczny dowódca, traktujący wojnę jak matematyczny problem, który należy rozwiązać za pomocą wyliczenia kąta i siły ostrzału. Lucjusz usłyszał, jak Astartes przemieszczają się na dachu – to ciężka broń namierzała cel, który im wskazał.

– Zachodni front, gotuj się! – rozkazał. Kilka drużyn taktycznych pospiesznie zajęło pozycje ogniowe po jego stronie kaplicy.

Napięcie było wprost rozkoszne. Lucjusz poczuł falę ekstazy rozpełzającą się po jego żyłach, a w krwi zagrała mu pieśń śmierci. Bezpośrednie starcie twarzą w twarz dawało szansę przećwiczenia wojennej perfekcji, ale dopiero te chwile gorączkowego oczekiwania, kiedy czuł całą wagę potencjalnej śmierci bądź chwały, czyniły walkę naprawdę pamiętną.

– Mamy ich – zawołał Kaitheron z dachu. – Dzieci Imperatora. Duże zgrupowanie na kilku poziomach. Do tego sprzęt pancerny. Transportery Landa i predatory. Działa laserowe wysunąć na przód! Ciężkie boltery, kryć otwarty teren. Średni zasięg, nałożyć pola ostrzału!

– Eidolon – powiedział Lucjusz.

Widział już przeciwnika, setki Astartes w fiolecie i złocie – w barwach

Legionu, który ubóstwiał – gromadzące się w martwych ślepiach zrujnowanych budynków.

– Najpierw rozmieszczą wsparcie – powiedział. – Potem transporterami Landa przewiozą oddziały. Piechota uderzy z półdystansu. Wstrzymać ogień do tej chwili.

Zachręściły gąsienice. To ciężkie transportery Landa, w splendorze złoconych orlich skrzydeł i wojennych fresków na pancernych bokach, ruszyły przez ruiny Miasta Chórów. Każdy wioził Dzieci Imperatora, elitę galaktyki, przygotowanych przez Eidolona i Fulgrima, by traktować ludzi, których kiedyś nazywali braćmi, jak wrogów wartych jedynie eksterminacji.

Eidolon uważał niedobitków pierwszej fali natarcia za bezmyślnych głupców zasługujących wyłącznie na śmierć, ale nie brał pod uwagę Lucjusza. Szermierz oblizał usta na myśl o ponownym starciu z wojownikami swojego Legionu: wojownikami zasługującymi na to miano. Wrogiem, wobec którego mógł czuć respekt.

Albo na jego respekt zasłużyć...

Oczami wyobraźni widział drużyny przeciwnika, szturmujące z taką pewnością siebie, że wyglądały raczej jak uczestnicy skomplikowanego pokazu na defiladzie, a nie walczący żołnierze.

Czuł już smak chwili, w której zacznie się bitwa.

Pragnął jej doświadczyć natychmiast, tu i teraz, ale zdawał sobie też sprawę, o ile wspanialej będzie smakować walka, kiedy wszystko zostanie idealnie wymierzone w czasie.

Szyby w oknach trzasnęły – to czołgi ostrzelały kaplicę, zasypując jej wnętrze deszczem marmuru i szkła.

– Stać! – rozkazał Lucjusz. Wbrew wszystkiemu jego Astartes wciąż byli Dziećmi Imperatora i nie zamierzał złamać szyku jak niezdyscyplinowany Pożeracz Światów.

Zarzykował wyjrzenie przez strzaskaną szybę i zobaczył transportery drące gąsienicami marmur placu. Za nimi jechały czołgi typu Predator; pełniły one rolę ruchomych stanowisk wsparcia i każdym strzałem burzyły wielkie kawały umocnień. W obie strony błyskały wiązki laserów – ludzie Kaitherona próbowali zatrzymać natarcie, a działa na bocznych mocowaniach transporterów Landa polowały na Astartes na dachu.

Jeden z predatorów stanął w miejscu z zerwaną gąsienicą, inny wybuchł wielobarwnymi płomieniami. Za oknem spadło kilka ciał w fioletowych pancierzach, trupy będące przystawką przed wielką ucztą śmierci.



Lucjusz dobył miecza. Muzyka w nim narastała, aż w końcu wydawało mu się, że dłużej jej nie powstrzyma. Z jej rytmem zlało się znajome buczenie pola energetycznego klingi. Poczuł, że osuwa się w taniec szermierki, płynny tryb mordy, który doprowadził do perfekcji przez stulecia zabijania.

Ilu ludzi mogło brać udział w natarciu? Z pewnością duża część dowodzonych przez Eidolona.

Lucjusz miał mniej wojowników, ale w tej bitwie i tak chodziło o chwałę i widowisko.

Pocisk z czołgowego działa wpadł przez okno i eksplodował na suficie, zasypując ich odłamkami i dymem.

Lucjusz zobaczył smugi ognia z bolterów prowadzonego z wejścia do pałacu. To Tarvitz wciągał Eidolona w pułapkę, a Lord Komandor nie miał innego wyjścia, jak tylko zatańczyć do jego melodii. Szermierz usłyszał melodyjny szczełk i zobaczył, że rampy desantowe transportowców otwierają się. Za nimi, we wnętrzach pojazdów, mignęły mu stłoczone ciasno opancerzone ciała.

– Naprzód! – wrzasnął.

Plecaki skokowe jednostek uderzeniowych za nim odpaliły z hukiem, niosąc żołnierzy do boju. Lucjusz ruszył z nimi, wyskakując przez okno kaplicy. Tuż za nim atakowała drużyna Nasicae i reszta wojowników.

Bitwa: wojenny taniec. Lucjusz wiedział, że w walce z przeciwnikiem takim jak Eidolon nie będzie miał czasu na nic innego, jak tylko błyskawiczne wykorzystanie swojej wojennej perfekcji. Coś się zmieniło w jego percepcji i wszystko nagle nabrało cudownej ostrości, każdy kolor stał się jasny i mocny, każdy dźwięk głośny i wyraźny.

Taniec szermierki poniósł go prosto w szeregi wroga, a dookoła wybuchł idealnie zaplanowany chaos bitwy. Z dachu sypał się grad pocisków, transportery obróciły się w miejscu, by wziąć na cel Dzieci Imperatora szarżujące z kaplicy.

Astartes z pierwszej linii obrony uderzyli w tej samej chwili i siły Eidolona zostały zaatakowane z dwóch stron jednocześnie.

Lucjusz uchylał się przed ostrzami i kulami, a jego miecz błyskał niczym język żmii. Natarcie Eidolona stanęło w miejscu. Drużyna Quemondil walczyła z Legionistami wybiegającymi z pobliskiego transportera. Lucjusz wyminął ich z gracją, czując w sercu dzikie uniesienie, przetoczył się pod serią z boltera, poderwał na nogi i wbił miecz w brzuch

sierżanta zdrajcy.

Śmierć była końcem samym w sobie, wyrażała w prosty sposób przewagę Lucjusza, ale on miał wyższy cel. Wiedział, co musiał zrobić, a jego dziwnie wypaczone zmysły wypatrywały błysku złota albo łopotu proporca, czegokolwiek, co wskazywałoby na obecność jednego z Wybrańców Fulgrima.

Nagle zobaczył zbroję lamowaną czernią zamiast złota, hełm w kształcie ponurej, wyszczerzonej czaszki. Kapelan Charmosian.

Dumnie wyprostowany wojownik w czarnej zbroi stał we włazie transportera Landa, kierując starciem krótkimi ruchami swojego orłoskrzydłego croziusa. Lucjusz wyszczerzył się obłąkańczo i ruszył przez pole bitwy, zamierzając zmierzyć się z Charmosianem i powalić go w pojedynku godnym archiwów Legionu.

– Charmosian! – wrzasnął. Jego własny głos zabrzmiał dla niego jak najdzwięczniejsza muzyka. – Strażniku Woli! Jestem Lucjusz, kiedyś twój brat, teraz twoja zguba!

Charmosian zwrócił ku niemu swój trupi hełm.

– Wiem, kim jesteś!

Wyłonił się z włazu i stanął na dachu transportera, wyzywając Lucjusza. Charmosian był dowódcą polowym i aby pełnić tę rolę, potrzebował szacunku Legionu, a ten mógł zyskać, jedynie walcząc w pierwszym szeregu.

Był godnym przeciwnikiem, ale to nie dlatego Lucjusz go wyszukał.

Szermierz wskoczył na osłonę gąsienicy transportera i wbiegł po niej do Charmosiana. Wszędzie dookoła pręły seriami boltery, ale nie miało to znaczenia.

Lucjusz myślał tylko o starciu.

– Uczyniliśmy cię nazbyt dumnym – powiedział Charmosian i zamachnął się croziusem, zamierzając zgruchotać Lucjuszowi pierś. Ten zasłonił się mieczem i ich taniec wszedł w kolejną, pospieszną fazę. Charmosian był dobry, należał do najlepszych wojowników Legionu, ale Lucjusz wiele lat trenował, by być gotowym do pojedynku takiego jak ten.

Crozius kapelana był zbyt ciężki, by utrzymywać go na mieczu, więc szermierz pozwolił mu zsuwać się po klindze. Charmosian uderzał raz za razem i, sfrustrowany, wkładał coraz więcej siły w każdy cios.

Jeszcze trochę. Jeszcze kilka chwil i Lucjusz miał dostać swoją szansę.

Przejrzał prawidłowość ataków kapelana i zaśmiał się, dostrzegając

niezdarny zamiar wypisany na każdym z uderzeń. Charmosian chciał go zabić jednym potężnym ciosem, ale tym razem podniósł croziusa za wysoko, przytrzymał go bez ruchu za długo, zbierając siły.

Lucjusz uderzył – ciął mieczem wysoko, po uniesionych rękach kapelana. Crozius upadł na ziemię, a Charmosian ryknął z bólu, bo razem z nim upadły jego ręce, odrąbane w łokciach.

Wokół szalała bitwa. Lucjusz pozwolił, by zgiełk i widowisko przytłoczyły jego przeczulone zmysły. Wszystko inne działo się gdzieś dookoła, tutaj liczyło się tylko jego zwycięstwo.

– Wiesz, kim jestem – powiedział. – Twoją ostatnią myślą jest klęska.

Charmosian chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył. Szermierz ciął szerokim lukiem i zdjął mu głowę z ramion.

Złote zdobienia transportera zbryzgała krew. Lucjusz złapał czerep w powietrzu i podniósł go wysoko, tak by głowę zobaczyli wszyscy na polu bitwy.

Tysiące Dzieci Imperatora wokół niego walczyły na śmierć i życie. Siły Eidolona, uderzone z dwóch stron, zatrzymały się na umocnieniach pałacu i cofnęły. Tarvitz poprowadził kontratak i natarcie Lorda Komandora zaczęło się łamać.

Lucjusz roześmiał się, widząc czołg dowodzenia Eidolona – ciężki transporter Landa przyozdobiony zwycięskimi proporcami – który wspiał się na kupę gruzu, wycofując się z walki.

Lojaliści wygrali, ale Lucjusz uświadomił sobie, że go to nie obchodzi.

Wygrał swoją własną bitwę. Wyciągając głowę Charmosiana ze stylizowanego na czaszkę hełmu i odrzucając ją na bok, zrozumiał, że ma wszystko, czego potrzebował, by pieśń śmierci dalej dla niego grała.

W Kaplicy Pieśniarek było cicho. Dookoła piętrzyły się setki nowych trupów w popalonych i popękanych fioletowo-złoty pancerzach, między poplamionymi marmurowymi płytami zbierały się strumyki krwi. W niektórych miejscach nowi polegli leżeli obok poczerniałych zbroi Pożeraczy Światów, którzy zginęli w pierwszej fali natarcia na Miasto Chórów.

Wejście do pałacu było solidnie umocnione, a w najbliższej kopule nieliczni konsyliarze lojalistów łatali rannych.

Tarvitz zobaczył Lucjusza, który czyścił miecz, na zmianę wycierając ostrze i wycinając sobie nowe blizny na twarzy. Obok niego leżał hełm w kształcie czaszki.

– To naprawdę konieczne? – spytał Tarvitz.

Lucjusz podniósł wzrok.

– Chcę zapamiętać, jak zabiłem Charmosiana.

Tarvitz wiedział, że powinien zdyscyplinować szermierza, skarcić go za praktyki, które ktoś mógłby uznać za barbarzyńskie i prymitywne, ale tutaj, pośród zdrady i śmierci, takie wyrzuty wydały mu się absurdalnie małosłowne.

Przykucnął obok Lucjusza. Bolało go całe ciało, zbroję miał poraną i powgniataną po ostatnim starciu u wejścia do pałacu.

– Dobrze – powiedział, wskazując kciukiem pozycje wroga. – Widziałem, jak go zabiłeś. Niezły cios.

– Niezły? – powtórzył Lucjusz. – Lepiej niż niezły. To było dzieło sztuki. Finezja nigdy nie była twoją mocną stroną, Saulu, więc nie dziwi mnie, że tego nie doceniłeś.

Uśmiechał się, ale Tarvitz zobaczył w jego oczach błysk autentycznej złości i zranionej dumy, który wcale mu się nie spodobał.

– Dostrzegłeś jakieś ruchy wroga? – spytał, zmieniając temat.

– Nie – odparł Lucjusz. – Eidolon nie wróci, dopóki się nie przegrupuje.

– Bądź czujny – rozkazał Tarvitz. – Eidolon może nas zaskoczyć, jeśli będziemy nieostrożni.

– Nie przebije się – obiecał Lucjusz. – Nie, dopóki ja tu jestem.

– Nie musi. – Tarvitz chciał, żeby jego przyjaciel zrozumiał ich położenie. – Z każdym jego atakiem tracimy kolejnych żołnierzy. Jeśli będzie uderzał i szybko się wycofywał, zada nam w końcu takie straty, że nie będziemy mogli bronić wszystkich podejść jednocześnie. Zasadzka w świątyni kosztowała go więcej, niżby chciał, ale i tak padło za dużo naszych.

– Ale go odrzuciliśmy.

– Tak – zgodził się Tarvitz. – Ale niewiele brakowało. Dlatego przyśle ci dodatkową drużynę, żeby trzymała wartość.

– A więc nie ufasz już, że pozostanę czujny, tak?

Tarvitz zaskoczył jad w głosie Lucjusza.

– Nie, wcale nie. Chcę tylko mieć pewność, że masz dość żołnierzy, by odeprzeć następny atak. Ja w każdym razie muszę się zająć umocnieniami od zachodu.

– Tak, idź sobie i kieruj ważną bitwą, w końcu jesteś bohaterem – warknął Lucjusz.

– Wygramy – powiedział Tarvitz, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Tak – odparł szermierz. – Wygramy. W ten czy inny sposób.

\* \* \*

Lucjusz patrzył, jak Tarvitz odchodzi, rozzłoszczony tym, jak jego przyjaciel samowolnie objął dowództwo. To on był predestynowany do awansu i wielkości, nie Tarvitz. Jak jego własne chwalebne dokonania mogły zostać przyćmione przyziemnym, prozaicznym dowodzeniem Saula Tarvitz? Ale miał wrażenie, że wszystkie czyny, których dokonał w ogniu bitwy, poszły w niepamięć. W gardle stanęła mu dławiąca gorycz żółci.

Układając plan, poczuł chwilowe ukłucie winy, ale wspomnienie pogardliwego, protekcyjnego tonu towarzysza roztopiło ją jak słońce śnieg.

W świątyni było cicho. Lucjusz upewnił się, że jest sam, usiadł na jednym ze sterczących, gładkich, szarzielonych głazów i podniósł hełm Charmosiana.

Zajrzał do zakrwawionego wnętrza i dostrzegł w nim błysk srebra. Sięgnął do środka i wyciągnął mały metaliczny okruch. Komunikator kapelana.

Jeszcze raz sprawdził, czy jest sam.

– Komandorze Eidolonie? – powiedział do mikrofonu. Ku swojej frustracji nie usłyszał odpowiedzi. – Eidolonie, tu Lucjusz – powtórzył. – Charmosian nie żyje.

Krótki trzask zakłóceń, potem:

– Lucjusz.

Szermierz się uśmiechnął. Rozpoznał głos Eidolona. Jako jeden z najwyższych rangą oficerów Dzieci Imperatora Charmosian był w stałym kontakcie z dowódcą, a kiedy zginął, kanał pozostał otwarty. Było dokładnie tak, jak Lucjusz się spodziewał.

– Komandorze – powiedział z rozbawieniem – dobrze słyszeć twój głos.

– Nie jestem zainteresowany wysłuchiowaniem twoich kpin, Lucjuszu – warknął Eidolon. – Musisz wiedzieć, że w końcu wszystkich was zabijemy.

– Owszem – przytaknął szermierz. – Ale to potrwa bardzo długo. Zanim ten pałac padnie, zginie bardzo wiele Dzieci Imperatora. Synów Horsa i Pożeraczy Światów także. A Terra jedna wie, ilu Gwardzistów Śmierci Mortariona już poległo w okopach. Zapłacicie za to, Eidolonie. Wszystkie siły Mistrza Wojny zapłacą. Kiedy przybędą tu pozostałe Legiony, może się okazać, że na Istwanie III Horus stracił za dużo wojsk, żeby z nimi

wygrać.

– Tak sobie wmawiaj, Lucjusz, jeśli dzięki temu ci łatwiej.

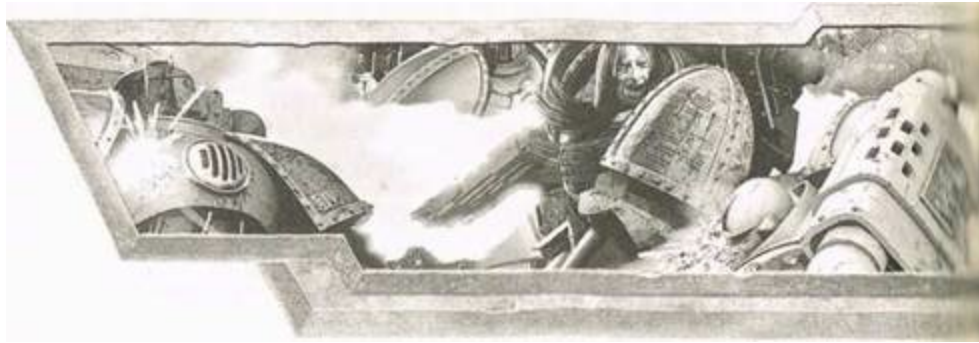
– Nie, komandorze – powiedział Lucjusz. – Źle mnie zrozumiałeś.

Zmierzam do tego, że chcę wejść z tobą w układ.

– Układ? – powtórzył Eidolon. – Jaki układ?

Lucjusz się uśmiechnął, czując, jak napinają się blizny na jego twarzy.

– Dam ci Tarvitza i Pałac Precentora.



## DWA

### NIEMAŁO CUDÓW STARZY PRZYJACIELE KŁĘSKA DOSKONAŁA

Strategium było pogrążone w półmroku. Jedynym źródłem światła były migoczące ekrany, zgromadzone wokół tronu Mistrza Wojny niczym suplikanci, i garść pochodni roztaczających aromat drzewa sandałowego. Podczas zmagania o Isstvana III tylną ścianę pomieszczenia usunięto, odsłaniając przylegającą do mostka „Mściwego Ducha” w pełni urządzoną świątynię.

Mistrz Wojny siedział w samotności. Nikt nie śmiał przerywać jego gorzkich rozmyślań o szalejącym w dole konflikcie. To, co miało być masakrą, przekształciło się w regularną wojnę – wojnę, na której prowadzenie nie miał czasu.

Mimo odważnych słów w obliczu braci Prymarchów martwiły go walki na Isstvanie. Nie obawiał się bynajmniej, że jego wojska przegrają. Denerwował go fakt, że w ogóle muszą walczyć. Bombardowanie wirusem powinno było zabić wszystkich, którzy nie poparliby jego planów zrzucenia Imperatora ze Złotego Tronu Terry.

Zamiast tego w planie, który wydawał się bezbłędny, pojawiły się pierwsze pęknięcia.

Saul Tarvitz z Dzieci Imperatora zaniósł ostrzeżenie na powierzchnię...  
I na „Eisensteina”.

Horus przypomniał sobie strach Maloghursta, kiedy ten przyszedł powiedzieć mu o problemie z upamiętniaczami, strach, że gniew Mistrza Wojny okaże się dla niego zgubą.

Maloghurst kuśtykał w stronę tronu ze spuszczoną, zakapturzoną głową.

– O co chodzi, Maloghurście? – spytał surowo Horus.

– Uciekli – odparł Maloghurst. – Sindermann, Oliton i Keeler.

– Co to znaczy?

– Nie ma ich wśród zabitych w sali audiencyjnej. Osobiście sprawdziłem każdego trupa.

Mistrz Wojny długo milczał.

– Mówisz, że uciekli? – powiedział w końcu. – To sugeruje, że wiesz dokąd. Czy tak?

– Tak sądzę, panie – przytaknął Maloghurst. – Wygląda na to, że porwali thunderhawka i polecili na „Eisensteina”.

– Porwali thunderhawka – powtórzył Horus. – Będziemy musieli sprawdzić procedury bezpieczeństwa dotyczące tych nowych desantowców. Najpierw Saul Tarvitz, teraz ci upamiętniacze... Wygląda na to, że każdy może sobie bezkarnie ukraść jeden z naszych statków.

– Nie ukradli go sami – wyjaśnił Maloghurst. – Mieli pomoc.

– Pomoc? Czyją?

– Iactona Qruze. Doszło do starcia, Maggard został zabity.

– Iactona Qruze? – Horus zaśmiał się bez humoru. – Niemało cudów widzieliśmy, ale to chyba największy z nich. Cichy wyhodował sobie sumienie.

– Zawiodłem cię, Mistrzu Wojny.

– To nie jest kwestia zawodu, Maloghurście! Takie błędy nie powinny w ogóle mieć miejsca. Coraz więcej rzeczy odciąga moją uwagę od bitwy. Powiedz, gdzie jest teraz „Eisenstein”?

– Próbował przebić się przez naszą blokadę i dotrzeć do układowego punktu skoku.

– Mówisz: próbował – zauważył Horus. – Nie udało mu się?

Maloghurst nie odpowiedział od razu.

– Kilka naszych okrętów przechwyciło „Eisensteina” i poważnie go uszkodziło.

– Ale go nie zniszczyły?

– Nie, panie mój, zanim zdążyły to zrobić, dowódca „Eisensteina” zarządził awaryjny skok w osnowę, ale statek był tak mocno uszkodzony, że naszym zdaniem nie mógł przetrwać takiej translacji.

– Jeśli przetrwa, cały harmonogram moich zaplanowanych działań



zostanie zaburzony.

– Osnowa jest mroczna, Mistrzu Wojny. Jest mało prawdopodobne, by...

– Nie bądź taki pewny siebie, Maloghurście – ostrzegł Horus. – Faza Isstvana V ma dla naszego sukcesu decydujące znaczenie, a jeśli „Eisenstein” zanieś wiadomość o naszych planach na Terrę, wszystko może być stracone.

– Być może, panie mój, gdybyśmy wycofali się z Miasta Chórów i zablokowali planetę, moglibyśmy dopilnować, by faza Isstvana V przebiegła zgodnie z planem.

– Jestem Mistrzem Wojny i nie wycofuję się z bitwy! – krzyknął Horus. – W Mieście Chórów mam do osiągnięcia cele, których nie pojmujesz...

Ze wspomnień wyrwał go sygnał komunikatora wbudowanego w poręcz fotela.

Holomat zainstalowany pod podłogą wyświetlił wysoko nad głową Prymarchy dużą, kwadratową płaszczyznę, na której zawirował jakiś obraz. Z kłębu barw wyłoniła się twarz Lorda Komandora Eidolona, najwyraźniej siedzącego w swoim transporterze dowodzenia. Przez trzask zakłóceń słychać było huk dalekich eksplozji.

– Mistrzu Wojny – zaczął Eidolon – mam wieści, które powinieneś usłyszeć.

– Mów – odparł Horus – i lepiej niech to będą dobre wieści.

– Och, są dobre, panie.

– Nie przeciągaj, Eidolonie! Mów!

– Mamy sprzymierzeńca w pałacu.

– Sprzymierzeńca? Kogo?

– Lucjusza.

\* \* \*

Najgorsze zawsze było pokłosie bitwy.

Żołnierz Astartes był przyzwyczajony do napięcia, w którym oczekiwał na atak, do zgiełku i bólu samej walki. Ale Loken nigdy nie pragnął pokoju bardziej, niż kiedy zobaczył, co zostało, kiedy bitwa się skończyła. Nie doświadczał strachu czy rozpacz jak śmiertelnik, ale żal i poczucie winy dotykały go tak samo.

Ostatni szturm Angrona był jednym z najbardziej zacieklej. Sam Prymarcha, przez ruiny pałacowych kopuł, poprowadził szarżę na

umocnienia Lokena. Za nim biegły tysiące zbryzganych krwią Pożeraczy Światów i wielu z nich wciąż leżało tam, gdzie padli.

Kiedyś była to część pałacu, urokliwy ogród z altanami, oczkami wodnymi i dachem otwartym na słońce. Teraz ogród zmienił się w zasłaną gruzem ruinę, dach się zapadł, a jedynym śladem dawnego przepychu były sterczące nedorzecznie tu i tam zdobiony słupek czy strzaskana pozostałość filigranowego mostka.

Ciała Pożeraczy Światów piętrzyły się wzdłuż pierwszych barykad – wałów z gruzu i metalowych prętów usypanych przez Wilki Luny. Angron skupił tam całą siłę swojego natarcia, a Torgaddon je oddał – wykrwawił Pożeraczy na podejściach, a potem wycofał się za drugą linię umocnień u wejścia do centralnej kopuły pałacu. Podstęp się udał i szarżujący na pozycje Lokena napastnicy byli już mocno rozciągnięci. Wielu poległo od ostrzału broni ciężkiej, którą Tarvitz rozstawił ponad umocnieniami, a kiedy Loken musiał w końcu dobyć miecza, Pożeracze walczyli już tylko z rozpędu – nie mieli szans na zwycięstwo.

Wśród zabitych leżały też Wilki Luny, wojownicy, których Loken znał od lat. Choć bitewny zgiełk ucichł, kapitanowi wydawało się, że wciąż słyszy echa walki, łańcuchowe miecze wgryzające się w zbroje i salwy z bolterów rozdzierające powietrze.

– Niewiele brakowało, Garvielu – powiedział jakiś głos za nim. – Ale się udało.

Loken obejrzał się i zobaczył Saula Tarvitzę wychodzącego z centralnej pałacowej kopuły. Uśmiechnął się na widok przyjaciela i brata, człowieka, który przebył długą drogę od oficera liniowego na Rzeźni do dowódcy sił lojalistów ocalałych po zdradzie Horusa.

– Angron wróci – powiedział Loken.

– Ale ich manewr nie zadziałał.

– Nie muszą się przebijać do środka, Saulu. Horus będzie nas wybijał po trochu, aż nikt nie zostanie. Wtedy Eidolon i Angron po prostu się po nas przetoczą.

– Nie zapominaj o Synach Horusa – powiedział Tarvitz.

Loken wzruszył ramionami.

– Oni nie muszą się jeszcze angażować. Eidolonowi zależy na zdobyciu chwały, a Pożeracze Światów łakną krwi. Mistrz Wojny z przyjemnością pozwoli innym Legionom zmęczyć nas, zanim uderzy.

– To się zmieniło – powiedział Tarvitz.

– To znaczy?

– Właśnie dostałem wiadomość od Lucjusza. Mówi, że jego specjaliści od łączności odszyfrowali komunikaty Synów Horusa. Z „Mściwego Ducha” lecą twoi starzy przyjaciele, żeby objąć dowodzenie Legionem.

Loken odwrócił się od pobojowiska, nagle zainteresowany.

– Kto?

– Ezekail Abaddon i Horus Aksymand – rzekł Tarvitz. – Najwyraźniej mają wyrzucić na mieście pomstę samego Mistrza Wojny. Myślę, że Synowie Horusa już niedługo odkryją swoje karty.

Abaddon i Aksymand, arcyzdrajcy, wojownicy, których Loken tak długo podziwiał, i trzon Kwadry. Najbliżsi doradcy Horusa. Przez głowę Garviela przemknął szereg możliwości. Śmierć ostatnich członków Kwadry oznaczałaby śmierć jądra Legionu, który pozbawiony tak inspirujących postaci, zacząłby się rozpadać.

– Saulu, jesteś pewny? – spytał Loken z naciskiem.

– Nie mam dowodów, ale Lucjusz wydawał się mocno podekscytowany tą wiadomością.

– Czy ten komunikat mówił, gdzie wylądują?

– Tak. – Tarvitz się uśmiechnął. – W Bazylice Makarańskiej, tuż za pałacem. To ta wielka świątynia z iglicą zwieńczoną trójzębem.

– Muszę znaleźć Tarika.

– Jest z Neronem Vipusem, pomagają Vaddonowi przy rannych.

– Dziękuję ci za te wieści, Saulu – powiedział Loken z okrutnym uśmiechem. – Teraz wszystko się zmieni.

\* \* \*

Lucjusz wyjrzał zza poszatowanego kulami filaru, przepatrując mrok jednego z licznych pobojowisk rozsianych w ruinach pałacu. Trupy, boltery i łańcuchowe topory leżały na potrzaskanych kamieniach tam, gdzie upadły. Wiele ciał wciąż było splecionych w ostatnim, śmiertelnym uścisku.

Lucjusz bez trudu wyśliznął się z pałacu. Największym zagrożeniem byli dla niego snajperzy, których rozstawili w ruinach zwiadowcy sił Mistrza Wojny. Szermierz kilka razy wypatrzył ruch w zgliszczach, a wtedy krył się w kraterach po wybuchach albo za stosami trupów.

Przekradanie się przez brud i ciemność, jak zwierzę, było upokarzające, chociaż widoki, odgłosy i zapachy pobojowisk wciąż działały podniecająco na jego zmysły. Ostrożnie wszedł na dziedziniec. Walające się wszędzie ciała były zmasakrowane, porąbane łańcuchowymi ostrzami albo zatłuczone na

śmierć pięściami.

Był to odrażający widok, ale Lucjusz rozkoszował się wyobrażeniem tego, jak gwałtowna musiała być ich śmierć.

– Żadnego arcyzmu – powiedział do siebie. Z cienia wyłoniła się postać w złocie i fiolecie, za nią grupa Astartes. Lucjusz uśmiechnął się, rozpoznając Lorda Komandora Eidolona.

– Komandorze – powiedział – to dla mnie przyjemność znów stać przed twoim obliczem.

– Do diabła z twoimi pochlebstwami! – warknął Eidolon. – Jesteś podwójnym zdrajcą.

– Być może – odparł Lucjusz, przysiadając swobodnie na zwalonej kolumnie z czarnego marmuru – ale przyszedłem tu, żeby dać ci to, czego chcesz.

– Ha! – prychnął Eidolon. – Co ty możesz nam dać, zdrajco?

– Zwycięstwo.

– Zwycięstwo? – Lord Komandor się zaśmiał. – Myślisz, że potrzebujemy do tego twojej pomocy? Mamy was w garści! Jeden po drugim, trup po trupie, zwycięstwo będzie nasze!

– A ilu ludzi straciecie, żeby to osiągnąć? – odparował Lucjusz. – Ilu Wybrańców Fulgrima jesteś gotów rzucić do bitwy, która w ogóle nie powinna mieć miejsca? Możesz położyć temu kres tu i teraz i zachować swoich Astartes na naprawdę konieczne starcia! Kiedy Imperator przyśle swoją odpowiedź na zdradę Horusa, będziesz potrzebował wszystkich swoich braci i dobrze o tym wiesz.

– A czego żądasz za swoją nieocenioną pomoc? – spytał Eidolon.

– To proste. Chcę wrócić do Legionu.

Eidolon zaśmiał mu się w twarz. Szermierz poczuł, że jego ciało ogarnia boleśnie pieśń śmierci, ale wysiłkiem woli ją stłumił.

– Mówisz poważnie, Lucjusz? – spytał Eidolon. – Dlaczego sądzisz, że chcielibyśmy cię z powrotem?

– Potrzebujesz kogoś takiego jak ja, Eidolonie. Chcę należeć do Legionu, który poważa moje umiejętności i ambicję. Nie zamierzam być kapitanem do końca życia, jak ten śmieć Tarvitz. Chcę stanąć u boku Fulgrima, tam, gdzie moje miejsce.

– Tarvitz – splunął Eidolon. – On ciągle żyje?

– Żyje – przytaknął Lucjusz – chociaż z przyjemnością go dla was zabiję. Chwała tej bitwy powinna być moja, ale on panoszy się między nami,

jakby był jednym z wybranych.

Poczuł wzbierającą gorycz i z trudem zachował panowanie nad sobą.

– Kiedyś wystarczyło mu walczyć pośród swoich ludzi, a chwałę zostawiał lepszym od siebie, ale akurat teraz musiał odkryć w sobie ambicję.

To przez niego w ogóle tu jestem.

– Żądasz okazania ogromnego zaufania, Lucjuszu.

– Owszem, ale pomyśl, co mogę ci dać w zamian. Pałac i Tarvitza.

– Zdobędziemy jedno i drugie tak czy inaczej.

– Jesteśmy dumnym Legionem, Lordzie Komandorze, ale nigdy nie wysyłamy naszych braci na śmierć tylko po to, by coś udowodnić.

– We wszystkim wykonujemy rozkazy Mistrza Wojny – odparł Eidolon ostrożnie.

– W rzeczy samej, ale co, gdybym powiedział, że mogę ci dać zwycięstwo tak nagłe, że będzie twoje i tylko twoje? Pożeracze Światów i Synowie Horusa będą się mu tylko bezradnie przyglądać.

Lucjusz wiedział, że przykuł zainteresowanie Eidolona, i stłumił uśmiech. Ofiara chwyciła przynętę, pozostało ją tylko wyciągnąć.

– Mów – rozkazał Eidolon.

\* \* \*

– Idę z tobą, Garvi – zdecydował Neron Vipus, wchodząc do jedynej kopuły pałacu, która nie została zrujnowana podczas oblężenia. Kiedyś była to aula ze sceną i rzędami złoconych foteli, w której dla elity Miasta Chórów grała muzyka stworzenia, teraz jednak panowały tu pleśń i mrok.

Na widok Vipusa Loken skończył swoją przedbitewną medytację i wstał.

– Wiedziałem, że będziesz chciał iść, ale to jest coś, co ja i Tarik musimy zrobić sami.

– Sami? – powtórzył Vipus. – To szaleństwo. Ezekail i Mały Horus to najlepsi wojownicy, jakich Legion kiedykolwiek miał. Nie możecie się z nimi mierzyć sami.

Loken położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Pałac niedługo padnie, ze mną i Tarikiem czy bez nas. Saul Tarvitz dokonał rzeczy niewyobrażalnej, utrzymując nas przy życiu tak długo, ale ostatecznie musimy ulec.

– W takim razie po co marnować życie, polując na Ezekaila i Małego Horusa?

– Na Istwanie III mieliśmy tylko jeden cel, Neronie. Zaszkozić

Mistrzowi Wojny. Jeśli zabijemy ostatnich członków Kwadry, to jego plany ucierpią. Nic innego się nie liczy.

– Mówiłeś, że mamy powstrzymać zdrajców i czekać na Legiony, które Imperator wysłał nam na odsiecz. Już tak nie jest? Jesteśmy zdani na siebie?

Loken pokręcił głową i podniósł oparty o ścianę miecz.

– Nie wiem, Neronie. Może Imperator wysłał swoje Legiony na odsiecz, a może nie, ale teraz musimy założyć, że jesteśmy sami. Nie wystarczy mi sama ślepa nadzieja. Zamierzam im stawić czoła.

– I to właśnie chcę zrobić również ja. U boku mojego przyjaciela.

– Nie, ty musisz zostać tutaj, bo tu toczy się twoja walka. Każda minuta, podczas której stawiasz opór zdrajcom, to kolejna minuta, którą dostaje Imperator, by wymierzyć Mistrzowi Wojny sprawiedliwość. Te śmierci to wewnętrzna sprawa Kwadry, Neronie. Rozumiesz?

– Szczerze mówiąc, nie. Ale zrobię, jak każesz, i zostanę tutaj.

Loken uśmiechnął się.

– Jeszcze mnie nie oplakuj, Neronie. Tarik i ja możemy wygrać.

– Oby. Wilki Luny was potrzebują.

Słowa Nerona zawstydziły Lokena. Uściskał swojego najstarszego przyjaciela. Z całych sił pragnął móc powiedzieć mu, że jest jeszcze nadzieja i że spodziewa się wrócić ze swojej misji.

– Garvielu – przy wejściu do kopuły odezwał się znajomy głos.

Loken i Neron przerwali braterski uścisk i ujrzeli Saula Tarvitzę okolonę w drzwiach słabym światłem.

– Saulu.

– Już czas – powiedział Tarvitz. – Jesteśmy gotowi przeprowadzić dywersję, o którą prosiłeś.

Loken kiwnął głową i uśmiechnął się do dwóch dzielnych wojowników, ludzi, z którymi przeszedł przez piekło i zrobiłby to jeszcze sto razy, gdyby musiał. Pierś rozsadała mu duma z faktu, że zaszczyli go swoją przyjaźnią.

– Kapitanie Loken – powiedział Tarvitz oficjalnym tonem – to może być ostatni raz, kiedy się widzimy.

– Nie sądzę, by było tu jakieś „może” – odparł Loken.

– W takim razie życzę ci powodzenia, Garvielu.

– Powodzenia, Saulu – odrzekł Loken, wyciągając dłoń do Tarvitzę. – Za Imperatora.

– Za Imperatora.

Pożegnawszy się, Loken wyszedł z auli, zostawiając Tarvitzowi i Vipusowi zorganizowanie obrony przed następnym atakiem. Ocalałe mapy taktyczne wskazywały, że Bazylika Makarańska leżała na północ od ich pozycji. W drodze do miejsca, które uznał za najlepsze wyjście z pałacu, napotkał czekającego na niego Torgaddona.

– Widziałeś się z Vipusem? – spytał Tarik.

– Tak. – Loken kiwnął potakująco. – Chciał iść z nami.

Torgaddon potrząsnął głową.

– To wewnętrzna sprawa Kwadry.

– Tak właśnie mu powiedziałem.

Obaj wzięli głęboki oddech. Po raz kolejny dotarła do nich waga rzeczy, którą zamierzali zrobić.

– Gotowy? – spytał Loken.

– Nie. A ty?

– Też nie.

Torgaddon parsknął śmiechem i odwrócił się do tunelu prowadzącego do wyjścia z pałacu.

– Niezła z nas para, co? – powiedział i obaj ruszyli w ciemność.

Na dobre czy na złe, rozpoczęła się dla nich ostateczna bitwa o Isstvana III.

\* \* \*

– Śmiesz wracać do mnie z niepowodzeniem? – ryknął Horus, a mostek „Mściwego Ducha” zadygotał od furii w jego głosie. Twarz Mistrza Wojny wykrzywił gniew na stojącą przed nim cudowną postać.

Prymarcha nie mógł uwierzyć w ogrom najnowszych komplikacji.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co ja tu próbuję zrobić? – wściekał się dalej. – To, co rozpocząłem na Isstwanie, ogarnie całą galaktykę, a jeśli od samego początku w moim planie będzie skaza, Imperator nas złamie!

Fulgrim wydawał się nieporuszony jego gniewem. Na twarzy malowała się mu obojętność, dość niezwykła jak na Prymarchę Dzieci Imperatora. Choć dopiero co przybył na swój flagowiec, „Dumę Imperatora”, wyglądał olśniewająco jak zwykle.

Jego kunsztowna zbroja w purpurze i złocie była dziełem sztuki. Miała wiele nowych zdobień i symboli, a z wierzchu okrywał ją obfity, podbity futrem płaszcz. Horus pomyślał, że jeszcze bardziej niż dotąd Fulgrim przypomina raczej rozpustnika i libertyna niż wojownika. Długie, białe włosy

jego brata były ściągnięte w tył i misternie posplatane w warkocze, a na bladych policzkach pojawiło się coś, co wyglądało na zaczątki tatuaży.

– Ferrus Manus to tępy głupiec, który nie chce słuchać rozsądnych argumentów – odezwał się Fulgrim. – Nawet wzmianka o udziale Mechanicum nie...

– Przysięgałeś mi, że zdołasz go przeciągnąć na naszą stronę! Żelazne Dłonie były kluczowe dla moich zamierzeń. Zaplanowałem kampanię na Isstvanie III w oparciu o twoje zapewnienia, że Ferrus Manus do nas dołączy. A teraz okazuje się, że mam przeciwko sobie jeszcze jednego wroga. Bardzo wielu twoich Astartes przez to zginie, Fulgrimie.

– Co miałem niby zrobić, Mistrzu Wojny? – Fulgrim się uśmiechnął, a Horus zastanowił się przelotnie, skąd u niego ten nowy, chytry, kpiący ton. – Jego wola okazała się silniejsza, niż przewidywałem.

– Albo po prostu miałeś wyolbrzymione mniemanie o własnych zdolnościach.

– Wolałbyś, żebym zabił naszego brata, Mistrzu Wojny?

– Być może tego właśnie będę chciał – odparł Horus nieporuszony. – Byłoby to lepsze niż pozostawienie go przy życiu, by mógł pokrzyżować nasze plany. Może teraz dotrzeć do Imperatora albo któregoś z pozostałych Prymarchów i ściągnąć ich wszystkich na nasze głowy, zanim będziemy gotowi.

– Jeśli to wszystko, wróć do swojego Legionu – powiedział Fulgrim i odwrócił się do wyjścia.

Jego bezczelność rozwścieczyła Horusa.

– Nie, nie wrócisz. Mam dla ciebie inne zadanie. Wysyłam cię na Isstvana v. Po tym wszystkim, co się stało, Imperator najpewniej przybędzie szybciej, niż zakładałem i musimy być na to przygotowani. Weź część Dzieci Imperatora do tamtejszych fortec i przygotuj je na ostatnią fazę operacji Isstvan.

Fulgrim wzdrygnął się z odrazą.

– Chcesz ze mnie zrobić jakiegoś kasztelana, zwykłego ochmistrza, który ma przygotować wszystko na twoje wielkie wejście? Czemu nie wyślesz Perturaba? On bardziej lubi takie rzeczy.

– Perturabo ma własną rolę do odegrania – powiedział Horus. – Właśnie przygotowuje się, by w moim imieniu unicestwić swoją macierzystą planetę. Już wkrótce usłyszymy więcej o naszym zgorzkniałym bracie, nie obawiaj się.



– To obarcz tym zadaniem Mortariona. Jego ponura piechota będzie zachwycona, mogąc uwalać się dla ciebie w błocie! – Fulgrim splunął. – Mój Legion był wybrańcem Imperatora w czasach, kiedy Imperator zasługiwał jeszcze na naszą służbę. Ja jestem najwspanialszym z jego bohaterów i prawą ręką nowej Krucjaty. To jest... to jest zdrada ideałów, dla których wybrałem twoją stronę, Horusie!

– Zdrada? – powtórzył Horus niebezpiecznie cichym głosem. – Mocne słowo, Fulgrimie. Zdradą jest to, do czego Imperator nas zmusił, kiedy porzucił galaktykę, by zająć się dążeniem do boskości, i gdy przekazał Krucjatę w ręce skrybów i urzędniczyn. Czy o coś takiego chcesz właśnie oskarżyć mnie, rzucając mi to prosto w twarz, na mostku mojego własnego okrętu?

Fulgrim cofnął się o krok. Jego gniew zmalął, ale w oczach zapłonęło podniecenie konfrontacją.

– Być może, Horusie. Może ktoś musi ci czasem powiedzieć parę słów prawdy, skoro nie masz już swojej ukochanej Kwadry.

– Ten miecz – powiedział Horus, wskazując zatrutą klingę wiszącą nisko na biodrze Fulgrima. – Dałem ci tę broń jako symbol mojego zaufania do ciebie. Tylko my dwaj wiemy, jaka naprawdę moc w niej drzemie. To klinga, która omal mnie nie zabiła, a mimo to ci ją podarowałem. Myślisz, że dałbym ją komuś, komu bym nie ufał?

– Nie, Mistrzu Wojny.

– Otóż to. Isstvan K to najważniejsza faza mojego planu – ciągnął Horus, ugasiwszy żarzące się węgle pychy Fulgrima. – Zwłaszcza teraz, kiedy sytuacja na dole wygląda tak, jak wygląda. Nie mogę jej powierzyć nikomu innemu. Musisz lecieć na Isstvana V, bracie. Od twego sukcesu zależy wszystko.

Przez długą, przerażającą chwilę między Horusem i Prymarchą Dzieci Imperatora iskrzyło zwiastujące przemoc napięcie.

W końcu Fulgrim się roześmiał.

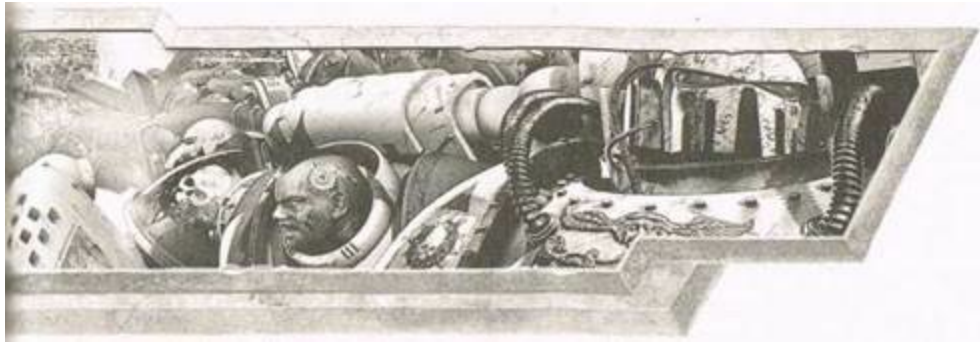
– A teraz mi pochlebiasz w nadziei, że moje ego zmusi mnie do wykonania twoich poleceń.

– Podziałało? – spytał Horus. Napięcie znikło.

– Tak – przyznał Fulgrim. – Dobrze, niech się dzieje wola Mistrza Wojny. Polecę na Isstvana V.

– Dopóki tam do ciebie nie dołączymy, Eidolon pozostanie dowódcą Dzieci Imperatora – zdecydował Horus, a Fulgrim kiwnął głową.

- Będzie zachwycony, mając szansę jeszcze bardziej się wykazać.
- A teraz odejdz, Fulgrimie – rzekł Horus. – Masz zadanie do wykonania.



## TRZY

### WEWNĘTRZNY WRÓG OŚMIORAKA ŚCIEŻKA HONOROWI MUSI STAĆ SIĘ ZADOŚĆ

Konsyliarz Vaddon walczył, by uratować życie Casta. Górna połowa zbroi Legionisty została zdjęta. Jego nagi tors zniekształcała makabryczna rana: eksplodujący pocisk z boltera wyrwał płaty skóry i kawały mięśni, które rozchylały się teraz jak płatki krwawego kwiatu.

– Ucisk! – polecił Vaddon, przełączając szybko ustawienia na rękawicy nartecjum. W obrotowym gnieździe zakręciły się skalpele i strzykawki. Brat Mathridon z Dzieci Imperatora, który w jednym z wcześniejszych starć stracił dłoń i pomagał Vaddonowi, uciskał ranę. Casto rzucał się pod nim, zgrzytając zębami z bólu, który zabiłby każdego innego niż Astartes.

Vaddon wybrał strzykawkę i wbił igłę w szyję Legionisty. Fiolka zamontowana na rękawicy wpompowała w krwiobieg Casta stymulanty, by jego serce nie przestało tłoczyć krwi do poszarpanych narządów. Ranny zadygotał, omal nie łamiąc igły.

– Przytrzymaj go – warknął Vaddon.

– Tak – powiedział głos za nimi. – Przytrzymaj go. Będzie go łatwiej zabić.

Vaddon obejrzał się i zobaczył wojownika w pancerzu Lorda Komandora Dzieci Imperatora. Nieznajomy trzymał w rękach olbrzymi młot, na którego obuchu tańczyły fioletowe iskry wyładowań. Za nim Vaddon zobaczył tuzin Dzieci Imperatora w fioletowo-złoty zbrojach, lśniących od proszku polerskiego i oleju.

W jednej chwili zrozumiał, że to nie są lojaliści. Zimna dłoń ścisnęła

mu serce, bo pojął, że on i jego towarzysze są zgubieni.

– Kim jesteś? – spytał, choć już znał odpowiedź. – Jestem twoją zgubą, zdrajco! – odparł Eidolon i jednym ciosem młota strzaskał Vaddonowi czaszkę.

\* \* \*

Od wschodniej strony setki Dzieci Imperatora wlewały się do pałacu strumieniem ognia i krwi. Najpierw dopadli rannych. Sam Eidolon mordował tych, którzy leżeli, czekając na Vaddona, z wyjątkową przyjemnością zabijając lojalistów z własnego Legionu. Wokół niego roili się wojownicy jego Zakonu. Obrońcy ze zgrozą zdali sobie sprawę, że nie mają pojęcia, dlaczego ich flankę padła, i coraz więcej zdrajców naciera w głąb pałacu.

W kilka chwil rozpętała się ostatnia bitwa. Lojaliści odwrócili się od barykad i stawili czoła Dzieciom Imperatora. Plecaki skokowe Astartes z oddziałów szturmowych pchnęły ich przez zrujnowane kopuły prosto na szeregi wojowników Eidolona. Operatorzy ciężkiej broni i snajperzy-zwiadowcy, ukryci w ruinach umocnień, otworzyli ogień do wroga, zasypując go gradem pocisków.

Była to bitwa bez porządku i kierunku natarcia. Ogarnęła całe wnętrze Pałacu Precentora. Każdy Astartes stawał się jednoosobową armią, w powszechnym chaosie walczył na własną rękę z otaczającymi go wrogami. Odrzutowe motościgacze Dzieci Imperatora przemykały z obłąkańczym wyciem turbin przez wielkie sale i szaleńczo okrężały kopuły, zasypując ogniem walczących w dole.

Drednoty wyrywały swoimi łapami wielkie kawały ruin i ciskały nimi w lojalistów na barykadach, na których tak niedawno poległo tyłu ich wrogów.

Wszędzie panowało skłębione szaleństwo, groza i zniszczenie, a w samym jego środku Eidolon, wymachujący młotem i zabijający każdego, kto się zbliżył, prowadził swoich doskonałych wojowników coraz głębiej w stronę centrum umocnień.

\* \* \*

Luc Sedirae, jasnowłosy i kpiąco uśmiechnięty, wyglądał zupełnie nie na miejscu wśród pordzewiałych przemysłowych wież Miasta Chórów. Stojący obok niego Serghar Targost, kapitan Siódmej Kompanii, pasował tu o wiele lepiej – był starszy, a jego ciemniejsza skóra i gruby, futrzany płaszcz nie kontrastowały tak bardzo z krajobrazem zamordowanego świata.

Sedirae stał na rdzewiejącej bryle jakiejś obalonej maszyny. Przed sobą

miał tysiące Synów Horusa w wojennym rynsztunku. Na napierśnikach Astartes lśniły świeże wojenne barwy, na wietrze łopotały nowe proporce łoży.

– Synowie Horusa! – ryknął Sedirae z pewnością siebie, która przychodziła mu tak naturalnie. – Bardzo długo czekaliśmy, aż bracia z innych Legionów otworzą nam bramy, abyśmy mogli wziąć pod nasze miecze wątpiących i słabych! W końcu jednak ta godzina nadeszła! Lord Komandor Eidolon przedarł się przez umocnienia i nadszedł czas, by pokazać Legionom, jak walczą Synowie Horusa!

Astartes ryknęli tryumfalnie i unieśli wysoko chorągwie łoży, na których ukazano aspekty wierzeń leżące u podstaw ich filozofii. Spiżowy szpon sięgał z nieba i miażdżył planetę w swoim uścisku; czarna gwiazda świeciła ośmioma promieniami śmierci na hordy wrogów; wielka skrzydlata bestia o dwóch głowach stała dumnie na górze trupów.

Te obrazy z innej rzeczywistości, nakreślone słowami dawińskich kapłanów, którzy potrafili zaglądać w osnowę, wyrażały lojalność Synów Horusa wobec sił, którym zaprzedał się Mistrz Wojny.

– Wróg jest w rozsypce – ciągnął Sedirae, przekrzykując wiwaty. – Spadniemy na niego i zmieciemy go. Znacie swoje obowiązki, Synowie Horusa, i wszyscy wiecie, że obrona przez was ścieżka doprowadziła do tej chwili. Tu bowiem zniszczymy ostatnie resztki starej Krucjaty i rozpoczniemy marsz ku przyszłości!

Jego pewność siebie była zaraźliwa. Wiedział, że jego ludzie są gotowi.

Targost wystąpił do przodu i podniósł ręce. Posiadał rangę kapitana łoży, znał sekrety dawińskich obrzędów i był tyleż dowódcą, co świętym mężem. Otworzył usta i wyrzucił z siebie ciąg okrutnych sylab, gardłowych i mrocznych – dawińską modlitwę zwycięstwa i krwi.

Synowie Horusa odpowiedzieli. Ich głosy uniosły się w chóralnym zaśpiewie nad martwe wieże Miasta Chórów.

A kiedy modły dobiegły końca, Astartes ruszyli na wojnę.

\* \* \*

Dookoła Tarvitza szalał ogień. Terminatorzy Dzieci Imperatora zasypywali centralną kopułę nawałą pocisków, ze zrujnowanej galerii dobiegały odgłosy bezpardonowej walki wręcz. Tarvitz skulił się i ścigany ogniem z bolterów pobiegł do brata Solathena z drużyny Nasicae.

Solathen i około trzydziestu lojalnych Dzieci Imperatora kryli się, przygwożdżeni ogniem, za wielką zwaloną kolumną. Wśród nich było kilku

Wilków Luny.

– Co się stało, na Imperatora? – krzyknął Tarvitz. – Jak oni się tu dostali?

– Nie wiem, kapitanie – odparł Solathen. – Przyszli ze wschodu.

– Powinniśmy byli dostać jakieś ostrzeżenie. To sektor Lucjusza.

Widziałeś go w ogóle?

– Lucjusza? Nie, musiał polec.

Tarvitz potrząsnął głową.

– Mało prawdopodobne. Muszę go znaleźć.

– Nie damy rady się tu utrzymać – stwierdził Solathen. – Musimy się wycofać i nie będziemy mogli na ciebie poczekać, kapitanie.

Tarvitz kiwnął głową. Wiedział, że musi spróbować znaleźć Lucjusza, choćby po to, by zabrać jego ciało. Wątpił, by Lucjusz mógł w ogóle kiedykolwiek zginąć, ale wiedział, że w takiej rzezi wszystko jest możliwe.

– Dobrze – powiedział. – Idźcie. Wycofajcie się w szyku do wewnętrznych kopuł i świątyni, są tam barykady. Biegiem! I nie czekajcie na mnie!

Wystawił głowę nad kolumnę i posłał serię z boltera w stronę Dzieci Imperatora Eidolona, kłębiących się po drugiej stronie kopuły. Jego ludzie też otworzyli ogień, osłaniając się wzajemnie i wycofując drużynami.

Kopuła między nim a jego celem była zasłana trupami. Niektóre z nich były tak zmasakrowane, że wyglądały jak nierozpoznawalne bryły porozrywanego ciała. Saul czekał, aż jego wojownicy oddalą się wystarczająco od wroga, a potem wyskoczył spod osłony.

Ziemię wokół niego zorały serie z bolterów. Rzucił się szczupakiem za zwaloną kolumnę, a potem najszybciej jak mógł poczołgał się do korytarza, który wychodził z kopuły i prowadził po jej obwodzie do wschodniego skrzydła Pałacu Precentora.

Gdzieś tam, w ruinach, był Lucjusz, a Tarvitz musiał go odszukać.

\* \* \*

Loken uchylił się, rzucił na ziemię i przejechał po czarnych od ognia kamiennych płytach placu. Wznoszący się nad nim pałac zawirował, kiedy Garviel obrócił się na plecy i strzelił do najbliższego Pożeracza Światów. Jeden strzał trafił napastnika w nogę i zdrajca padł z rykiem na ziemię. Torgaddon przyskoczył do przeciwnika i wbił mu miecz w plecy.

Loken poderwał się na nogi. Nad placem zaterkotały kolejne serie. Próbował namierzyć wroga między stosami trupów i zębatymi kawałami

marmuru, które sterczały z krawędzi kraterów po wybuchach, ale było to niewykonalne.

Plac między pałacem i ciemną bryłą miasta był pełen Pożeraczy Światów, szarżujących w wyłom zrobiony przez Dzieci Imperatora.

– Jest ich tam cała drużyna – powiedział Torgaddon, wyszarpując miecz z zabitego. – Siedzimy w samym ich środku.

– W takim razie nie zatrzymujemy się.

Loken przeładował bolter. Ruszyli pospiesznie przez rumowisko i stosy ciał, wypatrując w ciemności śladów ruchu. Torgaddon trzymał się z tyłu, mierzył z boltera do ruin dookoła. Zewsząd dochodził trzask wystrzałów, a odgłosy bitwy dobiegające z pałacu robiły się coraz straszniejsze. Wojenne okrzyki i eksplozje wstrząsały nocnym powietrzem.

– Padnij! – wrzasnął Torgaddon. Z ciemności wystrzelił jęzor plazmy. Loken rzucił się na ziemię i ładunek przeleciał obok, wypalając dziurę w zwalonym głazie za nim. Z ciemności wychynał jakiś kształt, błysnęło ostrze i Loken odruchowo zasłonił się bolterem. Zęby łańcuchowego ostrza zazgrzytały na metalowej obudowie, a on kopnął napastnika w krocze.

Pożeracz Światów bez trudu uskoczył z linii ciosu, obrócił się i powalił Torgaddona tępym końcem styliska topora. Dzięki temu jednak Loken zdążył poderwać się na nogi, odrzucić bolter i dobyć własnego miecza.

Torgaddon mocował się na ziemi z innym Pożeraczem Światów, ale musiał radzić sobie sam: Loken zobaczył, że jego przeciwnik to kapitan, i to nie byle jaki kapitan, ale jeden z najlepszych wojowników Legionu.

– Khârn! – syknął, kiedy tamten zaatakował.

Khârn przystanął i przez jedną krótką chwilę Loken widział przed sobą szlachetnego wojownika, z którym rozmawiał w Muzeum Podboju. Potem jednak Pożeraczem Światów znów coś owładnęło – coś, co wykrzywiło twarz Khârna w grymasie nienawiści.

Ta krótka chwila wystarczyła Lokenowi, który uskoczył za kawał potrzaskanego kamienia sterczący na krawędzi krateru. W powietrzu wciąż świszczały kule, gdzieś w ciemności Torgaddon toczył własną walkę, ale Garviel nie mógł teraz o tym myśleć.

– Co się stało, Khârn? – zawołał. – Co oni z ciebie zrobili?

Khârn wydał z siebie nieartykułowany ryk wściekłości i rzucił się na niego z wysoko uniesionym toporem. Loken rozstawił szeroko nogi, przyjął cios na miecz i dwaj wojownicy zwarli się w rozpaczliwym uścisku.

– Khârn... – wycedził Garviel przez zęby. Pożeracz Światów napierał

wyjącym ostrzem topora w kierunku jego twarzy. – To nie jest człowiek, którego znałem! Co się z tobą stało?

Ich spojrzenia się spotkały, Loken ujrzał duszę Khârna i wpadł w rozpacz. Zobaczył wojownika, który ślubował braterstwo i przysięgał Krucjacie tak samo jak on, wojownika, który widział tyle jej tragedii i okropności, co i tryumfów. Zobaczył też jednak mroczne szaleństwo, które zalało to wszystko falą krwi i zdrad, które miały się jeszcze dokonać.

– Jestem Ośmioraką Ścieżką – warknął Khâr. Każdemu jego słowu towarzyszyła krwawa piana dobywająca się z ust.

– Nie! – krzyknął Loken, odpychając go. – Tak nie musi być.

– Musi – powiedział Khâr. – Ze Ścieżki nie ma odwrotu. Można tylko iść nią dalej.

Wszelkie człowieczeństwo uszło z jego twarzy. Loken zrozumiał, że Pożeracz Światów jest już zgubiony i że ich pojedynek może zakończyć tylko śmierć.

Wycofał się pod nawałą ciosów topora Khârna, aż w końcu oparł się plecami o zwałony głaz. Ostrze topora wgrzyzło się w kamień obok niego. Loken uderzył przeciwnika głowicą miecza w głowę, ale ten przyjął cios, rąbnął go czołem w twarz, chwycił za rękę z mieczem i obalił na ziemię.

Tarzali się w błocie jak zwierzęta. Khâr usiłował rozgnieść Lokenowi twarz o gruz, Loken próbował go z siebie zrzucić. Przetoczył się na plecy; usłyszał ryk silnika, potężny niczym trzęsienie ziemi, a z ciemności wystrzelił snop światła, który zamienił postać Khârna w czarny obrys.

Wiedząc, co się zaraz stanie, Loken zasypał twarz przeciwnika gradem ciosów, chwycił go za szyję i odepchnął od siebie. Pożeracz Światów szarpał się w jego uścisku. Blask reflektorów zrobił się jeszcze silniejszy i zza sterty gruzu wyjechał ciężki transporter Landa, wyglądający niczym potwór wyłaniający się z głębin.

Loken poczuł straszliwe szarpnięcie – to lemiesz czołgu uderzył w Khârna, przebijając jego pierś ostrymi kolcami na dolnej krawędzi. Garviel puścił zdrajcę i potoczył się w stronę krateru. Transporter uniósł się w górę, wraz z szarpiącym się Khârnem, a potem z hukiem opadł w dół. Loken rozpląszczył się w błocie. Z ogłuszającym rykiem silnika pojazd przejechał nad nim, mijając go o centymetry.

A potem wszystko się skończyło, transporter pojechał w swoją drogę, wioząc nabitego na lemiesz Pożeracza Światów niczym jakieś makabryczne trofeum. Lokena ze wszystkich stron otoczyły czołgi. Z pancernych



kadłubów patrzyło na niego Oko Horusa i rozpoznał ich barwy.

Synowie Horusa.

Przez chwilę jedynie patrzył na armię nacierającą na pałac do wtóru huku ostrzału.

Czyjaś ręka chwyciła go i powlokła, poobijanego i zakrwawionego, za osłonę chroniącą przed lufami czołgów. Obejrzał się i zobaczył Torgaddona, podobnie zmaltretowanego po starciu z drugim Pożeraczem Światów.

Tarik ruchem głowy wskazał ciężki transporter.

– Czy to był...?

– Khârn. – Loken kiwnął głową. – Już po nim.

– Nie żyje?

– Może, nie wiem.

Tarik spojrział na szpicę Synów Horusa jadącą w kierunku pałacu.

– Chyba nawet Tarvitzowi będzie teraz ciężko się tam utrzymać.

– W takim razie musimy się spieszyć.

– Tak. Uważajmy i nie pakujmy się więcej w kłopoty – powiedział Torgaddon. – Chyba że Abaddon i Mały Horus to dla ciebie nie dość wielkie wyzwanie.

– Saul każe im zapłacić za każdy centymetr gruzowiska, który zdobędą – odparł Loken, z bólem dźwigając się na nogi. Khârn go poranił, ale nie aż tak, żeby nie mógł walczyć. – Przez wzgląd na niego postarajmy się.

Dwaj przyjaciele ruszyli dalej przez ruiny, kierując się w stronę Bazyliki Makarańskiej.

Tam, gdzie czekała na nich ostatnia szansa zwycięstwa na Istwanie III.

\* \* \*

Odgłosy bitwy dochodziły ze wszystkich stron. Tarvitz, kryjąc się w cieniu, ostrożnie przekradał się przez ruiny wschodniego skrzydła pałacu. Przez rumowiska przebiegały drużyny Dzieci Imperatora, oczyszczały potrzaskane kopuły i zasypywały ogniem kolejne sale, wbijając nóż natarcia w serce obrony.

Tu i tam Tarvitz widział znajome oznaczenia oddziałów i musiał powściągać odruchową chęć, by do nich zawołać. Ci wojownicy byli jego wrogami i gdyby go znaleźli, nie byłoby wymiany braterskich uścisków ani przyjaznego powitania.

Zawziętość ich natarcia mu sprzyjała – byli tak samo skupieni na celu jak Eidolon, myśleli tylko o pałacu zamiast o tym, co dzieje się na otaczającym ich polu bitwy. Wady Lorda Komandora przynajmniej raz

działały na jego korzyść, pomyślał Tarvitz, przemykając jak duch przez stroboskopowo rozmigotane ruiny pałacu.

– Będziesz musiał popracować nad dyscypliną, Eidolonie – szepnął – bo inaczej ktoś każe ci za to zapłacić.

Wschodni sektor, który przydzielił Lucjuszowi i jego ludziom, to były zbombardowane ruiny. Fala ognia wypaliła ze ścian freski, nieustanny ostrzał i walki z ostatnich miesięcy starły w proch olbrzymie posągi w ogrodach. Tak długa obrona stanowiła cud sam w sobie i Tarvitz nie próbował się nawet ludzić, że mogło to trwać dużo dłużej.

Znalazł setki ciał i obejrzał każde z nich, szukając poległego szermierza. Wszystkich zabitych znał, każdy z nich był żołnierzem, który razem z nim bronił pałacu i wierzył, że Tarvitz poprowadzi ich do zwycięstwa. Każda para oczu oskarżała go o śmierć, ale Saul wiedział, że nie mógł zrobić nic więcej.

Im szedł dalej na wschód, tym mniej napotykał szturmujących Dzieci Imperatora. Wszyscy oni kierowali się prosto do środka pałacu, zamiast się rozdzielić i zająć go w całości.

Eidolon jak zwykle wybrał chwałę zamiast standardowej, poprawnej taktyki.

Dajcie mi stu Astartes, a zapłaciliby za swoją arogancję, pomyślał Tarvitz.

W tej samej chwili na jego twarz powoli wypełził uśmiech. Przecież miał stu Astartes. Owszem, byli związani walką, ale jeśli jakakolwiek formacja była w stanie oderwać się od wroga z utrzymaniem porządku i przekazać komuś pozycje w samym środku rozpaczliwej strzelaniny, to właśnie Dzieci Imperatora.

Tarvitz przykucnął w cieniu zwałonego posągu i otworzył kanał voxu.

– Solathen – syknął – słyszysz mnie?

Słuchawka w jego uchu zatrzeszczała. Przeklął myśl, że jego plan mógł spalić na panewce przez coś tak banalnego, jak problem z łącznością.

– Słyszę cię, kapitanie, ale jesteśmy akurat trochę zajęci – odpowiedział w końcu głos Solathena.

– Rozumiem, ale mam dla was nowe rozkazy. Oderwać się od walki i przekazać pozycje Wilkom Luny. Niech oni wezmą na siebie ciężar obrony. Zbierz tylu ludzi, ilu zdołasz, a potem kierujcie się na moją pozycję.

– Kapitanie?

– Idźcie wschodnimi korytarzami wzdłuż skrzydła służby. Powinniście

do mnie dotrzeć bez większych kłopotów. Mamy okazję mocno uderzyć tych drani, musicie tu przyjść jak najszybciej!

– Zrozumiano, kapitanie – potwierdził Solathen i się rozłączył.

Tarvitz nagle znieruchomiał. Usłyszał czyjś głos.

– To nic nie da, Saulu. Pałac Precentora jest stracony. Nawet ty powinieneś już to rozumieć.

Tarvitz rozejrzył się i zobaczył Lucjusza, stojącego przed nim na środku kopuły z rozmigotanym mieczem w jednym ręku i odłamkiem szkła w drugim. Lucjusz podniósł szkło do twarzy i przeciągnął jego ostrą jak brzytwa krawędzią po policzku. Z rozcięcia skapnęły na podłogę krople krwi.

– Lucjusz. – Tarvitz wstał i ruszył w stronę szermierza. – Myślałem, że zginąłeś.

Kopułę wypełniało światło gwiazd. W ich blasku Saul zobaczył, że wszędzie leżą trupy Dzieci Imperatora. Nie zdrajców, ale lojalistów, a żaden z nich nie poległ od postrzału. Wszyscy zostali zarąbani bronią tnącą. W głowie Tarvitzza zaczęło się rodzić straszliwe podejrzenie.

– Zginąłem? – Lucjusz się zaśmiał. – Ja? Pamiętasz, co powiedział mi Loken, kiedy go upokorzyłem w klatce treningowej?

Tarvitz, czujny, kiwnął głową.

– Powiedział, że ktoś kiedyś cię pokona.

– A pamiętasz, co mu odpowiedziałem?

– Owszem. – Tarvitz położył dłoń na rękojeści miecza. – Powiedziałeś: „Nie w tym życiu”, prawda?

– Masz dobrą pamięć – rzekł Lucjusz i upuścił zakrwawiony odłamek szkła na ziemię.

– Za kogo ta ostatnia blizna? – spytał Tarvitz.

Lucjusz uśmiechnął się, ale nie był to serdeczny uśmiech.

– Za ciebie, Saulu.

\* \* \*

Wielkie forum Bazyliki Makarańskiej było pustynią spopielonych kości, kiedy bowiem spadły bomby z wirusem, tysiące Isstvańczyków zgromadziły się tu w nadziei, że będą mogli się schronić w gmachu parlamentu. Stłoczyli się tu i umarli, a kolumny okalające forum z trzech stron wyrastały z ich wypalonych szczątków niczym ze starożytnego bagna. Czwartą pierzeję placu zamykał sam gmach parlamentu, zbrukany czarnymi smugami popiołu pnącymi się z forum w górę po jego ścianach.

Budynek ten był siedzibą parlamentu Miasta Chórów, przeciwwagi dla

arystokracji władającej z Pałacu Precentora, ale ustawodawcy, którzy schronili się w jego wnętrzu, zginęli tak samo, jak hordy obywateli na zewnątrz.

Loken z mieczem w dłoni brnął przez morze czarnych kości. Wyszczzerzone czaszki patrzyły na niego Oskarżycielsko wypalonymi, czarnymi oczodołami.

Za nim z bolterem w rękach szedł Torgaddon, rozglądający się po placu.

– Zaczekaj – powiedział cicho Loken.

Tarik przystanął i rozejrzał się.

– To oni?

– Nie wiem, być może. – Loken popatrzył na gmach. Za nim dostrzegął zarys statku, stormbirda w barwach Synów Horusa. – Ktoś tu wylądował, to na pewno.

Poszli dalej w kierunku budynku i weszli na gładkie marmurowe schody. Olbrzymie wrota z grubego, ćwiekowanego dębu zostały wyżarte przez wirusa i spalone na popiół w požodze.

– Wchodzimy? – spytał Torgaddon.

Loken kiwnął głową. Nagle pożałował, że tu przyszli, i ogarnęło go straszne przeczucie zagłady. Spojrzał na Tarika, szukając jakichś poczekających słów, które mógłby mu powiedzieć przed tym ostatnim, brzemieniennym w skutki krokiem.

Torgaddon jakby zrozumiał, o czym Garviel myśli.

– Tak, wiem. Ale jaki mamy wybór?

– Żadnego – powiedział Loken i przez sklepione wrota wszedł do gmachu parlamentu.

Oświetlone wnętrze nie ucierpiało tak bardzo od wirusa i ognia, wśród ciemnych drewnianych obić i mebli leżało tylko kilka poskręcanych, poczerniałych trupów. Ściany okrągłej sali były ozdobione spłowiałymi freskami, które ukazywały chwalebna przeszłość Miasta Chórów, opowiadały o jego ekspansji i podbojach.

Ławy i stoły do głosowania ustawione były wokół środkowego podwyższenia z pulpitem, zza którego prowadzono debaty.

To tam, przed pulpitem, stali Ezekail Abaddon i Horus Aksymand.

\* \* \*

– Zdradziłeś nas – powiedział Tarvitz. Ból i zawód, które czuł, były niemal nie do zniesienia. – Zabiłeś własnych ludzi i wpuściłeś Eidolona do

pałacu. Czy tak?

– Owszem – odparł Lucjusz, kręcąc młynki mieczem i rozluźniając mięśnie przed walką, która musiała zaraz nastąpić. – I zrobiłbym to jeszcze raz, bez zastanowienia.

Tarvitz przesuwiał się wzdłuż obwodu kopuły w takim samym tempie, co jego przeciwnik. Nie miał złudzeń co do wyniku pojedynku. Lucjusz był najlepszym szermierzem w Legionie, może nawet we wszystkich Legionach. Saul wiedział, że nie jest w stanie go pokonać. Ale taka zdrada wymagała zemsty.

Honorowi musiało się stać zadość.

– Dlaczego, Lucjuzu?

– Jak możesz w ogóle o to pytać, Saulu? – spytał Lucjusz, zbliżając się. Krok za krokiem dystans między nimi się zmniejszał. – Jestem tu tylko przez niepotrzebną znajomość z tobą. Wiem, co Lord Komandor i Fabiusz ci oferowali. Jak mogłeś odrzucić taką okazję?

– To było coś wstrętnego, Lucjuzu – odpowiedział Tarvitz, wiedząc, że musi podtrzymywać tę rozmowę jak długo się da. – Ingerencja w genoziarno? Jak możesz wierzyć, że Imperator pochwaliłby coś takiego?

– Imperator? – Lucjusz się zaśmiał. – Taki jesteś pewny, że by się nie zgodził? Spójrz, co zrobił, tworząc Prymarchów. Czy my sami nie jesteśmy efektem genetycznej manipulacji? Eksperymenty, które przeprowadza Fabiusz, są logicznym, kolejnym ogniwem łańcucha ewolucji. Jesteśmy wyższą rasą i musimy utrwalić tę wyższość i dominację nad gorszymi istotami, które stoją nam na drodze.

– Nawet nad braćmi z Legionu? – wycedził z odrazą Tarvitz, wskazując ostrzem miecza trupy na obwodzie kopuły.

Lucjusz wzruszył ramionami.

– Nawet nad nimi. Wracam do swojego Legionu, a oni próbowali mnie powstrzymać. Jaki miałem wybór? Podobnie ty próbujesz mnie powstrzymać teraz.

– Mnie też zabijesz? – spytał Tarvitz. – Po tych wszystkich latach, kiedy walczyliśmy ramię w ramię?

– Nie próbuj się odwoływać do moich wspomnień, Saulu – uprzedził Lucjusz. – Jestem od ciebie lepszy i dokonam wielkich rzeczy w służbie mojego Legionu. Nie powstrzymasz mnie ani ty, ani głupie poczucie bezpodstawnej lojalności.

Uniósł miecz i przyjął postawę szermierczą. Tarvitz ruszył w jego

stronę. W nagłej ciszy dwaj przeciwnicy zaczęli się okrążyć, każdy wypatrując szczelin w zasłonie drugiego. Tarvitz lewą ręką dobył noża i obrócił go sztychem w dół. Wiedział, że musi się odgrodzić od Lucjusza tyłoma ostrzami, iloma się tylko da.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. To starcie mogło się skończyć tylko we krwi.

Saul bez ostrzeżenia rzucił się na Lucjusza, dźgając nożem, ale już wyprowadzając cios, zobaczył, że Lucjusz się tego spodziewał.

Szermierz uchylił się w bok i głowicą miecza uderzył w dół, wytrącając nóż z ręki napastnika, a potem uchylił się, gdy Tarvitz ciął z półobrotu z dołu.

Miecz przeciął powietrze, a Lucjusz rąbnął Saula łokciem w bok.

Tarvitz odskoczył, spodziewając się ciosu, ale Lucjusz tylko się uśmiechnął. Zaczął go okrążyć, tańcząc lekko na palcach. Bawił się z nim. Saul poczuł, że narasta w nim wściekłość.

Lucjusz natarł na niego i z prędkością atakującej żmii pchnął w brzuch. Tarvitz zablokował uderzenie, przełożył ostrze nad klingę przeciwnika i ciął go w szyję, ale Lucjusz przewidział jego ruch i zwinnie się uchylił.

Saul przypuścił nagły atak. Jego ostrze zmieniło się w rozmytą smugę stali i Lucjusz zaczął się krok po kroku cofać. Nagle sparował mocarne cięcie w krocze, zakręcił się ze śmieciem na pięcie i błyskawicznie wyprowadził ripostę.

Tarvitz widział, jak miecz sunie w jego stronę, i wiedział, że nie może go zatrzymać. Rzucił się w tył, ale energetyczne ostrze wbiło się głęboko w jego pancerz i poczuł w boku ogień. Przycisnął dłoń do rany i jęknął z bólu, który dopiero po chwili wytłumiły stymulanty zbroi.

Saul cofnął się, a Lucjusz z niecierpliwym uśmiechem ruszył za nim.

– Jeśli to wszystko, na co cię stać, lepiej od razu się poddaj – powiedział. – Obiecuję, że skończę z tobą szybko.

– Właśnie miałem powiedzieć to samo – sapnął Tarvitz, znów podnosząc miecz.

Dwaj wojownicy zwarli się ponownie. Ich miecze błyskały niczym migoczące smugi srebrna i błękitu, zderzające się klingi sypały opalizującymi iskrami. Tarvitz walczył z całą odwagą, siłą i techniką, jakie zdołał z siebie wykrzesać, ale wiedział, że to beznadziejna walka. Lucjusz z łatwością parował każdy jego atak i raz za razem go trafiał, dość mocno, by utoczyć krwi, ale nie tak, by zabić.

W kąciku ust Saula zebrała się krew. Zatoczył się w tył po otrzymaniu

kolejnej rany.

– Trafienie – zaśmiał się Lucjusz. – Zabolało.

Tarvitz wiedział, że walczy ostatkiem sił i że długo już nie wytrzyma. Wkrótce Lucjusz znudzi się tą zabawą i go wykończy. Ale być może przytrzymał go tu wystarczająco długo.

– Masz dość? – wykrztusił. – Nie musisz tu umierać.

Lucjusz przekrzywił głowę na bok i ruszył w jego stronę.

– Ty mówisz poważnie, prawda? Naprawdę myślisz, że możesz mnie pokonać.

Tarvitz kiwnął głową i splunął krwią.

– Chodź i spróbuj szczęścia, jeśli wydaje ci się, że możesz mnie zabić.

Lucjusz skoczył na niego, a Tarvitz upuścił miecz i rzucił się mu na spotkanie. Zaskoczony tak samobójczym posunięciem szermierz zawahał się o ułamek sekundy za długo.

Dwaj wojownicy zderzyli się w powietrzu, a Tarvitz rąbnął przeciwnika pięścią w twarz. Lucjusz odwrócił głowę, by złagodzić siłę ciosu, ale Saul nie dał mu szansy, by się otrząsnął, i gdy runęli na podłogę, jak tłokiem zaczął tłuc pięścią w twarz dawnego towarzysza. Miecz Lucjusza z brzękiem potoczył się po podłodze. Walczyli teraz pięściami i łokciami, kolanami i stopami.

W takim zwarcu umiejętności szermiercze nie miały znaczenia. Z każdym potężnym ciosem Tarvitz dawał ujście swojej nienawiści i wściekłości. Tarzali się i mocowali jak uliczne opryszki. Saul zasypywał Lucjusza uderzeniami, które śmiertelnego człowieka zabiłyby już tuzin razy, a szermierz próbował go odepchnąć.

– Pamiętam też, czego Loken nauczył cię za pierwszym razem, kiedy cię pokonał – sapnął Tarvitz, widząc ruch na obrzeżu kopuły. – Musisz zrozumieć nieprzyjaciela i zrobić wszystko, co konieczne, żeby go zwyciężyć.

Puścił Lucjusza i odtoczył się od niego najdalej jak mógł. Lucjusz w jednej chwili zerwał się na nogi i skoczył do miecza.

– Solathen, teraz! – krzyknął Tarvitz. – Zabij go! On nas wszystkich zdradził!

Lucjusz odwrócił się w stronę wejścia do kopuły i zobaczył tam Astartes, których przyprowadził Solathen. Ten bez wahania usłuchał rozkazu Tarvitz, jak każde porządne Dziecię Imperatora zrobić powinno, i nagle kopułę wypełnił huk wystrzałów. Lucjusz rzucił się w bok, ale nawet on nie

był tak szybki, by uniknąć salwy z bolterów.

Szarpnął się i zadygotał pod ostrzałem, z jego zbroi sypnęły się iskry i bryzgnęła krew. Potoczył się po ziemi w stronę dziury w ścianie, wyrwanej podczas wielomiesięcznego ostrzału, cały czas rozrywany pociskami lojalistów.

– Zabić go! – wrzasnął Tarvitz, ale Lucjusz był niewiarygodnie szybki i szczupakiem wyskoczył z kopuły, choć kule druzgotały freski wokół niego.

Tarvitz podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał w stronę otworu, przez który uciekł szermierz.

Zewnętrzne partie kompleksu pałacowego były koszmarem pełnym kraterów i poczerniałych ruin.

Nad polem bitwy, w które zmienił się pałac, wisiał dym. Tarvitz z frustracją rąbnął pięścią w ścianę, widząc, że Lucjusz znikł.

– Kapitanie Tarvitz? – usłyszał Solathena. – Melduję się na rozkaz.

Tarvitz odwrócił się, uspokoił i skupił na pilniejszym zadaniu – kontrataku na siły Eidolona.

– Dziękuję ci, Solathen. Uratowałeś mi życie.

Żołnierz kiwnął głową. Tarvitz podniósł leżący na ziemi bolter i sprawdził, czy jego magazynek jest pełny.

– A teraz idziemy – powiedział z zaciętą miną. – Pokażmy tym draniom, jak walczą prawdziwe Dzieci Imperatora!





## CZTERY

### ZWYCIĘSTWO TO PRZETRWANIE DIES IRAE KONIEC

Zdrajco – powiedział Loken, wchodząc do gmachu parlamentu.

– Nie było czego zdradzać – odparował Abaddon. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło na Isstvanie III, słowo „zdrada” budziło w nim gniew. – Zazdroszczę ci, Lokenie. Dla ciebie galaktyka jest taka prosta. Dopóki tylko masz kogoś, kogo możesz nazywać wrogiem, będziesz walczył do śmierci i myślał, że masz rację.

– Ja wiem, że mam rację, Ezekailu! – krzyknął Loken. – Jak to wszystko może być słuszne? Śmierć tego miasta i mord na braciach? Co się z tobą stało, Abaddonie, że zmieniłeś się w kogoś takiego?

Ezekail zszedł z podwyższenia, zostawiając Aksymanda samego przy pulpicie. W swoim pancerzu Terminatora górował nad Lokenem. Garviel widział go w boju i wiedział, że Pierwszy Kapitan potrafi w nim walczyć tak samo zwinnie, jak inny Astartes w zwykłej zbroi szturmowej.

– Isstvana III wymusiły na nas małe umysły, niezdolne pojąć kształtu rzeczywistości – rzekł Abaddon. – Myślisz, że wziąłem w tym udział i jestem tu, bo lubię zabijać swoich braci? Nie, Lokenie. Jestem tu, bo wierzę, tak samo jak i ty. W galaktyce istnieją potęgi, których nie rozumie nawet Imperator. Jeśli zostawi ludzkość na pastwę losu w swoim próżnym dążeniu do boskości, te potęgi zaleją nas i każda istota ludzka w galaktyce, co do jednej, umrze. Potrafisz pojąć tę skalę? Cały ludzki gatunek! Mistrz Wojny potrafi to zrozumieć i dlatego musi zająć miejsce Imperatora, by rozprawić się z tym zagrożeniem.

– Rozprawić się? – Torgaddon potrząsnął głową. – Jesteś głupcem, Ezekailu. Widzieliśmy, co robił Erebus. Okłamał was wszystkich. Zawarliście pakt z mocami zła.

– Zła? – powtórzył Aksymand. – One uratowały życie Mistrza Wojny. Widziałem ich siłę i wiem, że Horus jest w stanie ją kontrolować. Wydaje się wam, że jesteśmy głupcami, że jesteśmy ślepi? Moce osnowy to klucz do galaktyki. Tego właśnie nie rozumie Imperator. Mistrz Wojny będzie władał osnową tak samo jak Imperium, a wtedy my będziemy rządzić wśród gwiazd.

– Nie – zaprzeczył Loken. – Mistrz Wojny uległ zepsuciu. Jeśli przejmie tron, to nie ludzkość będzie rządzić gwiazdami, lecz coś zupełnie innego. Ty to wiesz, Mały Horusie – zwrócił się do drugiego z wojowników – nawet jeśli Ezekail nie zdaje sobie z tego sprawy. Jego nie obchodzi galaktyka, on tylko chce być po zwycięskiej stronie.

Abaddon uśmiechnął się i wolno ruszył w stronę Garviela. Torgaddon łukiem zaczął podchodzić Horusa Aksymanda.

– Zwycięstwo to przetrwanie, Lokenie. Umierasz – przegrywasz, i wszystko, w co wierzyłeś, przestaje cokolwiek znaczyć. Żyję – wygrywam, a ty równie dobrze mogłeś nigdy nie istnieć. Zwycięstwo, Lokenie. To jedyna rzecz w galaktyce, która ma jakiegokolwiek znaczenie. Powinieneś być poświęcić więcej czasu na bycie żołnierzem, może wtedy skończyłbyś po zwycięskiej stronie.

Loken podniósł miecz, starając się przewidywać ruchy Abaddona.

– Zwycięska strona zawsze może się jeszcze zmienić.

Zobaczył, że Ezekail się spina, gotowy do uderzenia, i zrozumiał, że kpiny Pierwszego Kapitana to tylko kamuflaż.

– Lokenie – powiedział Abaddon – tak daleko zaszedłeś i wciąż nie rozumiesz, co my tu robimy. Nie różnimy się od zwykłych ludzi aż tak bardzo, byśmy nie mogli czasem popełniać błędów. Ale walczyć z nami, zamiast zrozumieć, co Mistrz Wojny próbuje osiągnąć... to niewybaczalne.

– A jaki błąd popełniłeś ty, Ezekailu?

– Za dużo mówię – odparł Abaddon i rzucił się na Lokena ze szponiastą rękawicą skąpaną w śmiertcionośnych wyładowaniach energii.

\* \* \*

Torgaddon zobaczył, że Abaddon szarżuje na Lokena, i potraktował to jak sygnał do ataku na Małego Horusa. Dawny towarzysz dostrzegł ten zamiar w jego oczach i skoczył mu na spotkanie, gdy Loken i Abaddon roztrącili ławy w auli.

Zwarli się w szczękę zbroi. Walczyli z całą siłą i nienawiścią, jaką mogą wykrzesać z siebie dawni bracia, którzy stali się wrogami. Spletli się w zapaśniczym uścisku, aż w końcu Aksymand roztrącił ramiona Torgaddona na boki i rąbnął go łokciem w szczękę.

Tarik poleciał w tył, zablokował ukośny cios zmierzający ku jego twarzy i znów zwarł się z przeciwnikiem, wbijając pancerne kolano w jego brzuch.

Mały Horus się zachwiał, ale Torgaddon wiedział, że cios kolanem nie zatrzyma takiego wojownika. Jego dawny brat był potężnie zbudowany i dorównywał mu siłą oraz umiejętnościami.

Stanęli naprzeciw siebie. Torgaddon zobaczył, że po twarzy Małego Horusa przemknął grymas smutku.

– Dlaczego to robisz? – spytał go.

– Powiedziałeś, że jesteście przeciwko nam – odparł Aksymand.

– Bo jesteśmy.

Obaj opuścili broń. Byli braćmi, członkami Kwadry, którzy widzieli razem tyle bitew, że nie musieli przed sobą udawać. Obaj wiedzieli, jak walczyć.

– Tariku – powiedział Aksymand – gdyby był inny sposób, wybralibyśmy go. Żaden z nas nie chciał, żeby to się tak skończyło.

– Mały Horusie, kiedy zrozumiałeś, jak daleko zabrnąłeś? Wtedy, gdy Mistrz Wojny powiedział ci, że zamierza nas zbombardować, czy już wcześniej?

Aksymand obejrzał się na walczących Lokena i Abaddona.

– Możesz wyjść z tego cało, Tariku. Mistrz Wojny pragnie śmierci Lokena, ale o tobie nic nie mówił.

Torgaddon się zaśmiał.

– Nazwaliśmy cię Małym Horusem, bo uważaliśmy, że jesteś do niego taki podobny, ale byliśmy w błędzie. Horus nigdy nie miał w oczach tylu wątpliwości. Nie masz pewności, Aksymandzie. Może jesteś po złej stronie? Może to twoja ostatnia szansa, by dokonać żywota jak prawdziwy wojownik Astartes, a nie jako niewolnik.

Aksymand uśmiechnął się blado.

– Ja ją widziałem, Tariku. Osnowę. Nie można się temu przeciwstawić.

– A mimo to stoję naprzeciw ciębie.

– Gdybyś tylko skorzystał z szansy, którą dała ci loża, też byś ją zobaczył. Może nam dać taką moc...! Gdybyś tylko wiedział, Tariku,

dołączyłbyś do nas bez chwili wahania. Zobaczyłbyś przed sobą całą przyszłość.

– Wiesz, że nie mogę się wycofać. Nie bardziej niż ty.

– A więc to koniec?

– Tak, to koniec. Nawet jeśli powiedziałaś, że żaden z nas nie chciał, żeby to się tak skończyło.

Aksymand się przygotował.

– Zupełnie jak w klatkach treningowych, Tariku.

– Nie – odparł Torgaddon. – Zupełnie inaczej.

\* \* \*

Loken uchylił się przed ciosem energetycznych szponów, zbyt późno uświadamiając sobie, że to zwód. Abaddon złapał go za krawędź naramiennika i wbił mu kolano w brzuch. Ceramit się ugiął i Garviel poczuł ból pękających kości.

Abaddon puścił go i uderzył w twarz. Loken poleciał na ścianę, z której posypał się deszcz spieczonej zaprawy i cegieł.

– Mistrz Wojny chciał, żebym zabrał ze sobą Justaerin, ale powiedziałem mu, że mnie obraża.

Loken zobaczył swój miecz leżący na podłodze obok. Zsunął się po ścianie i chwycił go. Odepchnął się, zszedł z linii ciosu szponiastej rękawicy Abaddona i ciał Pierwszego Kapitana w twarz.

Abaddon zablokował cięcie przedramieniem, chwycił Lokena i cisnął nim o ścianę. Świat przed Garwielem zawirował, a potem nagle wybuchł bólem.

Lokenowi pociemniało w oczach, runął na ziemię w deszczu kamiennych odłamków. Ból był dziwny, jakby należał do kogoś innego, jakby Astartes miał przetrącony kręgosłup, a jakiś zdradziecki głos w głowie szeptał, że wszystko to minie, jeśli tylko podda się wszechogarniającej mgłę zapomnienia. Ścisnął mocniej miecz i zaczerpnął z gniewu siłę, by przeciwstawić się temu głosowi.

Dawno temu ślubował Imperatorowi, że nigdy się nie podda, nawet w obliczu śmierci. Wzrok mu się wyostrzył; obejrzał się i zobaczył dziurę, którą wybił ciałem w murze parlamentu.

Przetoczył się na brzuch. Przez wyłom, roztrącając gruz, zaszarżowała na niego olbrzymia sylwetka Abaddona.

Loken podźwignął się niezgrabnie na nogi i odskoczył, unikając ciosu rękawicą. Dźgnął mieczem, ale ostrze ześliznęło się po grubych płytach

pancerza. Zaczął się cofać w górę schodów. Słyszał, jak Torgaddon i Mały Horus walczą ze sobą w budynku i wiedział, że potrzebuje siły swojego brata, by zwyciężyć.

– Nie możesz uciekać w nieskończoność! – ryknął Abaddon i ruszył za nim ciężkim i grzmiącym krokiem.

\* \* \*

Saul Tarvitz uśmiechnął się jak myśliwy, który w końcu dopadł ofiarę. Astartes, których prowadził wraz z Solathenem, wyrąbali krwawą wyrwę w szeregach Eidolona. Zabijali zdrajców bez litości, tak samo jak bez litości byli zabijani do tej pory. Szturm Dzieci Imperatora, który jeszcze niedawno mógł ich rozbić ze szczętem, teraz był na krawędzi załamania.

Pałac nieustannie rozbrzmiewał echem wystrzałów. Lojaliści ślali salwę za salwą we wszystko, co się ruszało. Otoczyli grupę uderzeniową Eidolona, a zaatakowane ze wszystkich stron siły Lorda Komandora się zachwiały.

Tarvitz widział Legionistów bez kończyn albo z potwornymi ranami, którzy desperacko próbowali zająć dogodniejsze pozycje i dalej zabijać zdrajców. Jego własny miecz zebrał krwawe żniwo. Saul zabijał wojowników, u boku których kiedyś walczył i rozlewał krew, a każdy cios był jak okrutny kaprys losu, przynoszący ból i smutek, ale i oczyszczającą satysfakcję.

Zobaczył Eidolona, który w samym sercu bitwy powalał przeciwników ciosami swojego młota, i ruszył w jego stronę. Był cały obolały po pojedynku z Lucjuszem, ale wiedział, że nie ma sensu wzywać konsyliarza. Rany, które odniósł, nie miały już nigdy się zagoić. Tu był jego koniec, Tarvitz to wiedział, ale zamierzał drogo sprzedać skórę. Nigdy nie czuł większej dumy niż teraz, prowadząc swoich ludzi do bitwy.

To, że zgubą tak dzielnych wojowników okazała się zdrada rzekomo wiernych towarzyszy, było finałem strasznym, ale zarazem w jakiś sposób właściwym. Lucjusz omal nie przywiódł ich do klęski i Tarvitz przysiągł, że jeśli przeżyje to piekło, dopilnuje, by ten bękart zginął raz na zawsze.

Lord Komandor był już prawie w zasięgu jego miecza, ale kiedy tylko go zobaczył, zdrajcy zaczęli się wycofywać w zdyscyplinowanym szyku. Tarvitz miał ochotę krzyczeć z frustracji, ale nie był tak głupi, by po prostu rzucić się na wroga.

– Tyraliera w poprzek nawy! – zawołał z całych sił. Oddział jego Astartes natychmiast ustawił się w szyku i zdyscyplinowanymi salwami z

bolterów zaczął ostrzeliwać wycofującego się przeciwnika.

Tarvitz opuścił miecz, oparł się o zrujnowaną ścianę, rozumiejąc, że wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, znów udało im się odeprzeć szturm. Zanim jednak zdążył nacieszyć się tym niespodziewanym zwycięstwem, w uchu rozbrzmiał mu sygnał voxu.

– Kapitanie Tarvitz – powiedział głos, w którym Saul rozpoznał jednego z Wilków Luny.

– Tu Tarvitz.

– Mówi Vipus. Pozycje na dachu utrzymane, ale mamy towarzystwo.

– Wiem. Synów Horusa.

– Gorzej, kapitanie. Na zachodzie, w górze.

Tarvitz pobrnął przez pobojuwisko i spojrzał w niebo nad walącymi się, spowitymi dymem ruinami. Coś sunęło w stronę pałacu, coś ogromnego, choć w oddali.

– Słodka Terro – powiedział. – To Dies Irae.

– Tytan będzie dla nas celem priorytetowym – obiecał Vipus.

– Nie, nie jesteście w stanie go zniszczyć. Polujcie na Astartes.

– Tak jest, kapitanie.

– Jednostki wroga! – krzyknął ktoś przy wejściu do świątyni. – Czołgi i wsparcie!

Tarvitz odepchnął się od ściany, by ostatkiem sił znów zorganizować obronę pałacu.

– Drużyny szturmowe przy wejściach! Cała reszta: strzelać bez rozkazu!

Zobaczył olbrzymie zgrupowanie wroga, kanciaste transportery Landa i Rhino, zbierające się na obrzeżach pałacowego kompleksu. Za nimi Synowie Horusa, Pożeracze Światów i Dzieci Imperatora przygotowywały pola ostrzału i otaczały świątynię.

Dies Irae już wkrótce miał się znaleźć w zasięgu swojej apokaliptycznej broni.

– Niedługo znów zaatakują – krzyknął Tarvitz. – Ale my ich znów odeprzemy, bracia! Nieważne, co się stanie, nie zapomną bitwy, jaką im tu wydamy!

Widząc liczebność sił wroga, zrozumiał, że tym razem nie zdołają go zatrzymać.

To było ostatnie starcie.

\* \* \*

Zbroja Terminatora była olbrzymia. Zmieniała żołnierza w chodzący czołg, ale chroniła tyleż lepiej, ile odbierała szybkości. Abaddon miał dużą wprawę i potrafił w niej walczyć prawie tak samo zwinnie, jak każdy inny Astartes w zwykłym pancerzu.

Ale „prawie” nie wystarczyło, kiedy na szali ważyły się życie i śmierć.

W deszczu odłamków gruzu Pierwszy Kapitan przebił się przez ścianę z powrotem do auli. Jego masywną zbroję pokrywał biały, gipsowy pył. Kiedy przechodził pod szerokim portykiem, podtrzymującym grupę marmurowych rzeźb, Loken uderzył jeden z jego nadwątlonych filarów. Żłobkowana kolumna pękła pod siłą ciosu.

Cały gmach parlamentu wypełniła chmura kurzu. Olbrzymie kawały kamienia runęły na Abaddona, przygniatając go kolekcją posągów. Przez łoskot spadającego gruzu Loken usłyszał ryk wściekłości Pierwszego Kapitana.

Odwrócił się od lawiny marmuru i przez kłęby pyłu pobiegł na środek sali.

Na centralnym podwyższeniu zobaczył Torgaddona i Horsa Aksymanda.

Torgaddon klęczał zlany krwią, z połamanymi rękami. Aksymand trzymał miecz wysoko w górze, gotów wymierzyć śmiertelny cios.

Krzycząc do dawnego brata, by ten powstrzymał swoją dłoń, Loken wiedział, co się zaraz stanie. Mimo łoskotu rzeźb, odrzucanych przez wygrzebującego się spod gruzu Abaddona, usłyszał słowa Aksymanda przerażająco wyraźnie.

– Przykro mi – powiedział Mały Horus.

A potem jego miecz spadł na kark Torgaddona.

\* \* \*

Ładunek plazmy był jak palec słońca, który wyłonił się z wnętrza działa Dies Irae i przebił mury Kaplicy Pieśniarek, wwiercając się płynnym ogniem głęboko w ziemię. Cała ściana runęła z odgłosem konającego miasta. Powietrze wypełniły kurz, ogień i ostre jak noże, zielone odłamki kamienia. Astartes rozpuszczali się w fali żaru albo ginęli przywaleni stosami gruzu.

Tarvitz padł na kolana na krętych schodach, którymi wspinał się na wyższe poziomy świątyni. Otoczyła go dusząca chmura rozżarzonego popiołu. Brnął jednak dalej, wiedząc, że właśnie zginęły setki z resztek lojalnych wojowników. Łoskot był przerażający, ryk walącej się świątyni kontrastował z milczeniem zdrajców, otaczających ją ze wszystkich stron.

Obok niego przeleciało ciało jednego z Wilków Luny z ręką urwaną ostrzałem, chłoszczącym górne poziomy budynek.

– Na dach! – rozkazał Tarvitz, nie wiedząc, czy ktokolwiek go słyszy przez ryk dział Tytana. – Opuścić nawę!

Znalazł się w galerii biegnącej wzdłuż świątyni i ujrzał w niej tłum Astartes w barwach nierozpoznawalnych pod warstwami brudu i krwi. Ale zrozumiał, że nie miało to już znaczenia, bo wszyscy byli braćmi walczącymi o tę samą sprawę.

Poziom wyżej znajdował się już dach. Tarvitz zobaczył sierżanta Raetherina, świetnego oficera liniowego i weterana kampanii na Rzeźni.

– Sierzancie! – krzyknął. – Meldunek!

Raetberin odwrócił się od okna, przez które celował z boltera. W ogniu walki pocisk drasnął mu bok głowy i twarz miał zalaną krwią.

– Nie jest dobrze, kapitanie – odparł. – Do tej pory ich odpieraliśmy, ale następnego szturmu nie zatrzymamy. Jest ich za dużo, a ten Tytan w każdej chwili może nas roznieść w pył.

Tarvitz kiwnął głową i przez wyrwę w ścianie zaryzykował rzut okiem na pobojuwisko w dole. Jego nienawiść do tych zdrajców, ludzi, dla których nie istniały pojęcia honoru i lojalności, wzrosła jeszcze na widok trupów rozwłoczonych naokoło pałacu. Znał tych zabitych, dowodził nimi przez ostatnie kilka miesięcy i wiedział dobrze, co sobą reprezentowali.

To byli najlepsi wojownicy galaktyki, zbawcy ludzkiej rasy i wybrańcy Imperatora. Ich życie, pełne bohaterskiej służby i poświęcenia, zostało przerwane okrutną zdradą i Tarvitz nigdy dotąd nie czuł się tak bezradny.

– Nie – powiedział, czując wzbierającą determinację. – Nie ugniemy się.

Spojrzał Raetherinowi w oczy.

– Tytan strzeli jeszcze raz w ten sam narożnik świątyni, trochę wyżej, a potem zdrajcy zaatakują. Wycofaj ludzi i przygotujcie się na szturm.

Wiedział, że przeciwnicy tylko czekają, aż świątynia runie, by móc wdrzeć się do środka i bez trudu wyrznąć niedobitków lojalistów. To nie była zwykła bitwa. Mistrz Wojny chciał zademonstrować swoją wyższość.

Wielkokalibrowe działa Dies Irae zagrzmiały i burza zniszczenia i śmierci spadła na plac pod świątynią, rozdzierając lojalistów w olbrzymich słupach ognia.

W budynek uderzyły fale piekielnego żaru, galerią powiał gorący wichur.



– Tylko na tyle was stać?! – wrzasnął Tarvitz z wściekłością. – Nigdy nie zabijecie nas wszystkich!

Jego żołnierze popatrzyli na niego z dzikim ogniem w oczach. W jego własnych uszach te słowa zabrzmiały pusto, przemawiał przez nie raczej gniew niż brawura, ale zobaczył, jaki wywarły efekt, uśmiechnął się i przypomniał sobie, że ma wobec tych ludzi obowiązki.

Musiał sprawić, by ich ostatnie chwile coś znaczyły.

Nagle powietrze rozdarł strzał z działa plazmowego Tytana. Galerię wypełnił biały żar. Tarvitz runął na ziemię w bryzgach roztopionego kamienia, wśród płonących i zmasakrowanych Astartes. Oślepiiony i ogłuszony wypełzł ze zgliszczy. Gorące powietrze wypełniło z hukiem bąbel próżni po eksplozji plazmy i Saul pomyślał, że to palący wichur zniszczenia przybył, by zmieść lojalistów z oblicza Isstvana III.

Przetoczył się na plecy. Zobaczył, że ładunek przeszedł na wylot przez dach świątyni, zostawiając w nim olbrzymią dziurę o rozżarzonych do czerwoności krawędziach, niczym monstrualny ślad po ukąszeniu. Jedna trzecia budowli zawaliła się w ogromnej lawinie płynnego kamienia, wylała się na plac jak długi zielony jęzor.

Tarvitz potrząsnął głową, by pozbyć się dzwonienia w uszach, i siłą woli skupił wzrok.

Przez drgające z gorąca powietrze usłyszał, jak nieprzyjaciel wznosi bojowy okrzyk.

Podobny ryk dobiegł go z drugiej strony świątyni, gdzie wokół ruin pałacu czekali Pożeracze Światów i Dzieci Imperatora.

Rozpoczął się ostatni szturm.

\* \* \*

Widząc, jak głowa Torgaddona spada z jego ramion, Loken runął ze zgrozy na kolana. Niespieszną fontanną trysnęła krew, srebrzysty blask klingi miecza spowiła czerwona chmura.

Wykrzyczał imię przyjaciela, patrząc, jak jego ciało wali się na podwyższenie i rozbija w drzazgi drewniany pulpit. Napotkał spojrzenie Horusa Aksymanda i w oczach brata ujrzał smutek dorównujący jego własnemu.

Wezbrała w nim wściekłość, nagła i paląca, ale nie była skierowana na Małego Horusa, lecz na wojownika, który wydzwignął się z gruzowiska za nim. Odwrócił się i zmusił, by wstać. Abaddon wydobył się spod brył marmuru, które zmiażdżyłyby nawet wojownika Astartes w pancerzu, wciąż

jednak pozostawał uwięziony od pasa w dół.

Loken rzucił się na niego ze zwierzęcym rykiem bólu i wściekłości. Wyskoczył w górę, spadł i całym ciężarem ciała przygwoździł rękę Abaddona do gruzu. Ezekail drugą dłonią chwycił go za nadgarstek, zatrzymując miecz łańcuchowy, który zmierzał w stronę jego twarzy.

Dwaj wojownicy znieruchomieli, spleceni w zmaganiach, które miały zadecydować o ich życiu i śmierci. Loken zgrzytnął zębami i napał na uchwyt miecza.

Ezekail spojrział mu w oczy i ujrzał tam nienawiść i ból.

– Jest jeszcze dla ciebie nadzieja, Lokenie – warknął.

Garviel docisnął wyjący sztych miecza z siłą, o jaką siebie nigdy nie posądzał. Zdrada Astartes – samej istoty Legionów – rozbłysła mu w głowie z całą jasnością i ujrzał obiekt swojej nienawiści ucieleśniony w okrutnym obliczu Abaddona.

Zęby miecza zawyły. Ezekail zdołał odwrócić sztych, który wgrzyzł się już w jego napierśnik. W deszczu iskier Loken napał mocniej, przebijając kolejne warstwy ceramitu. Miecz dygotał, ale Garviel go nie puszczał.

Wiedział, gdzie przebije się ostrze: przez osłonę chroniącą klatkę piersiową Abaddona, prosto w jego serce.

Już upajał się myślą o śmierci Ezekaila, kiedy Pierwszy Kapitan uśmiechnął się i pchnął dłoń Lokena w górę. Zbroja szturmowa Astartes zwielokrotniała ich siłę, ale pancerz Terminatora zwiększał ją do niewiarygodnego poziomu. Abaddon wykorzystał tę właśnie moc, by zrzucić z siebie przeciwnika.

Z rykiem wściekłości wydzwignął się z gruzu i rękawicą energetyczną uderzył Garviela w pierś. Zbroja pękła, kości osłaniające klatkę piersiową Astartes roztrzaskały się na kawałki. Loken zatoczył się w tył. Zdołał jeszcze przez kilka chwil ustać na nogach, ale potem kolana ugięły się pod nim i runął na ziemię, brocząc z ust sznurami krwi.

Zamajaczyła przed nim olbrzymia postać Abaddona. W odrętwieniu zobaczył, że obok niego staje Horus Aksymand. Ezekail spoglądał tryumfalnie, Mały Horus ze smutkiem. Abaddon uśmiechnął się i wziął od Aksymanda zakrwawiony miecz.

– Ta broń zabiła Torgaddona i powinienem nią zabić też ciebie.

Loken odwzajemnił jego nieczułe spojrzenie, zobaczył szaleństwo kryjące się w oczach Abaddona, niczym tłum rozwścieczonych demonów, i czekał na śmierć.

Ale zanim cios spadł, parlament eksplodował. Cos olbrzymiego, niczym kolosalny, pierwotny bóg wojny kroczący przez świat, przebiło się przez jego tylną ścianę. Lokenowi mignęła jeszcze monstualna stalowa stopa, szeroka jak cały budynek, rozbijająca mury i burząca cały gmach.

Spojrzał w górę i ujrzał potężnego, czerwonego boga idącego przez ruiny Miasta Chórów, z krenelażami najeżonymi bronią i olbrzymim łbem wykrzywionym w grymasie bezlitosnej wściekłości.

Z góry posypała się lawina gruzu i odłamków. Dies Irae obrócił parlament w ruinę potrzaskanej skały, a gdy budowla waliła się dookoła Lokena, ten się uśmiechnął.

Marmurowa podłoga zatrzęsała się pod lawiną głazów, łoskot zniszczenia brzmiał w jego uszach jak najśłodsza muzyka. A potem świat ogarnęła ciemność.

\* \* \*

Saul Tarvitz rozejrzał się dookoła po setce Astartes stłoczonych pod osłoną małego kawałka ruin, który został ze Świątyni Pieśni. Czekali tu na ostatni atak zdrajców, zdawałoby się, że od wieków, ale w rzeczywistości nie minęło więcej niż trzydzieści minut.

– Dlaczego oni nie atakują? – spytał Neron Vipus, jeden z nielicznych ocalałych Wilków Luny.

– Nie wiem – odparł Tarvitz. – Ale jakikolwiek jest powód, jestem za niego wdzięczny.

Vipus kiwnął głową. Na jego twarzy malował się smutek, który nie miał nic wspólnego z ostatnią bitwą o Pałac Precentora.

– Wciąż żadnych wieści od Garviela i Tarika? – spytał Tarvitz, znając odpowiedź.

– Nie – odparł Vipus. – Nic.

– Przykro mi, przyjacielu.

Vipus potrząsnął głową.

– Nie, nie będę ich opłakiwał, jeszcze nie. Mogło im się udać.

Tarvitz nic nie powiedział. Zostawił Vipusa z jego marzeniem i skupił się ponownie na przerażającej przez swą skalę armii Mistrza Wojny. Dziesięć tysięcy zdrajców stało bez ruchu w ruinach Miasta Chórów. Pożeracze Światów śpiewali razem z Dziećmi Imperatora, a Synowie Horusa i Gwardia Śmierci czekali w długich tyralierach.

Olbrzymi Dies Irae na szczęście przestał strzelać. Wznosił się nad Syrenim Grodem niczym spiżowa forteca.

– Chcą mieć pewność, że jesteśmy pokonani – powiedział Tarvitz. – Żeby móc zatknąć flagę na naszych trupach.

– Tak – zgodził się Vipus. – Ale z nikim nie mieli takiej przeprawy jak z nami, co?

– Owszem. Nie mieli, a nawet kiedy nas już nie będzie, Garro przekaże innym Legionom, co tu się stało. Imperator wyśle armię większą niż wszystko, co do tej pory widziała Wielka Krucjata.

Vipus popatrzył na szeregi armii Horusa.

– Będzie musiał.

\* \* \*

Abaddon popatrzył na ruiny gmachu parlamentu. Wyniosła niegdyś budowla obróciła się w stos potrzaskanego kamienia. Jego twarz krwawiła z zadrapań i skaleczeń, był cały posiniaczony, ale żył.

Obok niego Horus Aksymand opierał się ciężko o zwałony posąg. Oddychał z trudem, a bark miał wykręcony pod nienaturalnym kątem. Abaddon wydostał ich obu z ruin gmachu, ale widząc pochmurne oblicze Aksymanda, zrozumiał, że nie udało im się uniknąć ran zupełnie innego rodzaju.

Nie było już jednak odwrotu. Loken i Torgaddon nie żyli.

Abaddon myślał, że sprawi mu to dziką radość, ale czuł w sobie tylko pustkę, dziwną próżnię. Ziała w jego duszy niczym naczynie, którego nie da się napełnić.

Odrzucił te rozmyślania i otworzył kanał voxu.

– Mistrzu Wojny – powiedział – dokonało się.

– Co myśmy zrobili, Ezekailu? – szepnął Aksymand.

– To, co trzeba było zrobić – odparł Abaddon. – Mistrz Wojny wydał rozkaz, a my go wykonaliśmy.

– To byli nasi bracia.

Ezekail z zaskoczeniem ujrzał spływające po policzkach Aksymanda łzy.

– Zdradzili Prymarchę i niech to starczy za wyjaśnienie.

Mały Horus kiwnął głową, ale Abaddon widział, że kielkuje w nim ziarno zwątpienia. Podparł ramieniem Aksymanda i razem ruszyli do czekającego storbirda, który miał ich zabrać z tej przeklętej planety z powrotem na pokład „Mściwego Ducha”.

Zdrajcy w Kwadrze nie żyli, ale Abaddon nie zapomniał smutku, który ujrzał na twarzy Małego Horusa.

Trzeba będzie mieć go na oku, postanowił.

\* \* \*

Wyświetlacz w strategium ukazywał poczerniałą, gołą skałę Isstvana V.

Podczas gdy Isstvan III był kiedyś bujnym, zielonym światem, Isstvan V od zawsze wyglądał jak bryła ostrych, nieprzystępnych skał. Kiedyś istniała tu cywilizacja, ale wyginęła tysiące lat temu, a teraz jej jedyną pozostałość stanowiły rozsiane po całej planecie bazaltowe miasta i fortyfikacje. Mieszkańcy Miasta Chórów wierzyli, że w ruinach tych mieszkały złe bóstwa ich religii, czekające i snujące plany zemsty.

Może mieli rację, stwierdził Horus, myśląc o Fulgrimie i jego kontyngencie Dzieci Imperatora, którzy przygotowali scenę pod następną fazę planu.

Isstvan III był prologiem; na Isstvanie V miała się rozegrać najważniejsza bitwa, jaką kiedykolwiek widziała galaktyka. Horus uśmiechnął się na tę myśl.

Podniósł wzrok i zobaczył Maloghursta, który kuśtykał z wysiłkiem w kierunku jego tronu.

– Jakie wieści, Mal? – spytał. – Czy wszystkie jednostki z powierzchni wróciły na stanowiska?

Maloghurst kiwnął głową.

– Właśnie odebrałem komunikat ze „Zdobycy”. Angron powrócił. On jest ostatni.

Horus odwrócił się z powrotem do brzydkiej kuli Isstvana V.

– Dobrze. Nie dziwi mnie, że to on ostatni opuszcza pole bitwy. Jak wygląda rachunek strat?

– Straciliśmy bardzo wielu ludzi podczas zrzutu i sporo w pałacu – odparł Maloghurst. – Dzieci Imperatora i Gwardia Śmierci ucierpiały podobnie. Najgorzej jest z Pożeraczami Światów. Została ich ledwie ponad połowa.

– Uważasz, że ta bitwa nie była mądrym posunięciem – powiedział Horus. – Nie ukryjesz tego przede mną, Mal.

– Drogo nas kosztowała – stwierdził Maloghurst – i można było ją skrócić. Gdyby podjęto wysiłek przegrupowania Legionów, zanim rozpoczęło się oblężenie, moglibyśmy oszczędzić ludzi i czas. Nie dysponujemy nieskończoną liczbą Astartes, a tym bardziej nieskończonym czasem. Uważam, że to zwycięstwo nie było warte swojej ceny.

– Widzisz tylko koszty materialne, Mal. A nie dostrzegasz korzyści psychologicznych. Abaddon skosztował krwi, wyeliminowaliśmy największe zagrożenie wśród buntowników, a Pożeracze Światów znaleźli się w punkcie bez powrotu. Jeśli kiedykolwiek istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do powodzenia naszej nowej Krucjaty, to to, co osiągnąłem na Istsvanie III, całkiem je rozwiało.

– A więc co rozkażesz, panie?

Horus odwrócił się do wyświetlacza.

– Za długo już tu zwlekamy, pora ruszać dalej. Masz rację, że pozwoliłem się wciągnąć w wojnę, na którą nie miałem czasu, ale naprawię ten błąd.

– Mistrzu Wojny?

– Zbombardować miasto – powiedział Horus. – Zetrzeć je z powierzchni planety.

\* \* \*

Loken nie mógł poruszyć nogami. Każde uderzenie serca przyprawiało go o niewyobrażalne cierpienia, bo mięśnie klatki piersiowej tarły o odłamki kości. Przy każdym oddechu wykastywał krwawe skrzepy i przy każdym był pewny, że ten łyk powietrza będzie jego ostatnim. Z jego ciała uchodziła wola życia.

Przez szczelinę w przygniatającym go rumowisku widział ciemnoszare niebo. Zobaczył ogniste smugi opadające przez chmury i zamknął oczy, uświadamiając sobie, że to pierwsze salwy bombardowania orbitalnego.

Na Miasto Chórów znów spadał deszcz śmierci, tym razem jednak nie było to nic tak egzotycznego, jak nekrowirus. Głowice burzące miały zrównać miasto z ziemią, stawiając ostateczny, straszliwy wykrzyk na końcu bitwy o Istsvana III.

Taki pokaz był czymś typowym dla Mistrza Wojny. Ostateczne epitafium, niepozostawiające wątpliwości, kto wygrał.

Nad miastem rozkwitły pierwsze pomarańczowe kule ognia. Ziemia się zatrzęsała. Budynki waliły się w falach ognia, ulice zagotowały raz jeszcze w morzu płomieni. Wszystko dygotało jak podczas trzęsienia ziemi i Loken poczuł, że więżący go gruz się przesuwa. Ból przeszył mu ciało jak miecz, kiedy ruiny parlamentu omiotła pożoga.

A potem, w końcu, znów zapadła ciemność i Garviel Loken przestał czuć cokolwiek.

\* \* \*

Przy Tarvitzu została z setka lojalistów. Byli jedynymi ocalałymi z chwalebnej bitwy, a Saul zebrał ich w Kaplicy Pieśniarek. Znaleźli się tam Synowie Horusa, Dzieci Imperatora, nawet kilku zagubionych Pożeraczy Światów. Zauważył, że wśród nich nie ma nikogo z Gwardii Śmierci. Pomyślał, że może paru przeżyło czystkę, którą Mortarion urządził w okopach, ale wiedział, że nawet jeśli tak, to równie dobrze mogli teraz być na drugim końcu Isstvana III.

To był koniec. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie powiedział tego na głos.

Znał imiona ich wszystkich. Przedtem byli tylko brudnymi twarzami w niekończącym się ciągu dni i nocy, teraz jednak stali się jego braćmi. Śmierć przy boku tych ludzi traktował jak zaszczyt.

Na północy miasta rozkwitły eksplozje. Ciemne chmury w górze przebiły spadające słońca, wypalając w nich dziury, przez które widać było rozgwieżdżone niebo. Kosmos spojrział na Miasto Chórów w samą porę, by ujrzeć jego śmierć.

– Czy choć ich zraniliśmy ich, kapitanie? – spytał Solathen. – Czy to cokolwiek dało?

Tarvitz zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Tak – rzekł. – Zraniliśmy ich. Zapamiętają nas.

Bomba trafiła Pałac Precentora, ostatecznie burząc to, co zostało ze wspaniałego kamiennego kwiatu. Lojaliści nie próbowali uciekać ani kryć się przed ogniem i odłamkami granitu. Nie było sensu.

Mistrz Wojny bombardował miasto, a był w tym bardzo dokładny.

Drugi raz nie pozwoliliby się im wymknąć.

W całym pałacu wystrzeliły słupy płomieni, otoczyły ich z ognistą nieuchronnością.

Bitwa o Miasto Chórów dobiegła końca.

\* \* \*

Świątynia była prawie ukończona, jej wysokie sklepienie przypominało żebra z czarnego kamienia. W dole zebrali się dowódcy nowej Krucjaty. Angron wciąż wściekał się za decyzję o opuszczeniu Isstvana III przed ostatecznym zniszczeniem lojalistów. Mortarion stał ponury i milczący, oddzielony od reszty swoją Gwardią Śmierci niczym stalową barierą.

Lord Komandor Eidolon, wciąż przeżywający błędy, które jego Legion popełnił według Mistrza Wojny, miał przy sobie kilka drużyn Dzieci Imperatora. Ale jego obecność nie była mile widziana, a zaledwie

tolerowana.

Maloghurst, Abaddon i Aksymand reprezentowali Synów Horusa, obok nich stał Erebus. Mistrz Wojny stanął przed ołtarzem świątyni – cztery przedstawione na nim twarze oznaczały według Erebusa cztery oblicza bogów osnowy. W górze wisiał olbrzymi holograficzny obraz Isstvana V.

Na planecie podświetlono obszar zwany Depresją Urgallską – gigantyczny krater zdominowany przez fortecę, którą dla sił Mistrza Wojny przygotował Fulgrim. Niebieskimi symbolami zaznaczono prawdopodobne miejsca lądowań, kierunki ataku i odwrotu. Horus przez ostatnią godzinę tłumaczył swoim dowódcom szczegóły operacji i zbliżał się właśnie do zakończenia.

– W tej chwili siedem Legionów leci, żeby nas zniszczyć. Znajdą nas na Isstvanie V i bitwa będzie wielka. Ale tak naprawdę to wcale nie będzie tylko bitwa, bo odkąd zebraliśmy się tu po raz ostatni, bardzo wiele osiągnęliśmy. Kapelanie Erebus, oświeć nas, co się dzieje poza Isstvanem.

– Na Signum wszystko idzie dobrze, panie mój – zaczął Erebus, występując do przodu. Na wygolonej głowie miał nowe tatuaże, symbole takie same jak te, które wyryto w kamieniach świątyni.

– Sanguinius i jego Krwawe Anioły nie będą nam sprawiać kłopotów, a Kor Phaeron donosi, że Ultramarines gromadzą siły na Calth. Niczego nie podejrzewają i nie będą w stanie wspomóc sił lojalistów. Nasi sprzymierzeńcy przeważają liczebnie nad naszymi wrogami.

– A więc postanowione – rzekł Horus. – Na Isstvanie V przetrącimy kręgosłup Legionom Imperatora.

– A co potem? – spytał Aksymand.

Po walkach w Mieście Chórów Małego Horusa ogarnęła dziwna melancholia. Zobaczył, że Abaddon rzuca mu czujne spojrzenie.

– Co, kiedy już wpadną w naszą pułapkę? – ciągnął Astartes. – Imperator wciąż będzie na tronie, Imperium wciąż będzie pod jego władzą. Co po Isstvanie v?

– Co potem, Mały Horusie? – powtórzył Mistrz Wojny. – Potem uderzymy na Terę.



# CHRONOLOGIA

Tysiąclecie	Era	Uwagi
1-15	Era Terry	Ludzkość opanowuje Ziemię. Pojawiają się i znikają kolejne cywilizacje. Następuje kolonizacja Układu Słonecznego. Ludzkość zasiedla Marsa oraz księżycy Jowisza, Saturna i Neptuna.
15-18	Era Technologii	Ludzkość zaczyna kolonizować gwiazdy przy użyciu statków z napędem podświetlnym. Z początku osiągalne są tylko najbliższe układy, a założone na nich kolonie muszą walczyć o przetrwanie na własną rękę, ponieważ od Ziemi dzieli je podróż, której czas trwania mierzony jest w pokoleniach.
18-22	Era Technologii	Wynalazek napędu osnowowego przyspiesza kolonizację galaktyki. Powstają federacje i imperia. Ludzkość napotyka pierwszych ksenosów i toczy z nimi pierwsze wojny. Nauka potwierdza istnienie ludzkich psioników, którzy zaczynają pojawiać się na skolonizowanych planetach.
22-25	Era Technologii	Rodzą się pierwsi Nawigatorzy, pozwalający ludzkim statkom wykonywać dłuższe i szybsze skoki przez osnowę. Ludzkość wkracza w złotą epokę oświecenia; przyspiesza postęp naukowy i technologiczny. Ludzkie światy jednoczą się, zawarte zostają pakt o nieagresji z dziesiątkami obcych ras.
25-26	Era Zamętu	Straszliwe burze w osnowie zakłócają międzygwiazdne podróże. Z początku sporadyczne, w końcu w ogóle uniemożliwiają skoki przez osnowę. Następuje gwałtowny wzrost częstotliwości mutacji u ludzi. Ludzkość wkracza w mroczny okres anarchii i rozpaczy.
26-30	Era Zamętu	Światy ludzi nękane są przez wojny domowe, bunty i najazdy obcych. Niektóre zostają opanowane przez mutantów i psioników, ci zaś szybko padają ofiarą istot z osnowy. Ludzkość balansuje na krawędzi zagłady.
30-do teraz	Era Imperium	Ziemia zostaje podbita przez Imperatora i zawiązuje sojusz z marsjańskim Mechanicum. Burze w osnowie ustają, podróże międzygwiazdne znów stają się możliwe. Imperator buduje Astronomican i tworzy Legiony Kosmicznych Marines. Planety zamieszkałe przez ludzi zostają przez niego zjednoczone w toku trwającej dwieście lat Wielkiej Krucjaty.



## O AUTORZE

**BEN COUNTER** szybko staje się jednym z najpopularniejszych autorów Black Library. Absolwent historii starożytnej i zapalony malarz figurek, mieszka niedaleko Portsmouth w Anglii. Do jego dotychczasowych powieści należy cykl *Soul Drinkers* oraz *Daemon World*.